

2020-2021

Łodzianie o sobie i mieście



Mieszkańcy regionu łódzkiego
w czasie pandemii

https://c.pchere.com/photos/8e/38/girl_window_annoied_angry_upset_mad_surprised_suspicious-1206500.jpg

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego
w Łodzi

Przygotowanie tekstów do druku Ewa Mec.

Skład komputerowy Piotr Mec.

W tekstach zachowano oryginalną pisownię.

Spis treści

PRZEDMOWA	3
JULIA DAŁEK.....	5
JANUSZ JANYST	7
BRONISŁAWA JANIAK	13
JACEK KACZMAREK, SYLWIA KACZMAREK.....	38
URSZULA KOWALSKA.....	49
KLAUDIA KRAJEWSKA „KLAUDITA”	67
JAN NOWAK	70
ALEKSANDRA SAMULCZYK	81
LEON SIKORSKI.....	82
TOMASZ „KRUSZON” STĘPIŃSKI.....	86
EMILIA TESZ	88
ANNA MARIA WRZESIŃSKA	172
JANUSZ ZIARNIK.....	190
ELŻBIETA ŻŁOBIŃSKA.....	193

Przedmowa

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi od kilku lat zachęca mieszkańców regionu łódzkiego do dzielenia się wspomnieniami z życia w mieście w ramach akcji "Łodzianie o sobie i mieście - żywa kronika Łodzi w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej ". Nadesłane do Biblioteki prace zostały opublikowane w postaci książek elektronicznych i udostępnione dla czytelników na stronie internetowej biblioteki pod adresem <https://www.wbp.lodz.pl/łodzianie-o-sobie-2019>. Teksty wchodzące w skład kolejnych tomów łódzkich wspomnień to mozaika barwnych, okraszonych emocjami, nostalgicznych, a nierzadko humorystycznych obrazów naszego miasta.

W roku 2020, w związku z rozwojem pandemii i diametralnie zmienionymi realiami życia, akcji wspomnieniowej nadano odmienną formułę. Autorzy projektu zwrócili się do mieszkańców regionu łódzkiego o nadsyłanie relacji, refleksji, przemyśleń, opisów zdarzeń z życia w trudnych, nowych warunkach. Pierwotnie ramy czasowe akcji "Mieszkańcy regionu łódzkiego w czasie pandemii" przewidziane były na okres od maja do końca grudnia 2020 roku. Jednak następujące po sobie, coraz bardziej niepokojące wzrosty liczby zakażonych i ofiar COVID-19 sprawiły, że postanowiono przedłużyć czas trwania akcji do końca marca 2021 roku. Decyzja ta okazała się nad wyraz trafna, bowiem osoby zainteresowane akcją potrzebowały dłuższego czasu, aby w tragicznych okolicznościach pandemii nagromadzić nowe doświadczenia i obserwacje, a następnie przelać je na papier. Właściwie do ostatniego dnia marca wpływały do Biblioteki teksty, które mamy zaszczyt zaprezentować czytelnikom w tegorocznej publikacji.

Prace przekazane do Biblioteki w ramach akcji "Mieszkańcy regionu łódzkiego w czasie pandemii" są bardzo zróżnicowane pod względem objętości, gatunku literackiego i sposobu ujęcia tematu. Opowiadania i wspomnienia mieszają się z zapiskami kronikarskimi, opisami smutnej rzeczywistości w czasie lockdownu, lirycznymi, a czasem krytycznymi w wymowie wierszami. W tegorocznym tomie wspomnień, czytelnicy znajdą także poruszającą historię młodych ludzi, których na długie miesiące rozdzieliła pandemia, których życiowe plany czekają na spełnienie. Zbiór fraszek i limeryków to syntetyczny i przedstawiony z dużą dawką humoru obraz zjawisk, z którymi wszyscy mieliśmy do czynienia w ostatnim czasie.

Teksty zamieszczone w poniższej publikacji, wpłynęły do Biblioteki z różnych krańców województwa łódzkiego. Spisane zostały przez osoby, które się nigdy nie spotkały, nie wiedzą nawet o swoim istnieniu. A jednak we wszystkich opracowaniach można wyodrębnić wspólne cechy. Uważna lektura wspomnień wskazuje, że w trudnych, można powiedzieć tragicznych okolicznościach, najważniejsza jest nadzieja na lepszą przyszłość, życzliwość i troska o drugiego człowieka i rodzina jako bastion, tarcza chroniąca przed złem. Bardzo często pasja, nietuzinkowe zainteresowania, aktywność wykraczająca poza ramy codziennej egzystencji dodaje siłę do walki z przeciwnościami losu. Szczególne miejsce zajmuje tu także kontakt z przyrodą, natura postrzegana jest jako panaceum na troski i zło, jest lekarstwem kojącym duszę i ciało.

Intencją organizatorów akcji, było zgromadzenie, upublicznienie i zarchiwizowanie wspomnień z czasów pandemii, które w obecnej chwili pokrzepią i dodadzą siły do

przetrwania i walki, a w dalszej perspektywie będą świadectwem i receptą na trudne czasy dla kolejnych pokoleń. Zbiór poniższych tekstów w 100% spełnia te kryteria.

Z prawdziwą radością przekazujemy czytelnikom obszerną publikację będącą efektem akcji "Mieszkańcy regionu łódzkiego w czasie pandemii" i serdecznie zachęcamy do lektury.

Autorom tekstów bardzo dziękujemy za trud i zaangażowanie.

Łódź, czerwiec 2021

Ewa Mec
Dział Informacji Naukowej WBP

Julia Dalek

O czasie, który zapalił iskrę.

Zawsze myślałam, że największą zgubą człowieka jest egoizm, pycha i nieobliczalne pragnienia i to przede wszystkim one mogą być powodem najboleśniejszych strat. Tyle że, jak się okazało, nadchodzą momenty, kiedy nikt nie liczy się z tym, czy twoje serce wypełnione jest miłością czy nienawiścią, bo i tak odbierają Ci wszystko. Dosłownie w jednej sekundzie. Pandemia zabrała nam wolność, ludzkie gesty, uśmiechy i głębokie spojrzenia, a te złote statuetki i dyplomy z najwyższymi wynikami, po które tak biegliśmy do tej pory i rozpychaliśmy się po nie łokciami w wielkim tłumie, przestały mieć znaczenie... Teraz nawet jakbyśmy chcieli, nie mamy między kim się rozpychać.

Świat jest pusty. Pusty od gwaru, od ludzi, od bliskości. Kiedy wychodzi się na ulicę, a jakże to jest wielkie wydarzenie, do którego przygotowania trwają minimum pół dnia, nie widzi się prawie nic, co miałyby się ochotę zobaczyć. Bombardowani przerażającymi wiadomościami z mediów, chcielibyśmy otworzyć drzwi i stwierdzić, że to wszystko jest bzdurą i zaraz znów będziemy siedzieć w kawiarni ze znajomymi i pić trzecią już kawę przy niekończącej się, zupełnie błahej, rozmowie lub szykować się w pośpiechu do szkoły czy pracy, w głowie planując już, co założymy na wieczorne spotkanie. Tymczasem otwierając drzwi widzimy świat masek. Kawałków materiału niezgrabnie założonych na twarze, które zabrały nam podgląd na samych siebie. Podobno to oczy są zwierciadłem duszy, ale w tych czasach przekonałam się, że nie wystarczą tylko oczy, by zobaczyć czyjś uśmiech, smutek, strach czy złość. Maski zabrały nam emocje i tożsamości, a po ulicy chodzą jednakowe zasłonięte twarze bez wyrazu.

Przed pandemią nienawidziliśmy jeździć zatłoczonymi autobusami i nie raz baliśmy się podać rękę, by pomóc komuś na ulicy. Teraz pewnie niejeden z nas o tym marzy. O dotyku, nawet tym najbardziej przelotnym. Prawdziwym dotyku. Nieograniczonym przez gumowe rękawiczki i kołaczące w głowie myśli, że za chwilę trzeba zdezynfekować ręce, tylko takim zwykłym, najprostszym. Kiedy dłoń ociera się o dłoń, a my czujemy miękkość skóry i każdą ranek czy zadrapanie, która jest swego rodzaju wspomnieniem. A teraz chowamy się pod paroma warstwami folii czy gumy i nawet nie zdajemy sobie sprawy, że przez tę grubą powłokę powoli zapominamy o najdrobniejszych gestach, a ja boję się, czy będziemy sobie potrafili o nich przypomnieć za parę miesięcy...

Pandemia zabrała nam zmysły. Nie, nie znaczy to, że oszaleliśmy. Chociaż może i w tym jest trochę racji. Znaczy to, że nie widzimy emocji wymalowanych na twarzy, nie czujemy gładkości innych dłoni, nie czujemy woni perfum drugiej osoby... A przez pewien czas odcięto nas nawet od zapachu leśnych kwiatów... Mimo że wcześniej często brakowało nam przestrzeni osobistej, teraz mamy jej aż nadmiar. Strach przecież podejść bliżej niż dwa metry, a co gorsza, wyciągnąć pomocną dłoń. Wirus zbudował między nami tysiące granic i postawił ogrom murów... Zdaje się, że z nas, istot społecznych, zrobił samodzielne jednostki, które, mimo że ledwo co sobie radzą, boją się jakiegokolwiek interakcji. I może racja, że tak jest bezpieczniej.

Gdyby ktoś jakiś czas temu powiedział mi, że nie będę musiała chodzić do szkoły przez ponad dwa miesiące, pewnie całkiem bym się ucieszyła. Tyle że nikt nie pomyślał, że to samo wiąże

się z całkowitym zamknięciem za ścianami domu, wieloma godzinami przed komputerem spędzonymi na rozpracowywaniu całego tego „zdalnego świata” i ograniczeniu swoich kontaktów do najbliższej rodziny. Spędzamy online wszystko – Wielkanoc, urodziny, spotkanie ze znajomymi. Te małe urządzenia połączone z Internetem zdają się być teraz naszym największym zbawieniem i jedyną szansą, by burzyć mury między nami.

Pandemia zabrała nam wszystkie plany. Na wyjazdy, wakacje, miłe chwile. Od wielu lat jestem harcerką i do tej pory nie wyobrażałam sobie wakacji bez trzech tygodni spędzonych w lesie na obozie czy majówki w innym miejscu niż góry. A teraz jest to moją rzeczywistością. Wiele jeszcze czasu minie zanim znów poczuję powiew świeżego, górskiego powietrza, poczuję zmęczenie pokonując kolejny kilometr szlaku, usłyszę śpiew zdartych gardel przy ognisku i poczuję zapach munduru przesiąkniętego dymem.

Tych ograniczeń i strat wydaje się okropnie dużo. I taka jest prawda. Nie chciałabym jednak twierdzić, że pandemia to samo zło. Zawsze musi być przecież gdzieś ukryta iskra. Dzisiejsza iskra jest całkiem głęboko zakopana, ale lekko tli się w każdym z nas. Może potrzebowaliśmy takiego wirusa, by zgubić chociaż trochę naszego egoizmu i pychy, by mieć tyle wolnego czasu, że zaczęliśmy myśleć też o innych. I tak właśnie powstało w Internecie tysiące inicjatyw zachęcających do kreatywnego spędzania kwarantanny, a ludzie zaczęli angażować się w wiele wolontariatów: szyją масечки, robią zakupy starszym osobom, udzielają bezpłatnych korepetycji. Osobiście uważam, że to piękne. I o ile mam nadzieję, że już za chwilę zdejmujemy z siebie tyle ochronnych warstw plastiku, to bardzo nie chciałabym, by ludzie zdejmowali tę warstwę dobroci. Bo tak naprawdę to dzięki niej jesteśmy bliżej niż nam się wydaje...

Maj 2020

Janusz Janyst

„Covidowe” limeryki walentynkowe

* * *

Dzień czternastego lutego
znany – i w pandemii – z tego
że jest nasilenie
będącego w cenie
klimatu erotycznego

* * *

Walentynki – dzień wyjątkowy
Kto nie ma covid i jest zdrowy
patrzy w oczy, całuje
w ten sposób przekonuje
że ma stosunek uczuciowy

* * *

W pięknym dniu świętego Walentego
mimo reżimu sanitarnego
kto żyw manifestuje
co do partnera czuje
Samotny głaszcze pieska swego

* * *

W „covidowe” Walentynki
nawet chłopcy i dziewczynki
jeśli są dość duzi
dają sobie buzi
Starcom... Zostają wspominki

Fraszki „pandemiczne”

Zamaskowana

Czy ładna ta laska?
Utrudnia sąd maska

Zwolennik kamuflażu

Chciałby bardziej niż troszeczkę
schować się za swą maseczkę

Modnisia

Maseczki nie zakłada:
fason nie odpowiada

Warto było?

Buziaka dał pewnej pannie
teraz jest na kwarantannie

Bohater

Odgrywał gieroja, gdy był w ludzi kupie
Obecnie ze strachu siedzi wciąż w chałupie

Cena

Dobrze się bawił na weselu
zarażając się tam, jak wielu

Punkt widzenia

Poza koronawirusem nie dolega mu nic
ogłasza więc wszem i wobec, że zdrowy jest jak rydz

Ustatkowana

Skończyły się jej liczne na wczasach podboje
W czasie pandemii z mężem spędza czas we dwoje

Leciwy podrywacz

Pandemia to sprawiła
że mu żonka bardziej miła

Codzienne „balowanie”

Na bal maskowy już się nie wybierze
„baluje” wszak w sklepie i na spacerze

Uczniak

Nie lubi zdalnego nauczania
brak mu w nim głównie wagarowania

O aktorach

Frustracja aktorów sięga zenitu:
„pandemia to jest scenariusz do kitu!”

Randka

Rendez-vous z nią przebieg miała marny
stosowała reżim sanitarny

Elegant

„Odbiło mu” na stare lata?
Maseczka pod kolor krawata

Marzenie 12

Chciałby być w erotycznym transie
a nie wciąż w społecznym dystansie

Przyzwoita

Deklaracja przyzwoitej dziewczeczki:
„zdejmę z siebie wszystko oprócz maseczki”

Wzór obowiązkowości

Cichodajka na pandemię uwagi nie zwraca
Bardzo jest obowiązkowa – jak praca, to praca!

„Prodzekt”

Pomysł idioty:
zdalne pieszczoty

Przeszkoda

Jak pocałować te lica
skoro przeszkadza przylbica?

Trzeba tłumaczyć?

Czy w maseczkach też się liczy pocałunek?
Bez żartów! W sumie to jak... powąchać trunek!

Plon obfity

Wabiła, dał więc do jej łóżka susa
złapał nie tylko koronawirusa

Nareszcie

Od dawna nie lubi żony dotykać
Teraz nie musi – są w grupie ryzyka

Sukces 13

Może dziś mówić o sukcesie:
nie zaraził się w DePeEsie

Strategia

Koronawirusa ma na celowniku
nie strzela jednak, ćwiczy się w uniku

Fraszki na grudzień 2020

Trudno

Bez buziaków, więc fatalny
będzie nasz opłatek zdalny

Czy poskutkuje?

Rodzimy na pandemię sposób -
Wigilia jedynie w pięć osób

W Wigilię

Co będzie, gdy wolne miejsce dla wędrowca
zajmie czarna (z koronawirusem) owca?

Pora prezentów

Na choince bombki, świecezki
a pod choinką maseczki

Oby

Może Dzieciątko Boże
w pandemii nam pomoże?

O bardzo samotnej

Sylwester razem z koronawirusem?
W końcu jakieś towarzystwo jest plusem

Młodzieniec

Pandemią nie martwi się wcale
planuje podryw w karnawale

Zabawowa panna

Jest epidemia? No i coś z tego
wytańczyć się chce do upadłego

Bronisława Janiak

Notatki z czasów zarazy

Łódź, kwiecień 2020

Motto:

*„Życ mi przyszło na ziemi w tych czasach
gdy galaktykę Gutenberga wzięto
na mikrofilm, literami grano w pokera, a w centrum
stał święcący śmietnik, superwysypisko
i ludzkość oglądała na żywo Wielką Śmierć Umysłu”*

Otto Orban, Fragment*

Ciąg dalszy fragmentu

Dożyłam wreszcie takich czasów
Gdy gazety wrzucane do sieci
Nie szeleszczą papierem
A odległość między ludźmi
To półtora metra, co najmniej!

Dożyłam wreszcie takich czasów
Gdy kwiaty w parkach są piękne dla nikogo
Żółte mleczki zmieniają się w puch bez widowni
Na cichych podwórkach nie bawią się dzieci
Starsze kobiety mają smutne oczy.
Dożyłam wreszcie takich czasów
Gdy Europa jest bezradna
Paryżem rządzą szczury
A lekarz krzyczy do nas z ekranu
Zamknijcie Madryt, do cholery!
Dożyłam wreszcie czasów, gdy
Hannibal wewnątrz Miasta
Śni samobójcze sny
Po pustych cyrkach Rzymu
Znów krążą głodne lwy.

* OTTO ORBAN, Fragment, [W:] Węgierskie lato. Przekłady poetów węgierskich, tłum. Bohdan Zadura
www.biuroliterackie.pl

Watykan, 3.04.2020, piątek godz. 18-19

Wielki pusty Plac Piotrowy
Lśni od dezynfekcji? deszczu?
Biały człowiek w światłach zmierzchu
Idzie sam
Na obrazie Matka Boża
Skryta za deszczową mgłą
Patrzy smutna na płaczący
Krucyfiks sprzed lat.
Oto noc już w Wiecznym Mieście
Urbi et Orbi wybrzmiało
W złotych promieniach monstrancji
Migocze niebieskie światło
Policyjne.

Watykan, Wielki Piątek 2020

Znowu plac nas obejmuje
Ramionami kolumnady
Nie krzyczą tłumy
Nie płaczą niewiasty
Upał nie doskwiera
Nikt nie wspina się na sykomorę
Nie widać ludzi samotnie konających
Tak blisko
Wśród respiratorów, kombinezonów, maseczek
gogli, przyłbic i lateksowych rękawic.
Ciemny Plac Piotrowy
Rozjaśniają światła
Latań, zniczy i pochodni
Nikt nie pozostaje obojętny
Na piękno i smutek tej sceny.

Wielkanoc 2020

Otarliśmy już łzy, płaczący
A oczy ciągle łzawią
Gromada wiernych trwoży się, przestrasza
I sił jej brak.
Kościoły puste jak nie w Polsce
Dzielni kapłani trwają przy ołtarzach
Czasem próbują się do nas uśmiechnąć
Przez łzy.
Pani Jasnogórska, co wiele widziała
Szuka wzrokiem wiernych rzesz Polaków
Nie cieszą jej nawet góry pięknych kwiatów
Róż czerwonych
Róż żółtych
Róż białych
Lecz opowieść nasza na tym się nie kończy
Bo oto w kaplicy pustej aż do bólu
Pojawiają się wierni. Niektórych poznaję
Razem z kapłanami są gośćmi w mym domu.
Wkrótce nowe kwiaty ozdobią Święty Ołtarz
Może zło na dobro zmieni się pomału
Ojcowie Paulini są coraz liczniejsi
I weselej tańczy płomyczek paschału.

Rozmowa zwierzątka z mamusią

- Mamo, a gdzie się podziały te okropne zwierzęta bez sierści, co chodzą na dwóch łapach?
- Nie wiem, synku, gdzie się schowały.
- Czy to znaczy, że możemy iść śmiało gdzie chcemy i nic złego nam się nie stanie?
- Tak, synku.
- i mogę się pobawić z kolegami na tej polance?
- Możesz, synku.
- a na tej drodze teraz tak cicho, nic nie warczy, czy to dobre miejsce do spacerów?
- Tak, synku.
- a w tych dużych domach to chyba nikogo nie ma. Podejdźmy bliżej, to takie ciekawe?
- Dobrze, synku.

- Mamo, a co się właściwie dzieje?
- Nie wiem, synku, chyba trafiliśmy do raju.
- Czy to długo jeszcze potrwa?
- Mam nadzieję, że tak, synku. Byłoby wspaniale.

Bal maseczkowy

Maseczkowy bal szaleje od barw

Najmodniejsze – te niebieskie

Każdy chce je mieć

Obojętnie, pan czy cieć.

Eleganckie, piękne damy

Nie wyobrażają sobie

Aby kolor ich maseczki

Nie pasował do bluzeczki.

Panie nieco mniej wybredne

Wiedząc o ograniczeniach

Włożą każdą, byle była

Jako tako do zniesienia.

A dziewczyny całkiem młode

By podkreślić swą urodę

Wybierają te wzorzyste

Kolorowe, zawsze czyste.

Prawowici właściciele

Wielu ruin w sercu Łodzi

Mają system maseczkowy

Całkiem nieźle im wychodzi.

Oto najdzielniejsze ciule

Zakładają je na brodę

Choć bywają lekko brudne

Nie przejmują się w ogóle.

A u panów, co czasami,

choć rzadko, lecz pękają

Ich maseczki oprócz brody

Także usta zakrywają.

Zdarzają się też przypadki

Co podkreślić trzeba

Że maseczka często – czysta
Skrywa nos! Nie tylko usta!
Tak więc trwa zachwycające
Przedstawienie masieczkowe
Wesolutkie, miłe, zdrowe...
Musi trwać!

Wirus Gromowładny

Zapanował nam wszechmocny
Wirus Gromowładny
Eutanazji już nie trzeba
Aborcja zbyt uczona – hurra!
Wyczerpana Matka – Ziemia
Od nadmiaru zbędnych dzieci
Odetchnęła wreszcie z ulgą.
Zabiłeś Ormian i czujesz się lepiej?
Zabiłeś burżujów i świat stał się lepszy?
Zabiłeś Polaków i miejsca przybyło?
Zabiłeś Żydów i masz kłopot z głowy?
Zabijesz starych – będzie estetyczniej?
Zabijesz dzieci, to dobrobyt wzrośnie?

Czarodziejka podstępna

Wzięła nas pod pantofel Elektronika
Czarodziejka podstępna
Zwabiła w swoją sieć – nie próbuj uciekać!
Popatrz tylko, mówi, rozejrzyj się
To wszystko twoje
Możesz w każdej chwili
Posiąść całą wiedzę świata
Całe piękno globu leży u twych stóp
Muzea i galeria do twojej są dyspozycji
Najdalsze zakątki ziemi odkryją swe tajemnice
Wystarczy kliknąć!

Jesteś mocny, jesteś panem
Czym się martwisz? Kup on-line
Na co ci ta śmieszna koperta?
Nie otwieraj księgi! Wyrzuć wieczne pióro!
Nie obejmuj czule – wybierz emotikon!
Masz władzę nad całym światem!
Warunek jest jeden:
ZOSTAŃ w DOMU

A to się porobiło

Los migrantów obchodzi nas jakby nieco mniej
Zapraszamy ich do siebie nie tak już gorąco
A niektórzy z nich, nie licząc się z kosztami
Chcą wracać do siebie. Do Afryki.
Z Hiszpanii!!!
Powietrze coraz czystsze, rzeki ożywają
Cena ropy spada na łeb oraz na szyję
Dzwonią koleżanki z najdawniejszych czasów
Chcą pilnie wiedzieć, jak żyję.
Wielkie gwiazdy futbolu popadają w nędzę
Bo któż może wyżyć za byle 112
Tysięcy? A gdzie tam! Milionów!
Euro oczywiście
Zabrać 28 milionów to cios w samo serce.
Któż z nas by pozwolił, by mu odebrano
Lekko licząc złotych coś ze 100 milionów?
Zostawiono jedynie 440?
To oburzające!
W głowie się nie mieści!

Przywódcy państwowi proszą uniżenie

Przywódcy państwowi proszą uniżenie
Swych miłych przestępców, by zechcieli snadnie
Wyluzować nieco, nie kraść, co popadnie
Ograniczyć rozbój i zadbać o zdrowie
A z większymi napadami by chcieli – bez urazy -
Cierpliwie poczekać do końca zarazy.
Tym bardziej, że policja ma nowe zlecenia
Chronić wszystkich zbirów. Dla ich bezpieczeństwa
Bardziej się postarać, przeprosić, gdy trzeba
Przecież to są ofiary złego społeczeństwa!
Cóż ci rzec, bliska sercu Europo, w tej dobie?
Tak, jak pościeliłaś, tak i pośpisz sobie.

Wiersze bieżące

Łódź, lipiec-sierpień 2020

*„Widmo krąży po Europie,
Widmo komunizmu.”*
K. Marks, F. Engels
Manifest komunistyczny

Piosenka o postępie ludzkości

I

Widmo krąży po Europie
Widmo idiotyzmu
Niech się z nim nie równa
Dziadek marksistowski.

Zniszczmy przeciwników
Walczy bez litości
O pokój i miłość
Oraz tolerancję.

Zwalajmy pamiątki
Zmurszałej przeszłości
Niesłuszne pomniki
Wstecznych bohaterów.

Stawiajmy na cokół
Przyjaciół postępu
Lenina i Marksa
Mocarzy równości.

Ale to już było
Czemu wciąż powraca?
Choć miliony pogubiło
Czemu ludzie znowu dążą
Do zagłady?
Ale to już było

To stare porządki
I choć tyle się zmieniło
Czemu ciągle nas uwodzą
Lewicowe mrzonki.

II

Uśpijmy rozsądek
Wysłuchajmy się w słowa
Tych, co wiedzą lepiej
Co dobre, co złe.

Łamacze sumień
Budziciele strachu
Znów podnoszą głowy
Znowu są w natarciu.

Troszeczkę przycisną
Krnąbrnych dla porządku
(A sumienie cicho
Popiskuje w kątku).

Ale to już było
W Rosji sto lat temu
Choć przyniosło morze cierpień
Ciągłe nie brak zwolenników
Tamtego systemu.

Ale to już było
Na zebraniach POP-u
I choć trochę lat minęło
Wciąż przybywa i przybywa
Potrzebnych idiotów.

III

Wszyscy ludzie jednakowi
Czarne też jest białe
Patrzcie, jeszcze bielsze
Od bieli się staje!

Rozpalmy ognisko
Wspólne, europejskie
Niech znikną granice,
Rodziny, narody.

Niech falują na wietrze
Barwne pióropusze
Sztandary postępu
Całej ludzkości.

Ale to już było
Dawno, dawno temu
Jeśli chce się szerzyć postęp
Czemu wracać do epoki
Łupanego krzemu?

Ale to już było
Czemu wciąż powraca
I choć nazwa się zmieniła
Bzdura ciągle taka sama
Wiecznie żywa!

Hagia Sophia

I

A tym razem nikt nie musiał
Walczyć burzyć i zdobywać,
Wystarczyły słowa
Oraz chęci szczere.

Hagia Sophia już nie jest
Świątynią bizantyjską.
Hagia Sophia już nie jest
Muzeum dla świata.
Hagia Sophia ponownie
Stała się meczetem.

Chrześcijańskie freski
Sprzed piętnastu wieków
Już zakryto szczelnie,
By nie przeszkadzały
Wyznawcom Allaha.

Już nie wstrzyma nam oddechu
Magia starych malowideł,
Już nie wprawia serca w drżenie
Linie, kształty i kolory
Zatarte przez wieki.

A cierpliwie i niezmiennie
Czeka, co się jeszcze zdarzy
Chrystus Tronujący
Swoim prześladowcom.

Hagia Sophia

II

Co dzielniejsze kraje mężnie protestują,
Co mężniejsze kraje dzielnie apelują,
Papież smuci się zuchwale.

Wszyscy z jednakowym skutkiem.

Ku chrześcijan większej chwale.

Na fanatyzm religijny
Odpowiadamy ateizmem i obojętnością,
Na agresję i terror
Odpowiadamy uległością i bezradnością,
Na podstęp i spryt
Odpowiadamy bezmyślnością i głupotą.

Na tym polega poprawność polityczna.

Mężyciele i męczennicy

Katolicki cel życia

Wytyczony jasno,

Prosto i odgórnie:

Masz być męczennikiem!

Skoro tak, to i mężczycie

Są tu nieodzowni.

Też już wyznaczeni?

I to tak już będzie?

I to tak już będzie?

Izabela Pierwsza
Królowa Kastylii
Dokończyła dzieła
Rekonkwistadorów.

Nie wahała się przecież
Odpowiedzieć terrorem
Na terror zdobywców
Taka zacofana!

Dziś jej potomkowie
Bardziej nowocześni,
Sami kładą głowę
Pod topór wolności.

Najstarsza Córa
Kościoła Chrystusa,
Jakże słodka Francja,
Dawno już uległa
Najeźdźcom z południa.

Wielki kraj z Ratyzboną
Trewirem, Kolonią
Chciał panować nad światem
A dziś nie jest panem
W swoim własnym domu.

I to tak już będzie?

A cóż dopiero ja!

Dla wolnych Francuzów
Czas zatrzymał się w wieku
Diderota i Woltera.
Nic nie było przed nimi,
Nic nowego po nich.

Wtórują im Szwedzi
Wierzą w przekonania
Opinie, idee
Nie uznają tylko
Oczywistych faktów.

Nie ma dla nich dobra
Nie ma dla nich zła.
Nawet wielki mędrzec
Tego nie zrozumie
A cóż dopiero ja!

Nasz Stary Kontynent
Już się nie odmłodzi
Nie wiem, jak tu będzie,
Czy dobrze, czy źle,
Przecież to się nawet
Filozofom nie śni
A cóż dopiero mnie!

Kahlenberg

Wciąż ze wzgórza Kahlenberg
Wiedeń widać jak na dłoni
Oczywiście pod warunkiem,
Że poranek nie jest mglisty.

Ale za to słysząc wtedy
Jakby szum husarskich skrzydeł
Głośnie wrzaski wojsk tureckich
I okrzyki sprzymierzonych.

Dziś walczymy, by zachować
Choć pamiątki po Sobieskim
By nie stanął w miejscu chwały
Meczet słuszny i wspaniały.

Charakter pisma

Uścisk dłoni, bliskość.
Bezpieczeństwo w grupie ludzi...
Z tak wieloma rzeczami
Musimy się rozstać.

Pamiętam...
Zachwyt nad pięknem pisma
Ojca, Matki, milej Cioci
Ich listy były nieomal
Dziłami sztuki.

Ich charakter pisma
Był niepowtarzalny
Właściwy każdej osobie
I tylko jej.

Charakter pisma mojej Matki
Był Jej nieodłączną częścią
Pewnie tak ważną jak wygląd
Mentalność, barwa głosu.

Niezapomniane listy od Ojca
W i d z ę kiedy zamknę oczy
Tak jak widzę spojrzenie
Wesołe, ciepłe i pełne miłości.

Kiedyś tak cieszyły wzrok
Życzenia od Cioci pisane na kartce.
Tyle piękna kryło się
W literach ćwiczonych w szkole
Stalówką w obsadce.

Cicho i niepostrzeżenie
Wolno, ale nieuchronnie
Ubywają nam emocje, wrażenia i gesty
Wyrywane z serca po kawałku.

Z charakterem pisma
Też musimy żegnać się.
Może jednak pozostanie
Choć w podpisie własnoręcznym.
A może i nie.

Najgorsze za nami?

Jak ten czas leci
Już dziesiąty lipca
Roku pamiętnego
Aż dwa razy dwudziestego.

Na ulicy maseczki
Powiewają nam w dłoniach
Przecież mogą się przydać
W sklepie, autobusie.

Media wciąż donoszą
O zachorowaniach
Ale nikt nie zwraca
Już na to uwagi.

Kiedyś, tak niedawno
Było dla nas ważne
Jacy ludzie zmarli
W walce z niewidzialnym.

Potem wystarczyły
Liczby na ekranie
W gotowych rubrykach
Zaznacz – wytnij – wklej.

Teraz spowszedniały
Nawet liczby suche
Podnosimy głowy
Choć zaraza trwa.

Człek się przyzwyczaja
Przecież do wszystkiego.
Czego nauczyła nas
Ta fala pandemii?
Niczego.

Puściły mi nerwy (10.10.20)

Witaj druga falo
Nie zalej nas całkiem
Przecież nie przypłynie
Aby nas ratować
Siwy Noe w Arce.
Znowu mamy czekać
Dźwigając manatki
W kolejce przed sklepem?
Zaglądać przez szybę
Jak ten pies do jatki?
Kto zechce nauczyć
Dziarskiego sprzedawcę
Szanować seniorów
Także po dwunastej?

Czy jest ktoś, kto odpowie
Dziś na mój telefon
Do przychodni lekarskiej
Z pytaniem o zdrowie?
Czemu nie odpuszczasz
Głupi kowidusie?!
Dość już się nażarłeś
Koronawirusie!
Kowidzie przeklęty!!!
Wstrętny koronusie!!!

Moje Zaduszki. Tryptyk

cz. I (lata siedemdziesiąte XX w.)

Wiadukt na Aleksandrowskiej
Mróz jak diabli
I ta myśl pocieszająca
Jak dobrze, że mam kożuch gruby
Jak dobrze, że buty ciepłe
I czapka futrzana.
Można skryć się za wiatą.
Oczy łzawią od mrozu
Darmo wypatruję autobusu
Pół godziny, godzinę...
Wreszcie jest!
Nie, nie, już nabity.
Jest następny za kwadrans.
Weszłam, trudno oddychać
Żebra ściśnięte.
Nikt się nie skarży. Jedziemy!
Potem znicze, kwiaty
I krótka modlitwa
Wstyd przyznać, jak krótka
I ta myśl natrętna
Jak ja wrócę do domu
W ten mróz, w te święta.

cz. II (lata dziewięćdziesiąte XX w.)

Wiadukt na Aleksandrowskiej
Autobusy wciąż śmigają
Tyle tylko, że nie nasze.
Ale nikt się nie przejmuje
Jest ciepłutko, jest miłutko
Nawiązują się przyjaźnie.
Na cmentarzu żółte liście
Szeleszczą w słoneczku
Krzyczą kwiaty kolorami
Szkłane znicze płoną
Obok wypalonych.
Tylko smutek coraz większy
Bo i dla mnie coraz bliżej.
Rozmowa ze Zmarłymi
Ściska za gardło
Wywołuje obrazy i słowa
Wdzięczność i prośby.
I pomyśleć, że na wiosnę
W Święta Wielkanocne
Na grobowej płycie
Śnieżna poducha leżała
I ręce grabiały od zimna
Dobrze, że choć jedno
Nie ulega zmianie
Bezgraniczne, zawzięte
Na autobus czekanie

cz. III (rok 2020)

Co tam wiadukt!

Ciepłe kapcie, zielona herbata

Miękka poducha na krzesło

Seniorze, nigdzie nie wychodź,

Pozostań w domu w to święto!

A zresztą idź sobie, gdzie chcesz

Bo i tak cmentarze zamknięto!

Msza niedzielno-święteczna

U Pani Jasnogórskiej

Przynosi ukojenie

WPROWADZA ŁAD.

Na ołtarzu w kaplicy białe chryzantemy

„Tym bielsze, że odbite od ciemnej zieleni”

Ostatnich, być może, liści tej jesieni.

A swoją drogą...

Z jaką radością bym znów poczekała

Na ten autobus zaczarowany

Napchany ludźmi, którym nie w głowie

Zasłaniać usta i nos масечkami.

Wśród nocnej ciszy

W zimnym przedpokoju
Życzenia świąteczne
Szybko, bez uścisków.
Mam dzwonić, czy czekać...
Zadzwońcie...a może...
Nie będę przeszkadzać.
I tylko światełka
Na sztucznej choince
Nie sprawią zawodu.
Pracują zawzięcie
I niezmordowanie
Z jakiegoś powodu.
Kolędy z ekranu
Już tylko oglądam.
Może i to lepiej.
Gwiazdkowe prezenty
Stoją w kącie smętnie
Wielkanoc im się śni.
Świat cały truchleje
A Bóg nam się rodzi
Jak gdyby nigdy nic.

Łódź, 30.12.2020

Jacek Kaczmarek, Sylwia Kaczmarek

Pandemiczny świat lektur

Zamieszczone poniżej zapiski pochodzą z korespondencji autorów adresowanej do Redaktorek prowadzących audycję „Literackie witaminy” na antenie Programu 2 Polskiego Radia. Osoby przygotowujące ów Program zwracały się do Słuchaczy z prośbą o podzielenie się refleksjami związanymi z kwestią lektur czytanych podczas pandemii i ich wpływem na kondycję i postrzeganie otaczającego świata. Poniższe fragmenty pisane były przez dwie osoby jako korespondencja mailowa, w formule swobodnej wypowiedzi. Podział tekstu oznaczony numerami i podtytułami odpowiada chronologii kolejnych listów wysłanych między czerwcem i listopadem 2020 r. na adres mailowy wspomnianej audycji (literackiewitaminy@polskieradio.pl)

Korespondencja dotyczy lektur czytanych przez nas podczas różnych etapów izolacji

w czasie pandemii. Dobór tytułów dla poszczególnych listów odzwierciedla zatem stany emocjonalne, których doświadczaliśmy podczas izolacji. Możliwość przekazania własnych odczuć i refleksji w korespondencji z Programem 2 Polskiego Radia była jednocześnie formą „wyjścia na zewnątrz”, opuszczenia domu, który z powodu ograniczeń izolacji był poniekąd całym światem naszego życia.

[1] [lektura siebie]

Zapowiedź programu o książkach, możliwość spotkania z wybitnymi osobami na antenie Dwójki niewątpliwie pobudzają wyobraźnię, zaostwiają apetyt na wykwintne wydarzenie. Anonsowana audycja „Literackie witaminy” zachęca do rozpoczynania podróży w świecie literatury. Chcielibyśmy przekazać kilka uwag o programie, który dopiero ma zagościć w naszych domach. A jednak postanowiliśmy spróbować, zanim wsłuchamy się w brzmienie i rytm Państwa głosu. Proponujemy nieco inne spojrzenie na lektury, może trochę dziwaczne. Sugerujemy rozmowę o czytaniu, ale bez czytania. Każdy z nas buduje swój świat. Jego składnikami bywa muzyka, sztuki piękne i koniecznie książki. Spoglądamy teraz w domu na regały, na poustawiane tam książki. Stoją tak od lat i niekoniecznie były ostatnio przeglądane. Przeczytane kiedyś, zostały odstawione. Zajmują wyznaczone miejsca pośród innych książek. Kiedyś je czytaliśmy – sobie lub innym. Postawione na półkach są bez wątpienia zapisem przeszłości. Wracamy do tych dawnych lektur sporadycznie. Jednak to nie ich treść jest najważniejsza. Niektóre z nich pamiętamy lepiej, niektóre gorzej. Książek nie tworzą tylko narracja, emocje, wydarzenia, bohaterowie. Nawet autor może zejść na plan dalszy. Pomyślmy o czytelniku, o czasie lektury i jej okolicznościach. Wracamy zatem do dawnych lektur, wtedy, kiedy patrzymy na grzbiety książek. Nie musimy ich czytać ponownie, aby wspominać czas. Przypominanie odnosi się do czytelnika, a oglądane woluminy bywają

pretekstem do wędrowania w krainie przeszłości. Nazwalibyśmy takie doświadczenie czytaniem nie książki, ale lekturą samego siebie. Stojąc przed regałem dawnych lektur, będąc wewnątrz naszego świata, odkrywamy siebie. Zastanawiamy się także, kim jest teraz ten dawny czytelnik, dokąd poszli słuchacze naszych głośnych lektur. Tak widzielibyśmy „literackie witaminy” – dostrzegamy książki, bez ich czytania i odkrywamy w nas ślad dawnych lektur.

Z radością witamy inicjatywę nowej audycji literackiej w „Dwójce”. Postaramy się pilnie słuchać Państwa rekomendacji. Wszak przed nami kolejne lektury, a dawne czytanie zbudowało przecież fundamenty naszego własnego domu literatury. I na regałach, o których wspominaliśmy na wstępie zapisanych refleksji, pojawiają się kolejne książki. Także takie, które czekają na lekturę. Przecież każda książka ma swój czas i musimy poczekać i wybrać odpowiedni moment, aby czytanie było wykwinłą ucztą.

[2] [topobiografie]

W ubiegłym tygodniu, tuż przed rozpoczęciem audycji "Literackie witaminy", przesłaliśmy nasze uwagi o lekturach bez czytania. Sugerowaliśmy czytanie siebie, poprzez podążanie szlakiem książek odłożonych na półkach. To miałyby być podróże w indywidualnie budowanym świecie. Po wsłuchiwaniu się w kolejne prezentowane odcinki i po zanurzaniu się w postępujące rekomendacje książkowe, postanowiliśmy napisać o jeszcze innej niezwyklej opowieści. Teraz zdjęliśmy z półki opasły tom biografii Gołdy Tencer Jidisze Mame (spisanej razem z Katarzyną Przybyszewską-Ortonowską). Książka ma swoją historię. Pierwszy raz dostrzegliśmy ją na regale w księgarni w Zakopanem. Ponieważ publikacja prezentuje się okazale, zatem nie dorzucaliśmy już kolejnych kilogramów do naszych wakacyjnych bagaży. Zdecydowaliśmy o późniejszym zakupie tej książki, po powrocie do Łodzi. Jak się rzekło, tak zrobiliśmy. Obszerna opowieść pochłonęła nas bez reszty. Narracja Gołdy Tencer jest przejmująca, barwna, nasączona nadzieją. Słowo nadzieja miało i ma obecnie kolosalne znaczenie. Bowiem, w tle opowieści Gołdy Tencer przewija się niezmiennie zaraza. Panoszy się, ogarnia, zamęcza nas zaraza nienawiści. Bywa bezczelna i w każdej, nawet najradośniejszej sytuacji pojawia się nieproszona. Niszczy wszystko co napotka. Potem jakby nienawiść się zmęczyła i przycicha. Zazwyczaj nie wiemy na jak długo. Ale nienawiść nie odgrywa przecież głównej roli w opisywanej opowieści. Czytamy o losach Gołdy Tencer, o jej zmaganiach z przewrotnym losem. Warto przywołać wybrane zdania z zakończenia książki "Życie mnie zaskakuje. Nieustannie. I ciągle się zastanawiam, co się jeszcze zdarzy. (...) Ale co robić. Trzeba żyć". Więcej powiedzieć o tej książce to, jakby nic nie powiedzieć. Opisywany tom trzeba przeczytać. Koniecznie musimy podążać ścieżką życia Gołdy Tencer. Szlak jej życia wyznaczają kolejne miejsca. Dlatego tę opowieść można nazwać topobiografią, czyli dziejami życia wyznaczonymi przez kolejne miejsca znaczące. A warto dodać, że miejscem szczególnym była Łódź. Miasto dobre bądź złe, ale osobiste. Książka Jidisze Mame może mieć dalszy ciąg. Lektura pobudza czytelnika i zachęca, aby powędrować śladami opisywanych miejsc i zdarzeń. Dodamy jeszcze - nasze pisanie do Państwa przebiega w towarzystwie "Wieczoru płytowego". Dziękujemy "Dwójce" za towarzystwo, podczas lepszych i gorszych dni toczących się w "zamaskowanym świecie".

[3] [odgrywane dramaty]

Pozwalamy sobie na nazbyt śmiałe postępowanie. Trzeci raz pragniemy podzielić się swoimi uwagami, które może wybrzmiać w „zielniku literackim”, jako jedna z witamin. Pisaliśmy o woluminach na półkach. Tam szukaliśmy śladów siebie. Później podzieliliśmy się zachwytem nad biografią Gołdy Tencer. Teraz chcielibyśmy zachęcić do lektury dramatów. Teksty sceniczne mają tę właściwość, że możemy odtworzyć teatralną atmosferę. Wtedy, kiedy oglądaliśmy dany spektakl lub kiedy w nim uczestniczyliśmy. Warto także wybiec przed siebie i dostrzec przyszłe przedstawienie. Utwory nie należą do najnowszych. Pierwszy, prawdopodobnie nikogo nie zaskoczy. Pasuje do sytuacji w jakiej się znaleźliśmy, w jakiej żyjemy. Zapewne, wielokrotnie uczestniczyliśmy w spotkaniach w teatrach, gdzie czekaliśmy na Godota. Utwór niespieszny, zatrzymany w miejscu pod drzewem. Ale jakoś popycha nas do wyruszenia w drogę. A jednak stoimy i nie ruszamy się z miejsca. Trudno dodać coś nowego do interpretacji Czekając na Godota. Koniecznie trzeba spojrzeć na zakończenie, może zapowiedź naszego powrotu do rzeczywistości – „VLADIMIR: To co, idziemy? ESTRAGON: Chodźmy. Nie ruszają się.” Czy my wyruszymy i dokąd? Drugi dramat, do którego warto teraz zajrzeć zdjęliśmy z półki przed chwilą. Otwieramy strony wykrzyczane przez Stanisława Ignacego Witkiewicza. Wspominamy niesamowity spektakl z teatru w Zakopanem. To właśnie tam staliśmy się zamaskowanym tłumem w Bezimiennym dziele. Staliśmy się jako publiczność proroczym zabiegiem inscenizacyjnym Andrzeja Dziuka. Reżyser ubrał widzów w jednoimienne maski. Ten bezmyślny, bez osobowości tłum, ta masa historii tworzy kulturę – „GIERS: A– żeby was wszyscy diabli z tą sztuką!” Indywidualność staje się nikim, wdeptanym przez zamaskowany, zakneblowany tłum. I jeszcze inny fragment, z dobrze zarysowanym określeniem, współcześnie po wielu latach – „GIERS: Zmieniamy formę władzy, ale nie jej istotę.” Wśród wielu jeszcze dramatów scenicznych, jakie pozostają w zasięgu naszej ręki pozostaje jeszcze ten jeden. Najprawdopodobniej najważniejszy, ten nasz. Tam gramy główną rolę, bywamy też reżyserem. Zatem „Witaminy literatury” nie są tylko audycją o czytaniu książek. Wielu z nas, może wszyscy piszemy też swoje dramaty. W nadziei, by sceną pozostawał niezmiennie ogród.

[4] [nasza Ewangelia]

W kolejnym tygodniu trwania audycji „Witaminy literatury” chcielibyśmy przesłać dalsze nasze spostrzeżenia czytelnicze. Dziękujemy jednocześnie za przytoczenie naszych uwag. Niezapomniane wrażenie sprawia przeczytanie własnych słów na antenie zacnej „Dwójki”. Poza tym, pisane własnoręcznie zdania brzmią zupełnie inaczej, kiedy czyta je doświadczony, empatyczny prezenter. Warto także wspomnieć, że zapisywanie naszych refleksji o lekturach jest dobrą gimnastyką umysłu. W wielu „oknach” internetowych przekonuje się odbiorców do dbania o sprawność ciała. Natomiast w mniejszości są audycje, w których zachęca się do rozruszania myślenia. Dlatego piszemy systematycznie do Państwa, ponieważ traktujemy tę korespondencję jako gimnastykę rozumu. I sprawia nam to przyjemność. Dzisiaj chcielibyśmy wspomnieć miniony poniedziałek. Ten dzień został poświęcony setnej rocznicy urodzin św. Jana Pawła II. Wśród wielu wspomnień, wypowiedzi, lektur umknęła naszej uwadze książka trudna i nieco zapominana. Myślmy o utworze Jestem bardzo w rękach Bożych. Notatki osobiste 1962–2003 (Znak, Kraków 2014). Publikacja ma ciekawą historię, bowiem Jan Paweł II zaznaczył w testamencie, aby spalić Jego osobiste notatki. Kardynał Stanisław Dziwisz postąpił jednak inaczej i zachował skryte zapiski papieża. Po wielu latach

i po powrocie do lektury doświadczeń duchowych, trzeba uszanować postępowanie kardynała Dziwisza, mimo wielu wcześniejszych głosów sprzeciwu. Zniszczenie niezwykle głębokich, osobistych, przenikliwych notatek byłoby niepowetowaną stratą. Lektury tej książki nie można zaliczyć do łatwych. Każdy z nas, kto zapisuje indywidualne doświadczenia z pracy naukowej, spotkań, podróży, zwykłych kolejnych dni wie, że ich odczytywanie po wielu latach bywa zagadkowe. Jeżeli zapisujemy myśl, spotkane słowo, uwagi na marginesie, to nie zawsze potrafimy zrozumieć sytuację i konteksty wielu notatek. Kiedy czytamy uwagi bardzo osobiste, wówczas problemy mogą okazać się poważne. Warto jednak poczytać tę publikację. Właśnie, nie przeczytać tylko poczytać. Powinniśmy podziękować kardynałowi Dziwiszowi za zachowanie duchowych zeszytów Jan Pawła II oraz za trud przygotowania ich do druku. Warto czytać fragmentami, dobierać zdania i się nad nimi zastanawiać. A czas na taką lekturę i na niebanalne myślenie jest znakomity. Bez pośpiechu, w rytmie „ignacjańskiego przeżywania czasu”, możemy wędrować po wielu drogach naszej świadomości. Pragniemy zwrócić uwagę na zapisane doświadczenia duchowe podczas Rekolekcji Wielkopostnych w 1997 roku (16 – 22 lutego). Pod datą 16 lutego 1997 napotkamy następujący wpis:

„3. I Medit. Introductiva

(...) Piąta Ewangelia – ta, którą piszą chrześcijanie swoim życiem”

Warto brnąć przez trudne strony zapisywane przez wiele lat. Intencja wielu z nich była znana tylko Autorowi. Ale jak natrafiamy na taki zapis, wówczas doceniamy słodycz efektów żmudnej pracy. Brniemy przez kolejne stronicę, czasami bywamy znużeni. I nagle olśnienie – każdy z nas pisze Piątą Ewangelię. Odkrywamy sens tego, co robimy w zwyczajnej codzienności. I dalej, jak każdy żołnierz nosi w plecaku buławę marszałkowską, tak każdy chrześcijanin ma w swoim sercu przesłanki bycia świętym. Na kartach Jestem bardzo w rękach Bożych. Notatki osobiste 1962–2003 spotkamy znacznie więcej myśli, które wymagają zatrzymania i zanurzenia się w ich sensie. I to możemy także nazwać Piątą Ewangelią – rozważamy słowa zapisane przez św. Jana Pawła II. Nie tylko czcimy św. Jana Pawła II, kiedy celebrujemy stulecie urodzin i kiedy przywołujemy Jego zdania. Możemy być pasterzami Jego myśli, jeżeli podejmiemy trud zastanowienia się, czy zapisania już własnych słów.

[5] [pisanie lektur]

Rozpocznijmy od pytania – czy czytelnik może pisać lektury? Wszak mówimy o czytaniu lektur. Jednak droga w przeciwną stronę nie bywa zbyt skomplikowana. I zapewne czytelnicy odnajdą wiele propozycji różnych wydawnictw, które przygotowały książki z miejscami do zapisków czynionych przez czytelników. Ostatnio otrzymaliśmy prezent. Rozkoszujemy się szczególną i mądrą lekturą Książki do pisania Jerzego Turowicza. Pozostawiono w niej dużo miejsca do samodzielnego zapisywania siebie, świata, innych, itp. Przeglądamy ów niezwykle i onieśmielający, wg ks. Adama Bonieckiego, notatnik. Rzeczywiście czysta kartka bywa wyzwaniem. Ona zaprasza nas do podróży przed siebie, czy też do samego siebie. Jej powierzchnia, 623,7 cm² wg Georgesa Pereca (por. Przestrzenie), otwiera wiele możliwości podróżowania w krainie słowa. Biała kartka bywa ciekawsza od tej już zapisanej. Pustka otwiera przed nami sporo możliwości i staje się zaproszeniem do wypełniania dostrzeżonej próżni. Zapisana kartka jest dziełem dokonanym, natomiast pusta powierzchnia papieru czeka na odkrycie tego, co może tam zostać napisane. Przed myślącym wędrowcem pojawia

się wiele dróg. Pustkę powinniśmy traktować jako potencjał wydarzeń, które mogą nadejść. Wszak „świat jest tym co się wydarza” (wg Wittgensteina). Autor musi dokonać wyboru, w jaki sposób wykorzystać 623,7 cm² możliwości. Pusta kartka odkrywa przed nami nadzieję. Genialne słowa czekają dopiero na odsłonięcie i mogą zappełnić pustą stronę. Gotowe dzieło zostało już odarte z nadziei, ono się już dokonało, autor je zakończył. I w ten sposób spostrzeżemy poetykę pustej kartki, czyli odkrywamy 623,7 cm² możliwości. Białą kartkę powinniśmy w tym kontekście rozumieć jako warunek doświadczania przestrzeni i czasu. Możliwości zawarte na 623,7 cm² są szansą odczuwania świata. Jeżeli czas i przestrzeń są formami naszej zmysłowości, to najpierw „my” jesteśmy z ideą świata w naszym umyśle. Krajobraz (tak często obecny na "zapisanych" stronach Książki do pisania Jerzego Turowicza) oczekuje na słowo, nałożone przez autora. Twórca nasycy krajobraz słowem. Ono przywołane przez autora nadaje tempo, barwę, napięcie krajobrazowi. Ja myślący podmiot, ja używający języka jestem domem krajobrazu. To ja bywam autorem świata, i spodziewam się, że puste kartki Książki do pisania pozwolą na podróżowanie w krainie umysłu, kiedy niekoniecznie musimy opuszczać nasz dom. Tak rozumiemy pisanie lektur, dokonywane przez czytelnika

[6] [smakowanie słowa]

Czy słowa mają smak? Czy można się nimi delektować? Wszak dźwięki mają swój styl, tonację, głośność, barwę. Czy dopatrzymy się tutaj podobieństwa? Przecież poznajemy słowa po ich składni, rozpoznajemy ich nastrój i sens. Słowa także wybrzmiewają. I w tym chyba tkwi smak słowa, czyli w jego brzmieniu. Jednakowoż powinniśmy zapytać – w jakim brzmieniu? Zapewne w oryginalnym, sięgającym źródła pochodzenia. Trzeba się wsłuchać w słowa źródłowe, w pierwotnym języku, w którym one powstały i są używane. Spróbujmy wsłuchać się w brzmienie lektur czytanych w oryginale. Pomińmy aspekt znajomości języka obcego. Melomani w większości nie czytają nut. Niekoniecznie potrafią nazwać usłyszane dźwięki czy cis czy dur. A jednak zachwycą nas fraza muzyczna. Nie nazywamy poszczególnych elementów, a zanurzamy się w całości. Spróbujmy tak postąpić z książkami. Delektujmy się brzmieniem słowa lektury. Powtórzmy, nawet bez znajomości języka. Pomysłu nie zaliczamy do szczególnie oryginalnych. Pascal Mercier w Nocnym pociągu do Lizbony wykorzystał wątek czytania książek w obcym, niekoniecznie znanym języku. Drogą do delektowania się brzmieniem, sensem smakowania słowa nie musi być cała książka. Proponujemy wczytywać się w pierwsze zdania różnych lektur. Odczytajmy ich barwę, ich nastrój. Przecież zasmuca nas fado mimo, że znajomość portugalskiego nie jest powszechna. Podejmijmy powolne wsłuchanie się w słowo. Jeżeli przeczytamy czy usłyszymy następującą frazę „Przez długi czas kładłem się spać wcześniej.”, nie mamy wątpliwości. Marcel Proust zaprasza nas w bardzo długą podróż. Odczytajmy początek owych poszukiwań w języku francuskim. Być może brzmienie słów oryginału pozwoli odkryć subtelne różnice pomiędzy straconym a utraconym czasem. Inne niezwykle dzieło dwudziestego wieku rozpoczyna zdanie - „STATECZNY, PULCHNY BUCK MULLIGHAN WYNURZYŁ SIĘ Z WYLOTU SCHODÓW, niosąc mydlaną pianę w miseczce, na której leżały skrzyżowane lusterko i brzytwa.” w wieży Martello nad brzegiem Morza Irlandzkiego rozpoczyna się zagadkowa podróż w labiryncie Dublina. A jednak angielska wersja smakuje trochę inaczej niż genialne polskie tłumaczenia. W innym miejscu Europy, w Moskwie, czytelnik spotyka ciekawe indywidua, znamienitych literatów w tych szczególnych rewolucyjnych czasach – „Kiedy zachodziło właśnie gorące słońce, na Patriarszych Prudach zjawilo się dwu obywateli.” Spokojny, nieco leniwy początek powieści nie zapowiada wydarzeń czekających na czytelnika.

Kto zatrzyma się na pierwszej stronie wspomnianego dzieła wiele straci, a jego życie będzie się dalej toczyć w swej powtarzalności. Zostanie wtedy pozbawione przypraw, nadających smaku każdej egzystencji. Zapewne natrafimy na barierę odczytania rosyjskich liter. Niektórzy się poddadzą, inni poszukają pomocy. Można podążyć poszlakami procesowymi za przyzwoitym obywatelem praworządnego państwa, w którym trwa pokój – „Ktoś musiał fałszywie oskarżyć Józefa K., bo przecież on nic złego nie zrobił, a został pewnego ranka pozbawiony wolności.” Czasami odnosi się wrażenie, że niemiecki lepiej trafia w klimat uwięzienia człowieka w samym sobie. I jeszcze inny, ostatni już zapis a znajdziemy ich nieprzebrane bogactwo – „Urodziłem się w czasach, kiedy większość młodych ludzi straciło wiarę w Boga, w ten sam sposób w jaki ich rodzice ją mieli – nie wiedząc dlaczego.” Fernando Pessoa zachęca do poznawania niepokoju w jego księdze, takiej jaka jest raczej nikomu niepotrzebna. A oryginał portugalski szeleści jak cała Lizbona. Na zakończenie naszych uwag zaproponowalibyśmy czytanie lektur w „Dwójce” w oryginale. Niezbyt długie fragmenty, maksymalnie do pięciu minut, w późniejszych nocnych godzinach. Celem byłoby wsłuchiwanie się w oryginalne słowo i smakowanie jego brzmienia. Warto, bowiem posłuchać słów w ich źródłowej tonacji.

[7] [przekreślone notesy]

Wracamy do odłożonych lektur. Możemy przyjąć za pewnik tego rodzaju sytuacje w życiu każdego czytelnika. Chcielibyśmy przywołać nasz przypadek. Dość dawno, zakupiliśmy grubą książkę w tłumaczeniu Bohdana Maliborskiego (z 2009 roku). Piszemy o dziele Doris Lessing Złoty notes. Opowieść czy opowieści, kiedyś zostawione, a teraz odkurzone i przeczytane. Warto przywołać fragment ze wstępu (s. 25) – „książka żyje własnym życiem i wydaje owoce i że skłania do refleksji i dyskusji jedynie wtedy, gdy jej struktura, kształt i intencje pozostają niezrozumiałe, ponieważ chwila zrozumienia struktury, kształtu i intencji książki jest też tą chwilą, w której nie da się już nic więcej z niej wydobyć.” Powróciliśmy do zapisanych i przekreślonych notesów Doris Lessing. Dostrzegliśmy na półce ten literacki wyrzut sumienia. W czasie darowanym warto było podjąć trud ponownego zmierzenia się z dość rozbudowaną strukturą. I ponownie mamy z tą książką kłopot. Znowu bywa zagmatwana. I dobrze, że tak się dzieje. Wszak zapowiedź autorki ze wstępu pozostaje niezmiennie prawdziwa. Inaczej lektura długiej książki Doris Lessing byłaby stratą czasu. Warto było brnąć teraz przez ponad osiemset stron, irytować się czasami na nazbyt rozległe wynurzenia. Ale uwagę przykuwał zniewalający rytm, prowadzący przez meandry rozwlekłych losów. I powrót po zakończeniu lektury do zacytowanego fragmentu ze wstępu – tak, omawiana książka nie została jeszcze rozwikłana. Zatem został osiągnięty cel autorki. Chyba nie powrócimy do lektury całości, mimo niezrozumienia jeszcze wszystkich elementów rozbudowanej składanki. Inny frapujący fragment (s. 603) – „sprawy, które są w życiu ważne zjawiają się niepostrzeżenie, nie spodziewamy się ich, nie nadajemy im kształtu w myślach. Zauważamy je, gdy już są – to wszystko.” O tym też rozmawiamy, powrót do różnych lektur następuje niepodziewanie, zazwyczaj nie zostaje on zaplanowany. Przychodzi czas powrotów, kiedy chce. Dla takich fragmentów trzeba czytać nawet długie, rozwlekłe prace. Mamy jeszcze na zakończenie raczej kuriozalną prośbę skierowaną do twórców. Szanowni Państwo, piszcie prosimy czasami nieco krótsze książki. Bywa, że w krótkich słowach dostrzega się sens przedstawiany na wielu stronach, np. „niezapisane wspomnienia wędzną”. I już i nie potrzeba nadmiaru fraz. Później owe grube dzieła są oprawiane w sztywne, tekturowe okładki. Z jednej strony opasły tom Doris Lessing i okruch rzucony przez Julię Hartwig. Oba dzieła są świetne,

warte zachodu. Jednak słowa Hartwig można wrzucić do kieszeni marynarki, a na frazy Lessing konieczny jest plecak.

[8], [poręczne słowa]

Rozpoczyna się oczekiwany okres wakacyjny. Lato już lekko uchyla drzwi i zaprasza do niezwykłej krainy. Jaki będzie przebieg nadchodzących miesięcy – tego jeszcze nie wiemy. Domyślamy się jednak, czy też możemy się dowiedzieć jakie lektury zabrać ze sobą na dłuższe lub krótsze wędrówki. Dzisiaj proponujemy wiersze Marka Grechuty. Niewielki tomik *Na serca dnie* (Kraków 1991), zmieści się w kieszeni kurtki turystycznej. I jeszcze jedno. Otwieramy różne książki, zaglądamy do nich na krótko. Zatrzymujemy się na dłużej. Ale poza treścią one mogą mieć jeszcze wyjątkowe właściwości. Zaliczamy do nich podpis, czy czasami dedykację Autorów. Wybieramy tomik Marka Grechuty, ponieważ widnieje tam data i podpis autora (Łódź, 28.05.1991). Wtedy lektura ma jeszcze dodatkowe walory. Książka zaczyna być bardziej osobista, staje się bardzo intymnym przedmiotem. Idziemy na wędrówkę, ale podróżujemy w cieniu Autora. Książki z autografami mają jednak coś szczególnego, niosą wyjątkowe ciepło odautorskiego pokrzepienia czytelnika. Nawet wówczas, kiedy lektura szarpie i nie pozwala spokojnie zasnąć. Teraz rozumiemy dobiegające nas głosy tęsknoty za spotkaniami Autorów i czytelników. Ich sensem bywa pozostawiony ślad w naszych książkach. Idziemy wówczas przez opisane strony razem z Autorami. Oni zaprosili nas do swoich krain, a my powitaliśmy ich w naszym domu. Te krótkie zapiski, skreślone czasami pośpiesznie na początkowej stronie książki są naszym wspomnieniem, zapisanym czasem, także odnalezionym. Marek Grechuta prosi nas - „żyj tą nadzieją...”, a sam „wierzył w promenadę”.

[9], [niepomyślane lektury]

Po przeczytanych książkach pozostaje w naszych głowach jakiś ślad. Nosimy w sobie opowiedziane historie, opisane nastroje, wyjątkowe postawy bohaterów. Czasami pamiętamy różnorakie frazy. Bywa, że wspomnianym śladem jest słowo. Kilka, kilkanaście liter odnalezionych i zapisanych przez autora. Nie musimy napotkać wybitnych, mocnych określeń. Zwykle, proste słowo sprawia, że zatrzymujemy się na chwilę, przypatrujemy się nieco dłużej. A zauważone słowo, istota, która nas odnalazła, wprawia czytelnika w trans myślenia. Przywołajmy zatem przykład z lektury ostatnich dni. Mamy na myśli zbiór wierszy Salvadora Espriu *Skóra byka* (czytanego na antenie Dwójki) w przekładzie Filipa Łobodzińskiego. Wśród niespokojnych, poruszających utworów warto o wieczornej porze, bez pośpiechu, przeczytać się w *Galop*. I ostatnie słowo „niepomyślany”. Nie jest ono nazbyt oryginalne, nie zachwyca swoim brzmieniem. Coś jednak w nim tkwi, co niepokoi i wzbudza strumień myślenia. Niepomyślany mogą być ja. Ktoś ostatnio o mnie nie pomyślał. Owym czasem niepomyślanym mogła być godziny, dzień, miesiąc, później lata. I w końcu wieczność, kiedy będę „na zawsze niepomyślany”. Tak odczytujemy sens niepomyślenia, zapisany przez poetę. Dostrzec możemy inną stronę przywołanego słowa, znacznie bliższą „Literackim witaminom”. Rozmawiamy o lekturach przeczytanych, odnalezionych, pozostawionych, zapomnianych. Czy ma sens dyskurs o lekturach „niepomyślanych”, czyli o utworach, których jeszcze nie ma, nie zostały dotychczas napisane. One gdzieś są, mają swoją krainę. Czasami

ktoś o nich pomyśli i wówczas mogą zostać napisane. Czy taka kraina niepomyślanych lektur istnieje? W jaki sposób otwierają się drzwi naszego myślenia i wtedy spotykamy owe lektury. A pomyślenie ich powoduje najczęściej ich napisanie. Proponujemy zapytać zapraszanych Gości o „niepomyślane lektury”. Kiedy mogą one być pomyślane? Pytań pojawia się wiele. Pozostawiamy drogi odkrywania „niepomyślanych światów” Gościom przybywającym do Dwójki.

[10], [SIĘ podróżuje]

Zbliża się nieuchronnie półmetek wakacji. Część z nas już powróciła do domu, inni szykują dopiero swoje bagaże. W „Literackich witaminach” nieustannie powraca pytanie – jak powinniśmy podróżować? Zapytajmy, zatem za Edwardem Stachurą – jak wędrować przed Się? Dokąd mogą zaprowadzić nas wybierane bądź przypadkowe ścieżki? W domach, u niektórych z nas stoją na półce tomy tzw. jeansowej serii. Szukaliśmy kiedyś niebieskawych, teraz zakurzonych tomów. Warto obecnie wsłuchać się w opowieści o wędrowaniu doświadczanym przez Stachurę. Można bowiem udać się w podróż bliską, równie egzotyczną jak dalekie wyprawy. Wędrówka do Zgierza bywa równie ekscytująca jak wyprawa do Toskanii. Na pętli tramwajowej (gdzie nie dojedziemy teraz tramwajem) spotkamy innych. Zapalimy z nimi papierosa albo zjemy cukierka. Pomyślimy o sprawach wesołych lub smutnych. Nie ma bowiem znaczenia w jakim kierunku się udajemy, jakie strony wybieramy – „Jeżeli przywiozło się sobą niewiele – tako niewiele się w drugim końcu świata spotyka.” Wszystko jest poezją, a my jesteśmy poetami. Sobą przywozimy dużo lub nic. To my jesteśmy wierszem. „Jeden jedzie na Majorkę, drugi do Grudziądza”. Sens odkrywania świata zależy tylko od nas. Istotę drogi odnajduje się np. W Tarnawce. Stachura nazbierał polnych kwiatów i położył je na grobie Mieczysława Kosza. „Potem wyciągnąłem się na trawie przy grobie i zapaliłem papierosa. Było samo południe.” Czy będziemy poetami zależy tylko od nas. Aby być poetą nie trzeba pisać wierszy. Trzeba tylko ruszyć „przed Się” i zacząć smakować życie. Byłoby dobrze wracać do utworów Edwarda Stachury. Dziwna bywa ta twórczość, podobnie jak otaczający nas świat.

[11], [oczekiwane witaminy]

Literacka dawka witamin stała się niezbędna w czasie tegorocznych wakacji. Ów zastrzyk intelektualnej energii pozawala przetrwać zadziwiający czas, który nas ogarnął. Dziękujemy za troskę o nasze dobre samopoczucie. Zapraszani goście przepisują nam recepty do samodzielnego wykorzystania. Mamy nadzieję, że w pourlopowym programie Dwójki, także zaplanowano spotkania przepełnione literackimi dawkami witamin, czy innych minerałów i odżywczych składników. Chcielibyśmy podziękować za podpowiedzi Agaty Tuszyńskiej. Sięgnęliśmy do Pamiętników czasu wojny Zofii Nałkowskiej. Ponowna lektura była jednak inna. W obecnych warunkach dostrzegamy to, co było pominięte w poprzednim czytaniu. Odmienne wybrzmiał fragment zapisków z dnia 20 lutego 1941 roku: „Lektura pozostaje jedynym środkiem ocalenia swej tożsamości.” Teraz szczególnie uświadamiamy sobie moc sztuki pozwalającej nam budować osobowość. Do lektur dodalibyśmy kanon muzyczny, malarski, filmowy, taneczny. Zwłaszcza ten ostatni ma szczególną moc. A przecież w naszej tożsamości niebagatelną rolę odgrywa relacja z partnerem w tangu, walcu, sambie czy

rumbie. Pod koniec wakacji pragniemy wspomnieć o książce omawianej już na antenie Polskiego Radia. Mamy na myśli zbiór wierszy Jestem stąd Agi Mishol. Warto na przełomie wakacji i powrotów do obowiązków zawodowych zatrzymać się na chwilę i wsłuchać się w brzmienie wierszy tej poetki. Nas zauroczył fragment utworu Framuga w tłumaczeniu Beaty Tarnowskiej:

„Oto mój portret: stoję w drzwiach,
oprawiona framugą.”

Zamiast fotografii w statycznej ramce mamy szansę zobaczenia siebie w chwili powrotu do domu, czy wtedy, kiedy wyruszamy w świat. Portrety oprawione framugą mogą być wypełnione zmienną codziennością lub upływającymi latami. Framuga bywa także miejscem obserwacji – domu po powrocie czy rzeczywistości skrywającej się za progiem. Zatem, do zobaczenia pod innymi framugami. Liczymy, że „literackie witaminy” pomogą nieustannie przekraczać kolejne progi oczekiwanych lektur.

[12], [Puchatek i biblioteka]

Jeszcze przed wakacjami wybrzmiewały opinie, wrażenia pisarzy/rek, tłumaczy/ek, badaczy/ek o utworach literackich, w których tłem lub bohaterami były zarazy. Liczyliśmy jednak na przejściowość ogarniających nas okoliczności. W ostatnich dniach los przekonuje o swej nieuchronności. Czy warto powracać do literatury w zakaźnych klimatach? Czasami nie mamy wyboru. Otóż, jak przekonuje Kubuś Puchatek (w Chatce Puchatka rozdział IX): „(...) Wiersze i Piosenki (...) cię łapią i wszystko, co można zrobić, to pójść tam, gdzie one mogłyby cię znaleźć.” Takim miejscem bywa domowa biblioteka. I tam „łapią” nas różne książki, chciane i niechciane, pamiętane i niepamiętane. Ostatnio wpadliśmy w objęcia tomiku Stanisława Barańczaka Chirurgiczna precyzja. Lubimy Barańczaka, szczególnie wspólnie z Wisławą Szymborską. I wybrał nas wiersz Nowe zarazy. Oto fragment z utworu sprzed dwudziestu lat:

„Co za okazja do mów i kazań!
Dla moralisty – temat jak znalazł:
Grzęźliśmy w grzechu, więc ... - tu zaraza
przerwie mu zaraz. (...)

Najgorzej, jeśli przeżyje pisarz:
będzie zapychał całkiem bezkarnie
plagiatem z Defoe, albo Camusa
puste księgarnie.”

Nasza własna biblioteka lubi z nas żartować. Przepadamy za takimi swawolami. Kochajmy zatem domowe biblioteki, a za darowaną przyjaźń odwzajemnią ciekawymi pomysłami.

[13], [ta chwila]

Książki, jak większość z nas wie lub domyśla się, mają swoje niepowtarzalne dzieje. Autor najczęściej traci panowanie nad przygotowanym dziełem wtedy, kiedy książka zostaje wydrukowana. W takiej chwili czytelnicy kształtują losy dzieła, wypuszczonego w świat przez autora. Powyższe sformułowania nie są nazbyt oryginalne. Słyszymy tu i ówdzie o życiu książek. Brzmi to dość banalnie i niekoniecznie przekonuje czytelników. Szczególnie, gdy słyszymy różnorakie dalekie opowieści o takowych dziejach. Gdy jednak podobne doświadczenie przypada nam w udziale, zaczynamy inaczej patrzeć na dostrzeżoną banalność. Otóż, po Państwa przekonujących wskazaniach sięgnęliśmy po zbiór jest/jestem Krystyny Miłobędzkiej. Czytaliśmy, jak z wierszami bywa, od początku, od końca, na chybił trafił. Czytanie wierszy nie kończy się. Wracamy do lektury w najróżniejszych chwilach. Z utworami zebranymi Krystyny Miłobędzkiej zapewne będzie podobnie. Teraz odłożyliśmy książkę na półkę. I na jakie miejsce ona trafiła? W wolne miejsce obok innej książki odłożonej tam kilka lat wcześniej. Zakup i lekturę tej pozycji zawdzięczamy Andrzejowi Makowieckiemu i Sławomirze Łozińskiej. Było warto przeczytać pozycję ta chwila Andrzeja Falkiewicza. I teraz książki Krystyny Miłobędzkiej i Andrzeja Falkiewicza stoją obok siebie na półce w naszej bibliotece. A dzieło ta chwila, kończy się frazą „Chwila, w której to czytam jest poza słowami” zapisaną przez Krystynę Miłobędką. Zapewne mamy do czynienia z przypadkiem, który odsłania nam różnorakie sensy bycia. Dziękujemy za polecane lektury. W ciemne jesienne dni przepisane witaminy wzmacniają organizmy nałogowych czytelników.

[14], [myślenie poezją]

Po tygodniach milczenia postanowiliśmy podzielić się naszymi opiniami o nowych książkach. Niestety teraz sporadycznie słuchamy świetnych „Literackich witamin”. Nasze zawodowe zajęcia zaplanowano o różnych porach dnia. I nazbyt często pracujemy zdalnie wieczorami. Musimy przyznać – spotkania online nie są bezpośrednim przełożeniem zajęć odbywanych w rzeczywistości. A synchroniczność należy uznać za nieporozumienie. Przystąpmy jednak do rzeczy. Od czasu do czasu, przy popołudniowej herbacie nadstawiamy ucha i oczekujemy na rozmowy w ramach „Literackich witamin”. Z zainteresowaniem wysłuchaliśmy rekomendacji Jakuba Ekiera. Dodamy na marginesie – to nowe tłumaczenie Procesu odbieramy jako niezwykle frapujące. Niewątpliwie wspomniana Księga Koheleta (w tłumaczeniu Anny Kamieńskiej) zasługuje na wyróżnienie. Pojawia się drobny szkopuł. Otóż ta pozycja jest niedostępna (wydanie z 2016 roku). Może nasza ukochana „Dwójka” wpłynie na wydawcę, aby czym prędzej przygotował dodruk wyróżnionej Księgi. Teraz coś od nas, o naszych lekturach. W obecnej sytuacji, przy nadmiarze zajęć dydaktycznych preferujemy krótkie formy, tzn. poezję. A dobrych zbiorów nie brakuje. W „Dwójce” wspomniano o Bądź blisko Forresta Gandera (w tłumaczeniu Julii Fiedorczyk). Rzeczywiście dostaliśmy do myślenia mądrą literaturę. Zapewne zrozumienie czasu geologicznego pozwala lepiej zrozumieć ludzką chwilę. Wiersze mają tę zaletę, że jeden utwór można czytać cały dzień i prowadzić dialog z autorem i jednocześnie z samym/ą sobą. Ponieważ ta książka była już omówiona, pozostawimy ją innym do smakowania. Natomiast warto udać się w podróż po Śródziemnomorzu. Przewodnikiem będzie poeta, lekarz portugalski. Ciekawie wybrzmiewa poezja portugalska. Zachwyca nie tylko Fernando Pessoa. A oto jeden z zastanawiających utworów:

Pan Lopes i władza (João Luis Barreto Guimarães) [w:] *Śródziemnomorze*, przekład
Gabriel Borowski

Panu

Lopesowi nietrudno było sięgnąć po władzę

(bo Lopes jest mały a

żeby się piąć wystarczy być

bardzo małym). Kto

z natury jest wielki nigdy

nie będzie pierwszy (natomiast Lopes

sobie pogrywa

nawet gdy przegrywa). Skoro dziś

Lopes jest na górze to dlatego

że nie jest dobry w niczym innym –

to dzięki niekompetencji sięga po władzę

(poza tymi co osiągają szczyt

na stojąco

gdy inni pną się na wznak).

Polecamy wędrowanie wśród południowych krajobrazów. Mamy wrażenie, że saudade krąży
także pomiędzy Tatrami i Bałtykiem.

Urszula Kowalska

WIRUS w wierszach autorstwa Urszuli Kowalskiej

Ten czas

Zamknięta w pudle
Bez winy żadnej
Jest coraz nudniej
A w psychice marniej
Tak jak u więźnia
Choć nie ma celi
Myśl się zawęża
Nic nie weseli
Tylko przeraża
Gdy wciąż cię straszą
Stracone gaże
Wirusa mnożą
U jednych postrach
U drugich mara
W tych kołowrotach
Człowiek się stara
Spokój zachować
Myśląc rozważnie
W głowie wychwycić
Wszystko - co ważne
To co się dzieje
Wciąż zaskakuje
Trochę zasieje
Więcej brakuje

Podaj dalej

Na świecie jest wielu życzliwych ludzi
Którzy pomogą - gdy jesteś w potrzebie
A ich wrażliwość odruch serca budzi
Gdy o coś prosisz – nie odepchną ciebie.

Dziś wirus zapanował w wielu krajach
Trudno uwierzyć, że jest już na szczycie
A ludzie z empatią w pomocnych gestach
Walczą z oddaniem, chroniąc czyjeś życie.

Dlatego tak ważny, każdy gest dobroci
Wyciąga do ludzi pomocną rękę
Ten lekarz, co z wirusem walkę toczy
Chcąc niebezpieczną zakończyć udrękę.

Wielkanoc 2020

Najgorszy wirus – tradycji nie zmieni
Na stole święconka a w niej baranek
Choć dziś nie pójdziemy z nią do kościoła
To z myślą o świętach, zbudził nas ranek.

Życzenia przekazując wirtualnie
Już zatęsknimy do Świąt Wielkiej Nocy
Nie takich jak dziś – z tą chwilą refleksji
Która w przyszłości może dodać mocy.

Zacniemy doceniać to – co mieliśmy
Tych co dziś daleko – chcemy mieć blisko
Czy dostrzeżemy wagę człowieczeństwa
Zrozumiemy, że pieniądz – to nie wszystko.

Te święta przejścia od śmierci do życia
Może się staną przyszłości zwiastunem
I dziś sobie tego chrześcijanie życzymy
By połączyło się dobro z rozumem.

Świętowanie

Kiedy człowiek przez czas długi zła nie doświadcza
Widzi jeden kierunek swego planu życia
Coraz więcej wszystkiego mieć i wyznacza
Cele, w których brak miłosierdzia, brak uczucia.

Od lat były święta, gdzie przy stole rodzina
Tak licznie zebrana z członków małych i dużych
A dzisiaj może być ich zaledwie tu garstka
I kluczem do rozmowy moc dociekań różnych.

Z czasem już w rytuał ten stan się wkomponował
Popsute święta, przez wścieklej choroby potok
Jakby wróg niewidoczny ich zaatakował
I zabronił mieć radość z najbliższymi obok.

Dziś zamknięci w sobie - samotni domownicy
Jak ludzkie automaty z traumą zapisaną
Nie chcąc porzucić świąt, tej wiekowej tradycji
Obchodzą je, ranę mając w sobie zadaną.

Pozostaje wierzyć

Jak pocieszyć mam cię dzisiaj,
jakie w smutku dać przesłanie?
Może to, że wszystko mija,
choć nie na zawołanie.
Po burzy nadejdzie cisza,
tak przyroda nas poucza.
Zatem bądźmy dobrej myśli,
choć gna wirus i dokucza.
Czy on czegoś nas nauczy?
Decydentów by się zdało.
Jednych niszczy, innych tuczy,
lecz nauki wciąż za mało.
Choćby takiej, co się zajmie,
rozwojem humanitarnym.
Ten kto w kryzysie żeruje,
nie pozostanie bezkarnym.
Tak czy owak, idzie nowe
i nie będzie tak, jak było.
Pozostaje mieć nadzieję,
by jutro – gorsze nie było.

Wirus

Wirus na wiele sposobów niszczy,
to brak powietrza, to brak kontaktów.
Medialny przekaz z tropu nas zbija,
a zwłaszcza, że nie uwzględnia faktów.
I już nie wiemy, w co mamy wierzyć,
manipulacja siłą bezprawia,
panoszy się dziś w każdej dziedzinie,
naiwnych ludzi jedynie zbawia.
A dla rozumnych obserwatorów,
co każdy blef dostrzegą z łatwością,
od filozofów uczą się wniosków,
zwłaszcza, co nazywamy wolnością.
Ich też przeraża obraz przyszłości,
coraz mniej ludzi w marnej przyrodzie.
Dziś nic nie ważne - oprócz władania,
nie to, że trzeba żyć w mądrej zgodzie.

Trudny czas w domu

Słyszemy rodziców za drzwiami,
ich krzyki zagłuszają bajkę.
Kłócili się kiedyś tylko czasami,
teraz codziennie toczą walkę.
O to - kto ma dzisiaj gotować?
O to - jaki program ważniejszy?
O pieniądze - bo ma kosztować,
znacznie więcej - zakup najmniejszy.
A kiedy złość wyrzucą całą,
to następuje chwila ciszy.
Wówczas szybko się przepraszają
i złych słów już nikt nie usłyszy.
Wiemy, że tatuś pracę stracił
i mama martwi się o swoją.
Mimo smutku, każdy się bawił,
a może z czasem, tak się bronią?
Ten wirus popsuł nasze plany,
odpadły już nad morzem wczasy.
I dzień jest ciągle zatroskany,
od tej zarazy - straszne czasy.
Czy już możemy pójść do lasu,
do parku, pojechać na działkę?
I spędzić razem trochę czasu,
przechylić złośliwości szalkę.

Każdy może

Jeśli państwo serce macie
Dzisiaj rękę swą podacie
My także znaki dajemy
Co dobrego zrobić chcemy.

Smutek zmienić w uśmiech szczery
Kwarantanny znieść bariery
Artyści tak pomagają
Gdy piosenkę nam śpiewają.

Ważne by serca otwierać
I w tym smutku mocno wspierać.

Kiedy Świat się obudzi

Wirus kładzie się dziś cieniem,
na ludzi i całą ziemię.
Zamarły parki, ulice.
Nieczynne szkoły – świetlice.
Jednych męczy rodzina,
innych samotność rozcina.
Teatry kina zamknięte,
gorące uczucia zmięte.
Wiele przekazów słyszymy.
Wielu się też dziwimy.
Wirus mądrzejszy się zdaje
i ważny przekaz nam daje.
To, co zda się najważniejsze,
dziś staje się coraz mniejsze.
Te dominujące rządy,
ośmieszają tych, jak sądzę,
co umieją się nadymać,
ale za nic - się powstrzymać.
Kiedy świat się obudzi,
będzie innych miał ludzi.
To ciężkie doświadczenie,
wpłynie na pokolenie.
Dojrzą, co znaczy wspólnota,
dla innych otwarte wrota.

Żart na wirusa

Dzisiaj jest Prima aprilis,
pokonaj wirusa żartem,
bo gdy siedzi w twojej głowie,
staje się złośliwym czartem.
Co myśli w głowie zakłóca,
spływając małe radości,
tu dowcipnisie do dzieła,
mogą być lekkie sprośności.
Dla każdego coś, by smutek,
opuścił nas choć na chwilę,
a gdy cudu dokonacie,
ja też trochę się wysilę.
Aby was zainspirować,
dobry żart na wagę złota,
i tak pomóc w trudnych chwilach,
otwórzcie dowcipu wrota.

Kto winny

Wirus trochę już znudzony
zaczął atakować mózgi.
U niektórych polityków
zamiast leków, trzeba różgi.

Decydują wbrew przepisom,
sami się w tym pogubili,
przy tym bawią się rozkosznie,
jakby w piaskownicy byli.

Zbudowali zamek z piasku,
ale opozycja winna,
bo nie padła na kolana,
a przed królem, paść powinna.

Bastion się rozsypał cały,
piaskiem już po oczach sypie,
każdy, co innego mówi,
ważne w jakiej jest ekipie.

Wszyscy znają się na prawie,
paragrafu nie podając,
ale wiesz już, kto jest winien,
ciemny obraz rządu mając.

Co będzie dalej

Koronawirus świat atakuje,
szczerze kochając zwłaszcza sędziwych.
Młodzież się sprytnie ewakuuje,
stojąc najdalej z ofiar możliwych.
Takich emocji jeszcze nie było.
Zamkniętych granic i braku spotkań.
Pustki na półkach, zapasy w domach
i najsmutniejszych, bo wiecznych rozstań.
Za co ta kara na ludzi spadła?
Za obojętność i brak empatii?
Za to, że pieniądz dziś rządzi światem,
a nikim stają się ludzie światli?
Nad dobrem nie ma dzisiaj pokłonu,
ani w kościele, ani też w domu.
Czy zmieni coś, jak spadnie korona,
czy nas do współlistnienia przekona?

Dobre strony

Nie wychodzę - siedzę w domu.

Przyglądam się po kryjomu,

bo już dawno nie widziałem,

jak możesz czarować ciałem.

Myślałem, że mnie znudziło,

a coś jednak obudziło!

Czy to wirus z nas żartuje,

że tak żona kokietuje?

Czas na rozwałę

Siedzieć w domu się uczyłam,
domatorką wszak nie byłam.
Teraz gdy nam wirus grozi,
ulicami rzadko chodzisz.

Tak nie tylko dbasz o siebie,
też o innych w trudnej dobie.
Gdy w pandemii nie ma zmiłuj,
posiedź w domu i nie świruj!

Znalazłam rozrywkę sobie,
dużo czytam – obiad zrobię.
Szyć maseczki mogę także,
w pamiętniku coś nabazgrzę.

Wspomnień czar mnie edukuje,
czasem z nich, też pożartuję.
By serce nie wyskoczyło,
a w depresji tak by było.

Bo jak wirus się rozniesie,
trzeba sobie radzić w stresie.
Porozmawiam z przyjaciółmi,
to gorycz moją przytlumi.

Nie każdemu to pomaga,
ale ważna jest rozwała.

Inspiracje przy wirusie

Kiedy trzeba siedzieć w domu,
nie pokazywać nikomu,
już wygląd nie ma znaczenia,
nie ma kogoś - kto docenia.
Jak ubranie pięknie leży,
jak fryzurę się ułoży,
jak się brzusek ładnie wciąga,
gdy tańczysz tango Milonga.
A gdy jesteś pomysłowy,
film nakręcisz - co dzień nowy.
Pokazując - jak się żyje,
jak się często ręce myje.
Byś nie zgłupiał w samotności,
w Internecie zabaw gości.
Inspiracja jest dziś w cenie,
nawet śpiew - ten na balkonie.
Tylko unikaj lodówki,
gdzie schowane są parówki.
Choć ich wygląd, tak niewinny,
za miesiąc będziesz już inny.
Nawet waga nie wytrzyma,
tak jedzenie brzuch nadyma!

Czy się zmienimy

Po latach ciszy nadeszła burza.
Na ziemię spadła niespodziewanie.
Ludzi przelęła, w głąb kraju rusza,
powojenne niszcząc pokolenie.
Bez broni, siły, może dzisiaj zabić.
A robi to szybko i bezkarnie.
Uznała, że nauczy nas zgody,
tak by po niej, życie biegło stadnie.
Dziś dla wspólnego dobra - sieć w domu
i nie zarażaj na ławce w parku.
Wierz mi - groza dokona wyłomu,
nikt nie zechce żyć z grzechem na karku.
Mówią, że wojny ludzi zbliżają.
Wspólny wróg sprzyja pogodzeniu.
A kiedy wroga nie dostrzegają,
to będzie wirusa apogeum.
I wciąż człowiek, człowiekowi wilkiem,
najbliższa rodzina tylko się liczy,
a reszta jest nadal zbędnym pyłkiem,
pieniądz priorytetem, dla ludzkiej dziczy.

Przyczyna i skutek

wszyscy piszą o wirusie
taka pora taki czas
kto temu wszystkiemu winny
czy ten wirus - winą mas

będą różne dywagacje
każdy mówi - to co chce
lecz to przyszłość nam pokaże
co z przyczyny dzieje się

pierwszą może być przyroda
jej niszczenie widać co dnia
mówią o tym ekolodzy
ich teoria niewygodna

panujący – wie to lepiej
ma też swoje przemyślenia
komu sprzyjać - bo wygodny
przyzwoitości nie docenia

drugą przyczyną- to żądza
opętanych jest nią wielu
pragną władzy i pieniędzy
bez przeszkody prą do celu

niektórym chce się dziś marzyć
że ten wirus coś nam zmieni
gdy zbudzimy się z letargu
już nie wrócimy do cieni

Wirus szybuje

I zaczyna się komedia
Bo wychodzi prawda na jaw
Jeden chory - drugi chory
Trzeci ma jedynie objaw.

Statystyki przerażają
Jest lekarstwo i go nie ma
Coraz więcej ludzi chorych
A nie radzą sobie gremia.

Miejsz w szpitalach już brakuje
Chory jedzie coraz dalej
Minister zdrowia zaleca
Ty lekarzu tu nie szalej.

To, że twój kolega chory
Lęku nie usprawiedliwia
Wszak wybrałeś taki zawód
Nad sobą się nie roztkliwiaj.

Na sprzęt pieniądze wydane
A nie widzisz tu żadnego
W górze nie chcą rozliczenia
Choć znaleźli już winnego.

Góra w kółko obiecuje
Chociaż rośnie zadłużenie
Inne sprawy ją zajmują
Mają być ich wybawieniem.

Żaden wirus nie powstrzyma
Tego - co jest najważniejsze
Rządy władzy wszechobecnej
Bez kontroli - choć najmniejszej.

Klaudia Krajewska „Klaudita”

Mieszkańcy regionu łódzkiego w czasie pandemii

PRACA w CZASACH PANDEMII

4 marca 2020 roku potwierdzono w kraju pierwszy przypadek COVID-19. W tym dniu w biurze życie toczyło się bez zmian. Nikt nie przypuszczał, że to może mieć wkrótce wpływ na nasze życie. W połowie marca 2020 miałam wyjechać na urlop. Bilet lotniczy był od dawna kupiony i wszystko zaplanowane. Cóż mogło stanąć na przeszkodzie...?

W pracy szefostwo kupiło termometr, bo pojawiły się informacje, że objawem COVID-19 jest gorączka. Z ciekawości mierzyliśmy sobie temperaturę, ale nikt nie wierzył w to, że wirus mógłby nagle pojawić w biurze. Przecież wirus był daleko, a my zawsze byliśmy bezpieczni.

Pogłoski o pierwszym przypadku w Łodzi słyszałam już pod koniec lutego, chociaż nikt oficjalnie tego nie potwierdził. Ale MPK z jakiś przyczyn dezynfekowało swój tabor.

Kolejne dni przyniosły prawdziwą rewolucję w codziennym życiu.

13 marca ogłoszono zamknięcie granic kraju i narodową kwarantannę od 16 marca. Oznaczało to, że mój urlop stanie się kwarantanną i żadnego wyjazdu nie będzie. Bilet lotniczy zawiesiłam na bliżej nieokreślony termin. Sądziłam, że jesienią sytuacja ulegnie poprawie i wtedy będę mogła wylecieć z kraju.

Rząd apelował również o możliwość pracy zdalnej w firmach, które na ten tryb mogły się przestawić. W moim biurze – mimo pracy przy komputerach – nigdy takiej opcji nie było, ale okoliczności wymusiły szybkie i nowe rozwiązania. Pracodawca pozwolił wziąć sprzęt do domów i pracować zdalnie. To była rewolucyjna zmiana w dotychczasowej pracy i życiu. Praca zdalna to przyszłość, wreszcie czułam, że żyję w XXI wieku. Mogłam pracować w komfortowych, domowych warunkach, popijając ulubioną kawę. I ta cisza, i możliwość koncentracji w domu – cisza, której biuro w otwartej przestrzeni, tzw. open space, nigdy nie zapewniało. Najważniejsze jednak było bezpieczeństwo, które miałam we własnym mieszkaniu, a którego nie miałam w otwartej biurowej przestrzeni. Na piętrze w moim biurze pracowało kilkadziesiąt osób, które cały czas się ze sobą kontaktowały – w przypadku epidemii takie miejsce to idealne ognisko zakażeń.

Do biura musiałam jednak wrócić latem 2020, mimo że nic nie wskazywało na wygaszenie epidemii. To było stresujące doświadczenie, ponieważ praca w biurze, gdzie jest otwarta przestrzeń zagrażała zdrowiu i życiu w czasie epidemii. Jednak jesienią podczas wzrostu zakażeń i początku drugiej fali COVID-19, znów wróciliśmy do pracy zdalnej – tym razem już na dłużej. Wpłynęły na to pojedyncze zachorowania w biurze, ale na szczęście nie było większego ogniska zakażeń. Przy pracy zdalnej już wszyscy byliśmy bezpieczni, szczególnie że podczas trzeciej fali wiosną 2021 większość zachorowań w kraju pochodziła z miejsc pracy (tam, gdzie zdalna praca nie mogła być niestety wdrożona). Wracając do pracy zdalnej znów wróciłam do XXI wieku.

W marcu podczas kwarantanny mało wychodziłam z domu, podobnie zresztą jak inni mieszkańcy osiedla. Unikałam kontaktu z kimkolwiek, oprócz najbliższej rodziny. Rynek Manufaktury był pusty, w tramwajach widać było pojedyncze osoby. Na ulicach Łodzi widać było wozy policyjne, przypominające i ogłaszające, że mamy stan epidemii. Podczas drugiej i trzeciej fali COVID-19, kiedy tysiące ludzi chorowało i umierało, nikt już o stanie epidemii nie przypominał...

ŚWIĘTA w CZASACH PANDEMII

Wielkanoc 2020 wyglądała zupełnie inaczej niż w poprzednich latach. Nie było pośpiechu w przygotowaniach do świąt, ponieważ moja rodzina spędzała święta tylko w gronie domowników. Rynek Bałucki w okresie przedświątecznym też wyglądał inaczej – był opustoszały. Nowość stanowił widok długich, rozciągniętych kolejek, gdzie oczekujący stali w odległości 1,5 m od siebie (taki był wymagany i bezpieczny dystans). Takie kolejki wkrótce stały się normalnym elementem naszego życia i codziennych zakupów, gdzie były limity liczby osób, przebywających w jednym pomieszczeniu.

Kolejne święta – czyli Boże Narodzenie 2020 oraz Wielkanoc 2021 – postanowiłam zorganizować zdalnie. Wykorzystując możliwości, które dawał nam Internet – zaprosiłam rodzinę na zdalne święta. I był to świetny pomysł. Każda rodzina spędzała święta w swoim domu, ale jednocześnie wszyscy widzieliśmy się na ekranie. To były pierwsze zdalne święta dla nas wszystkich. Ale wyjątkowe pod każdym względem.

Okrągła rocznica urodzin mojego taty miała miejsce między 2 a 3 falą. Ze względu na izolację postanowiliśmy wraz z resztą rodziny świętować to wydarzenie zdalnie, zamawiając posiłek z restauracji gruzińskiej. Warunek był jeden – posiłek musiał dotrzeć do dwóch domów jednocześnie, abyśmy mogli w jednym czasie rozpocząć imprezę. Wszystko się udało – zamówienie z restauracji dostarczono na czas. To był bardzo dobry pomysł, a takie urodziny na pewno wszyscy zapamiętają, bo były wyjątkowe w wyjątkowych okolicznościach.

ŻYCIE TOWARZYSKIE w CZASACH PANDEMII

W kwietniu 2020 r. po raz pierwszy w życiu uczestniczyłam w zdalnym ślubie. Koleżanka z USA w ten sposób organizowała swoją uroczystość. W miejscu ślubu, czyli jej własnym domu, ale odpowiednio przystrojonym, byli tylko nowożeńcy i osoba udzielająca ślubu. Przed ekranami komputerów transmisję śledzili przyjaciele pary z różnych części świata. To był znakomity pomysł na ślub w czasach pandemii. Na pewno było to niezapomniane wydarzenie. Dla mnie szczególnie ciekawe, ponieważ w Polsce nowożeńcy przekładali swoje ślubne uroczystości. Chyba nikt nie pomyślał, że w ten sposób może się ono odbywać...

Podobnie – a więc zdalnie – uczestniczyłam w imprezie organizowanej przez inną koleżankę ze Stanów Zjednoczonych. Niestety, ze względu na różnicę czasu, musiałam się zalogować na odpowiednią stronę o 2 nad ranem. Ale było warto. Spotkałam się z moją koleżanką, jak też innymi osobami zaproszonymi na tę imprezę. Towarzystwo było międzynarodowe – sporo osób z Ameryki Południowej. Co ciekawe, w dyskusji o tym, co się dzieje w naszych krajach, wszyscy wyrażali nadzieję, na szybkie wynalezienie szczepionki, która pozwoli wreszcie wrócić do normalności.

Noc Muzeów w maju 2020 roku odbywała się zdalnie. Wszystkie muzea w Polsce udostępniały swoje zbiory lub też organizowały zdalne wycieczki z przewodnikami w poszczególnych obiektach. Plusem było to, że mogłam odwiedzić miejsca, do których w tradycyjną Noc Muzeów nigdy bym nie pojechała. Mogłam być zarówno w Łodzi, a po skończonej wycieczce przejść do Muzeum we Wrocławiu czy Krakowie. Dobrze by było, gdyby taka możliwość zdalnych imprez kulturalnych mogła zostać z nami na zawsze.

MASECZKI

Nowością w pandemicznej rzeczywistości stały się maseczki. Jeździłam wcześniej do Azji i widok ludzi noszących maseczki, zawsze był tam normalny. Dlatego nigdy nie mogłam zrozumieć czemu w Polsce ludzie mają z tym problem lub noszą maseczki pod nosem. Ja ze względu na swoje doświadczenia podróżnicze zaczęłam nosić maseczkę w połowie marca,

zanim jeszcze został wydany ogólny nakaz ich noszenia (w połowie kwietnia 2020). Na szczęście miałam maseczki, przywiezione z Chin, z którymi do marca 2020 roku, nie za bardzo wiedziałam co zrobić i po co właściwie je kupiłam...

W początkach marca zauważyłam jedną osobę w maseczce na osiedlu. Pamiętam, że się zdziwiłam... i pomyślałam, że to chyba przesada, ponieważ wtedy w Polsce notowano pojedyncze przypadki zakażeń.

Myślę, że epidemia COVID-19 przyniesie sporo zmian, i sporo nowych rozwiązań w każdej sferze życia, o których wcześniej nikt nie myślał albo je odrzucał. Mam nadzieję, że praca zdalna zostanie z nami na zawsze. Powrót do pracy w biurze to dla mnie przeżytek i powrót do przeszłości. Chociaż wiem, że wielu pracodawców w Polsce jeszcze nie jest gotowych na tak radykalne rozwiązania, ale może nawet w po-pandemicznej rzeczywistości w niektórych miejscach będzie to realne i możliwe.

Jan Nowak

Pandemia - zniweczone plany i rodzinne marzenia

Motto:

*„Przeszłość jest to dziś,
tylko cokolwiek dalej”.*

Cyprian Kamil Norwid

Przytaczając na wstępie „Motto” Cypriana Kamila Norwida, pragnąłem jak mi się wydaje z wyjątkową trafnością potwierdzić fakt, że sprawdza się słuszność prawa psychologicznego, które między innymi stanowi, iż czas we wspomnieniach mierzy się inną miarą, aniżeli czas chronologiczny. Im intensywniejsze, im bardziej zagęszczone były i są doznania, tym więcej miejsca zajmują wspomnienia. Natomiast dłuższy okres jednostajnych przeżyć, które pozbawione są wewnętrznego pulsowania, to takie wspomnienia są nikłe i z czasem malejące, aby z upływem czasu stały się pozbawione treści. Cóż zatem pozostało w mojej pamięci, w pamięci człowieka, który w bieżącym roku (czerwiec) kończy 86 rok życia? Nie jestem tak do końca przekonany w przypuszczeniu, że w naszym polskim społeczeństwie jest jeszcze znaczący procent ludzi, których wspomnienia można by zamknąć w jednej dłoni pełnej piasku, który bardzo szybko zostaje wysypany z tej dłoni i to między palcami.

W okresie mojego dotychczasowego życia, nigdy nie dopuściłem do siebie myśli, aby moje wspomnienia z minionych lat, a które dotyczą moich bliskich, których już nie ma wśród nas – wśród żyjących mogłyby ulec zapomnieniu. Ta moja, być może nieskromna pewność siebie wywodzi się z tradycji i z mojej przeszłości, z mojego dotychczasowego życia.

W jednym miesiącu – w listopadzie i to nie w tak odległym czasie, kiedy to jeszcze PRL-owski Sejm w 1989 roku przywrócił dzień 11 listopada do rangi Narodowego Święta Niepodległości. To już w 2020 roku obchodziliśmy w naszym pięknym kraju dwa /2/, ale jakże różne i zdawałoby się dwa przeciwstawne święta: - „Święto Umarłych” oraz „Święto Żywych”. Zaledwie co przebrzmiały w kościołach i w cmentarnych kaplicach żałobne nabożeństwa, kiedy pogasły już na mogiłach znicze i zaczęły więdnąć wiązanek kwiatów złożonych na mogiłach, a już niemal cała Polska przygotowywała się do uczczenia tego drugiego, listopadowego Święta w dniu 11 listopada – jako „Święta Żywych”.

Tak bywało jeszcze nie tak dawno, ale od kilku lat zamiast świętować, nastały dni ... grozy podczas obchodów tego Święta Niepodległości – o czym wspomnę w dalszej części tego opracowania.

Obchodząc „Święto Umarłych”, głęboko tkwi w okresie tego „Święta” krzepiąca symbolika, bo zawsze wydaje się jakby przeszłość podawała rękę teraźniejszości, w której tworzeniu brała czynny udział. Nie tylko w dniu „Święta Umarłych” oddajemy się wspomnieniom, ale każdorazowo, kiedy odwiedzamy cmentarze naszych bliskich – wspominamy dziadków, rodziców, braci i siostry, jak również pozostałych członków naszych rodzin. Szczególnie boleśnie wspominamy nasze dzieci, które tak bardzo często odchodzą od nas do „Krainy Umarłych” bez pożegnania.

Wspominamy również i tych, których wielkie czyny, lub nawet skromne uczynki za swojego życia wnosili nawet drobne pozytywne wartości w życiu byłych, jak również jeszcze żyjącym następnym pokoleniom. Bez względu na to, jaki jeszcze za naszego życia jest zakres naszego działania, to jednak każdy z nas może jeszcze promieniować dookoła pogodą, skromnością, czy też taką prawdziwą i szczerą dobrocią. Każdy z nas jeszcze za swojego życia może ponadto słowem, swoją postawą i swoimi czynami przyczynić się do zwycięstwa dobra nad złem, harmonii nad chaosem, zgody nad nie zgodą. Każdy z nas może wreszcie przejść przez życie i nikogo nie krzywdzić, ani poniżać, a może podać pomocną dłoń swojemu bratu czy siostrze, swojemu przyjacielowi, a nawet swojemu sąsiadowi w potrzebie.

Każdy z nas może wnosić w swoje życie jakieś wartości pozytywne i nie przemijające, a tym samym przedłużać w nieskończoność ślady swojej cielesnej gościny na ziemi. Bardzo trudnym zadaniem do wykonania jest wykreślenie granicy między „życiem pozagrobowym umarłych, a duchowym światem żywych”. Są bowiem umarli, którzy żyją wśród nas, ale zdarzają się żyjący wśród nas, ale o umarłych duszach. Ten, kto sam zajrzał śmierci w oczy albo kto przeżył śmierć swoich bliskich, zmienia stosunek do swojego życia.

Bardzo wcześnie straciłem rodziców i dlatego też, już jako 7 letnie dziecko w stosunku do moich rówieśników, w jakimś znaczącym stopniu zmieniłem swój stosunek do życia – do dziecięcego życia, kiedy w dniu 13 lipca 1942 roku żegnałem z bolesnym krzykiem rozpacz moją ukochaną i cudowną MAMĘ – Irenę, która zakończyła swoją ziemską wędrówkę mając zaledwie 32 lata! Niebawem otrzymałem od mojego jeszcze bardzo krótkiego życia drugi bolesny cios, kiedy po 15 miesiącach od śmierci mojej mamy, w dniu 1 grudnia 1943 roku odszedł do „krajiny umarłych” mój ojciec – Józef, który przeżył zaledwie 37 lat po niemal trzech miesiącach pobytu w szpitalu.

Po śmierci rodziców, to babcia – mama mojej mamy – Józefa Błaszczyk zaopiekowała się mną i otoczyła mnie swoją babciną miłością, pomimo że sama przeżywała bardzo bolesne i tragiczne życiowe problemy – pogrzeb, za pogrzebem. Te tragiczne przeżycia mojej babci, to faktycznie rozpoczęły się od śmierci jej syna – Henryka, który zmarł w dniu 7 czerwca 1942 roku, mając 38 lat i spoczął na cmentarzu na „Dołach”.

W tym samym roku – o czym już wcześniej wspomniałem, odeszła w dniu 13 lipca 1942 roku moja mama – córka babci, która spoczęła na cmentarzu „Kurczaki”. Po zaledwie 17 dniach od śmierci mojej mamy, w dniu 30 lipca 1942 roku umiera mój ukochany dziadek – mąż babci – Mikołaj, który przeżył 67 lat i spoczął na cmentarzu „Kurczaki” – w tym samym rzędzie, tylko 12 grobów dalej od mojej mamy. W grudniu 1943 roku odszedł mój ojciec – Józef w wieku 37 lat, który spoczął na cmentarzu „Kurczaki”, ale w innej kwaterze.

Tymi wszystkimi pogrzebami zajęła się moja babcia, która liczyła sobie w 1942 roku już 60 lat, ale przy znaczącej pomocy syna – Mariana. Moja ukochana babcia w każdą miesięczną rocznicę śmierci zabierała mnie na cmentarz – na te cztery groby, na których osobiście zawsze zapalałem znicze i składaliśmy bardzo skromne wiązanki kwiatów. Te cmentarne wizyty trwały od czerwca 1942 roku do jesieni, ale zawsze obowiązkowa wizyta była w dniu 1 listopada i zakończyła się w lipcu 1944 roku.

Pierwsza wizyta na cmentarzach po wyzwoleniu Łodzi rozpoczęła się pod koniec stycznia 1945 roku. Pod opieką babci, której bardzo dużo zawdzięczam, jak również wujka Mariana – brata mojej mamy oraz najmłodszej siostry mojej mamy – Łucji Zielińskiej, nie przebywałem jednak zbyt długo, bo już w dniu 22 lutego 1945 roku przekroczyłem z porucznikiem Stanisławem Nowakowskim bramę Jednostki Wojskowej 56980 w Łodzi, przy ulicy Łąkowej 3/5 – w dawnej fabryce włókienniczej Bernarda Kruse.

W Jednostce Wojskowej 56980 przebywałem na wychowaniu jako „syn pułku” do 8 marca 1946 roku chodząc obowiązkowo po terenie Jednostki, jak i poza Jednostką (do szkoły)

w mundurze wojskowym, który specjalnie był szyty przez wojskowych krawców, a buty były kupowane w łódzkich sklepach.

Moim bezpośrednim opiekunem był porucznik Nowakowski, któremu dowódca Jednostki – kapitan Grzegorz Bałynow powierzył, jako podstawowy obowiązek – opiekę i nadzór nad mną. Nic przeto dziwnego, że porucznik Nowakowski każdą wolną chwilę poświęcał mi i był niemal zawsze przy mnie – od pobudki, po ciszą nocną. Odwoził mnie samochodem do i ze szkoły, pomagał mi w nauce, a także wypełniał mi czas wolny chodząc ze mną do kina, na spacer, jeździł ze mną w odwiedziny do babci na ulicę Żeromskiego, a nawet dwa razy zabrał mnie na wycieczkę do Warszawy abym zobaczył to miasto jak bardzo było zniszczone.

Porucznik Nowakowski dużo opowiadał mi o swojej rodzinie, o udziale w walce, o ranach jakich doznał w czasie walk, ale ponadto dużo opowiadał mi o historii 17 pułku piechoty, który wchodził w skład 5 dywizji piechoty 2 Armii Wojska Polskiego.

Doskonale pamiętam nasze wycieczki raz w miesiącu na łódzkie cmentarze – na „Kurczaki”, gdzie spoczywali moi rodzice i dziadek, na „Doły”, na stary cmentarz na ulicy Ogrodowej ...

Każdorazowo podczas pobytów na łódzkich cmentarzach, zapalaliśmy znicze na grobach mojej rodziny, jak również na zbiorowych grobach poległych polskich żołnierzy, składając jednocześnie wiązanki kwiatów. Zawsze też będąc na łódzkich cmentarzach zapalaliśmy znicze pod cmentarnym krzyżem. Ponadto raz w miesiącu zapalaliśmy znicze i składaliśmy wiązankę kwiatów na „Grobie Nieznanego Polskiego Żołnierza” na ulicy Piotrkowskiej – przy Katedrze.

Z uwagi na reorganizację Jednostki Wojskowej 56980, która według informacji miała niebawem ulec rozwiązaniu, dowódca Jednostki – kapitan Grzegorz Bałynow, w uzgodnieniu z Łódzką Komendą Garnizonu, jak również z Zarządem Stowarzyszenia pod nazwą „Łódzka Rodzina Radiowa” – z prezesem Zarządu tego Stowarzyszenia – panem Bolesławem Jędrzyckim oraz z wicedyrektorem Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia – panem Janem Piotrowskim, załatwił mi przyjęcie do Domu Dziecka „Łódzkiej Rodziny Radiowej” – do tak zwanej „Sienkiewiczówki” w Łodzi, przy ulicy Pabianickiej 65.

Do Domu Dziecka „Łódzkiej Rodziny Radiowej” – do „Sienkiewiczówki”, zostałem przywieziony samochodem przez porucznika Nowakowskiego w czwartek - w dniu 8 marca 1946 roku. Ku mojemu zaskoczeniu, ten Dom Dziecka „Sienkiewiczówka” prowadziły siostry zakonne ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Najświętszej Marii Panny Starowiejskie pod nadzorem Zarządu Stowarzyszenia „Łódzkiej Rodziny Radiowej”.

W „Sienkiewiczówce” przebywałem do 30 sierpnia 1950 roku, kiedy po ukończeniu Szkoły Podstawowej Nr 42 im. Stanisława Staszica w Łodzi, musiałem opuścić „Sienkiewiczówkę” podejmując dalszą naukę poza Łodzią – w Liceum Leśnym, a po przekształceniu szkół licealnych, utworzono między innymi Technikum Leśne w Margoninie, pow. Chodzież, które ukończyłem w 1954 roku.

Utrzymując z niektórymi kolegami czy koleżankami korespondencję przebywającymi w dalszym ciągu w „Sienkiewiczówce” dowiedziałem się, że w wyniku decyzji władz politycznych, jak również władz administracyjnych, nasza „Sienkiewiczówka” została w grudniu 1950 roku zlikwidowana. Siostry zakonne zostały zwolnione, mienie „Sienkiewiczówki” zostało rozgrabione, a wychowankowie zostali rozmieszczeni niemal we wszystkich Państwowych Domach Dziecka na terenie Łodzi – nawet rodzeństwa były rozdzielane.

Mój pobyt w „Sienkiewiczówce” wpłynął, że doceniłem aktywność i poświęcenie zarówno tych sióstr zakonnych – naszych wychowawczyń, ale szczególnie doceniłem aktywność i poświęcenie członków tego Stowarzyszenia, a już szczególnie Zarządu z jego prezesem –

panem Bolesławem Jędrzyckim przede wszystkim. To tym ludziom, którzy każdą wolną chwilę poświęcali nam dzieciom, chciałem serdecznie im podziękować, aby ich trud nie uległ zapomnieniu, napisałem monografię, którą zatytułowałem:

„Łódzka Rodzina Radiowa – Stowarzyszenie szlachetnych serc”.

Dwie części opracowanej monografii przekazałem zgodnie z podpisaną przeze mnie umową panu Prezesowi Zarządu Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia – panu Dariuszowi Szewczykowi, który ma wydać ową monografię drukiem.

Po likwidacji „Sienkiewiczówki”, kompletnie zapomniano o mnie jako wychowanku i nie zostałem przekazany do innego Państwowego Domu Dziecka w Łodzi. Zostałem sam bez żadnego przydziału i ewentualnej pomocy, na którą bardzo liczyłem.

Po zdaniu wstępnego egzaminu na Wydział Leśny w Wyższej Szkole Rolniczej w Poznaniu, byłem zmuszony zrezygnować z podjęcia studiów pomimo obiecanego mi przez Dziekana Wydziału zarówno stypendium, jak i miejsce w Domu Akademickim uczelni.

W roku 1954 nie działały jeszcze w Polsce Studenckie Spółdzielnie Pracy i w wyniku rezygnacji ze studiów, zamiast indeksu otrzymałem z Ministerstwa Leśnictwa „Nakaz pracy”, aby z dniem 10 sierpnia 1954 roku podjąć trzy letnią pracę na terenie Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Szczecinku, który z następnie skierował mnie do pracy w Rejonie Lasów Państwowych w Drawsku Pomorskim, w którym pracowałem do czasu powołania mnie do odbycia zasadniczej służby wojskowej.

Służbę wojskową odbyłem od 23 listopada 1955 rok - do 20 listopada 1957 roku w Jednostce Wojskowej 1166 w Przemyśle – w Wojsku Ochrony Pogranicza (WOP).

Po odbyciu służby wojskowej, podjąłem pracę w Rejonie Lasów Państwowych w Drawsku Pomorskim, a następnie w Szczecinku, a ostatnią pracę na koszalińskiej ziemi od 1960 do 1964 roku, to była praca w Technikum Leśnym w Warcinie jako nauczyciel. Na moją prośbę, zostałem przeniesiony przez Ministerstwo Leśnictwa z urzędu do mojego rodzinnego miasta Łodzi – do Biura Urządzania Lasu i Projektów Leśnictwa.

Pracując na terenie województwa koszalińskiego, w 1960 roku zawarłem związek małżeński z córką leśnika – a więc w roku 2020 obchodziliśmy 60 – tą rocznicę małżeństwa – tak zwaną „damentową” rocznicą.

Moja małżonka – Krystyna, podobnie jak i ja miała również trudne dzieciństwo, bo mając 2 latka, a jej nieco starszy braciszek miał zaledwie 4 latka, jak odeszła ich ukochana MAMUSIA.

Owdowiały ojciec tych dwojga małych dzieci – Piotr, zawarł drugi związek małżeński z wdową – Katarzyną. Ukochany ojciec mojej małżonki odszedł do „krajny umarłych” w 1990 roku w wieku 80 lat, a jego druga żona – Katarzyna zmarła w 2000 roku, która przeżyła 92 lata.

Brat mojej małżonki – Krystyny, też bardzo wcześnie odszedł do „krajny umarłych” w 1989 roku, mając zaledwie 52 lata.

Bardzo boleśnie, ale już wspólnie z małżonką przeżyliśmy śmierć dwóch naszych synów – Mareczka, który zmarł w 1961 roku, który żył zaledwie 15 dni. Drugi nasz syn – Jarosław, zmarł nagle w nocy z 7/8 sierpnia 2011 roku w wieku zaledwie 45 lat!

Moja małżonka do dzisiaj i to po blisko już 10 latach od Jego śmierci, kiedy wspomina ukochanego syna, niemal natychmiast ma łzy w oczach. Natomiast ja – jako ojciec, poczułem się w obowiązku zaprezentowania Jego co prawda krótkiego życia Jego osobowość, kulturę i szacunek jakim cieszył się w swoim środowisku przyjaciół, koleżanek i kolegów.

Trzy miesiące po Jego śmierci, napisałem „Wspomnienie”, które ukazało się w „Gazecie Wyborczej” w dniu 9 listopada 2011 roku.

Pragnę wyrazić swoje ogromne pragnienie, aby to „Wspomnienie” o naszym synu – Jarosławie mogło być uwzględnione w opracowywanej aktualnie i być może nieco przydługim wstępie, które przypomina raczej „skróconą autobiografię”, a nie historię mojej rodziny w okresie trwania już ponad rok walki z koronawirusem w całym tego słowa znaczeniu, jak również o utrudnionym życiu mieszkańców naszego miasta w okresie trwania pandemii.

Po tym z pewnością przydługim wstępie, usiłowałem przedstawić tradycję i nieco historii moich osobistych wspomnień o moich bliskich, jak również o tych ludziach – społecznikach, o których pamiętam do dziś, którym częściowo zawdzięczam – kim byłem „wczoraj” a kim jestem „dzisiaj”, odwiedzając ich miejsca spoczynku.

Pandemiczny charakter „szalejącej” epidemii, która w takim tempie rozprzestrzenia się już niemal na całym świecie, swój początek miała w Chinach, a konkretnie w milionowym mieście Wuhan.

Pierwszą informację, o ile dobrze pamiętam usłyszałem w wieczornych wiadomościach ze stacji telewizyjnej TVN w dniu 18 lub 19 kwietnia 2019 roku oczekując na przyjazd gości na Wielkanocne Święta z Wałbrzycha i ze Szczawna Zdroju. Kilka minut po godzinie 20 rozległ się sygnał w domofonie.

- Przyjechali – z uśmiechem odezwałem się do żony, podnosząc słuchawkę domofonu i przyciskając ten mały przycisk do otwarcia drzwi wejściowych do bloku – do klatki. Po chwili gromadka naszej najbliższej rodziny w liczbie 8 osób przekroczyła próg naszego mieszkania i nastąpiło serdeczne powitanie oraz rozbieranie się z odzieży.

Powitaliśmy naszą córkę – Elżbietę z mężem oraz wnuczkę - Kasię oraz wnuczka – Kacperka. Powitaliśmy ponadto najstarszą wnuczkę – Anię z mężem oraz prawnuczkę – Laurkę oraz prawnuczka – Damianka.

W okresie Świąt Wielkanocnych zamiast cieszyć się, że jesteśmy wreszcie razem, to nasze rozmowy przy świątecznym stole dotyczyły przede wszystkim szalejącego koronawirusa w Chinach i atakowania już mieszkańców koreańskich, japońskich, jak również i mieszkańców wietnamskich.

W drugi dzień Świąt oprócz delikatnego dyngusa, korzystając z pięknej, słonecznej pogody, udaliśmy się wszyscy na cmentarz p. W. Św. Wojciecha na „Kurczaki”, na którym spoczywają moi rodzice, dziadek – Mikołaj oraz dwoje naszych synów: - Mareczek, który pomimo, że zmarł w Miastku, to Jego prochy w wyniku ekshumacji w dniu 16 października 2007 roku zostały przeniesione z Miastka do Łodzi – do wspólnego grobu moich rodziców.

Drugi syn – Jarosław, który zmarł nagle w nocy z 7/8 sierpnia 2011 roku, również spoczął w tym wspólnym grobie moich rodziców.

Przed wyjazdem świątecznych gości poinformowaliśmy jeszcze, że w uzgodnieniu z mamą – babcią w tym roku nie będziemy organizować w czerwcu, ani w sierpniu żadnej uroczystości związanej z naszą 59 rocznicą naszego małżeństwa. Postanowiliśmy bowiem, że skoro w przyszłym roku obchodzić będziemy 60 rocznicę naszego małżeństwa – rocznicę zwaną jako „diamentową”, na którą pragniemy zaprosić najbliższą rodzinę z mojej strony, jak i ze strony mamy – babci oraz niektóre koleżanki i kolegów ze strony mamy oraz z mojej strony. Pragniemy zaprosić na tą uroczystość „diamentowych godów” około 30 – 40 osób do jakiejś miłej i przytulnej restauracji w Łodzi.

Propozycja z naszej strony została przez naszych świątecznych gości przyjęta z zadowoleniem.

Rok 2019 upłynął nam raczej spokojnie, ale jednocześnie upłynął na śledzeniu niemal każdej informacji dotyczącej koronawirusa przekazywanej przez środki masowego przekazu (telewizja, radio, czy łódzka prasa), który zbliżał się już nie tylko do Europy, ale również i do USA i Kanady.

Rok 2020 rozpoczął się w trakcie przygotowywań do organizacji wyborów prezydenckich w Polsce, który były zaplanowane na miesiąc maj. Termin majowy nie doszedł jednak do skutku, pomimo poniesienia już znaczących kosztów, które przekraczały już ponad 70 milionów złotych. Wybory prezydenckie odbyły się w lipcu 2020 roku, ale nie mogę ukryć faktu, że ta przedłużająca się kampania wyborcza w Polsce zarówno mi, jak i mojej małżonce nie podobała się i to pod wieloma względami. Nie chcę podawać przyczyn mojego niezadowolenia z przebiegu tej całej kampanii wyborczej, pomimo że sam też z małżonką brałem udział w tych wyborach udział oddając ważne głosy.

Nie mogę jednak wykluczyć, że podczas powoływania się na niektóre fakty, będę zmuszony podeprzeć się konkretnymi przykładami. Jakież było „zadowolenie i zachwyt” pana premiera Mateusza Morawieckiego, że koronawirus dotarł już do Zachodniej Europy – do Niemiec, Francji, Holandii, Belgii czy Włoch, a nawet „grasuje” już u południowych naszych sąsiadów, a do Polski jeszcze nie dotarł, bo czynimy stosowne przygotowania.

Koronawirus wkroczył również w granice Polski, bowiem pierwszy przypadek zakażenia tym wirusem miał miejsce w Zielonej Górze w dniu 4 marca 2020 roku.

Kiedy ten szalenie groźny wirus przekroczył już granicę Polski to okazało się, że Polska jest kompletnie nie przygotowana na „przyjęcie” tego groźnego wirusa. Okazało się, że Polska nie dysponuje odpowiednią ilością maseczek, że brakuje respiratorów, że nie została przeorganizowana służba medyczna w szpitalach, że nie ma dla kadry szpitalnej obsługującej zakażonych pacjentów w specjalistycznej odzieży ochronnej ...

A na wiecach wyborczych pan premier wygłasza między innymi takie hasła:

- „Nie ma się czego obawiać – wirus jest już w odwrocie i możemy śmiało udawać się do urn wyborczych ...”

, a skutek był taki, że zwiększała się ilość zakażonych i ilość umierających. Z pewnością koronawirus obnażył braki i nieprzygotowanie się polskiego rządu do walki z tym groźnym i szalejącym wirusem na terenie Polski.

Nie było przygotowane również nasze polskie społeczeństwo, które kompletnie zostało zaskoczzone i z jakim dużym wysiłkiem musiało się dostosować do wprowadzanych przez polski rząd nakazów i zakazów.

Wprowadzono w pierwszej kolejności obowiązek noszenia maseczek, które w pierwszym okresie ich stosowania były bardzo trudne, aby je kupić w aptekach – sam tego doświadczyłem mając w pobliżu miejsca zamieszkania aż 5 aptek.

Wprowadzono obowiązek dokonywania zakupów spożywczych w rękawiczkach, dezynfekowania rąk czy wpuszczania do sklepów określoną ilość osób kupujących, w zależności od powierzchni sklepu. Zamknięto Galerie handlowe – z wyłączeniem sklepów spożywczych i aptek, zamknięto bary, restauracje, kina, teatry, muzea, cmentarze, parki, a nawet ... lasy(?!). Ograniczono ilość miejsc w środkach komunikacji – w tramwajach i w autobusach, ale kto miał sprawdzać, ile osób wsiadło, czy jedzie w tramwaju, czy w autobusie? Wprowadzono w szkołach nauczanie zdalne, pozostawiając tych najmłodszych z klas I – III samych sobie, bowiem niektórzy rodzice nie za bardzo dawali sobie radę z obsługą komputera.

Bardzo bolesny był zakaz określający ilość uczestników w trakcie pogrzebów – do 5 osób w tym ostatnim pożegnaniu członka najbliższej rodziny, kolegi czy koleżanki, sąsiadów ... Trudno pominąć zamykanie mniejszych i średnich zakładów pracy, zakładów usługowych, jak np. Zakładów fryzjersko – kosmetycznych i innych.

Wszystkie te zakazy i nakazy zostały wprowadzone rozporządzeniami Prezesa Rady Ministrów, ale czy te wszystkie zakazy i nakazy były w zgodzie z przepisami Konstytucji? Kiedy Minister Zdrowia – pan Adam Niedzielski ogłosił około 20 grudnia 2020 roku bardzo kontrowersyjną decyzję, że na terenie całej Polski zostanie wprowadzony zakaz przemieszczania się od godziny 19:00 - 31 grudnia 2020 roku do godziny 6:00 - 1 stycznia 2021 roku, to do tego zakazu ustosunkował się profesor Marek Chmaj – konstytucjonalista i wiceprzewodniczący Trybunału Stanu.

Profesor Marek Chmaj powołał się na art. 52 ust. 1 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, a który to artykuł stanowi, że: - „Każdemu zapewnia się wolność poruszania się po terytorium Rzeczypospolitej Polskiej ...”. Natomiast ust. 3 artykułu 52 m. In. stanowi, że: - „Wolność, ta może podlegać ograniczeniom określonym w ustawie ...”. Natomiast art. 31 ust. 3 stanowi, że: - „Ograniczenia w zakresie korzystania z konstytucyjnych Wolności i praw mogą być ustanowione tylko w ustawie ...”. I już na zakończenie, prof. Marek Chmaj m. In. oświadczył, że: - „... nikogo nie zachęcam i nie podlegam, ale ja osobiście deklaruję, że dla ochrony naszych wolności, nie podporządkuję się ograniczeniom nielegalnej godziny policyjnej”.

Cała walka z koronawirusem została przeniesiona na polskie społeczeństwo, bowiem rząd, ale przede wszystkim to Ministerstwo Zdrowia popełniło i popełnia zbyt wiele błędów w tej walce z koronawirusem, a ostatnio z koronawirusem pochodzącym z Anglii, który jest bodaj bardziej groźny i niebezpieczny.

Nastąpił już bowiem III okres „ataku” koronawirusa w naszym kraju, coraz więcej osób jest zakażonych tym wirusem, coraz więcej, odnotowuje się wzrost zgonów, bowiem od styczniado marca 2021 roku w Polsce zmarło blisko 20 tysięcy osób, a Polska znalazła się w czołówce państw na świecie pod względem zgonów.

Zastanawiam się, jak mógł Minister Zdrowia – pan Adam Niedzielski, ale przede wszystkim jak mogły organa sanitarne w Polsce tak nieodpowiedzialnie postąpić i przyjąć kilka tysięcy naszych rodaków, którzy przyjechali na Święta Bożego Narodzenia w 2020 roku z Anglii, nie przeprowadzając testów kontrolnych, a którzy udali się do swoich rodzin na terenie Polski. Ten fakt nieodpowiedzialności, prawdopodobnie spowodował znaczny wzrost zakażeń „angielskim koronawirusem”, jak również wzrostem zgonów. Jak długo trwać będzie jeszcze ta walka z koronawirusem w Polsce – rok, dwa, czy przedłuży się i to znacznie?

Nie jestem pewien, czy my seniorzy, którzy ukończyli już 80 lat z plusem doczekamy tych dni, aby ponownie cieszyć się rodzinną bliskością, bowiem nie muszę ukrywać, że samotność starości jest przykra, pomimo że w przypadku mojej rodziny jesteśmy jeszcze we dwoje, ale z naszym zdrowiem jest nie najlepiej – oboje mamy orzeczenia o niepełnosprawności – żona z I grupą inwalidzką, a ja z II grupą.

Pandemia zniweczyła nasze plany i rodzinne marzenia ...

A jakie były to plany i nie spełnione marzenia, które zostały zniweczone przez pandemię – przez tego szalejącego koronawirusa?

Przed wszystkim, to nie odbyło się tak długo planowane i oczekiwane rodzinne i koleżeńskie spotkanie z okazji naszej 60 letniej rocznicy naszego małżeństwa, tak zwanych „diamentowych godów”, jakie miało się odbyć w czerwcu, lub w sierpniu 2020 roku. Ponadto, planowaliśmy nasz wyjazd do Miastka, aby odwiedzić mieszkającą w tym uroczym miasteczku rodzinę, ale przede wszystkim złożyć wizytę na cmentarzu w Miastku zapalając znicze i złożyć

wiązanki kwiatów na grobach ojca mojej małżonki, drugiej żony ojca oraz na grobie brata mojej żony – Jana, jak również na grobach bliskich rodziny mieszkającej w Miastku.

A będąc tak blisko polskiego morza, spędzić nad Bałtykiem chociaż jeden – dwa dni w Mielnie. Nie bez znaczenia miało być przypomnienie, gdzie poznałem swoją małżonkę w miejscowości Kawcze – oddalonej od Miastka około 10 kilometrów, a w której to miejscowości ojciec mojej żony pracował jako leśnik. W planie miałem spacer po tych grzybnych lasach, które 60 lat temu bardzo dobrze znałem, a które teraz - po 60 latach są z pewnością nie do poznania.

Osobiście, korzystając z naszego pobytu w Miastku, z pewnością odwiedziłbym z małżonką niedużą miejscowość Warcino, w której to miejscowości istnieje pałac Bismarka, w którym swoją siedzibę miało i ma Technikum Leśne – miejsce mojej ponad 4 letniej pracy w tym Technikum w latach 1960 – 1964. Być może, że jeszcze mógłbym spotkać żyjących kolegów – nauczycieli w okresie mojej pracy. W dalszym planie było złożenie wizyty siostrze mojej małżonki, która mieszka w Człuchowie.

To były nasze plany na lata 2020 i 2021, które zostały zniweczone przez pandemię, nad czy wypada nam tylko ubolewać.

Jeszcze jedno zostało przez pandemię zostało zniweczone, to mój plan, tradycyjnego zapalenia zniczy na grobach mojej najbliższej rodziny – rodziców, dzieci, dziadków i pozostałych członków rodziny, jak również tych ludzi, którzy już dawno odeszli, ale zapisali się w moim życiu, kiedy byłem wychowankiem zarówno w wojsku, jak i w „Sienkiewiczówce”.

To po raz drugi w dniu 1 listopada nie mogłem być w tym dniu na cmentarzach od 1942 roku i to nie koniecznie na cmentarzach łódzkich – na grobach moich rodziców i mojej rodziny.

Ten pierwszy raz mojej nieobecności na jakimkolwiek cmentarzu miał miejsce w 1955 roku, kiedy rozpocząłem służbę wojskową w Przemyśle, będąc jeszcze przed wojskową przysięgą.

Drugi raz mojej nieobecności tym razem już na łódzkim cmentarzu miał miejsce w 2020 roku w Łodzi, kiedy w wyniku pandemii przez trzy dni były zamknięte cmentarze w dniach 31 października oraz 1 i 2 listopada.

Przez okres 15 lat, kiedy nie było mnie w Łodzi – cztery lata nauki poza Łodzią i dwa lata służby wojskowej, tylko dwa razy nie byłem na cmentarzach w dniu 1 listopada, a przyczyny podałem powyżej.

Pracując i ucząc się poza Łodzią, każdorazowo w dniu 1 listopada zapalałem dwa znicze pod cmentarnymi krzyżami w intencji mojej rodziny i spoczywających na tych cmentarzach. To była i jest moja tradycja i po prostu nawyk przekazany mi przez moją babcię – Józefę Błaszczuk.

Pragnę jeszcze na moment zatrzymać się nad obchodami tego drugiego listopadowego święta - „Święta Żywych – Święta Niepodległości”. Osobiście nie uczestniczyłem w żadnej organizowanej manifestacji na terenie Łodzi, chociażby z racji wieku i już nie najlepszego zdrowia, a takowe manifestację organizowane w listopadzie, a nawet w grudniu obserwowałem jedynie w telewizji. Pomimo, że władze Warszawy po konsultacji z sanepidem z uwagi na pandemię i utrzymywanie się dużej ilości nowych zakażeń koronawirusem – w roku 2020 nie wyraziły zgody na „Marsz Niepodległości”. Organizatorzy wpadli jednak na genialny pomysł, aby „Marsz Niepodległości” odbył się w formie zmotoryzowanej i wezwali ewentualnych uczestników do wzięcia udziału, aby przyjechali do centrum Warszawy samochodami, motocyklami, a nawet rowerami udekorowanymi patriotycznymi symbolami.

W dniu 11 listopada okazało się jednak, że tysiące uczestników przyszło na rondo Dmowskiego w Warszawie i zamiast planowanych przejazdów, rozpoczął się tradycyjny przemarsz, podczas którego uczestnicy rzucali racami i petardami.

Było bardzo głośno, czerwono i ... bardzo groźnie!

To nie było „Święto Niepodległości”, a wyzycie się grup chuligańskich, a cierpieli pozostali uczestnicy przemarszu w dniu 11 listopada. Nie wiem kto wymyślił hasło tego „Marszu Niepodległości” w roku 2020, które brzmiało: - „Nasza cywilizacja, nasze zasady”. Nieco w innej atmosferze odbywały się następne manifestacje – „Strajki kobiet”, ale moim zdaniem ze znacznie gorszym tłumieniem tych manifestacji przez zorganizowane oddziały policji, - w tym nieumundurowani prowokatorzy, którzy używali – gaz pieprzowy, pałki, a nawet w użyciu były pałki teleskopowe.

Nie mogę komentować tego, co ukazywała telewizyjna kamera.

I już na zakończenie, jeszcze dosłownie kilka zdań, takich czysto osobistych. Będąc najstarszym w rodzinie Nowaków – ze strony ojca, jak również w rodzinie Błaszczaków – ze strony mojej mamy, pozostali członkowie tych dwóch rodzin nazywają mnie „nestorem”, lub „seniorem” rodu, to mimo wszystko wspólnie z małżonką godnie znosimy wszelkie wprowadzane obostrzenia, dając przykład pozostałym członkom naszej rodziny.

Zostaliśmy już dwukrotnie zaszczepieni przeciwko koronawirusa w dniach 26 lutego oraz 10 marca 2021 roku szczepionką Pfizer – bez żadnych nawet najmniejszych powikłań po szczepieniu.

Wspólnie z małżonką trzymamy się i wzajemnie wspieramy się i ciekawi nas – jak długo jeszcze wytrzymamy i czy doczekamy się jeszcze życia bez obostrzeń, bez tego szalejącego i bardzo groźnego koronawirusa.

Czy jeszcze zdążymy chociaż częściowo zrealizować nasze plany i zamierzenia?

WSPOMNIENIE
Jarosław Nowak

*Gdy samotną znajdzie cię
Zapalając znicz na Twoim grobie,
Ciebie, Jareczku, widzę i słyszę,
a modlitwy moje poświęcam Tobie.
Modlitwy płynące z serca, są skromne,
a z oczu łzy słone płyną.
Płaczę i wiem, że Ciebie nigdy nie zapomnę,
a wspomnienia o Tobie nigdy nie zginą.*
13 sierpnia 2011 roku



Nasze życie jest tym, co z niego uczynimy” - powiedział Marek Aureliusz, który władał Wielkim Cesarstwem Rzymskim.

Co uczynił ze swego krótkiego życia śp. Jarosław - nasz ukończony syn, mąż, tatuś, brat, wujek, a od niedawna i dziadek, który w dniu 8 sierpnia 2011 roku w wieku zaledwie 45 lat wyruszył w swą ostatnią ziemską podróż.

„Jak dzień dobrze przeżyty daje dobry sen, tak życie dobrze spędzone daje dobrą śmierć” - nauczał Leonardo da Vinci. Czyż jest więc życie, jeśli nie nieprzerwaną drogą ku śmierci? Każdy nasz krok, każdy oddech, każde uderzenie serca zbliża nas ku śmierci.

Śmierć jest nieuchronna, nieublagana i w każdej chwili może nas zaskoczyć.

Przyśść musi. I przyszedł do naszego syna w nocy z 7 na 8 sierpnia 2011 roku, zaskakując Jego i nas nagle, bo w trakcie snu.

W trakcie snu przestało bić serce naszego ukończonego syna, męża, tatusia i dziadka śp. Jarosława Nowaka.

Przestało bić serce wezbrane miłością - serce człowieka, który dziś już spoczywa wiecznie pod granitową płytą, jest i będzie do końca naszych dni zawsze sercem żywym i bardzo kochanym. Pomimo ciężkiej choroby odrzucił od siebie groźną wizję śmierci, która jednak przysłała to rozkwitające życie człowieka w sile wieku i nie pozwoliła Jareczkowi cieszyć się dłużej jeszcze swoim rodzinnym oraz ukończonym wniosiem - Robertkiem.

Tak bardzo pragnął żyć...

Jakim był śp. Jarosław, czym się wyróżniał w swoim krótkim życiu? Od dziecka pragnął żyć bez nienawiści, bez kaprysów i zawiści, zyskując sobie znaczne grono oddanych przyjaciół i kolegów.

Przez cały swoje dotychczasowe życie starał się wnosić do swojego życia wartości pozytywne i nieprzemijające.

Pragnął przetrwać w nieskończoność ślady swej cennej gościnności na tej Ziemi.

Zawsze promieniował dobrym humorem, spokojną i zrównoważoną odwagą, służąc jednocześnie dobrą radą, a przy tym sam umiał słuchać i włączać w swoje życie uwagi i rady kierowane pod Jego adresem.

Pragnął być, co często podkreślał w rozmowie ze swoją mamą i ze mną, prostym, uczciwym, szczerym i dobrym człowiekiem, synem, ojcem, mężem, bratem i dziadkiem.

Te chwile radości z Nim trwały jednak zbyt krótko, bo zaledwie 45 lat, ale z pewnością nie znikną, bo zostawił nam swoją miłość, nadzieję i jeszcze trwalsze wspomnienia.

Biło w Jego piersi serce wezbrane miłością - serce, które dziś spoczywa już wiecznie pod granitową płytą, ale dla nas zawsze będzie najdroższe i niezapomniane.

Śp. Jarosław był uosobieniem radosnej pogody życia i pomimo ciężkiej choroby, z jasnym uśmiechem na ustach wierzył w dobro i piękno życia, wierzył, że zwycięży chorobę, że pokona nartuzając Go strasy i kłopoty.

8 sierpnia 2011 roku nadszedł jednak kres Jego ziemskiej wędrówki.

Śmierć była bezlitosna, ale i bezlitosne były dla Niego dni pełne cierpienia, bólu, traumy i kłopotów, ale śp. Jarosław nie ugiął się ani razu i jak dąb krzepki i silny wstąpił w to życie pełen ufności, że wszystko uda Mu się pokonać.

Tak bardzo pragnął żyć...

„Jak można się tak martwić” - mówił śp. Jarosław, jeśli jest tyle wokół mnie miłości, jeśli można kochać i wyciągać rękę do miłości, a czasem, gdy tęsknota i ból duszy zalewa, gdy brzydną ciły ludzki świat, można iść np. do parku czy pojechać do lasu, gdzie tak słodko szumią drzewa, i tak pięknie pachnie każdy kwiat. Śp. Jarosław kochał przyrodę i to dzięki przyrodzie - jak nierzaw, wolał, rozumiał lepiej własne szczęście i uczył innych, jak mogą być szczęśliwi.

Nasz syn, mąż, tatuś, brat i dziadek nie żyje, ale my, zmagając się z tą ogromną tęsknotą i bólem po Jego stracie, ciągle czujemy w swoich dłoniach Jego zimne dłonie i zamknięte na wieczne czasy Jego oczy, widzimy Jego bladą twarz z ostatniego pożegnania...

Dziś pragniemy upaść na kolana i jak dzieci szlochając, zwracając się z prośbą do Boga, aby nauczył nas żyć bez powietrza...

Rozdzika i bielska, ukończona osoba jest zawsze trudna, chociaż wszyscy wierzymy w „świętych obcowanie” i doskonale zdajemy sobie sprawę z faktu, że i nasza życiowa droga zmierza w tym samym kierunku.

Niech pozostanie w naszej pamięci i w naszych sercach takim, jakiego Go znaleźliśmy, a On z pewnością zamieszka na stałe w naszych sercach, łojąc nasz ból i cierpienie.

Wszyscy, którzy obdarzali śp. Jarosława Nowaka szacunkiem i miłością, pozostali Go w dniu 12 sierpnia na Cmentarzu pod wezwaniem św. Wojciecha na Kierzkach.

Śp. Jarosław prosi o wspomnienie i o modlitwę. ☺

JAN NOWAK

Wspomnienie. Jarosław Nowak. (Gazeta Wyborcza)



*Rodzice Irena i Józef Nowakowie w okresie narzeczeńskim
(ok. 1933 rok)*



*Siedmioletni Jan Nowak po śmierci mamy
(sierpień 1942)*



*1 Pogrzeb mamy Ireny na Cmentarzu Rzymsko-Katolickim św.
Wojciecha (Kurczaki). Najmłodszy na fotografii – Jan Nowak,
najwyższy tata Józef, obok, z lewej strony babcia Józefa
Błaszczak (13 lipca 1942)*



*Żona Krystyna Nowak „W intymnej rozmowie z Julianem
Tuwimem”*



Pogrzeb pierwszego synka Marcuszka (czerwiec 1961)



Pogrzeb syna Jarosława (13 sierpnia 2011)



Pogrzeb syna Jarosława na Cmentarzu Rzymsko-Katolickim św. Wojciecha (Kurczaki). Kondukt pogrzebowy. Ponad 300 osób brało udział w pogrzebie (13 sierpnia 2011)



Miejsce spoczynku rodziców i dwóch synów - Cmentarz Rzymsko-Katolicki św. Wojciecha (Kurczaki).



Tablica z nagrobka



60-ta rocznica ślubu – anons prasowy

Właśnie otrzymałeś(-aś) **COMIRNATY**, szczepionkę mRNA przeciw COVID-19 (ze zmodyfikowanymi nukleozydami). 356

Nazwisko osoby
zaszczepionej: JAN NOWAK

Data podania
pierwszej dawki: 16, 08, 21 *Nr serii/Lot: ER2641

Data podania
Twojej drugiej dawki: 10, 03, 21 Ważne, aby druga dawka została
podana w odstępie co najmniej 21 dni.

Data podania
drugiej dawki: 10, 03, 21 *Nr serii/Lot: ER4812

* Wpisz numer serii/Lot zamieszczony
na etykiecie fiołki.

COMIRNATY™
Szczepionka mRNA przeciw COVID-19 (ze zmodyfikowanymi nukleozydami)

Szczepienie - dwukrotnie

Aleksandra Samulczyk

Miłość w czasach pandemii

Czy zastanawialiście się kiedyś Państwo, jak wyglądają związki na odległość? W dzisiejszych, trudnych czasach warto spojrzeć, jak pandemia wpływa na pary zakochanych w sobie ludzi, którzy są właśnie w takiej sytuacji.

Rok 2020 zaczął się dla mnie doskonale. Spędziłam Święta Bożego Narodzenia oraz Nowy Rok w towarzystwie najbliższej rodziny, a także mojego ukochanego, który pochodzi z Hong Kongu. Od ponad trzech lat jesteśmy w związku na dość dużą odległość. Dzieli nas tysiące kilometrów i kilku godzinna różnica czasu. Hin, bo tak mu na imię, przyleciał do Polski (a dokładniej do Łodzi) na dwa tygodnie w grudniu 2019 roku. Nie była to jego pierwsza wizyta w naszym państwie. Będąc z nami przez tak krótki okres, tak szybko zakochał w Polsce. Ciesząc się wspólnymi chwilami, które dawały nam wiele radości, nie byliśmy świadomi, co właśnie zaczęło się dziać na świecie. Żadne z nas nie zdawało sobie sprawy, jak długa czeka nas rozłąka.

Planowanie wspólnej przyszłości z drugą połówką, z którą tak wiele nas łączy, jest nie tylko motywacją, ale również ogromnym wyzwaniem, wiążącym się z odpowiedzialnością za nas samych, jak i tę drugą osobę. Swoje marzenia i plany ja wraz z Hinem mieliśmy zrealizować właśnie w roku 2020. Roku, w którym chcieliśmy razem zamieszkać, ja kontynuowałabym naukę na Uniwersytecie Łódzkim, a Hin odbyłby kurs języka polskiego, także na tej uczelni. Roku, który tak bardzo miał być szczęśliwy dla nas. Roku, w którym wybuchła pandemia Covid-19.

Będąc w Łodzi podczas tej okropnej zarazy, czuję samotność i pustkę. Brak bliskiej mi osoby sprawia, że każdy dzień wydaje mi się być monotony. Żyję tylko wspomnieniami. Im dłuższa jest nasza rozłąka, tym mniej we mnie motywacji. Wspominam wspólne wyjścia, wspólne wycieczki, zwiedzanie naszej ukochanej Łodzi., nasze ulubione miejsca z nią związane. Nie wiem, kiedy dane nam będzie znów się zobaczyć, uściskać. Nie wiem, kiedy zaczniemy wspólnie iść przez życie. Nie wiem, co nas czeka. Tak bardzo chciałabym znać odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

Pandemia jest ciężkim dla nas okresem, od stycznia roku 2020 jesteśmy rozdzieleni i od tamtej pory nie widzieliśmy się. A kto nie chciałby mieć swojej ukochanej osoby przy sobie? Kto nie chciałby czuć jej obecności, której tak bardzo potrzebujemy? Powodem braku naszego spotkania są oczywiście zamknięte granice zewnętrzne Unii Europejskiej. Mimo starań nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Choć wiem, że wciąż czeka nas wiele wspaniałych chwil, czuję, że odbierany jest nam czas, który moglibyśmy wykorzystać na realizację naszych wspólnych celów. Ale nie poddajemy się. Nie mogę się doczekać, aż wreszcie zaczniemy nowy lepszy etap wspólnego życia w naszej pięknej Łodzi.

Cała ta sytuacja ma wielki wpływ na moje samopoczucie i dotychczasowe bycie. Internet nie daje nam możliwości prawdziwej bliskości. Smutno mi, kiedy nie mam go przy sobie, gdy najbardziej tego potrzebuję. Lecz wiem, że nasze uczucie, nasza miłość nigdy nie wygaśnie. Musimy tylko o nią dbać i pielęgnować ją. Bo „Jeśli więź jest mocna, jeśli jest w niej prawdziwe uczucie, odległość nic nie zmieni... Co najwyżej wzmocni związek” – Alessio Puleo.

Leon Sikorski

Region łódzki w czasie pandemii – 2020-2021

Jestem filologiem; nauczycielem języków: polskiego i niemieckiego – od kilkunastu lat na emeryturze. Napisałem i opublikowałem kilka książek. Ostatnią w okresie pandemii, w ostatnich miesiącach. Moim „znakiem firmowym” są felietony językowe. Zamieściłem ich sporo (ponad 100), w witrynie Pralnia Językowa, (FB). Tematyka tych małych form jest różnorodna. Obecny jest też tam temat PANDEMIA. Oto cztery próbki tego gatunku z motywami: wirus, covid, koalicja, polszczyzna.

NOWOMOWA WIRUSOWA

Język żyje, zmienia się, powiadają uczenie językoznawcy. I ten fakt najlepiej egzemplifikuje najnowsza polszczyzna gazetowa i radiowo-telewizyjna ostatnich tygodni, dostarczając nam licznych przykładów na zjawisko, które prof. Michał Głowiński określa terminem NOWOMOWA. Oto utarły się pewne frazy, zwroty, wyrażenia, modele zdaniowe, bez których minister, dziennikarz, czy jakiś rzecznik, niczego nam zakomunikować nie potrafią.

1. Frazy. Oto minister czy premier. On zawsze komunikuje, odnosi się, podkreśla i dodaje. Resort zaznacza i podaje. Prezes zapewnia. Placówki zachęcają, a organy założycielskie wdrożą. Element ma potencjał, a wartości poszły na plan. I wreszcie: Krzywa pandemii wskazuje, ale została spłaszczona. Ostrzegawczo i złowieszczco o pandemii: Nie dzieje się w próżni. Jesteśmy w tendencji wzrostowej. Kula śniegowa rozkręca się. Przesuwamy szczyt na jesień. Ale też trochę optymistycznie: Tarcza wprowadza wakacje. Pieniądze trafiają. Refundacja wyniesie. Poradzimy sobie w tym obszarze.

2. W informacjach o koronawirusie pomagają takie zwroty jak: położyć nacisk, opublikować warianty, pokonać nieszczęście, zamrażać państwo, zamknąć lasy i parki, puścić na żywioł, stać przed alternatywą, wypłaszczyć krzywą, przesunąć poprzez izolację, zostać w domu (i pójść na wybory!), oraz: poradzić sobie, korygować wiedzę w formie zdalnej i przywracać funkcjonowanie.

3. Okazuje się, że w dobie pandemii użytkownicy urzędowej polszczyzny są najbardziej produktywni w tworzeniu wyrażen, które pomagają nazwać ludzi i nowe wydarzenia w tej niezwyklej sytuacji. Nowością więc są: Zespoły pobierające wymazy. Nosiciele objęci nadzorem. Kierowca mobilnej karetki wymazowej. Listonosz chodzący po blokach.

Zaś sferę prawnoadministracyjną reprezentują związki następujące: Rygory na etapie zagrożenia. Trzymanie odległości w wielu obszarach. Przedstawiciele szczebla w związku z obostrzeniami. Bezpodstawne przemieszczanie się. Temat jako paliwo. Dialog z organami. Element strategiczny w obszarze odmrażania pandemii. Tryb wynikający z projektu. Posadowienie skrzynek. Puste lub pustawe ciągi komunikacyjne. Wariant klucza wieku jako opcja.

I wreszcie optymistycznie: Dystans, luzowanie społeczne. Niskie niebezpieczeństwo bezpośredniej bliskości. Decyzje o luzowaniu restrykcji. Zdejmowanie obostrzeń z lasów i parków. Drugi etap poluzowania. Teatry w nowym reżimie sanitarnym.

Na zakończenie części 1. Artykułu tajemniczy tytuł: „Fenomen 28 marca 2020 roku”. Chyba tylko kronikarz pandemii AD 2020 potrafi odczytać treść zawartą w tym skrócie.

4. Zdanie w każdym języku to zespół wyrazów, wykazujących gramatyczną zależność od siebie, w którym występuje orzeczenie w formie osobowej czasownika. Poza poprawnością gramatyczną odbiorca oczekuje od nadawcy tego krótkiego komunikatu pełnej, jasnej i zrozumiałej informacji. A zatem interesuje nas treść wybranych, reprezentatywnych zdań, których znaczenie łączymy z okresem pandemii 2020.

„Epidemia ma wpływa na hierarchię państwa”. Autorowi zapewne chodziło o ważną rolę instancji rządowych, uporządkowanie kompetencji i zakresu działania różnych organów państwowych.

„Wymazówka dojedzie do pacjenta ze wskazaniem”, czyli specjalna karetka pogotowia dojedzie do zarażonego, a może podejrzanego o zakażenie.

„Wartości rosną i nieuchronnie prowadzą do większej dynamiki zdarzeń”. Eufemizm „dynamika zdarzeń” oznacza większą ilość zachorowań.

O pandemii pozytywnie: „Impulsy restartują gospodarkę” oraz „Zyskujemy nad wirusem”. Ale, niestety, „Pełne wylistowanie nie jest możliwe”, bo „Decyzje o luzowaniu muszą spłynąć do centrali”.

w ogromnej ilości informacji o aktualnej sytuacji pandemii spotykamy zdania, które – choć różnią się słowami i budową zdania – wyrażają tę samą treść. Exemplum: „Globalnie spłaszczylismy rozprzestrzenianie się wirusa” lub: „Obserwujemy złamanie nieskumulowanej krzywej w ujęciu globalnym”.

Przestrożę i ostrzeżenie nosi w sobie wypowiedź: „Realizacja roszczeń oznacza trzęsienie w obszarze gospodarki”. Jednak ostatnie dni przyniosły wiele komunikatów o charakterze pozytywnym, mającym podnieść znękanych Rodaków na duchu. Bo choć „Poczta Polska nie diagnozuje ryzyka”, jednakże „Szef Gabinetu Prezydenta akcentował aspekt wyborczy”. O etapie luzowania restrykcji fachowo i kompetentnie: „Powrót do normalności należy obudować w obszarze społecznym bezpiecznymi zachowaniami”.

Na zakończenie batalii ma być budująco i patriotycznie: „Naszego polskiego ducha nie jest w stanie pokonać żadne nieszczęście”, albowiem „Z wiarą i nadzieją będzie przepięknie”, a „Po mroku nocy zawsze przychodzi świt”.

(Maj 2020).

KOALICJOWIRUS, czyli NOWOMOWA KRYZYSOWA 2020

Tym razem chodzi nie o pandemię, lecz o wirus niezgody, który zagnieździł się w głowach naszych koalicjantów. Jako się rzekło, idzie o „koalicjowirus 2020”.

1. FRAZY. Sytuacja się zaostrzyła. Funkcjonowanie się nie sprawdza. Wśród „małych koalicjantów” nie wszyscy są za obdzieraniem. Koalicja nie trwa. Oni muszą się spakować i wynieść z resortów. Poseł podkreśli i się odniósł. Podjęcie zależy od ugrupowań. Kierownictwo się zbierze i zatwierdzi. Ministrowie się opowiedzieli. Żadna ze stron nie ustąpi. Ultimatum mija. Nic nie wskazuje. Niewiadoma pozostaje. Koalicja przejdzie do historii. Prezes przekazał. To była de facto „narada wojenna”. Nikt nie podjął próby. Zapadła cisza. Materiały mogą wyjść na światło dzienne. Rząd mniejszościowy się skupi.

2. WYRAŻENIA. Partner wiodący. Ogromny dorobek pozytywnych rządów. Mimo pewnych uzgodnień. Ograniczenie uboju rytualnego. Zerwanie, rozpad koalicji. Mały koalicjant. Bratobójcza wojna w obozie bez brania jeńców. Wyrzucenie z rządu. Scenariusz opuszczenia. Bliskie otoczenie premiera. Haki zbierane latami. Pogrożki jako straszaki. Wariant przećwiczony. Daremne zaciskanie kciuków. Konstrukttywne votum nieufności.

3. ZWROTY. Zadeklarować jednomyślność. Zerwać bez wypowiedzenia. Szukać poparcia. Spakować się i wynieść z resortów. Omawiać losy. Podjąć decyzje o losach. Patrzyć ze sceptycyzmem. Przejść do ław opozycyjnych. Płacić byciem w opozycji.

PS. CD nastąpi niebawem, czym zajmiemy się niezwłocznie i odpowiedzialnie.

(wrzesień, 2020).

„COVIDEM MAJĄC MÓZGI SKAŻONE” ...

próbują Narodowi przekazać ważne komunikaty. Ważne i poważne. Poważne treści wymagają poważnej formy, a tymczasem czytamy i słyszymy:

1. Skokowy skok zachorowań jest faktem.
2. Sprawozdanie zawiera bardziej bieżące dane.
3. Udrożnienie ścieżki prowadzenia chorego jest trudne.
4. Te szpitale polowe będziemy wykorzystali.
5. Nasze stanowisko ws. ferii jest konserwatywne.
6. Pilnowanie balansu zachorowań to jedno z najtrudniejszych zadań.
7. Szczepienie to będzie zabezpieczenia populacyjne przed trzecią falą.
8. Na rządowych zespołach nie ma wariantów zaostrzenia.
9. W Polsce leżą również interesy innych państw.
10. Te przepisy, które są, one pozostaną.

PS. Cytaty pochodzą z oficjalnych dokumentów, udostępnianych przez pracowników ministerstw RP (w telewizji).

Komentarz. "Bardziej bieżący". W wyrażeniu "bieżący rok" słowo "bieżący" nie jest przymiotnikiem, nie stopniuje się opisowo jak: chory, bardziej chory, najbardziej chory. Czy mówimy "bardziej stojąca woda"? Czy mamy tak mówić, bo jakiś niedouczony urzędnik ministerialny pozwala sobie na kompromitujące błędy językowe?! Proszę sobie przypomnieć rok 2015, kiedy to urzędnik w randze ministra pouczał publicznie językoznawców, "orzekając" w TV "O syntaktycznych i semantycznych właściwościach spójnika ORAZ", uzasadniając "naukowo" pierwsze pisowskie pogwałcenie Konstytucji RP. Zjawiska podobne są bardzo groźne dla polskiej kultury. (29.12.2020).

PRZECZOŁGAĆ JADWIGĘ, czyli z życia inteligencji partyjnej

Zacznijmy od przykładu (niechlubnego!). Oto 11.09. 2020 r. towarzysz partyjny prof. Gowina publicznie zapowiada: „Jest w Porozumieniu tendencja, żeby ją „przeczołgać”. (Tak mówi o koleżance z partii P.).

Inny z kolei towarzysz z innej partii donosi, że „prezes grilluje Zbyszka”. Pamiętamy, jak przed kilku laty b. rzeczniczka partii Pis donosiła z dumą, zwracając się do posła z partii PO: „Prezes pana zaorał”.

Wymienione błędy językowe nie najlepiej świadczą o poziomie wykształcenia i kulturze osobistej partyjnych użytkowników polszczyzny. Podobnych przykładów na dewastowanie współczesnego języka polskiego można by tu wymienić sporo. Skupimy się jednak na wymienionych i dokonamy analizy mechanizmu tych błędów.

Czasownik „przeczołgać się”, w znaczeniu „przebyć jakąś drogę, czołgając się”, nie ma strony biernej, tzn. nie konotuje dopełnienie w bierniku. Nie można zatem powiedzieć: „Prezes przeczołgał pana Zbyszka” ani tym bardziej „Z. Został przeczołgany”. Istnieje w języku polskim grupa czasowników nieprzechodnich, np. modlić się, bać się, śmiać się, czołgać się itp., które nie mają form biernych. Nie mówimy więc: „Katecheta modli uczniów,” „Józek boi Leszka” ani „Jarek czołga Jurka”. O tych czasownikach Słownik poprawnej polszczyzny PWN (s. 91), mówi jednoznacznie: „Mogą wstępować tylko z zaimkiem się”.

Błędne użycie czasowników grillować, zaorać polega na tym, że zostały one w swym znaczeniu odhumanizowane. Te czasowniki w zwrotach zaorać ziemię, grillować kielbaski konotują tylko dopełnienia nieosobowe.

Puenta. Tylko w języku kabaretu można usłyszeć: „Grillowany Zbyszek bardzo smakuje prezesowi”, czy „Przeczołgana Jadwiga cieszy profesora G.”.

(wrzesień, 2020).

Tomasz „Kruszon” Stępiński

Fandomowa pandemia nad Wartą

Cała histeria wokół pandemii zaczęła się w grudniu 2019 roku. Pamiętam te nagłówki w gazetach - „Tajemnicza choroba na targowisku Wuhan”, potem ogłoszenie przez Chiny epidemii, obrazki samochodów dezynfekujących ulice. Takie obrazki pamiętam z początku 2020 roku. Wszelkie znaki na niebie i ziemi mówiły, że to będzie dziwny rok: zima bez śniegu, zapowiedź komety (która jak wiadomo, zawsze zwiastuje nieszczęścia), inwazja szarańczy w Afryce... no i wisienka na torcie - koronawirus.

Kiedy ogłaszano epidemię we Włoszech, obchodziliśmy piąte urodziny Klubu Miłośników Fantastyki „Sagitta”, działającego przy Powiatowej Bibliotece Publicznej w Sieradzu. Z tej okazji przygotowałem małą prezentację w formie filmu. Na piąte urodziny, szóstego marca 2020 roku, przyszło sześć osób, jak na klub, który przeżywał spore problemy kadrowe, była to duża grupa.

Nie było ciasta, były cukierki; szampana też nie było, bo... nie wypada. Było to pięć ciekawych lat, kiedy nasz mały klub przechodził wzloty i upadki.

Przez te pięć lat zorganizowaliśmy kilka prelekcji, konkursy, a nawet urządziliśmy „Sobotę z fantastyką”. Oczywiście, najważniejsze były spotkania klubowe na różne tematy! Dzięki uprzejmości Powiatowej Biblioteki Publicznej w Sieradzu i jej pracowników mogliśmy gościć w ramach Klubu kilku pisarzy fantastycznych (także w ramach spotkań autorskich DKK), jednakże rok 2019 przyniósł nam spadek frekwencji (sporo osób rozpoczęło studia i rozjechało się po świecie).

Tak zaczynał się lockdown w Klubie Miłośników Fantastyki „Sagitta”. Autor także zaczynał nowy rozdział w życiu...

Następne spotkanie było już w momencie, gdy na terenie całego kraju ogłoszono całkowity lockdown. Do dziś pamiętam wtorek, godzina 12, a na ulicach pusto, zero samochodów – nic, tylko hulał wiatr. Zdjęcia pustych ulic, samochody z trumnami z Włoch, panika, histeria, strach i bezsilność w obliczu wroga tak małego, że niewidzialnego. Nagłówki portali informacyjnych i wielka niewiadoma. Co ze mną? Co z moimi bliskimi? Co dalej z naszym życiem?

Strach przez kichnięciem, bólem gardła czy gorączką... Podejrzliwe spojrzenia, odstępki, maseczki, kolejki przed sklepami. Atmosfera jak przed burzą. Pewnie podobnie czuli się ludzie w dawnych wiekach, gdy atakowały nas rozmaite plagi.

Ogólnie, beznadziejna i przygnębiająca sytuacja. Takie sceny często widywane są w filmach fantastycznych, gdy jest inwazja zombie albo jakiś szalony generał chce uwolnić patogen śmiertelnej choroby... Do tej pory wszystko było proste. Pstryk! i po strachu a tu... strach narasta i dławi wszystkich dookoła. To nie film katastroficzny, to rzeczywistość! Sądzę, że wiele osób myślało podobnie i przeżywało swoje lęki w dwójnasób.

W tych szalonych dniach, kiedy nikt nie wiedział, jak to się wszystko rozwinie, powstał pomysł przeniesienia działalności naszego dyskusyjnego klubu do sieci. I tak zaczęła się druga młodość KMF-u. Z początkiem kwietnia spotkaliśmy się pierwszy raz na platformie komunikacyjnej Jitsi.

Pojawili się starzy bywalcy; nagle świat, który oszalał, stał się trochę normalniejszy, ludzkie twarze, głosy ludzi innych niż domownicy, w końcu - normalna rozmowa i dyskusja, która w tych dniach była na wagę złota. Te półtorej godziny na początku kwietnia były impulsem do działania, zarówno dla autora, piszącego te słowa, jak i dla członków, klubowiczów „Sagitty”, która paradoksalnie dzięki zamknięciu tradycyjnych instytucji kultury, odżyła!

Dzięki nowym możliwościom, jakie pandemia stworzyła Klubowi, na spotkania zaczęli wpadać ludzie z innych miast, pracujący za granicą czy z lokalnych wiosek. Pandemia, która zaszkodziła wielu branżom kultury, stworzyła dla KMF-u nowe możliwości, jakich nie mieliśmy wcześniej. W lipcu obchodziliśmy hucznie setne spotkanie klubu, były eventy, upominki, powstał pomysł wydania publikacji okolicznościowej - książki podsumowującej pięciolecie działania KMF-u.

Od początku września wystartowaliśmy z cyklicznymi prelekcjami, kanałem youtube’owym, a ostatnio powstał podcast „Stacja Sagitta”; rozwijamy również wywiady, z klubowiczami, ciekawymi postaciami, pisarzami, przedstawicielami wydawnictw, także komiksowych. Zanurzyliśmy się głęboko w popkulturze!

Co dalej nas czeka? Nie wiem... Pewnie powoli życie będzie wracać do normy. Jeśli chodzi o „Sagittę”, to udało się nam jej dać nowe życie – wirtualne. Inne niż do tej pory, ale równie atrakcyjne. A może nawet... jeszcze ciekawsze? Jeśli ktoś powiedziałby mi w zeszłym roku, że koniec roku 2020 przyniesie tyle zmian w klubie, to powiedziałbym, że jest marzycielem lub... fantastą!

To wszystko działo się w naszym sieradzkim klubie dyskusyjnym, klubie miłośników fantastyki, w „smoczym” klubie.

W życiu autora aż tak wielkich zmian nie było – nadwyżki wolnego czasu poświęciłem na samokształcenie i ... odkryłem w sobie talenty, które w normalnych okolicznościach nie byłyby eksplorowane. Stałem się aktorem, twórcą podcastów, dziennikarzem, montażystą, krytykiem, prelegentem. To wszystko dzięki pandemii... Po raz pierwszy od wielu lat doceniłem, czym jest słoneczne letnie popołudnie, lekki wiatr i droga, którą można przemierzyć rowerem. Doceniłem, że żyję tu i teraz, i czekam z każdym dniem na jutro. Nigdy nie wiadomo, co i w jaki sposób nas zainspiruje.

Emilia Tesz

Oczy pragną zieleni

Mojej Przyjaciółce Staszce Drozd,
dzięki której przetrwałam najgorsze chwile pandemii

Nie lubię szarości

Po powrocie z Madery nie umiem się pogodzić z szarym krajobrazem. Żeby chociaż spadł śnieg – niestety, z każdym rokiem jest to „artykuł” coraz bardziej deficytowy. Lubiłam polską zimę: z sankami, kuligami, bałwanami. Kulig? Ostatni raz jechałam na saniach z Ustronia do Wisły, wiele lat temu. Śniegu wprawdzie było jak na lekarstwo, ale wystarczyło na zorganizowanie hucznej imprezy. Kilkanaście sań, w każdych po 18 – 20 osób, zabawa przy muzyce w góralskiej chacie, ognisko, pieczone kielbaski i ziemniaki, że nie wspomnę o piwie. Aż miło sięgnąć pamięcią do tych chwil. Albo jeszcze dalej: koniki z dzwoneczkami, których dźwięk odbija się echem od gór. Zwykle saneczki, połączone sznurkami, i wesoły śmiech nastolatków – koleżanek i kolegów ze szkoły... Myślę, ile radości umyka naszym dzieciom i wnukom z powodu ocieplenia Ziemi. Czy zrekompensuje im to smartfon i komputer?

Mieszkam w bloku, z sentymentem wspominam dom na przedmieściu, z którego nas wysiedlono w ramach tworzenia strefy ochronnej wokół zakładów włókien sztucznych. Zakład zlikwidowano wiele lat temu, do dziś straszy ruiną. Na moim podwórku, na podwórkach moich kolegów i znajomych, wyrosły budynki zagranicznych firm. Cały teren ogrodzono wysokim, betonowym płotem, przez który nie prześliźnie się wzrok. Ogród dzieciństwa zastąpiły rośliny balkonowe i zieleń widoczna z kuchennego okna: kilka krzaków bzu, jaśminu, jarzębina, topole i sięgający jezdní zielony dywan trawy z huśtawkami, karuzelami... Do czasu. Samochodów jest coraz więcej: spółdzielnia postanowiła poszerzyć parking, więc zniknęła trawa, huśtawki i karuzele, drzewa (topole to przecież chwast), ich miejsce zajął beton i rzędy osobowych aut. Parking, z trzech stron bloku ruchliwe ulice. Szarość i kurz. Okna należałoby myć co trzy dni. Narzekam, a przecież sama pisałam po powrocie z Wietnamu:

Cudze chwalicie

Mówisz – brzydka pogoda
pochmurno, zimno, deszcz
a ja twierdzę przekornie:
żyjesz i tym się cieszyć
masz cztery pory roku
słońce, deszcz, śnieg i wiatr
morze, piasek na plaży
i widok dumnych Tatr
rzeki, jeziora, stawy
dywan kwitnących łąk
łan zboża ci się kłania
jesteś z tej ziemi – stąd

a zimą śnieg puszysty
otula domy, drzewa
i białe kwiaty Pan Bóg
sypie dla ludzi z nieba
dano nam wielkie skarby
jagody, grzyby w lesie
łagodne lata, zimy
przepiękną, złotą jesień
odnowę życia wiosną
śpiew ptaków, szum strumieni
więc myślę nieraz: szczęście
że urodziłam się w tej ziemi

„Miejsce na Ziemi” wyd. 2011 r.

Wiersz powstał w 2007, kiedy jeszcze zimą padał śnieg, a lata nie były tak upalne. Wróciłam z podróży życia, spełniły się marzenia: zobaczyłam, poznałam, przeżyłam niepowtarzalne chwile...i poczułam się szczęśliwa na polskiej ziemi. Cóż, na usprawiedliwienie mojej awersji do szarości: nie ja jedna tęsknię do wiosny...

Kocham las

W samo Boże Narodzenie, na wzgórzu, gdzie cztery drzewa łączą się koronami, a wzrok ogarnia całe Funchal, Sylwia odkryła rydze. Cztery rydze i dwa czerwone gołąbki rosły wśród kwiatów i krzewów. Zostały obfotografowane tak jak gwiazdy filmu w czasie wręczania Oskarów. Nic dziwnego, że po powrocie z Madery czekałam tylko na sprzyjającą pogodę, by wyruszyć do lasu. Dotychczasowy rekord: Boże Narodzenie na przełomie wieków – za Poświętnem całą wielką rodziną uzbieraliśmy pół foliówki szarych peclonek (gąsek). Na drugim miejscu uplasowała się wyprawa za Inowłódz z przyjaciółką i jej mężem, 6 stycznia, chyba 2010 roku – cztery zielone peclonki i kilka listopadówek. Czas na sprawdzenie, co rośnie w lesie w styczniu 2020 roku.

Mroczne dni pierwszej dekady stycznia, zamiast śniegu – deszcz. Wyobrażam sobie, jak za Ossą wychylają się z piachu szare łebki i czekają, aż ktoś się po nie schyli. Czekają na mnie, ale kto się wybierze 40 kilometrów w styczniu na grzyby? Monika i Andrzej są zajęci, inni wiedzą, że jestem zwariowana na tle lasu, tym razem odrzucają to „na tle”. Zostają już tylko laski nad Zalewem Sulejowskim – blisko i bezpiecznie, mogę się wybrać sama. 14 stycznia wreszcie wychyla się słońce. Jadę busem. Mijamy Niebieskie Źródła, dawną wieś Ludwików, będącą dziś częścią Tomaszowa, wjeżdżamy w leśny tunel. Zieleń, nareszcie zieleń! Chciwie spoglądam to w jedną, to w drugą stronę, chciałabym zatrzymać tę zieleń na dłużej, ale już w prześwicie pojawia się kopalnia piasku „Biała Góra”. Za peerelu też była tu kopalnia, ale teraz widok po obu stronach szosy nasuwa jedno słowo: rabunek. Dla prywatnego właściciela nic nie jest ważniejsze od zysku. Na szczęście znów wjeżdżamy w pas zieleni, mijamy sanktuarium św. Anny, niedawno wybudowane centrum medyczne, cmentarz, szkołę... Smardzewice się rozrastają, pięknieją, w przyszłości chyba będą się ubiegać o prawa miejskie.

Wysiadam na krzyżówce. Tradycyjnie odwiedzam wszystkie moje miejsca, tak jak się odwiedza znajomych po długiej niebytności. W miejscu lasu koźlarkowo – prawdziwkowego, który wycięto w ubiegłym roku, wyrosły chaszcze, nie tak prędko się tu ktoś pobuduje. Lasek peconkowo – prawdziwkowy jest wycięty w połowie, widać, że prace są w toku. Ciekawe, co słychać w zagajniku maślakowo – listopadówkowym. Szok! Ten kawałek ziemi też czeka na przekształcenie, aż nie chce się wierzyć, przecież do połowy grudnia zbierałam tu maślaki, rosnące gęsto między sosenkami.

Ludzie uciekają z miasta, budują domy-rezydencje na obszernych działkach i myślę, że są szczęśliwi. Przestrzeń, czyste powietrze, bliskość zalewu – jednym słowem: wolność. Przybywa nowych uliczek, domy coraz głębiej wchodzą w las. Ubywa moich „miejsz”. Skręcam w drogę równoległą do zalewu. Tama pusta, na wodzie cisza, ryby mają wreszcie trochę spokoju.

Dwa rzędy dorodnych dębów witają mnie lekkim poruszeniem nagich gałęzi. Przechodzę kilkakrotnie w jedną i drugą stronę, tak jak zawsze. Nie sztuka was odwiedzać, kiedy darzycie mnie obfitością prawdziwków, z których każdy jest cudem natury. Przyszedłam do was, moje dęby, w tej trudnej dla nas porze roku. I wy, i ja, przetrwamy. Byle do wiosny!

W lasku „łodziaków”, sąsiadującym z domem znajomych, od kilku lat zapamiętałe ryją dziki. Część drzew wycięto, widać właściciele przygotowują się do emerytury, w miejscu przyczepy campingowej postawią dom. Dwa lata temu, a jeszcze w ubiegłym roku, rosło tam sporo gąsek, tej jesieni zbierałam najwyżej dwanaście. Krążę wśród drzew, jesienią może już ich nie będzie. To jest moje pożegnanie. Z przyzwyczajenia spoglądam pod nogi: Jest! Piękna, młoda szara gąska. Znalazłam jeszcze dwie listopadówki. Rekord pobity. 14 stycznia 2020 roku. Kocham las.

Ziarno zostało zasiane

Jesienią postanowiłam skończyć z pisanem. Po tym, jak starosta wypuścił mnie na pozycję „spalonego”, nie będę dłużej w jednej osobie twórcą i mecenasem kultury. Znajomi, przy różnych okazjach, życzą mi weny twórczej – uśmiecham się, dziękuję i trwam w postanowieniu. Chodzę z głową nabrzmiałą od myśli, jakbym miała urodzić Atenę, całym ciałem odczuwam coś w rodzaju przenoszonej ciąży. Od czasu do czasu wymyka się jakiś niesforny wiersz, ale przecież dzieci nie zawsze słuchają rodziców, więc należy im to wspaniałomyślnie wybaczyć. Na początku kwietnia zadzwoniła do mnie przyjaciółka z wiadomością, że jest konkurs na pamiętnik z czasu pandemii, trzeba tylko poszperać w Internecie. A o czym mam pisać? Nie pracuję, nie mam małych dzieci, nie narażam życia w szpitalu. Kogo może obchodzić życie emeryta?

Ale ziarno zostało zasiane. Trzeba mieć w życiu jakiś cel, nie tylko na dziś i jutro. Życie bez dalszej perspektywy jest nie do zniesienia. Czekanie – na co? Zaczęłam szukać w Internecie i znalazłam: odkładane na spód szuflady zdarzenia, jako mało istotne, dziś nabrały całkiem nowej wartości. Mam dużo czasu na myślenie, tak jak moja mama, uwięziona niegdyś w swoim M-3 przez cukrzycową ranę na nodze. Ja zostałam ubezwłasnowolniona przez egzotycznie brzmiące słowo **koronawirus**.

Nowy rok 2020.

Już przestałam się cieszyć z kolejnego nowego roku, bo licznik bije. Na szczęście nie wyglądam na swoje lata, ale pesel, wprawdzie nieco sfalszowany w czasie wojny, mówi za siebie. Spotkanie sylwestrowo-noworoczne w licznym gronie przyjaciół księdza Wacława i parafii Świętej Rodziny wspominam po Mickiewiczowsku: to już ostatnie – dodając przy tym, niosący nadzieję, znak zapytania. Zebranie zarządu Towarzystwa Przyjaciół Dzieci słowo „ostatni” przegłosowało miażdżącą przewagą, tylko ja byłam przeciw. Odkładam się dwadzieścia koncertów charytatywnych „Serce na Dłoni” i na tym koniec. Rodziny otrzymują 500 plus, coraz trudniej rozprowadzać cegiełki na imprezę, a prezydent i starosta co rusz organizują jakiś koncert z darmowymi wejściówkami. Po dwudziestu latach wielkiej mobilizacji społeczności miasta, po święcie, łączącym ludzi ponad podziałami – pustka. Na otarcie łez pozostanie tradycyjne noworoczne spotkanie sponsorów i osób aktywnie wspierających działalność TPD.

14 lutego, przy zastawionych stołach i muzyce, gromadzi się spora ilość zaproszonych gości, chociaż to taki dzień, że w różnych miejscach odbywają się imprezy walentynkowe. Przybyłych witamy tradycyjnie: piernikowymi serduszkami i losowaniem aforyzmów, wróżb - zielonych dla mężczyzn, różowych dla kobiet. Zostało trochę tajemniczych zwitków, więc częstuję nimi orkiestrę, młodzież liceum, gotową do występów. Sama też wyciągam różową karteczkę - z ponad 250 tekstów, których jestem autorką, wyciągam następującą myśl: „Lustro nie jest Twoim wrogiem, zaglądać w nie dopiero po zrobieniu makijażu. Z ekranu telewizora też patrzą na Ciebie wypudrowane, wymalowane twarze. Siwy włos dodaje uroku. Kto lubi niedojrzałe owoce?”. Jak tu nie wierzyć w wróżby?

Na wstępie uroczystości – jak zwykle: przemówienia, występy dzieci i młodzieży, odznaczenia, a potem rozmowy, wędrowki od stołu do stołu. W tym zabieganym świecie jest to jedna z niewielu okazji, aby porozmawiać z kimś, kogo się lubi, kogo się dawno nie widziało. Przestają się liczyć opcje polityczne, obecnych na sali łączy ważne przesłanie: dobro dzieci, szczególnie tych wykluczonych przez los.

Słowo „ostatni” odnosi się też do poniedziałkowych rozgrywek brydżowych. Mówią, że aby dobrze poznać człowieka, trzeba go posadzić za kierownicą samochodu lub dać do ręki karty. Któregoś dnia przebrała się miarka w zachowaniu jednego partnera. Przed kilku laty dołączyłam do czwórki, jako piąta, po mojej rezygnacji nadal mogą grać. Co tydzień mam relacje: zmieniła się atmosfera, brakuje im żartów, luzu, jednym słowem – mnie. Chciałoby się powiedzieć po czesku: to se ne wrati. Zamiennie urządzamy w środy małego brydża u Staszki i Jana, z udziałem mojej siostrzenicy Ewy. Jest miło, bez swarów i pretensji. W przerwie posilamy się kolacją, przygotowaną przez Stasię, z wzmacniającymi dobry nastrój trunkami – domową cytrynoweczką i koniakiem. Gospodyni zachęca do jedzenia, chociaż sama jest na ścisłej diecie, czerpie radość z tego, że smakują nam jej potrawy.

Z cyklicznych spotkań pozostała jeszcze możliwość bywania pod kościołem. Dokładnie: pod, a nie przed. W grudniu, w wielkiej sali Oratorium, odbył się mój drugi w tym miejscu, piękny wieczór autorski, tym razem wieńczący projekt: „Tomaszów Mazowiecki i okolice. Kocham, lubię, szanuję”. Pełna sala, znajome i nieznajome twarze. Największą satysfakcję czerpię z obecności dziewięćdziesięcioczerolletniej ciotki Jarka, która nie omija żadnego mojego spotkania autorskiego. Miły zwyczaj obdarowywania się, który wprowadziłam w dniu swoich 69 urodzin, zaowocował tym razem taką obfitością czekoladek, bombonierek, różnego rodzaju suwenirów, kwiatów, że wracałam do domu obładowana jak wielbłąd. Na zakończenie uczestnicy spotkania pytają: - Kiedy następne?

Od czasu do czasu wpadam w czwartki do małej salki, przylegającej do biblioteki, gdzie gromadzi się starsze oratorium, przyjaciele księdza Wacława. Czuję się otoczona życzliwością obecnych i szczególną troską gospodarza. Ksiądz Wacław lepiej zna i pamięta moją twórczość niż ja sama. Tym razem żegnamy się: Do ósmego marca!

Daleko i blisko

W Chinach szaleje koronawirus. Ale to daleko, chyba nie dotrze do Europy. Oni, tam, na Dalekim Wschodzie, mają utrapienie: tajfuny, tsunami, trzęsienia ziemi, powodzie, tropikalny żar... Współczuję im, już choćby z powodu upałów: udało mi się je przeżyć w Wietnamie tylko dzięki klimatyzacji, specjalnej trosce, którą okazywano na każdym kroku. Najbardziej upał dawał się we znaki w Hanoi, dlatego pobyt w stolicy przerywano wyprawami na północ i południe. Kilka dni nad zatoką Ha Long, kilka dni pobytu w Sajgonie, pozwoliły na głębszy oddech. Jeśli czułam coś, o czym się mówi, że zatyka dech w piersiach, to przepiękne widoki, obecność w miejscach, o których marzyłam i takich, które mi się nawet nie śniły.

Jednak wirus dotarł, 4 marca już jest. Obudził niepokój, mimo tego życie toczy się normalnie – na pozór. W niedzielę, ósmego marca, spotykamy się przed kościołem Świętej Rodziny. Jedziemy autokarem do lokalu, w którym Dzień Kobiet będziemy łączyć z konkursem poetycko – muzycznym. Z przyzwyczajenia obejmujemy się, całujemy, chociaż u niektórych widać lekką obawę. Wirus szaleje we Włoszech, przekroczył granicę Polski. We Włoszech turyści z całego świata ocierają się o siebie, więc nic dziwnego, że Włochów dopadła azjatycka choroba. Do nas, do prowincjonalnego miasta, chyba nie dotrze?

Lidia, zwana przez nas Czarną Mambą, pełni rolę gospodyni. Uwija się, pilnuje, by nikomu niczego nie brakło. Żartujemy z jej bieganiny - stoły są obficie zastawione i nie wystarczy jednego żołądka, by choćby spróbować każdej potrawy.

Konkurs pod hasłem „Czyj to wiersz?” uzupełniony jest przez muzyczną zgaduj – zgadulę „Co to za piosenka?”. Nie oddaję konkursowej karty, bo wśród innych są moje teksty, więc nie mogę korzystać z ułatwienia. Wszyscy otrzymują nagrody, nawet ja – chyba za autorstwo. Rozmowy, żarty, a gdzieś podskórnie czai się obawa: czy na pewno ten nieznany wirus zostawi nas w spokoju? Żegnamy się z dystansem, widać czas, spędzony przy stole, sprzyjał nie tylko kontaktom towarzyskim, ale i głębszym przemyśleniom. Nieliczni, w zapomnieniu, obejmują się „na misia”, całują na dobranoc. Nikt z nas nie zdaje sobie sprawy, że w tak licznym gronie spotykamy się ostatni raz.

Nie ma tego złego

Znajoma 9 marca jedzie do sanatorium. Niedawno wróciła z Francji. Uważa, że jest zdrowa i nikomu nie zagraża. Może. Przyznaję - na jej miejscu nie byłabym tego pewna. Tuż przed powrotem do Polski miała jakieś dolegliwości, katar, gorączkę, katar, ale już się czuje dobrze. Jeśli nawet było to zwykłe przeziębienie, i naprawdę jest wolna od koronawirusa, czy inni nie będą jej zagrażać? Wspólne wanny, leżanki, na których dokonuje się zabiegów... Dziwne, zamyka się szkoły, restauracje, bary, stadiony, a sanatoria wciąż działają. Któregoś dnia w rozmowie z nią dowiaduję się, że współlokatorka wyjechała, bo chce pomagać córce w remoncie domu. Prawda czy pretekst? Kto chce, może zrezygnować z dalszego pobytu. Ona zostaje. Po kilku dniach wstrzymano zabiegi. Wreszcie! Po co w ogóle przyjmowano kuracjuszy, którzy jeszcze 11 marca rozpoczynali turnus? Oblęd. Wspólne pokoje, wspólne posiłki, zabiegi rehabilitacyjne bez odpowiedniego zabezpieczenia. Późno, bo późno, ale w końcu ktoś się opamiętał, zamknięto sanatoria. Moja znajoma, podobnie jak inni kuracjusze, wróciła do domu.

Pewnego dnia odbieram telefon od Piotra Goljata. Długo przymierzaliśmy się do spotkania i okazuje się, że możemy zobaczyć się za dwadzieścia minut. Piotr jest piosenkarzem, kompozytorem, wydał pierwsze płyty. Przygotowałam dwa tomiki z zaznaczonymi tekstami. Nie częstuję mojego gościa niczym, bo już funkcjonuje pojęcie „koronawirus”. – Dostałem w plecy – mówi Piotr – odwołano siedem koncertów. Trochę pomagam ojcu przy malowaniu mieszkania, ale wieczory mam wolne, mogę poprobać.

Czyta pierwszy tekst, raz, potem drugi raz. Widzę wzruszenie i że coś już w duszy mu gra. Przerzuca karty, czyta jeszcze kilka wierszy. Zamykamy książki. Piotr pyta o moje wyobrażenie co do formy muzycznej tekstu „Ty i wiatr”. Każdy czytelnik ma prawo do własnej interpretacji, kompozytor do własnej wizji utworu. Mam nadzieję, że coś się urodzi. Nie wyszło nam przed laty z Bogusławem Mecem, może współpraca z Piotrem zaowocuje – kiedy już przeminie lęk i znikną ograniczenia?

Z telewizora lecą kolejne zalecenia, nakazy. Kwarantanna dla powracających zza granicy jest już obowiązkowa. Wprowadzono zakaz zgromadzeń, zalecenie, by pozostawać w domu, szczególnie odnosi się to do osób starszych. Okazuje się, że jestem od wielu lat w grupie ryzyka. Jeszcze 4 marca, kiedy byłam w poradni, w łódzkim szpitalu im. Pirogowa, nie przestrzegano żadnych, przyjętych później procedur. Ludzie tłoczyli się na korytarzach, a płyn do dezynfekcji rąk był prawie niewidoczny i rzadko używany. Zresztą, już po nakazach o zachowaniu dwumetrowej odległości, Ula, moja znajoma, była z wizytą u onkologa. - Pojechałam we własnych rękawiczkach, nałożyłam maseczkę, przy wejściu był płyn dezynfekujący. – relacjonuje przez telefon – W poczekalni kilkadziesiąt osób, jedna obok drugiej. Na sąsiednim krześle siedział mężczyzna, zakatarzony, kaszlący. Nie wiedziałam, co robić: nie miałam siły stać, nie mogłam odwrócić się plecami. Siadłam bokiem. Czy maseczka mnie ochroni? Co będzie, to będzie, nie dość, że rak, to jeszcze człowiek boi się zarażenia.

Siedzę w domu, wychodzę tylko w konkretnym celu, z lękiem. Dzieci doradzają mi rozszerzenie pakietu TV. Załatwiam umowę przez telefon, podobnie jak kartę zbliżeniową, przed którą się dotąd broniłam. Zanim przyślą PIN, pieniędzy, otrzymanych jako reszta z zakupów, nie dotykam przez dwa dni. Podobną kwarantannę przechodzą artykuły, zakupione w sklepie.

Odwiedziny znajomych zamieniłam na spotkania w Facebooku. Dotąd absolutnie uzależniona od pomocy sąsiada, Jarka, sama zarejestrowałam się, wprowadziłam zdjęcie i uruchomiłam kontakty. Dopóki Jarek miał więcej czasu, bałam się sama cokolwiek nowego tknąć w komputerze, teraz on pracuje w sklepie, nadal pisze teksty do gazety. Zresztą, gdyby nawet miał czas, to obowiązują nowe ograniczenia, w tym kontaktów, spotkań. Przestałyśmy z siostrzenicą rozgrywać codzienne partyjki w kości, nie widzimy się, jeśli nie liczyć tych dwóch sytuacji, gdy przyniosła mi ciasto i maseczkę pod blok.

W pewnym sensie jestem zadowolona z izolacji: zaczynam przypominać kobietę. Fryzjerka chyba się zapomniała, ostrzygła mi włosy tak, że długo patrzyłam w lustro z niechęcią, jak na obcą sobie, niemiłą istotę. Jest zimno, mogę założyć czapkę, a w domu tylko ja muszę znosić obecność lustrzanego odbicia.

26 marca miało się odbyć spotkanie autorskie w kieleckim przedszkolu. Dzieci polubiły moje wiersze i, jak relacjonowała ich nauczycielka, pytały, czy jeszcze żyję i czy mogłyby mnie zobaczyć. Przejmowałam się tą wizytą, bo dzieci wyczulone są na piękno. Lat nie cofnę, mogę być dla nich babcią, mogę się ubrać kolorowo, ale co z włosami? Przecież nie zdążą odrosnąć. Problem sam się rozwiązał, mam nadzieję, że dojdzie do spotkania – kiedyś. Obiecałam, a słowa trzeba dotrzymywać. Szkoda, że o tym nie wie pan starosta...

Oczy pragną zieleni

W tym roku czekałam na wiosnę jak zawsze, jak nigdy. Kilka razy byłam na Niebieskich Źródłach, ale jeszcze przed jej nastaniem. Kaczki pływały parami, kaczory odganiały od swej lubej kawalerów chętnych na podryw. Wśród łabędzi też zdarzają się single – są to prawdopodobnie wdowy lub wdowcy, wierni pierwszej i ostatniej miłości - „aż po grób”. Kaczki nie boją się ludzi, wychodzą na groblę w oczekiwaniu na łatwy żer, nie wiedzą, że nie wolno ich karmić w obrębie rezerwatu. To znaczy – można, jeśli się dysponuje odpowiednią

karmą, w żadnym przypadku chlebem. Ze Źródeł na ogół dzwonię do Zosi, opowiadam jej o urokliwym rozlewisku, o oczkach, które wciąż mrugają w głębinie wód. Może kiedyś przyjedzie do Tomaszowa i sama zobaczy miejsce - serce naszej ziemi.

Dwa razy nie doszłam nawet do mostu na Pilicy – silny wiatr na przelocie, z którego widać halę lodową, chłostał po twarzy jak złośliwy bies, musiałam zawrócić w pół drogi.

A potem? Ogrodzono taśmą wejścia do rezerwatu – zakaz wstępu, jak na większość zielonych terenów. Moje spacerowanie ograniczyły się do okrążenia kilku bloków. Wypatrywałam w nich oznak wiosny, pieściłam wzrokiem nieliczne przebiśniegi, prymulki, wschodzące tulipany. Przyniosłam do domu gałązki forsycji, kilka gałązek dzikiej śliwy, a kiedy kwiaty forsycji przekwitły, w ich miejscu pojawiły się różowe kwiatuszki pigwy. W markecie kupiłam wiązanek tulipanów i w domu stało się wiosennie.

Z balkonu mam widok na trzy wierzby i dwa stare drzewa mirabelek. Jak na zwolnionym filmie, od pierwszych znaków odnowionego życia, obserwuję zmiany, jakie zachodzą na nich każdego dnia. Najpiękniejszy jest moment, gdy zakwitają śliwy. Dwa olbrzymie bukiety, wprowadzcie na krótki czas., ale przecież można ten widok zachować na długo pod powieką. Potem od strony kuchni zakwitną bzy, w pobliżu jezdni rozpyszni się kasztan. Czas bzu, konwalii w lesie, jest dla mnie najszcześniejszym okresem, pełnią życia, chciałoby się, aby trwał jak najdłużej. Robi mi się smutno, kiedy kiście bzu brązowieją, tracą urok świeżości. Cóż, wszystko przemija, rośliny jak ludzie mają swe dzieciństwo, młodość, dojrzałość i starość. Na pocieszenie - tuż po bzie zakwita jaśmin i roztacza tak nieziemski zapach, że nie czuje się spalin samochodów.

Każdego roku jeżdżę do Spały, by pospacerować wśród łąnów konwalii. W tym roku będzie to chyba niemożliwe, chociaż – skoro w maju planuje się wybory, to może zostanie zniesiony zakaz wstępu do lasu? Zazdroszczę ptakom, zwierzyńce leśnej, że może swobodnie, bez przeszkód, nakazów i zakazów, chłonąć uroki wolnej natury. Mnie pozostają rośliny doniczkowe, bukiety kupione w sklepie. Kiedy skończy się ten zły czas, pojadę nad zalew, jak zwykle nabieram kwiatów polnych, nacieszę się szerokim widokiem lasu, wody i pól, naoddycham głęboko świeżym, dobrym powietrzem – wolnością.

Blisko, coraz bliżej

12 marca miały przyjechać dzieci. Wprowadzcie na krótko, bo tylko na dwa dni, ale Sylwia chciała odwiedzić groby, Marek pójść, jak zawsze, do fryzjera. Ze wszystkich fryzjerów w Polsce Włodek cieszy się największym uznaniem zięcia. Korzysta z jego usług nawet wtedy, gdy Tomaszów jest tylko przystankiem na drodze do Włocławka, gdzie wspólnie z mamą i rodziną Marka spędzamy święta. Pewna na początku wizyta z każdym dniem, komunikatem, płynącym z radia i telewizji, szeptanych wieści, staje się mniej realna. – Przyjedziemy, chyba przyjedziemy, nie wiem, czy przyjedziemy – przekazuje córka w kolejnych rozmowach. Dzwonię wieczorem w czwartek, bo przecież chciałabym ich jakoś ugościć, ugotować to, co lubią. Już wcześniej zrobiłam i zawekowałam galaretkę z nówek, za którą Marek przepada. Sylwia, na co dzień zapracowana, nie ma możliwości bawić się przygotowaniem tak pracochłonnej potrawy. – Jutro ci damy znać – słyszę w odpowiedzi na pytanie. Cóż, jutro też zdążę ugotować coś wyjątkowego, w pobliżu mam mnóstwo sklepów, więc i konieczne zakupy nie będą stanowiły problemu. Co za czas, że dziś nie wiadomo, co będzie jutro.

W piątek przed południem Sylwia odwołuje wizytę – komplikacje w pracy, oboje mogą być potrzebni tam, na miejscu. Od wczoraj wiadomo, że szkoły zostaną zamknięte. Piątek jest jeszcze dniem zajęć opiekuńczych dla dzieci, których rodzice nie znaleźli innego rozwiązania. Od poniedziałku dzieci i młodzież będą się uczyli zdalnie. Tego jeszcze nie było, przynajmniej na powszechną skalę. Za „moich czasów” nie było nawet komórek, teraz nauczyciele mają

wiele udogodnień, ale też więcej problemów, głównie natury wychowawczej. Sylwia dobrze się porusza w cyfrowych wynalazkach, które wkroczyły do szkoły, jednak tak nagle zmiana formy przekazywania wiedzy będzie wymagała dużego wysiłku od niej, od dzieci i rodziców.

Trudno, zobaczymy się w kwietniu, przecież to już niedługo. Wpadną po mnie, razem pojedziemy do Włocławka, bo Niusia i Waław, głównie ze względu na podstarzałego Pikusia, wolą nie opuszczać domu. Pikuś tak kocha swojego pana, że traumatycznie przeżywa każdą, nawet najkrótszą z nim rozłąkę. Dodatkowym atutem spędzenia świąt we Włocławku jest obszerny dom, położony na obrzeżach miasta, piękny ogród i życzliwość gospodarzy. Już dzwonili z zaproszeniem, żebym była pewna, że te święta spędzimy razem.

Teraz jestem z dziećmi w codziennym kontakcie telefonicznym. Dzwoni to jedno, to drugie, otrzymuję szczegółowe instrukcje, co robić w określonych sytuacjach, aby zachować bezpieczeństwo. Pytają, co mi potrzeba, co wysłać. W zasadzie wszystko mam: kapustę ukisiłam jesienią, w słojach jest spory zapas suszonych grzybów, w piwnicy worek ziemniaków. Na półkach stoją rzędy słoików z kiszonymi ogórkami, konserwową papryką, wekowanym szczawiem, sałatką z buraczków. Są soki i dżemy, po które rzadko sięgam. Pomidory w ubiegłym roku nie były drogie, więc przecieru starczy mi na długo. Mąkę, cukier, ryż i kasze zawsze mam w jakimś zapasie, nigdy nie biegnę w ostatniej chwili do sklepu, bo czegoś mi zabrakło. Cebuli też wystarczy do młodej, a jak któraś przerasta, wsadzam do doniczki i mam własny szczypiorek. Robienie zapasów na zimę to zwyczaj przejęty od matki. A ona? Należała do pokolenia, które z zasady było oszczędne i przezorne.

Robienie zapasów na zimę utrzymuje się jako tradycja w wielu polskich domach, mimo że teraz wszystko można kupić w sklepie, o każdej porze roku, jednak satysfakcja z własnych przetworów przeważa nad chęcią pójścia na łatwiznę. Dodatkowym argumentem „za” jest smak: takiej kapusty, ogórków kiszonych, takiej papryki, nie kupi się w sklepie.

Co mi potrzeba? Przydałby się ten dobry płyn do prania. Dzieci zamawiają w Internecie zestaw środków czystości. Czekam. Po kilku dniach Sylwia dzwoni, że za chwilę przyjdzie kurier, zostawi przesyłkę pod drzwiami. Otrzymuję dokładną informację, co z nią zrobić, jak odpakować. Prawie połowę płynu na bazie spirytusu, o mocy śliwowicy ląckiej, zraszam pudło i każdy wyjęty z niej pojemnik. Oczywiście, działam w rękawiczkach. Zostałam obficie zaopatrzona – płyn do prania – 5 litrów, płyn do naczyń – 3 litry, inne środki czystości też w ilości, przyprawiającej o zawrót głowy. Nigdy nie miałam takich zapasów, ale czas jest szczególny i dzieciom bardzo zależy, żebym tylko w sytuacjach koniecznych chodziła do sklepu.

Zawszą słysząc komunikaty, żeby zostać w domu, ale dzwoni kuzynka, że zmarł jej mąż. Pogrzeb we wtorek. – Jak możesz, to przyjdź – mówi Irenka. Już raz, przed laty, szykowała się na pogrzeb Bronka, wtedy jego stan był tak ciężki, że przymierzała się do zakupu czarnych ubrań. Jakoś z tego wyszedł i udało mu się przeżyć jeszcze ponad dziesięć lat. Zawiadamiam córkę o śmierci w rodzinie. Kategorycznie odradza mi udziału w ceremonii. Waham się, bo chociaż ze zmarłym nigdy nie pozostawałam w bliskich kontaktach (był jakiś dziwny, stronił od ludzi), to jednak czuję potrzebę podtrzymania więzi rodzinnych, które stają się coraz bardziej kruche. Iść – nie iść? Postanawiam posłuchać córki, użyć wymówki – prawdziwej, o nie najlepszym samopoczuciu i dzwonię do kuzynki. Odbiera jej syn: - Nie ma sprawy, rzeczywiście, że można się pomodlić za tatę w domu i kiedy już to wszystko przeminie, odwiedzić grób. W zakładzie pogrzebowym dali nam takie instrukcje, tyle zakazów... W pożegnaniu może uczestniczyć tylko najbliższa rodzina, przy pochówku z górą dziesięć osób. – Umawiamy się na lepszy czas, a póki co – na kontakty telefoniczne.

Irenka cierpi na Parkinsona, nie dopisuje jej słuch. Każdego dotyka starość, jednak jej jesień życia pozostaje w szalonym kontraście do tego, kim była wcześniej. Mama mówiła o niej „śmieszka”, bo córka brata mojej mamy zawsze miała na ustach uśmiech, śmiała się z byle czego. Ja nazywałam ją „Iskierka”: ruchliwa, pełna energii, pomysłów, chętna do pomocy,

zabaw, przeżywania radości. Ostatnie lata spotykamy się głównie na ulicy, bo Bronek... Na wytłumaczenie sytuacji Irenka ma zawsze bezradne: - Wiesz, jaki on jest... Teraz, chociaż mieszka w trzecim bloku i Bronek nie będzie stał na przeszkodzie, nie możemy się widywać. Każdy siedzi zamknięty w swojej klatce.

Na początku był jeden przypadek w Polsce, potem pojawiały się coraz większe liczby. Pewnego dnia dowiedziałam się pantoflową pocztą, że jest już w naszym mieście. Mężczyzna przyjechał z Holandii, był w kręgielni, kilku lokalach gastronomicznych, w jakimś domu. Oficjalnie nic nie było wiadomo do chwili komunikatu w ogólnopolskiej stacji radiowej: poszukiwano osób, które mogły z nim przebywać w jednym pomieszczeniu. Alarmująca sytuacja w Nowym Mieście odbiła się echem w Tomaszowie – zakażona pielęgniarka pracowała w trzech szpitalach, także w naszym. Zamknięto oddział, badano kontakty. W tym czasie, kiedy ona miała dyżur, w szpitalu przebywała moja przyjaciółka. Znała pielęgniarkę, swą niegdyśszą pacjentkę, nawet z nią rozmawiała. – Stała w drzwiach, nie wchodziła do sali. - relacjonuje przejętą wiadomością Stasia - Rozmawialiśmy na odległość, ale leżałam na oddziale wewnętrznym i muszę zachować ostrożność. Nie chodzi o mnie, tylko żeby kogoś nie zarazić.

Następna wiadomość także pochodzi od Stasi: zamknięto oddział dziecięcy. Przywieziono do szpitala dziecko z zapaleniem płuc, nikt nie poinformował służb medycznych, że rodzina wróciła z zagranicy, bodajże Hiszpanii. Na szczęście są jeszcze mądrzy, odpowiedzialni ludzie – to sąsiadka zadzwoniła do sanepidu czy szpitala i przekazała ważną informację. Wykonano badanie: wynik dodatni. Kto jeszcze kaszle i kicha, nie z powodu wiosennego przeziębienia a dlatego, że spotkał się z kimś, kto wrócił, kto miał kontakt z chorym? Który przechodzień może być dla mnie zagrożeniem? Przestałam jeździć autobusem, bo nie wiem, kto dotykał poręczy, kto siedział na tym fotelu. Pieszko daleko nie dotrę, nawet na Niebieskie Źródła rzadko wybieram się spacerem, częściej jadę dwa przystanki autobusem, a potem krążę po grobli i drózkach rezerwatu.

Moja znajoma liczy ostatnio kilometry, przebyte w domowej krzątaniu. Trochę tego jest. Ciekawe, jak Dulski, chodząc wokół stołu, obliczał odległość do kopca Kościuszki, przecież wtedy nie było jeszcze urządzeń do pomiaru kroków, kilometrów, tętna, ciśnienia etc. Moja metoda „na Dulskiego” dotyczy oglądania świata. Wychodzę na balkon – to jest dosyć ograniczona obecność w naturalnej przestrzeni. Możliwość opuszczenia domu, dla takich osób jak ja, łączy się z koniecznością zrobienia niezbędnych zakupów. Dobrym pretekstem jest wyrzucanie śmieci, a już absolutnym luksusem - pójście po wodę do studni głębinowej, usytuowanej jakieś dwieście metrów od mojego bloku.

Jestem meteoropatką, całym organizmem odbieram zmiany pogody, którym towarzyszy zmienny nastrój. Uwielbiam słoneczne dni, byle nie było za gorąco. Nie można pójść do parku czy nad Pilicę, więc siadam w fotelu przy balkonie i opalam się. Każdy, kto chce, może mnie widzieć z sąsiedniego bloku, zatem poprzestaję na wystawianiu do słońca twarzy i rąk. Jestem pewna, że kiedy wyjdę z ukrycia, usłyszę pytanie: - Gdzie się tak opaliłaś? Dla draki odpowiem, że właśnie wróciłam z Madery. Uwierzą, przecież ja nie kłamię. A na Maderze byłam i bywam.

Wirtualna podróż

Dostałam od dzieci link – zdjęcia z Madery i dostęp do kamery, umieszczonej na Hotelu Ritz. Na wielu zdjęciach rozpoznaję znane widoki. Serce mocno bije, a po wejściu w oko kamery na przemian czuję radość i żal. Znowu jestem tam, patrzę na „mój” park, spaceruję między szpalerami drzew, ale przecież mnie tam nie ma. Na postoju pusto - nie ma żółtych taksówek: nie do wiary, one zawsze tam były. Lubiłam patrzeć jak kierowcy, idąc obok samochodu, z jedną ręką na dachu, drugą na kierownicy, przesuwają swój pojazd do przodu. Czekając na

pasażerów zwykle przysiadali na ławeczce, przylegającej do parku, gwarzyli z kolegami po fachu.

Pusto, od czasu do czasu pojawia się jakiś człowiek, przelatuje ptak. Gdyby nie lekki wiatr, który porusza gałęziami drzew, gołąb, przelatujący przez granicę widzenia, przejeżdżający od czasu do czasu samochód, pomyślałbym, że to zdjęcie – upozowane, pozbawione zwykłych rekwizytów: ulicznej kawiarni, gdzie wśród stolików nieustannie uwijają się kelnerzy, z widokiem na ruchliwy deptak i park. Niewyobrażalne, jednak prawdziwe.

Jedynymi mieszkańcami parku św. Franciszka są ptaki i milczące postacie, zastygłe w kamiennych monumentach. Ciekawe, gdzie się podziali, rezydujący od świtu do nocy, bywalcy zakątka przy pomniku Rodrigueza – Murzyn w pstrokatym ubraniu, chudzielec z włosami ufarbowanymi na jaskrawo-rudy kolor, przysadzisty szatyn, pełniący rolę zaopatrzeniowca i kilku innych, mniej zapadających w pamięć?

Oko kamery ogarnia drzewa i kwiaty – tu nic się nie zmieniło, widocznie ogrodnicy nadal dbają o rośliny: jest pięknie, kolorowo. Kwiaty kwitną jak wtedy, gdy patrzyłam na nie z bliska.

Spaceruję (?) po wyludnionym deptaku, przechodzę przez jezdnię i przystaję chwilę u wylotu ul. św. Franciszka. Tu spotkałam polską rodzinę, która dzień wcześniej przyleciała na Maderę. Jako zorientowana co nieco w obiektach, które warto zwiedzić, poleciłam im Katedrę, Monte, ogród botaniczny i kilka jeszcze innych atrakcyjnych miejsc.

– Proszę pani, przewodnik mówił, że w tym roku na Maderze jest mało zieleni! Czy to prawda? – dopytuje dziesięcioletni chyba chłopiec, który przyleciał na Maderę z rodzicami i dziadkami.

– Mało? Jedźcie w góry, tam łąki pokryte są żółtymi kwiatami, przy wiejskich i leśnych drogach napatrzycie się na zielen, w przydomowych ogrodach zobaczycie róże, gwiazdy betlejemskie, kwitnące krzewy i drzewa. Piękne i zadziwiające są kwiaty aloesu, spotkacie je w różnych miejscach, rosną całymi kępami. Zwróćcie też uwagę na agawy i wystające z nich „laski” – nie wiem, kwiaty czy owoce. W górach warto zatrzymać się chwilę w pobliżu lasu eukaliptusowego – liście drzew wydzielają zapach, który na długo pozostaje w pamięci. Oczywiście, podobno latem jest tu przepych kolorów, ale teraz, w porze Bożego Narodzenia, i tak można nacieszyć się widokiem egzotycznych i znanych z Polski roślin i kwiatów. Na bulwarach, przylegających do oceanu, zobaczycie palmy bananowe z dojrzewającymi owocami, krzewy geranium, róże, pelargonie. Najbardziej zadziwiające są kwitnące drzewa - zobaczycie ich wiele idąc do Mercado (hali targowej): krzewy, zwisające kwitnącą kaskadą z ogrodzeń, murów, kryjące głębokie koryto rzeki, dzięki siatce rozciągniętej po obydwu jej brzegach. Zresztą, teraz to nie rzeka, to strumień, w którym taplają się dzikie kaczki, ale w okresie ulewnych deszczów ten niemrawy strumień zmienia się w groźną, nieprzewidywalną rzekę. Mieszkańcy Funchal przyzwyczaili się do przepychu gwiazd betlejemskich. W tym roku jest ich, rzeczywiście, mniej, ale dla nas, Polaków, zieleni i wiosny wystarczy.

Od Bożego Narodzenia upłynęło trochę czasu. Teraz, zamknięta w czwartej klatce bloku, M-3 na pierwszym piętrze, lotem wyobraźni wymykam się ku feerii barw Funchal. Siedzę na ławeczce w parku, kilka metrów ode mnie para reniferów ciągnie sanie powożone przez krasnali, Obok nich, i wewnątrz sań, pojawiają się coraz inne buzie dzieciaków, a rodzice, dziadkowie, utrwalają na zdjęciach i filmach niezapomniane chwile. Po parku krążą dwa bałwany z czerwonymi nosami, Mikołaj, magik z balonikami, z których wyczarowuje bransoletki, pistolety, kwiaty... Drózek strzegą ustawieni przy wartowniach żołnierze, w kolorowych mundurach, przypominających epokę napoleońską, a może nawet czasy Kolumba. Na terenie parku można spotkać krasnoludki, zwiedzić ich wioskę, schować się w którymś z maleńkich domków. Wokół amfiteatru ustawiono liczne, stylizowane choinki.

W centralnym punkcie znajduje się chata św. Mikołaja, a przy niej gotowe do drogi renifery. Mikołaj i jego żona zajmują się przygotowaniem ostatnich paczek, czasem pomagają im skrzaty. Z głośników płyną bożonarodzeniowe melodie, kolędy, które nie cichną nawet wieczorem, gdy na scenie amfiteatru odbywa się występ lub koncert. Dobrze, że artyści dysponują profesjonalnym sprzętem nagłaśniającym i dwa źródła dźwięków nie tworzą dysonansu. Na drzewach rozwieszono tysiące kolorowych świateł. Bajka. Robi się późno. Czas wrócić do domu – tego w Funchal i w Tomaszowie. Czas wrócić do rzeczywistości.

Skojarzenia

Wirus przedostał się do Europy, jest już we Włoszech. Z telewizji i radia płyną groźnie brzmiące komunikaty. TIT, lokalny tygodnik, w numerze z 28 lutego podaje: „Do 270 wzrosła we Włoszech liczba osób zarażonych koronawirusem. Może on grozić także Polakom. Jak poinformował wiceminister zdrowia we wtorek, 25 lutego, w związku z podejrzeniem zakażenia 20 osób przebywa w Polsce na szpitalnej obserwacji, 14 objętych jest kwarantanną, a 681 jest w kontakcie z Państwową Inspekcją Sanitarną”.

Komputer wciąż na czerwono podkreśla słowo „koronawirus” jako nieznane, a ono wtopiło się w naszą rzeczywistość, jest i nie wiadomo, jak się go pozbyć. Z Włoch rozeszło się szeroką falą po Europie, niczym kręgi na wodzie po wrzuceniu kamienia. Jak trafiło do Ameryki? Czy to ważne? Jest i zbiera żniwo. Dziwne, wydaje mi się, że najbardziej bezpieczni są ludzie, pokazywani w telewizji jako okazy prymitywnego bytu, z obnażonymi piersiami, przepaskami z traw na biodrach, tańczący w rytm bębnów i piszczałek. Nas też czeka cywilizacyjny regres. Mam nadzieję, że obroni się Internet, telewizja i komórki – dziś trudno wyobrazić sobie bez tego życie. Nie wrócimy do puszczy, do atrybutów średniowiecza, chociaż wobec zarazy jesteśmy równie bezradni jak ludzie tamtej epoki.

Na wieść o pandemii, pomyślałam o „Decameronie” Boccaccia, o „Dżumie” Alberta Camusa. Szkoda, że nie mam tych książek w domowej bibliotece. Wyławiam z pamięci obrazy, utrwalone w literaturze, w średniowiecznych rycinach: ciała zmarłych w bramach domów, wrzucone na wóz, jedno na drugim, widok jakiejś dziewczyny, skażonej zarazą, z twarzą wykrzywioną cierpieniem, oczach błagających o litość, czepiającej się szaty przechodnia... To było dawno, dawno temu. Teraz nie zniknie z pamięci film z kościoła, wypełnionego rzędami trumien, kolumny ciężarówek, wywożących z Bergamo ciała na pochówek... chyba bezimienny, w zbiorowych mogiłach. W USA też kopią zbiorowe groby. Jak było w Chinach? Tego nie powie nam nawet znana dziennikarka telewizyjna Ewa Ewart. W jednym z polecanych przez nią filmów dokumentalnych pada zdanie, wypowiedziane bodajże przez Australijczyka, że widział domy z zalutowanymi drzwiami. Chorzy zostali skazani na śmierć, bez nadziei na jakiegokolwiek miłosierdzie.

Przestaję śledzić serwisy informacyjne, od tego można zwariować. Współczuję chorym i służbom medycznym, ale wszyscy wokół mówią, że mam się chronić ze względu na zaliczenie do grupy ryzyka. Moje dzieci chcą mnie chronić, a ja nic nie mogę zrobić, aby je chronić - muszą pracować, funkcjonować ze świadomością stałego zagrożenia. Trzeba mieć nadzieję, że wszystko przeminie, stanie się wspomnieniem, tak jak się wspomina hiszpankę i inne współczesne epidemie.

Sięgam do innych wspomnień, bardziej osobistych - mojej mamy i własnych. Tę historię już opisałam w „Opowieściach z kufra wyjętych”, ale powtórzę ją w skrócie dla tych, którzy jej nie znają: Babcia Antonina mieszkała w Łodzi. Dziadek znalazł się na czarnej liście, ściganych po rozruchach 1905 roku, ukrywał się i z rzadka zaglądał do domu. W końcu grudnia 1906 roku urodziła się moja mama. Babcia jeszcze leżała w połogu, gdy dziadek wpadł do izby, schował karabin pod położnicę, a sam skrył się za drzwiami. Za chwilę w mieszkanku pojawili się żandarmi, zrobili rewizję, nie ruszyli tylko babci i nie zajrzeli za drzwi. Po ich wyjściu dziadek

zabrał karabin, nałożył czapkę na głowę i zniknął. Babcia została z dwojgiem dzieci, sama w wielkim mieście. Jakiś kuzyn pomógł jej się przeprowadzić do Drzazgowej Woli, gdzie znalazła pracę i przystań.

Mijały lata. Babcia zarządzała we dworze, pracowała w polu, pomagała w razie potrzeby chorym ludziom, odbierała porody. Ale i ona nie dawała rady śmierci, gdy przyszła zaraza czarnej ospy. Chodziła do chorych, okadzała jałowcem izbę, podawała ziółka, jednak, jak mówiła mama, ludzie marli jak muchy. Szli na pogrzeb, wracali i sami kładli się do łóżka, potem ktoś chodził na ich pogrzeb. Brat mamy był starszy, ganiał z paniczem po polach, psocił razem z nim. Dziedzic surowo karał swojego syna: kiedyś za kradzież jajek zamknął go w chlewiku na kilka dni i nie pozwolił dać innego jedzenia jak tylko to, co było przeznaczone dla świń. Józek, brat mamy, miał więcej szczęścia, babcia pokrzyczała (podobno nawet przeklinała), ale miała słabość do chłopaka, więc wszelkie wybryki uchodziły mu prawie „na sucho”. Marysia była mała, babcia zabierała ją ze sobą, kiedy szła odwiedzać chorych. Pewnego razu już miały wracać do domu, lecz okazało się, że dziecka nie ma. Szukali, w końcu Marysia odnalazła się; spała, przykryta pierzyną, obok chorej – umierającej.

Mijały dni, miesiące. Do wsi przyjechała ekipa medyków, nastąpiły powszechne szczepienia. Był to czas żniw, babcia musiała iść w pole, więc powiązała dzieciom ręce jakimiś szmatami, żeby się nie drapały. Po powrocie zobaczyła zakrwawioną twarz Marysi – dziewczynka nie miała nosa. – Jakże to, dziewczyna bez nosa? – rozpaczła babcia. Nos odrósł i mama, kiedy to wspominała, mówiła z uśmiechem: – Odrósł, i to nawet jaki duży!

Dzieci też rosły, w dzień wykonywały przydzielone obowiązki - mama pilnowała stada gęsi, Józek pomagał fernalom, a wieczorem uczyły się pod kierunkiem guwernantki, razem z córką i synem dziedziców, dzieciakami służby. Nauka była zabroniona, więc fernal czuwał na drodze i ostrzegał w razie przyjazdu żandarmów. Życie stopniowo wracało do normy. Dziadka uznano za zmarłego, dziedziczka poswatała babcię Antoninę z wdowcem, który całą rodzinę stracił w czasie zarazy. Jemu została tylko córka, ona miała dwoje dzieci. Pobrali się, oczywiście, w kościele, a po kilku latach zjawiał się „nieboszczyk mąż”. Babcia miała dwóch kościelnych mężów i wybór, z którym zostanie na dalsze lata. Wybrała tego drugiego. Zdaniem jej dzieci i wnuków był to właściwy wybór. Nie miałam szczęścia poznać przyszywanego dziadka, ale podobno był bardzo dobrym człowiekiem. Mamie po ospie, którą wtarała w twarz, pozostały trwałe ślady. – Mimo tego – mówiła – miałam powodzenie. Chłopcy chętnie prosili mnie do tańca i mówili, że tańczę lekko jak piórko. A jak zobaczyłam na zabawie twojego ojca, to sobie powiedziałam: ten albo żaden. I tak się stało...

Moje wspomnienia pochodzą z czasu studiów. Był bodajże 1963 rok. Mieszkaliśmy w Lubawce, gdzie spędzałam każde wakacje, zarabiając na ciuszki jako pełniąca obowiązki pielęgniarki w miejscowym ośrodku zdrowia. Wiadomość o epidemii prawdziwej ospy dotarła do nas lotem błyskawicy, za nią przysłyły nakazy i instrukcje. W pobliskiej miejscowości utworzono miejsce pobytu dla osób podlegających kwarantannie. Klamki w przychodni owinięto gazą, nasączoną płynem dezynfekującym, także wycieraczki pokryto ochronnymi matami. Każdemu pracownikowi przyznano ćwiartkę spirytusu do dezynfekcji rąk, ponieważ jednak alkohol był dostępny tylko w półlitrowkach, więc miałyśmy z koleżanką wspólny przydział. Dezynfekcja odbyła się jednorazowo, w moim domu, w gronie przyjaciół. Nie wiem, jaki był zakres epidemii, ilu ludzi zachorowało, ilu zmarło. Wrażenie zrobiła śmierć wrocławskiej lekarki, pielęgniarki, czy pielęgniarek... Wrocław stanowił epicentrum choroby i tam podobno były jakieś obostrzenia. W naszym małym światku tylko jedna wizyta wzbudziła obawy – pacjenta z kwarantanny. Przeżyliśmy, nie powiem, że bez lęku, ale korzystając ze wszystkich przywilejów młodości. Cóż, wtedy nikt nie wyobrażał sobie, że epidemia może przybrać takie rozmiary, nieść ze sobą takie skutki, jakich doświadcza współcześnie świat. Wtedy mówiliśmy sobie - Przecież to jest dwudziesty wiek!

Na wzgórzu w Zawidzu, zwane „Cholerką”, chodziłam z babcią zięcia, Honoratą. W trakcie zbierania szyszek na podpałkę Honorata wyjaśniła mi dziwną nazwę tego miejsca: podobno

wzgórzu to kurhan usypany nad wielką mogiłą ofiar zarazy. Kiedy? Nie wiadomo. Kiedyś, dawno temu.

Dwudziesty pierwszy wiek obnażył prawdę: Ludzkość, mimo rozwoju techniki, wiedzy medycznej, bywa nadal bezradna wobec sił przyrody.

Przed (... ? ...) Po

W dzieciństwie wciąż słyszałam: „przed wojną”. Przed wojną wszystko było lepsze. Na drugim miejscu były opowieści o życiu w czasie wojny. To mama. A tata ciągle wracał z „robót”. Nie chciałam, ale musiałam słuchać: czasy przedwojenne się nie wrócą, wojna, na szczęście, minęła. Ojciec przeżył, udało mu się uniknąć kuli pijanego rosyjskiego żołnierza. Staralam się wyprzeć ten czas, przeżyty przez moich rodziców, rodzinę, z pamięci, wyobraźni. Sama niewiele pamiętam z okupacji, przecież w chwili zakończenia wojny miałam dwa i pół roku, ale te ich, i moje, opowiadane przeżycia, wżarły się w mózg, są częścią istnienia. Nie mogę oglądać wojennych filmów, bo nie chcę wracać do niechcianego czasu. Co innego z tym „przed”. W miarę dorastania, dojrzewania, pytanie o istotę tęsknoty matki do przedwojennej rzeczywistości zaprzętało coraz częściej moją uwagę. Zdobywana wiedza pozwalała lepiej ją zrozumieć, a jesień życia – utożsamić się z nią.

Ostatnie dni, tygodnie czuję się zawieszona w jakimś półbycie, jak matka w czasie wojny. Wiadomo, co było, nie wiadomo, co będzie - jutro, pojutrze. Jaka będzie rzeczywistość, gdy nastanie upragniony kres zarazy? Czy wróci poczucie bezpieczeństwa? Jak będziemy się kontaktować z innymi ludźmi? Czy przetrwają nasze, polskie i rodzinne, tradycje? Mnożą się pytania, na żadne nie ma odpowiedzi, ani nawet wyobrażeń. Nikt nie wie, jak będzie. Każdy wie, że to, co było, już nie wróci.

Jednym z zajęć na przymusowym pobycie w domu jest oglądanie filmów. Niektóre oglądam po raz enty. Teraz zwracam uwagę na całkiem inne szczegóły niż „przed”. Za każdym razem, gdy widzę zbiorowisko ludzi, myślę: tak było, czy w przyszłości będzie to możliwe? Bohaterowie filmu podają sobie rękę na powitanie, całują się. Czy wrócimy do tego zwyczaju? Dotykanie drugiego człowieka staje się problemem. Zabawy, festyny, tańce, przedstawienia teatralne, nabożeństwa, nauka w szkole, koncerty, wczasy, pobyt w sanatorium... Z całą pewnością będziemy się starali żyć normalnie, tylko jaka będzie ta normalność?

Matka wspominała czasy przedwojenne, ja sięgam pamięcią do jakże nieodległych chwil, sprzed zarazy. Do spotkania z okazji Dnia Kobiet, do imprezy noworocznej TPD, wreszcie przenoszę się na Maderę w czas Bożego Narodzenia. Wyławiam obrazy: rozświetlone kolorowymi światełkami drzewa, uliczki Funchal, każda inaczej iluminowana: paczki świąteczne, anioły, Mikołaje, kaskady czerwone, niebieskie, świetliste... Przed Katedrą trzy wielkie anioły „grające” koncert dla liczного grona słuchaczy. W pobliżu zawsze oblegana przez widzów szopka. Całość ujęta w ramy, robi wrażenie przestrzennego obrazu. Postacie naturalnej wielkości, zwierzęta jak żywe. Choinki stanowią tło, do tego na stopniach, na ziemi, mnóstwo, mnóstwo kwiatów: gwiazdy betlejemskie i storczyki.

Na deptaku tłumy ludzi, szczególnie wieczorem. Większość z nich popija ponchę, tworzą grupki, przez które trudno się przecisnąć. Na bulwarach, przylegających do oceanu, także mnóstwo spacerowiczów. Sprzedawcy z licznie tu usytuowanych budek oferują smakołyki: lody, gofry, ciasta, pieczone kasztany... Gigantyczna choinka przyciąga dzieci i dorosłych, wchodzi do jej wnętrza, robią sobie pamiątkowe zdjęcia. Metalowa konstrukcja robi wrażenie, szczególnie wieczorem, gdy rozbłyskuje tysiącami świateł. Nieopodal znajduje się scena - miejsce prezentacji zespołów ludowych, rockowych, orkiestr wojskowych, kameralnych, grup hiphopowych, chyba wszystkich form muzycznej i tanecznej działalności mieszkańców Madery. Widownia składa się z osób, które przyszły specjalnie na koncert

i spacerowiczów, zwabionych dźwiękami muzyki. Za szpalerami kwiatów ogrodzono wejście do cyrku – na zewnątrz słyszeć muzykę i widzieć wielki diabelski młyn, mielący przestrzeń rozłożystymi ramionami. Na murkach, oddzielających bulwar od kamienistego brzegu oceanu, sprzedawcy o różnych kolorach skóry oferują swe towary: biżuterię, okulary, pamiątki. Bulwary od rana do późnej nocy tętnią życiem, a jeśli ktoś chciałby posłuchać rozmów, to odniósłby wrażenie, że znajduje się na spłaszczonej wieży Babel.

Koncerty odbywają się w wielu miejscach, między innymi w pobliżu fortecy i pomnika Zarki. Obok sceny siedzi gigantyczny Mikołaj, na tle którego turyści robią sobie zdjęcia. Dzieci, wspomagane przez rodziców, wspinają się mu na kolana, uśmiechnięte, radosne, pozuja do pamiątkowych fotek. W parku, przeważnie przed południem, występują zespoły ludowe, w których uczestniczą zarówno dorośli jak dzieci. Mali artyści, przejęci swoją rolą, z powagą przejmują tradycję od rodziców i dziadków. Wieczorem w parku rozjaśnia się scena amfiteatru, a kamienne ławy zapełnia liczna widownia. Obejrzałam wiele występów, koncertów, każdy z nich był odmienny, poruszał inne struny uczuć. Z dwóch wyniosłam coś na zawsze: Pierwszy to jedna melodia spośród wielu, w wykonaniu umundurowanej orkiestry, złożonej z mężczyzn i kobiet, a raczej dziewcząt. Zespół grał, grał i śpiewał, a utwór, w którym najważniejszą rolę odgrywał flet i trąbka, wchłonęłam w siebie tak głęboko, że zagubiłam melodię, pozostało tylko, graniczące z zatraceniem, wzruszenie. Szkoda, że nie umiem jej określić, nazwać. Będę szczęśliwa, jeśli kiedyś, choćby przypadkiem, spotkam ją na drodze życia.

Drugiego też nie umiem nazwać: występ, koncert, balet? Żadne określenie nie wyczerpuje konstrukcji widowiska. Połączenie sztuki dawnej i współczesnej, muzyki klasycznej i awangardowej, baletu i akrobacji, sztuki cyrkowej i teatralnej. Fabuła czytelna, znana z filmów, sztuk teatralnych i literatury: lalka, która ożywa, staje się piękną dziewczyną. Żyje w świecie różnych wartości, wybiera – miłość. Biały mim łączy wszystkie elementy widowiska, nawiązuje kontakt z widownią, płacze się między aktorami, baletnicami, włącza się w taniec, w grę – pełni rolę nieco podobną do cyrkowego błazna. Prawdziwie cyrkowym elementem jest występ szczudlarza: zjawiskowa postać zionie ogniem, zongluje piłeczkami, kółkami, płonącymi żagwiami. Niczym magik – udaje, że coś zgubił i znajduje w całkiem innym miejscu.

Przez scenę przewija się w tańcu kilka pokoleń artystów baletu - od maluchów, uczniów szkoły baletowej, poprzez nastoletnich, prawdopodobnie zaawansowanych uczniów szkoły średniej, po dorosłych artystów i nauczycieli szkoły baletowej. Jak połączono balet z akrobacją? Kim była piosenkarka, której solowy występ stanowił niejako intermedium przedstawienia? Na wiele nurtujących pytań nie mam odpowiedzi. Widowisko pozostanie na zawsze w mojej pamięci – niedopowiedziane.

Następnego dnia wracamy z Madery do Polski. W samolocie, lecącym do Berlina, zajmuję miejsce przy oknie. Widoki, dosłownie: nieziemskie. Mężczyzna w fotelu przede mną ogląda na smartfonie film. W pewnym momencie Sylwia nachyliła się do mnie: - Facet ma ciebie nagrany na koncercie.- Ciekawe! Stałam wśród licznych widzów, dla których nie starczyło miejsc na kamiennych ławach. Dlaczego mnie nagrał? Na to pytanie też nie znajduję odpowiedzi.

Facebook

W połowie marca postanawiam rozwinąć kontakty towarzyskie. Skończył się brydż, rozgrywki w kości, spotkania ze znajomymi na Niskiej, przy „koszyczkowym” stole. Marna perspektywa, że uda się jeszcze gościć na działce Kasi, mojej niegdysiejszej uczennicy. Dobrze, że w jakiś w miarę pogodny dzień zadzwoniła i wraz z jej przyjacielem, Staszkiem, pojechaliśmy do ogródków działkowych. Rozstawili stół na trawie, włączyli grilla. Zanim zarumieniły się

kielbaski, podpiekła kaszanka, chodziliśmy wśród drzew i krzewów w poszukiwaniu oznak nadchodzącej wiosny. Zakwitły pierwsze kwiaty, do życia obudziły się przeróżne rośliny, każda z nich nazwana, wytęskniona przez Kasię w czasie długiej zimy – niezimy. Był to pierwszy, a może także ostatni, piknik w tym roku.

Staszka i Jan posiali w domu pomidory, sałatę, paprykę, całe parapety zastawili doniczkami, pojemnikami i czekają na stosowny czas, by rozsadę przenieść do ziemi. Często bywałam na ich działce – wypieszczonej, wypracowanej, obfitującej w warzywa, kwiaty, zioła, obsadzonej porzeczkami i krzewami borówki amerykańskiej. Są ludzie, którzy na działkach budują wille, im wystarczy altana, opleciona pnączami winogron. Każdy kawałek ziemi ma tu swoje przeznaczenie... i rodzi. Tu w przeszłości spotykali się znajomi, przy dobrej pogodzie udało się kilka razy pograć w brydża. Teraz istnieje mała szansa, że w tym roku zobaczę wiosnę w zaprzyjaźnionym ogrodzie. Może latem koronowany złośliwiec odpuści?

Urwały się kontakty osobiste, więc przeniosłam się w wirtualną przestrzeń. Wąskie na początku grono znajomych powoli się zwiększa. Nie spieszy mi się. Na początku byłam biernym uczestnikiem forum. Zachęcona przez Monikę, której przez telefon czytałam świeżo napisane fraszki, zaczęłam wrzucać do Facebooka wiersze i aforyzmy, aż stało się to zwyczajem dnia – dla mnie i odbiorców. Zaczęłam poważnie:

Kto pod kim

Za smog, rabunek, lekceważenie,
za śmieci w morzu i górach,
bierze odwet na globalnej wiosce
nieujarzmiona natura.

Przewartościowanie

Skryty głęboko dylemat
„mieć albo być”
stał się przekazem dnia:
Chcemy żyć, po prostu – żyć.

Z przerażeniem odkryłam, że straszą w telewizji i przez radio, straszą na Facebooku. Niektórzy grzmia w imię Boga, wchodzą na szczyty moralizatorstwa. Wszyscy się boimy, lęk jest w nas. Papież Franciszek modli się, nie grzmi, nie przybiera pozy inkwizytora. On wie, on czuje, że w tym trudnym czasie ludzie potrzebują nadziei. Buntuję się przeciw własnemu lękowi, buntuję się przeciw dokładaniu zła do zła. Pamiętam, dawno temu, byłam świadkiem zdarzenia: dziecko biegło, potknęło się i przewróciło. Zakrwawione kolana, ręce. Do płaczącego chłopca podbiegła matka i wymierzyła mu kilka klapsów: - A mówiłam ci, żebyś tak nie biegał! Niektóre wpisy na Facebooku przypominają klapsy, są jednak bardziej bolesne. Nie tego nam potrzeba. Wpisuję na forum wiersz „Nadzieja” z tomiku „Jaskółka”. Akceptacja. Pozwalam sobie na żarty:

Wynik dodatni

Pewien pan złorzeczy,
bo mu rzeczywistość skrzeczy:
będąc u pewnej dziewczeczki
chronił osłoną łono,
lecz zapomniał na twarz
założyć maseczki.

Julia 2020

Stoję na balkonie, jak Julia z Szekspira,
spoglądam na trawnik,
a Romea nie ma,
wzdycham zrozpaczona
tak jak owa panna,
jego źli rodzice
mnie więzi kwarantanna
i pytam nieśmiało: Czy w samotności
mam czekać na balkonie
do późnej starości?
Niech się zlituje chłop jaki-taki,
stanie pod balkonem, choćby dla draki.

Na me wołanie (mogę się pochwalić)
zjawił się Miecio – mąż Ali.

Nie skłamałam, Ala i Miecio mieszkają w bloku naprzeciwko. Na wsi, w Twardej, mają rodzinną posiadłość, w której hodują kurki. Miecio pocztą balkonową przejmuje zrzut dla gdaczącej czeredy.

Znajome pytają retorycznie, kiedy się to skończy. Każdemu, szczególnie osobom samotnym, doskwiera izolacja od zewnętrznego świata. Co robią kobiety? Najchętniej siedzą w kuchni, nawet te, mające pod opieką dzieci lub wnuki. Na Facebooku co rusz pojawiają się zdjęcia bułeczek, ciasteczek własnej roboty. Ja nie piekę ciast, za to lubię gotować. Krzątam się po kuchni, wymyślam pracochłonne potrawy, słucham radia. Nie zabijam czasu – nie jestem morderczynią tych chwil, które mi jeszcze pozostały. Po prostu robię to, co mi sprawia przyjemność. Ktoś te potrawy musi zjeść, a że gotuję smacznie, efekt jest do przewidzenia. Córka ostrzega: - Uważaj! Z kwarantanny wyjdą tylko ci, którzy zmieszczą się w drzwiach.

Łatwo jej mówić: jest zgrabna, szczupła, potrafi sobie narzucić reżim w jedzeniu - w przeciwieństwie do mnie. Z rozmów telefonicznych i publikacji na forum wynika, że otyłość jest nieodłącznym, powszechnym czynnikiem, towarzyszącym koronawirusowi - jednym słowem: stan epidemii do potęgi drugiej. Wpisuję więc post w formie wyznania:

Sama w domu

W odosobnieniu
ciągle myślę o jedzeniu,
kurczy się biustonosz, gacie,
wkrótce mnie już nie poznać.
Co tu robić, Moi Drodzy,
skoro się nie umiem głodzić?
Seks? A z kim? Wszak kwarantanna.
Pełna zimnej wody wanna?
Brr! Niech Morsy w niej nurkują,
oni w zimnie się lubują.
Nie ma wyjścia, siedzę w domu,
tyję, brzydnę po kryjomu.
Każdy z nas – jak śledzie w puszkach...
Dość!
Wesołe jest życie staruszka!

Wniosek:

Lepiej tyć i tłuszczyk mnożyć,
niż z wirusem cudzołożyć.

Od czasu do czasu wrzucam jakiś wiersz, zapisany w dorobku poetyckim. Wybieram teksty, niosące nadzieję: o wiośnie, o życiu, o konieczności zatrzymania się na chwilę, by dostrzec uroki świata. W komentarzach znajduję starego znajomego sprzed wielu lat i Thanga, mojego wietnamskiego studenta, którego dawno nie widziałam. Rozmawiałam z nim przez telefon wiele razy, kiedy odwiedzał mnie Nguyen Thanh To – łączył się wtedy z kolegami i z każdym z nich zamieniałam choć parę słów. Duong Thang wyraża dumę ze swojej nauczycielki, od dawna tłumaczy niektóre moje wiersze na język wietnamski. Kto by pomyślał w czasie, gdy w Wietnamie była wojna, że kiedyś odwiedzę ojczyznę swoich studentów, napiszę „Wietnamski sen” – dla Polaków, a Wietnamczycy będą czytali moje wiersze.

Nie wiem, jak niektórzy to robią, że mają 5 tys. „polubień”, czym chwaliła się pewna uczestniczka pleneru literackiego. Ja mam najwyżej 26, i tym się cieszę. Nie potrafię upowszechniać swojej twórczości – błąd. Już nie sprawdza się powiedzenie mojej mamy: „Siedź w kącie, a znajdą cię”. Dziś trzeba być przebojowym i dobrze orientować się w Internecie. Może jeszcze zdążę. Tymczasem cieszę się małym: Ela (amazonka) pisze: - Jak dobrze, Emilko, że cię mamy. Jest trochę „polubień” i bardzo sympatyczne komentarze.

Najbardziej satysfakcjonują mnie wpisy od Thanga: „Na szczęście jeszcze rozumiem język polski, którego mnie uczysz, Emilko”. „Bardzo mi miło, że znów mogę czytać twoje wiersze z Internetu. To mi pomóc może zrozumieć twoje uczucie do życia i do ludzi”. „Czytam twój wiersz i to daje mi piękne uczucie, bo kocham bardzo język polski”. Może jest to niezgrabna polszczyzna, ale przecież minęły 53 lata od chwili, gdy Thang uczył się naszego języka. Pamiętam jego egzamin semestralny: miał pytanie o Maćka Chełmickiego z „Popiołu i diamentu”. Chodziliśmy do kina, „Samych swoich” oglądaliśmy wspólnie kilka razy. Wypowiedź Thanga zapadła mi w pamięć, bo porównywał losy obu naszych narodów – Polaków i Wietnamczyków. Dobrze rozumiał trudny dylemat Maćka i Andrzeja – przedstawicieli „straconego pokolenia”.

Jak wygląda sytuacja w Wietnamie w okresie koronawirusa? Na moje pytanie odpowiedział komentarzem bajki „Pies i kot”, którą zamieściłam na forum: „Kot jest niezależny, bo nie ma łańcucha”. I nic więcej na ten temat. My już zapomnieliśmy o cenzurze, chociaż pięknie brzmiące słowo „Pegasus” budzi obawę, czy jesteśmy bezpieczni w sferze prywatności.

Czekamy

Noc przyniosła zmianę czasu
wreszcie zegar
który się nie poddawał
wrócił do łask
i tylko pajęczyna
osiadła na domofonie
przywraca szmerem najcichszym
słowa z dawnych lat:
rozmowa kontrolowana
proszę czekać, proszę czekać
rozmowa kontrolowana
rozmowa kontrolowana
proszę czekać

Czekamy

Czuję się, jak w czasie stanu wojennego, nawet gorzej, bo wtedy nie zamykano cmentarzy, parków i lasu. Po ulicach krążyły policyjne wozy i nadają przez megafony komunikaty, w których najważniejsze są słowa: „Zostań w domu!”. Nie musiałam (i nie mogłam) siedzieć w domu: pracowałam, spotykałam się z rodziną i znajomymi. Stan wojenny się skończył. Wtedy czułam się tak, jakbym żyła pod wodą. Wypłynęłam, wszyscy wydostaliśmy się na powierzchnię. Okrzepliśmy, zdążyliśmy obrosnąć w dobrobyt, w tak zwaną stabilizację. Okazało się, że jest ona mała, jak u Różewicza, bo praktycznie skończyła się pod Smoleńskiem. Podzieleni, z pęknięciem, jakie zdarzają się starym drzewom, doświadczamy ich choroby: drażni nas kornik – niechęci, nienawiści. Z nowym, nieznanym niebezpieczeństwem, pojawiła się także nadzieja: może globalne zagrożenie połączy ludzi, narody? A gdzie tam! Włosi zostali sami ze swoją tragedią, Polska wznowiła granice. Może

dobrze, będzie trudniej wirusowi przenikać w głąb naszego kraju, a może, zamiast płotów, należałoby stosować testy – których brak? Do jakiej rzeczywistości wrócę, jeśli uda mi się przeżyć? Czy spełnią się słowa zięcia: - Mijka! Jeszcze kiedyś wszyscy polecimy na Maderę...

Z tęsknoty za zwyczajnym dniem rodzi się wiersz:

28 marca 2020 roku godz. 20. 20

Wieczór

złoty sierp księżycy

na granatowym niebie

jak namalowany

i tylko jedna gwiazda

ale przecież – jeśli dobra

wystarczy dla wszystkich

w domu, w szpitalu, pracy

zatrzymanych w oczekiwaniu

na zwyczajny dzień

Następnego dnia, 29 marca, zmarł Krzysztof Penderecki.

Prima aprilis

Pierwszy kwietnia. Nikt nikogo nie okłamuje, w radiu i telewizji nie pojawia się żadna sensacyjna wiadomość, która rankiem następnego dnia kwitowana jest komentarzem: „prima aprilis”. Wietnamczykowi bardzo się nasz zwyczaj podobał, mówili, że jest to święto kłamstwa. Przed laty, kiedy jeszcze pracowałam jako nauczycielka, sprawiłam naszej księgowej niezły kawał. Wtedy brakowało wszystkiego. Zima była ostra, a kupka węgla i koksu kurczyła się w zastraszającym tempie. Siedziałam w domu, na zwolnieniu lekarskim – dopadła mnie grypa. Nawet nie bardzo była potrzebna chusteczka, której użyłam do zmiany głosu przez telefon:

– Dzwonię z ekspedycji PKP. Kiedy odbierzecie te dwa wagony koksu, które stoją na bocznicy? Będziecie płacić postojowe!

- Nikt nas nie powiadomił. Marzniemy, kończy nam się opał, a pani mówi, że mamy przydział koksu?

- Wagony czekają od dwóch dni na rozładunek. Jeśli dzisiaj tego nie zrobicie, skierujemy koks do innego odbiorcy.

- Chwileczkę, proszę pani, już załatwiam. Do kogo mamy się zgłosić?

- Do mnie, Basiu! Mówi Miła. Prima aprilis!

Szok, śmiech...i rozczarowanie. Po latach wspominamy to zdarzenie tak, jak się wspomina wszystkie złe chwile, kiedy już przeminą. Nawet z nutką sentymentu, bo przecież, choć doskwierała rzeczywistość, wskazówka licznika określała pełnię życia.

Tak więc prima aprilis 2020 obył się bez telefonicznych kawałów, odkrycia nowego źródła ropy naftowej, obniżki cen żywności i planowanych występów Madonny w katowickim „Spodku”. Za to ja święciłam ten dzień w sposób szczególny: na Facebooku wpisałam datę urodzin: 1 kwietnia 1942 rok. Nie odjęłam sobie lat, za to dołożyłam kilka dni i miesięcy. Nie wszystkie informacje są na sprzedaż, inaczej Urząd Ochrony Danych byłby bezużyteczny. W dniu moich fikcyjnych urodzin otrzymałam mnóstwo życzeń, nawet od dobrze znanych mi osób, które wiedzą, że jesienią obchodzę urodziny, i to dwa razy. Przestały sobie wierzyć?

Trudne dni

Zawsze boję się tego dnia, bo wszystko się przypomina. Wyobrażenia podsuwa obrazy, których nie chciałoby się widzieć. 10 kwietnia, dziesiąta rocznica Smoleńska. Wtedy, każdego dnia, pisałam, dla siebie. Trudno było mówić o tym, co się wydarzyło, więc pisałam, żeby się nie udławić. Później zamieściłam cykl „Smoleńsk – subiektywny zapis wydarzeń” w tomiku „Miejsce na Ziemi” – przecież inni czuli tak samo, tylko nie każdy rejestruje fakty, zapisuje myśli. Tym, którzy przeżywają ten dzień w sposób szczególny, przekazuję na Facebooku pierwszy i ostatni wiersz:

Trudno uwierzyć

Rano słucham „Trójki”
w sobotnim „Śniadaniu”, jak zwykle
spory – rozmowy
nagle zaczęło się dziać coś dziwnego
przerwano dyskusję, ktoś odebrał telefon
ktoś wychodził – wracał
przyjmowano jakieś wiadomości z zewnątrz
z którymi dziennikarka i politycy
świadomi obecności na antenie
nie bardzo wiedzieli, co robić
do słuchaczy stopniowo docierały
urwane słowa, składające się w całość
sprzecznych komunikatów:
awaria prezydenckiego samolotu
na pokładzie nie było Prezydenta
nikt nie zginął
katastrofa – wszyscy zginęli
także Prezydent
nie pojmuję – nie wierzę

jak wtedy – 11 września

Powtarzana wielokrotnie lista ofiar
wywołuje obraz ludzi, którzy dopiero co – byli
zostawili niedoczytaną książkę
sprawę do załatwienia
wiadomość do przekazania
Wędruję od radia do telewizora
jedni dopatrują się fatum „przeklętej ziemi”
inni podkreślają, że historia zatoczyła koło
pierścien – literacka konstrukcja zdarzeń
gotowy scenariusz dla realizatorów filmu
każde takie wielkie wydarzenie (patrz: „Titanic”)
wcześniej czy później
znajduje swoje miejsce w historii, literaturze i filmie
a dziś – trudno uwierzyć
przecież ptaki śpiewają jak zwykle

Sobota 10 kwietnia 2010 roku

Tak było. Po dziesięciu latach w „Trójce” odtworzono obszerne fragmenty spotkania. Teraz mogłam chociaż płakać.

Cykl kończy wiersz:

Poniedziałek – Epilog

Jeszcze wciąż słyszeć marsz Chopina
a tu wiosna ciśnie się w oczy
i by w smutku się nie zapominać
życia pięknem chce nas zauroczyć

Znikła mgła, co zabrała ofiary
czarna chmura powoli opada
znów realnie tykają zegary
dziś na jutro zwykle plany układa

W jednym bycie wiosny i jesienie

ból i radość – smutek i nadzieja
moje wiersze – pamięci nasienie
Jakie wnuk owoce pozbiera?

19 kwietnia 2010 roku

Minął piątek, nastąpiła Wielka Sobota, bez święcenia pisanek, bez obecności najbliższych. Sama. Tylko telefon, radio i telewizor. W niedzielę, 12 kwietnia, cisza. Jak sięgam pamięcią, zawsze rano słychać było dźwięk dzwonów i wystrzały petard. Za moich dziecięcych lat chłopcy strzelali z puszek – to była jakaś samorodna konstrukcja, z użyciem saletry. Ponoć zabawa niebezpieczna, ale kto by chłopakom, którzy przeżyli wojnę, zabronił odrobinę poszaleć? W Internecie oglądam zdjęcia świątecznie nakrytych stołów. Nie zamierzam imitować świątecznego nastroju – po prostu go nie ma. Nie pogrążam się też w ponurych nastrojach, takich jak ja jest więcej. Taki czas. Trzy lata temu spędzaliśmy rodzinne święta w Krakowie. Było ciekawie, po nowemu. Młodzi szukają innych form spędzania świąt, nie trzymają się kurczowo tradycji. Może mają rację? Świat się zmienia, łacińskie przysłowie mówi, że czasy się zmieniają, a my zmieniamy się wraz z nimi. Moja matka zawsze kręciła ciasto palką, a kiedy zastosowałam bardziej nowoczesną metodę, mówiła: - To nie po mojemu! - Od czasu do czasu słyszałam: „To nie po mojemu” i odpowiadałam – Ale po mojemu!

Święta wielkanocne zostaną w pamięci, w zakładce: „trudne dni”, z nadzieją, że, zawarty w nich symbol odrodzonego życia, spełni się (bez zbędnej zwłoki), i oby to było godne życie.

Telefony

Od dwunastego roku życia miałam dostęp do telefonu. Nic dziwnego? Zależy, jak dla kogo. Starsze osoby dobrze mnie zrozumieją. Dziś niewyobrażalne jest życie bez telefonu. Poczciwa komórka uratowała niejedno ludzkie istnienie. Przydatna do zwykłego bla, bla, bla, użyteczna w ważnych sprawach, niezbędna w koronawirusowej izolacji. Dzwonię do znajomych, oni dzwonią do mnie, częściej niż zwykle, skoro nie możemy się odwiedzać. Przez jakiś czas Renatka pytała, co słyszać, więc odpowiadałam, że radio na zmianę z telewizorem. W początkowym okresie pandemii chodziła jeszcze do wnuków, później zmuszona została, jak inni, pozostać w domu. Kiedy wyszła po raz pierwszy na zakupy, poczuła, że uginają się jej nogi. Cztery tygodnie spędziła w mieszkaniu na czwartym piętrze, konieczne artykuły dostarczała jej córka. – Muszę częściej wychodzić z domu – przyznała mi rację po wielokrotnych namowach – bo w końcu zapomnę, jak się chodzi.

Zosia ma ogród, ale jest za zimno, by cokolwiek w nim robić. Czasem wychodzi, na chwilę. Niezbędne zakupy załatwiają dzieci – na zmianę: córka i syn. - Stają w progu i tak wyglądają nasze spotkania. Kiedy to wszystko się skończy? Wnuczki przyjechały, zajrzały przez okno. Co to za życie? U was, w blokach, jest przynajmniej jakiś ruch, w naszej dzielnicy pusto, nikogo nie widać, nawet samochody nie jeżdżą ulicą. Czasem porozmawiam przez płot z bratową, ot i wszystko. A ty, jak żyjesz?- Opowiadam jej o małych rzeczach, które składają się na powszedni dzień. Coś nas w tej sytuacji łączy: obie lubimy gotować, obie tyjemy i nie zamierzamy się ważyć.

Krysia ubolewa, że nie może chodzić do kościoła, modli się w domu, uczestniczy w transmisji nabożeństw. Brakuje jej wspólnoty, w której bardzo aktywnie uczestniczyła. Jak to bywa

w tym wieku, ma problemy ze zdrowiem i niepokoi się odłożonymi, nie wiadomo na kiedy, wizytami.

Ula dzwoni od czasu do czasu, by zrelacjonować bieżący stan badań – leczenia nowotworu, który odkryła u siebie w czasie Bożego Narodzenia. Dokucza jej serce, boi się planowanego zabiegu. Ja też wizytuję ją telefonicznie, bo nie może zbyt długo być sama ze swoimi troskami. Sprowadzam ją niekiedy z trudnego tematu i wtedy bawimy się dowcipami, opowiadamy, co która ugotowała, wymieniamy wiadomości na temat znajomych. Ula żałuje straconego wyjazdu na Majorkę, ale jak to ona, żartobliwie zwierza się z propozycji pana, który prawdopodobnie coś do niej poczuł: - Wyobraź sobie, że zaproponował mi wspólny, atrakcyjny wyjazd w wakacje. – Dokąd- pytam - chce cię porwać? – Podał jakąś nazwę, ale zapomniałam. Może Madera, tam, gdzie ty byłaś, bo to chyba było na „M”. Ja tego nie traktuję serio, ale pochlebia mi, jak on całuje mnie w rękę, nie tak „cmok” i już, tylko przetrzymuje, rzuca powłóczyście spojrzenia. Facet wszystko potrafi, prawdziwa „złota rączka”. W jego obecności czuję się jak podłotek. Szkoda, że nie wiem, co to są motyle w brzuchu, bo może bym je poczuła.

W piątek, 24 kwietnia, Ula będzie miała zabieg. Kiedy już trochę dojdzie do siebie, córka zabierze ją do swego domu pod Wrocławiem. To tam Ula będzie mogła znów zobaczyć dżentelmena, który zachowuje niemodny zwyczaj całowania w rękę. Może tym razem poczuje motyle w brzuchu? Jak przywita ją romantyczny Roman, przypominający dojrzałego Romea – czy mimo przeciwwskazań, będzie całował dłoń wybranki swojego serca?

Iza od dawna siedzi w domu. Jak to bywa w zaawansowanym wieku, cierpi na różne dolegliwości. Dotąd jedyną jej rozrywką były poniedziałkowe brydże, teraz narzeka na samotność. Córka przynosi zakupy, staje w progu lub, jak mówi Iza – wpada do kuchni. W czasie świąt zrobiły wyjątek: w pierwszy dzień zjadły wspólne śniadanie, w drugi – obiad. Jak wiele odizolowanych osób, zadaje retoryczne pytanie: - Emilko! Kiedy się to skończy? - Beata drży o jej zdrowie, unika bliskich kontaktów, żeby nie narażać matki. Tworzy się błędne koło - nie wiadomo, co gorsze: lęk przed zarażeniem czy poczucie samotności...

Staszka i Jan zdają mi co jakiś czas relacje z działki. Wczoraj, czekając na wodę, która raz jest, to znów jej nie ma, Stasia zadzwoniła z wiadomością, że odkryła piękne, nieznane jej białe kwiatuszki. – Co to może być? Przecież ich wcześniej nie było. I wiesz co? Zgniotłam i spróbowałam listek. To twój czosnek niedźwiedzi, szerokolistny, ten, co przywiozłaś nam z Kudowy. Rośnie! Masz coś swojego na naszej działce!

Zofia W. jest poetką. Z domu wychodzi tylko na konieczne zakupy. Doskonali znajomość języka angielskiego, czyta w oryginale klasyków literatury. Pisze piękne wiersze o miłości, jest mistrzynią zwięzłego wyrażania myśli i uczuć. Potrafi tak pięknie się śmiać, że kiedyś została poproszona o specjalny występ na podsumowanie pleneru literackiego. W rozmowie telefonicznej rzadko słyszę jej śmiech – na ogół rozmawiamy o sprawach poważnych. Wkrótce Zosia wyjedzie z miasta do swojej wiejskiej rezydencji, zajmie się ogrodem, będzie siać i sadzić, podlewać i przycinać. Szkoda, że tak prędko się nie spotkamy – plenery zostały odwołane na czas nieokreślony.

Irenka i Staszek Nyczajowie, literackie małżeństwo, zawsze mają co robić, ale znajdują też chwile na rozrywkę, na rozmowy telefoniczne. Irenka namawia mnie do oglądania w Internecie filmików z pumą i „tygrysykami” z poznańskiego ZOO. Całą trójką, wraz z synem Pawłem, czerpią ogromną radość z wirtualnego kontaktu ze zwierzakami. Irenka dodaje, że przy okazji „szlifuje” swój rosyjski.

Ewa, córka mojej siostry, pyta, co dzisiaj planuję. A co mogę planować? Jej skończyły się, przynajmniej na jakiś czas, dyżury u dzieci. Porobiła porządki w domu, doczytuje dostępne jej książki. Niedługo będzie miała problem, bo nie zgromadziła księgozbioru, a biblioteki są nieczynne. Codziennie robi rundkę rowerem. – Na nogach daleko bym nie zaszła,

a rowerkiem parę kilometrów się robi – mówi zatrzymana moim telefonem na trasie. Najczęściej punktem docelowym jest cmentarz. Siada przy grobie matki, męża, babci i dziadka. Zapewne wspomina. Kiedyś się zwierzyła – Wiesz, nie wyobrażałam sobie, że człowiek samotny może szukać radości na cmentarzu. Tu jest tak pięknie, ptaki śpiewają, cicho, pogodnie.

Dzieci dzwonią co dzień, przeważnie mnie wyprzedzają. Troszczą się o mnie. Nie dziwię się, przecież gdyby coś mi się stało, nikt by nawet o tym nie wiedział. Każdy żyje swoim życiem i o innych przypomina sobie od czasu do czasu.

15 kwietnia były urodziny wnuka. Przeważnie w tym dniu jesteśmy razem. Złożyłam mu życzenia przez telefon. Banalne „zdrowia, szczęścia, pomyślności” już nie jest tak oczywiste. A może nie ma banalnych słów, tylko ich sens zależy od sytuacji i intencji?

Wyprawa w świat

Wczoraj uwolniono parki, cmentarze komunalne, dzikie tereny zielone i lasy. Ludzie się cieszą, ja też, ale z rezerwą, bo przypomina mi się szmonces o Mošku, któremu rabe kazał kupić kozę, a potem sprzedać. Wybrałam się na Niebieskie Źródła. Po miesiącu, a może nawet dłuższym czasie, wsiałam do autobusu – z niejakim lękiem. Na co drugim siedzeniu wywieszka, informująca, że tu nie należy siadać. Daleko nie zajechałam, bo autobus skręcił, zamiast jechać prosto. Okazało się, że przez zaporowane okulary nie dostrzegłam właściwej cyfry, pomyliłam ósemkę z dziewiątką. Wsiadłam na pierwszym przystanku, zrobiłam rundkę w stronę areny lodowej, przeszłam przez pole, zaorane po nieudanych odwiertach, mających na celu dotarcie do wód geotermalnych. Obok znajduje się miejsce, przez najstarszych mieszkańców miasta nazywane strzelnicą. To tu, w czasie okupacji, odbywały się egzekucje. Teren się kurczy, zarasta krzewami, chwastami, i tylko kamień i tablica pamiątkowa na wzniesieniu mówią o wydarzeniach, które dla większości żyjących są historią.

Obowiązkowe noszenie maseczki jest dla mnie utrapieniem. Duszę się, okulary zachodzą parą. Zastanawiam się, czy nie wyjąć z dokumentacji medycznej karty informacyjnej ze szpitala po udrażnianiu nosa. Mam pecha do rehabilitacji i zabiegów: wtedy, w Piotrkowie, lekarz laryngolog wściekł się, bo operował tępymi narzędziami. Wspomnienia raczej niemiłe. Zaćmę z prawego oka miał mi usuwać wybitny specjalista w stopniu profesora. W trakcie zabiegu uszkodzono mi rogówkę, o czym profesor nie miał pojęcia. Widocznie oddał mnie, jako królika doświadczalnego, któremuś ze swoich uczniów. Operację drugiego oka odwołałam – jeszcze widzę. Wracając z sanatorium na dworcu w Zakopanem uległam kontuzji – wypadły trzy dyski. W pierwszy dzień pobytu w Ciechocinku upadłam i złamałam rękę. Mogłabym przytoczyć jeszcze wiele, pomniejszych przypadków. Wniosek: leczenie nie wychodzi mi na zdrowie.

Dziś ponownie wybrałam się na Niebieskie Źródła. Dojechałam autobusem do pętli i ruszyłam w las. Dawno tu nie byłam, witam drzewa, sosny i brzozy, jak bliskie istoty, za którymi się tęskniło. Susza. Podszycie aż chrzęści po butami. Nic dziwnego, że piękny rezerwat biebrzański trawi ogień. Podobny charakter mają tereny położone blisko Kostrzyna, gdzie kiedyś mieszkali dzieci. Nie mogłam się napatrzeć na sunące po niebie klucze żurawi, dzikich gęsi. Czasem olbrzymią gromadą spadały na pola, w poszukiwaniu jedzenia – prawie nie było widać ziemi, tylko biel. Kiedyś, będąc na grzybobraniu, zobaczyłam mnóstwo gęsi w zagajniku – wyglądały jak domowe, tyle że domowe gęsi nie bywają w lesie. Jechaliśmy czasem samochodem za miasto, aby popatrzeć na niedostępne ludzkiej nodze mokradła. Z chaszczy wiała jakaś tajemna moc, jaką ma w sobie nieujarzmiona natura.

Dzikie tereny służą ptactwu jako teren lęgów, przystanek w jesiennej i wiosennej wędrówce. Wyobrażam sobie dramat zwierzyny, osaczonej przez ogień. A przecież miało być tak pięknie, duża część tych, które zginęły w pożarze, spodziewała się powiększenia rodziny...

Las, przylegający do Niebieskich Źródeł, porastają sosny o pniach jak z bajki – mają poskręcane pnie i mocno rozwichrzone korony. Prawdopodobnie jest to efekt działania podziemnych źródeł. Brzozy się nie poddają, może dlatego, że zasiedlają wzgórze – są proste, strzeliste, rosną prosto ku niebu, ku słońcu.

Przysiadam na wielkim kamieniu, jednym z kilku, które nie wiadomo, jak się tu znalazły. Uwalniam się od maseczki i dzwonię do Zofii. Ona od dawna nie była na spacerze, więc przekazuję jej relację z lasu, nadaję śpiew ptaka, który usadowił się na pobliskiej sośnie. W głębszej partii lasu trafiaam na teren mocno zryty przez dziki. Jest ich u nas mnóstwo, podchodzą blisko domów, w Spale pojawiają się nawet na ulicach. Rozmnożyły się też bobry. Strażnicy przyrody mają problem: bobry są pod ochroną i Niebieskie Źródła są pod ochroną, ale bobry dewastują teren rezerwatu – wciąż widać nowe ślady ich działalności.

Robię kółeczko i wracam ścieżką w kierunku rozlewiska. Cisza, tylko od strony jezdnii dobiega odgłos, przejeżdżających od czasu do czasu, samochodów. Mimo pięknej pogody na drózkach pusto, rzadko pojawia się przechodzień, lub para spacerowiczów. Nikt nie obsiaduje ławeczek, brak nawet traperów, spijających piwo w towarzystwie kumpli. Kaczek też jest niewiele, reszta chyba siedzi w gniazdach. Nie podlegają, jak ludzie, kwarantannie, ale przecież u nich to czas cierpliwego oczekiwania na potomstwo.

Woda odbija lustrzany obraz drzew – zdaje się zielona, z tańczącymi iskrami przebłysków słońca. Dzwonię do Sylwii, bo dzieci razem ze mną czekały na chwilę, gdy wyjdę na dalszy spacer, nie tylko wokół bloków. Córką z mężem też są na leśnym spacerze. Okiem wyobraźni wędruję z nimi, spoglądam na okoliczne wzgórza, podziwiam wszystkie odcienie zieleni. Jak dobrze, że zostaliśmy wyposażeni w pamięć i wyobraźnię, dzięki nim możemy przemieszczać się w czasie i przestrzeni. Drogę do domu przebyłam jednak w sposób fizyczny, na nogach, jak powiedzieliby górale. Autobus, kursujący ostatnio według sobotniego rozkładu, nie przyjechał. Cóż, może MZK oszczędza, mało kto korzysta teraz z komunikacji miejskiej. Po drodze przytuliłam się do brzozy. Skoro nie mam się do kogo przytulać, to niech chociaż drzewa dadzą mi siłę – tych zdrowotnych i duchowych. Nadziei i mocy przetrwania.

Dzień Ziemi

W tym dniu odbywa się zazwyczaj wielkie sprzątanie Ziemi. Ludzie najpierw śmiecą, potem sprzątają. Szkoda, że to nie ci sami. Sylwia dzwoni przed południem. Dzielimy się, między innymi, przemyśleniami, wątpliwościami, na temat obecnej sytuacji: czy śmieci będzie mniej, czy więcej? W lesie przez jakiś czas będzie czystiej, przyrasta jednak ilość plastiku w zmieszanych odpadach. Co z sortowaniem śmieci – ludzie sortują, ale sortownie, przynajmniej te, o których wiadomo, są nieczynne. Susza już jest, grozi jeszcze większa. – Jesteśmy sami sobie winni – mówi Sylwia. – Podobno – dodaję – na naszej ziemi będzie kiedyś pustynia. Na szczęście tego nie dożyję.

Pożar w Biebrzańskim Parku Narodowym trwa już kolejny dzień. Wiosną ludzie podpalają trawy. Czy ten pożar również został wywołany przez człowieka? Rozprzestrzenianiu się ognia sprzyja susza i dokonania w zakresie melioracji. Nabrało tempa podcinanie gałęzi, na której siedzimy, wszak dysponujemy wysoko rozwiniętą techniką. Można zachłysnąć się możliwościami, jakie daje rozwój nauki, cywilizacji, i można się z ich powodu udusić. Trzeba wreszcie oddzielić ziarno od plew: to, co naprawdę służy człowiekowi, jest potrzebne, od tego, co zbędne. Czy potrzeba każdy listek leku, tubę pasty do zębów, pakować w zafoliowane pudełko? Czy piwo musi być sprzedawane w plastikowych butelkach? Czy każdy cukierek ma

być zabezpieczony celofanem lub folią aluminiową? Czy naprawdę niezbędne jest nam tyle ubrań, samochodów ...? Można mnożyć to „czy”, rozważać za i przeciw, ważne, żeby wreszcie zacząć myśleć... i działać. Zdobywcy Księżyca nie potrafili rozwiązywać problemów znacznie bliższych, przyziemnych. „Po nas choćby potop”. Nie, po nas pustynia.

Po obiedzie znów korzystam ze złagodzenia przepisów. Idę wczorajszą trasą, w kierunku Ludwikowa, potem zawracam: dawno już nie oglądałam „oczek”. Dzień jest pochmurny, nie tak jak wczorajszy – pełen słońca. Pojedyncze osoby, matki z dziećmi, snują się nad rozlewiskiem. Na wodzie kilka kaczek, jeden łabędź, w koronach drzew niewidoczny dla oka chór śpiewaków. Na grobli mija mnie zamaskowany rowerzysta. – Dzień dobry! – Dzień dobry – odpowiadam i mężczyzna już wie – nie poznałam go. – A kto panią woził nad zalew? – pyta właściciel i kierowca busa w jednej osobie.

- Jeździ pan nadal busem? Odpowiada coś z pewnej już odległości, zrozumiałam jednak, że kursy do Smardzewic, z takiej czy innej przyczyny, zostały wstrzymane.

W połowie drogi do źródeł zatrzymuję się, zauroczona niezwykłym widokiem; po drugiej stronie wody, wysoko na olchach, czaple uwiły wielkie gniazda. Każdego roku jest ich więcej. Jedne tylko wychylają dzioby, inne widać w całej okazałości. Co chwilę jakiś ptak wylatuje, rozpościerając wielkie skrzydła, inny wraca do gniazda. To chyba samce, ale jak je nazwać: ona - czapla, a on – czapel czy pan czapla? Przypominają nieco bociany i żurawie, jednak pozostają sobą: cienkie nóżki, długie, wygięte szyje, jakby wciąż chciały kogoś podglądać. Na drugi rok będzie jeszcze więcej gniazd, przecież dzieci muszą „iść na swoje”.

Oczka źródeł mrugają jak zwykle, jak zawsze. W powrotnej drodze zwracam uwagę na kępę kaczęnców. Rozmawiam przez telefon z Ulą. W piątek ma zabieg, dzisiaj zrobiono jej EKG. Ula jest świeżo upieczoną prababcią, ale nie wyjdzie z domu, jeśli nie umaluje powiek i rzęs, nie robi fryzury. Jak ona przeżyje operację – bez makijażu? Teraz razem ze mną wędruje po Niebieskich Źródłach, wtrącając w czasie rozmowy, że ma za długie włosy, na szczęście córka przyjedzie, żeby się nią zaopiekować i przy okazji zajmie się fryzurą. Kiedy mówię o kaczęncach, wykrzykuje w zdumieniu: - To już? Już są kaczęnce? Wracamy do wspomnienia o Romanie. Ula jest cała w skowronkach, jak wiosna, w której odradza się życie. To piękne, bo ta prawdziwa wiosna dana jest nam fragmentarycznie, bez możliwości nacieszenia się nią do woli, bez ograniczeń.

Późnym popołudniem wychodzi słońce, jakby chciało przeprosić za nieobecność w tak ważnym dniu – święcie jego podopiecznej – Ziemi.

Czwartek, 23 kwietnia

Dzisiaj jest Światowy Dzień Książki. Miły, a zarazem budzący refleksje. Dawniej trudno się było przebić przez pajęczynę instytucji, aby wydać jakąś książkę, dziś każdy może publikować – pod warunkiem, że ma pieniądze lub znane nazwisko. Książki wydawane w małych wydawnictwach, za własne pieniądze, z góry skazane są na nieliczne grono czytelników. Jak w masie tytułów, zalegających księgarnie i Internet, przebić się do czytelnika? Młodym łatwiej, stukają po klawiaturze z szybkością sekundnika, a może szybciej, poruszają się w Internecie jak we własnym domu. Moje pokolenie to czas ołówka, długopisu, maszyny do pisania, odczuwające radość z każdego kolejnego ułatwienia. Za to młodzi nie czują takiej ulgi jak ja, kiedy zmieniam słowa, wstawiam uzupełniające treści. Maszynopisy trzeba było ciąć, doklejać, przepisywać...

W „szufladzie” leżą od lat materiały na trzy książeczki dla dzieci. Dwie, dotychczas wydane, cieszyły się dużym powodzeniem. Czy te, niepublikowane, mają jeszcze jakąkolwiek szansę? Było trudno, będzie gorzej. Kryzys dotknie wszystkich, ale jak zwykle: w pierwszym rzędzie

- kulturę. Nie widzę też perspektyw na spotkania autorskie w najbliższym czasie. Szkoda. Spotkania z dorosłymi czytelnikami dostarczały mi zawsze satysfakcji, ale nic nie dorówna kontaktom z dziećmi. Są mądre, spontaniczne, a odkrywanie przez nie poezji ma w sobie coś niezwykłego.

Jakkolwiek by nie było – dzisiaj jest święto książki, więc i moje. Bez autorów nie ma książek, a przecież nie każdy pretenduje zaraz do Nagrody Nobla. Nieliczni mają talent i mądrość na miarę Olgi Tokarczuk. Tym większa radość, że jest Polką, młodą osobą, która prawdopodobnie ma jeszcze wiele do powiedzenia. Na dodatek piękna, atrakcyjna. Aż dziw, że natura obdarzyła ją wszystkim, co miała najlepsze. Czasem myślę przewrotnie, że obostrzenia, które są dokuczliwe dla większości ludzi, jej, przynajmniej na jakiś czas, służą - może odpocząć od nadmiaru zobowiązań laureatki Nobla, powrócić do pisania.

Rozważania nad kondycją naszej Noblistki zakłócił mi zapach dochodzący z kuchni. Wstawiłam do piekarnika dwie teflonowe foremki z klopsiem, zajęłam się pisanie i... klops. Przemyślana, wypracowana potrawa, spiekła się, z trudem wyjęłam suche plastry z rynienek. Tak oto brak konsekwencji w działaniu rzutuje na efekty: najpierw stroniłam od komputera, teraz, kiedy siadę przed klawiaturą, popadam w amok. Cieszy mnie to pisanie – łatwiej mi chyba, niż wielu samotnym ludziom, przetrwać trudny czas.

Popołudnie na Źródłach. Spaceruję, siadam na ławeczce, podziwiam perłę, którą mojej ziemi podarowała przyroda. Zieleń jest coraz bardziej intensywna. Na lustrze wody igrają refleksy światła, przeglądają się swemu odbiciu stare olchy. Ptactwo pokryło się w gniazdach, zaledwie kilka kaczek pływa po rozlewisku. Urozmaicam relaks rozmowami, wciąż sławiąc w myśli wynalazców telefonii komórkowej.

Nisia, teściowa Sylwii, opowiada o swoim ogrodzie. O tej porze roku jest najpiękniejszy: sasanki i krokusy przekwitły, tulipanów jest całe mnóstwo, zrobiła im zdjęcie, póki są w pełnej krasie urody. Kwitną prymulki, hortensje trochę ucierpiały w czasie przymrozków, ale już odbijają, chyba wrócą do „zdrowia”. Przycięła jakiś krzew, teraz odpoczywa w fotelu z widokiem na ogród.

Dzieci właśnie skończyły obiad. Sylwia była u swojej koleżanki na działce. Siedziały w dużej odległości od siebie, po obu stronach działki. Pierwsze spotkanie „na żywo”, po dłuższym czasie, i dla obu...dziwne.

Po powrocie do domu odebrałam telefon od Stasi: zrobią zdjęcie smardzowi, który wyrósł pod piwonią i pokażą mi, kiedy podrzucą trochę zieleniny z działki.

Wieczorem film w AXN: z laboratorium wymyka się wirus, który wywołuje objawy podobne do grypy. Skutkiem jego działania może być śmierć milionów ludzi, bo wirus ma zdolność błyskawicznego rozprzestrzeniania się – głównie drogą kropelkową. Jak to bywa w kryminałach, wszystko dobrze się kończy. Szok – zbieżność z obecną sytuacją to tylko fantazja czy przewidywania?

Kolejny dzień

Wstaję wcześnie rano, chociaż nie muszę. Podobno starość tak ma. Śniadanie, lekarstwa, kawa, – zwykły rytuał, któremu towarzyszy radio, włączone o przyzwyczajonej porze. Od czasu do czasu zerkam przez okno; na niechciany parking, przejeżdżające samochody, pojawiających się z rzadka przechodniów. Niektórzy wchodzą w moje pole widzenia jak refren – biegacz, trenujący każdego dnia, kolega ze szkoły podstawowej: siwowłosa, starszy pan w towarzystwie białego pieska, i ten jeden, najbardziej intrygujący, nieznany. Mężczyzna pomaga sobie laską, porusza się z trudem. Zawsze jednakowo ubrany – czapka, brązowa kurtka, ciemne spodnie.

Idzie z prawej strony ku lewej, domyślam się, że okrąża bloki. Mam wrażenie, jakby kierował się ruchem odwrotnym do wskazówek zegara, a przecież, patrząc jego oczyma – idzie po prostu przed siebie. Od poniedziałku w jego ubiorze zaszła zmiana: zakłada maseczkę.

Kiedy tak wyglądam przez okno, myślę o opowiadaniach Marii Dąbrowskiej z czasów wojny „Tu zaszła zmiana”. Odległa rzeczywistość i tylko wspólny punkt widzenia, podyktowany ograniczoną możliwością przebywania poza domem. W zasadzie niczego nie planuję, bo takie już życie emeryta, że niczego nie musi. Od kilku dni rozkładem dnia rządzi pogoda. Dziś wybieram się na cmentarz, dawno nie odwiedzałam swoich bliskich. Pierwszy raz od początku pandemii jadę tak daleko autobusem. Pasażerów tyle, ile powinno być, zgodnie z zasadami. Odwiedzam kolejno rodzinne groby, więcej czasu spędzam przy pomniku drugiego męża mamy i jego żony, nazywanego w rodzinie „dziadkiem”. Upał. Z trudem wykonuję niezbędne prace porządkowe. Kiedy idę na grób brata, dostrzegam ludzi, zgromadzonych przy kaplicy – jest około dwudziestu osób, stoją pojedynczo i parami, w odpowiednich odstępach. Nie tak dawno ceremonii pogrzebowej towarzyszyła obecność policji – z daleka, dyskretnie, ale...

Pogrzeb Krzysztofa Pendereckiego odbył się nie wiadomo kiedy, nie wiadomo jak. Miał być pochowany na Wawelu – tyle wiemy z zapowiedzi medialnych. Może kiedyś stanie jego pomnik i dopiero wtedy godnie go pożegnamy?

Z cmentarza wracam na skróty, przez dzikie pole, do którego przylegają ogródki domów jednorodzinnych. Przed jednym stoję dłużej – jest cały w kwiatach, przeważają czerwone tulipany. Oczyma wyobraźni widzę sad w Bobrowcu – jest cały w bieli. Lubię wiosną odwiedzać znajomych, spacerować między rzędami jabłoni, czereśni, wiśni, cieszyć oczy delikatnym różem kwiatów brzoskwini. Może za rok?

Chciałoby się, żeby wiosna trwała jak najdłużej, żeby zwolniła, jak my, zatrzymani w pędzie, ale ona biegnie – do lata. To szczęście, że bzy dopiero zakwitną. Na cmentarzu, gdzie przeważają sztuczne kwiaty, na dwóch dziecięcych grobach, nieco zaniedbanych, zobaczyłam rozkwitające konwalie, na jednym, kryjącym kogoś ze starszego pokolenia, posadzono dwa rzędy bratków. Jak za dawnych lat. W tym trudnym czasie jestem poszukiwaczką skarbu – oznak życia, niosącego radość. Nawet na cmentarzu.

Świat, skażony koronawirusem, przypomina pociąg, w którym najpierw zerwano hamulec, potem zezwolono na powolny bieg.

Kiedy dotrze do stacji docelowej – wynalezienia szczepionki, zwycięstwa nad silniejszym, jak dotąd, przeciwnikiem?

Cofam się do skorupy

W jednej z telewizyjnych migawek, nakłaniających do pozostania w domu, pokazano żółwia, który wychyla się ze skorupy i z powrotem w niej chowa. Po kilku dniach wyglądam na świat i ja wróciłam do swojej skorupy – zimno, do tego porywy wiatru, przed którymi nie chroni nałożona na twarz maseczka. Od dwóch dni nie widzę mężczyzny z laseczką – za zimno, czy zachorował?

W piątek, późnym popołudniem, Stasia i Janek dostarczyli mi całą reklamówkę rzeżuchy, do tego szczypiorek, pietruszka, mięta, kilka gałązek kopru i...jedyne smardz, który w tym roku wyrósł na ich działce. Dowody przyjaźni czasem przejawiają się w takich, nawet z pozoru małych, gestach.

Sobota pochmurna, sprzyja przemyśleniom na temat czasu. Ileż on ma odmian: czas narodzin – czas śmierci, siewu – zbiorów, radości – smutku, satysfakcji – niepowodzeń, pracy

- wypoczynku. Można mnożyć przeciwstawienia. Jest czas teraźniejszy, tego, co się dzieje, czas przeszły – wspomnień i czas przyszły – w przewidywaniach, przypuszczeniach, planach, marzeniach. Równoległy – jedni się rodzą, inni umierają, ktoś śpi, ktoś pracuje... Zbieżny, np. w czasie meczu: jedni się cieszą zwycięstwem, drudzy schodzą z boiska pokonani. Czas przyspiesza w chwilach radości, zwalnia w smutku, nieszczęściu i kłopotach. Teraz żyję w zwolnionym przez wirus czasie, chociaż niektórzy nadal się spieszą: omal nie przejechała mnie na jezdni kobieta, która widziała, że już weszłam na przejście. Żyję wolniej – więc dłużej?

Niedziela także chłodna, słońce bawi się w chowanego – to jest, to go nie ma. Rankiem, jak zwykle, kuchnia, potem Facebook. W telewizji inspektor Monk. Jemu nic by nie przeszkadzało w czasie pandemii. Do idealnego zachowania, obowiązującego w naszych warunkach, brakuje mu tylko maseczki.

Do obiadu sałatka z zieloności dostarczonych przez „Drożdżików”, jak nazywa ich ksiądz Wacław. Doprawiona syropem klonowym jest tak smaczna, że zjadam część obiadu, przeznaczoną na poniedziałek. Trzeba to „spalić”, więc wybieram się na Niebieskie Źródła. Autobus przyjedzie prawie za godzinę – dobrze, wytracę na trasie trochę kalorii.

Przy wejściu na teren rezerwatu dawno nie widziany stragan z obwarzankami. Życie powoli wraca do normy. Ludzi mniej niż w zwykłą niedzielę, ale więcej niż w powszedni dzień. Wśród spacerowiczów przeważają rodziny z małymi dziećmi. Tafla wody na rozlewisku czysta, gładka, jakby tu nikt nie mieszkał. Dopiero przy oczkach dostrzegam parę cyranek, parę kaczek krzyżówek, jednego łabędzia. W pobliżu, oparci o barierę, stoją motocykliści; jeden, jak wynika z rozmowy, tomaszowianin, pozostali są w naszym mieście po raz pierwszy. „Miejscowy” opowiada im o źródłach, grotach i Zalewie Sulejowskim. Z przybrzeżnych szuwarów wypływa kaczka w towarzystwie piskląt. – To już, tak wcześniej? – rzuca w przestrzeń zdziwiony tomaszowianin. – Widocznie wcześniej zaczęła – odpowiadam na jego zdumienie. Już wkrótce woda zaroi się od ruchliwych kacząt, kwakanie będzie konkurowało z chórem ptaków, skrytych w koronach drzew.

W powrotnej drodze obserwuję gniazda czapli – cisza, jakby się nic nie działo, ale przecież tam w górze, w ptasiej porodówce, albo się wykluwają, albo już są na tym świecie, małe czaplęta.

Jak zwykle, przekazuję Zofii relację przez telefon. Ona wychodzi z domu raz na dwa tygodnie, robi duże zakupy i wraca – do angielskiego, do lektury książek. Wyjątkowo, w sobotę, zrobiła wyłom w swoim odosobnieniu, pojechała na wieś, żeby zobaczyć, co się dzieje w jej letniej posiadłości. – Sucho, ale trawa urosła, należałoby ją skosić. Krzewy róż poprzerastały, nie wiem, czy je przycinać, czy zostawić tak, jak są. Nie mam siły na prace porządkowe, na dodatek jest za zimno, żeby tam teraz przebywać – mówi w zatroskaniu. Pocieszam ją, że za kilka dni będzie ciepło, zapowiadają deszcz, będzie się mogła wyrwać z miasta, zmienić image.

Susza. Jeszcze niedawno całkiem inaczej zapowiadano pogodę: słoneczną z radością, optymizmem, prognozy, wieszczące deszcz, były raczej ponure. Przewidywano „pogodę dla bogaczy” - czasowiczów, plażowiczów, nie dla rolników. Dziś wszyscy czekamy na deszcz.

Jeszcze w zielone gramy

Kapitalne wykonanie piosenki Wojciecha Młynarskiego! Aktorzy teatru Ateneum i ich przyjaciele nadali utworowi nowy wymiar i nadzieję, że kultura się nie poddaje, jest potrzebna jak chleb. Słucham pieśni przez radio, odnajduję ją w Internecie, polecam znajomym. „Jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy...” – co może bardziej podnieść na duchu?

Potrzebna jest nam wiara, że będzie lepiej. Wojciecha Młynarskiego nie ma wśród żywych, ale żyją teksty jego autorstwa i zawarte w nich przesłania. Non omnis moriar.

Wczoraj wieczorem odbyłam kilka rozmów telefonicznych. Iza zjadła obiad w towarzystwie córki. – Po co gotować, skoro przywieziono nam z „Kwadransu” dwie porcje, za jedyne 37 złotych? Nie mam siły na krzatanie się po kuchni. Zostało na jutro, bo nie byliśmy w stanie wszystkiego zjeść – dodaje zadowolona z wizyty córki i wspólnego, po długim czasie, obiadu.

Jadzia, prezeska naszego zarządu TPD, troszczy się o dalszą formę działalności. Kolonii w tym roku nie będzie, z wiadomych względów. Co z akcją „Miś dzieciom”? Może zapowiedzieć w prasie, że odbędzie się w późniejszym terminie? Trzeba będzie zrobić zwiad, które rodziny potrzebują w obecnej sytuacji pomocy i jakoś to zorganizować. Przy okazji dzieli się smutkiem: – Wiesz, że mieliśmy kota, Miecia. Zawsze w naszym domu były zwierzaki, ale kiedy zabrakło Miecia, powiedziałam sobie: żadnych zwierząt więcej. Trzy tygodnie temu przybłąkało się małe kociątko, śliczne, czarno-białe. Jak je odrzucić? Zabawny, kochany, najpierw siedział w domu, potem zaczął wychodzić, jednak wracał. Przedwczoraj wyszedł i już nie wrócił. Może coś mu się stało? Tak mi go brak!

Pocieszałam moją rozmówczynię, że może ktoś go przygarnął. A może wróci. Nie trzeba myśleć o najgorszym. Dziś rano Jadzia przekazała radosną wiadomość: „Różyczka”, bo tak nazwali kociątko, które okazało się „dziewczynką”, wróciła.

Ja też odczuwam brak – kolejny dzień nie widzę starszego pana z laseczką. Pogoda ładna, słoneczna, przy gorszej spacerował. Co się z nim dzieje? Mam nadzieję, że on też wróci, że to tylko chwilowa nieobecność.

Po południu czeka mnie nietypowa wyprawa- muszę rozliczyć PIT. Od lat robię odpis na TPD. Niewielka kwota z emerytury, ale grosz do grosza...

Właścicielka biura, z którą się umówiłam, nie przyszła, ale zapewniła, że wszystko będzie w porządku, nie muszę się obawiać opóźnień. Wracając autobusem minęłam swój blok i pojechałam za Niebieskie Źródła. Mały spacer po lesie. Teren, niegdyś podmokły, dziś może być świadectwem suszy: liście, mech, gałązki, trzyczką po butami. Ścieżka prowadzi do mostku, gdzie rozlewisko zamienia się w strumień. Czysta woda spływa obficie z progu, przywołując na myśl obawę o przyszłe jej zasoby. Przysiadam na jednej z ławeczek. Intensywna zieleń drzew znów przypomina mi piosenkę „Jeszcze w zielone gramy”. Nadzieja nie jest matką głupich, ona jest potrzebna jak powietrze.

Spaceruję nad brzegiem rozlewiska. W jednym miejscu widać wyraźne kręgi, woda jest niespokojna. Kiedy podchodzę bliżej, widzę ławicę długich, czarnych, ryb. Płasają jak te z wietnamskiej anegdoty: Konfucjusz przechadzał się kiedyś ze swoim uczniem po terenie, okalającym świątynię. Zatrzymali się na mostku, pod którym płynął strumień, a w nim igrało mnóstwo małych rybek. – Popatrz – mówi nauczyciel – jakie te rybki są wesołe! – Skąd wiesz, Mistrzu, że one są wesołe? Przecież nie jesteś rybką! – A dlaczego ty uważasz, że ja nie wiem? Przecież nie jesteś mną!

Opuszczam zieloną oazę spokoju. Tuż obok tętni miasto. Kierowcy samochodów spieszą się, jakby chcieli nadrobić stracony czas. Z wysokości mostu spoglądam na Pilicę: zielona woda wiruje, głównym nurtem płynie do przodu, by po bokach wracać, jakby coś zgubiła. Jest w tym ziarno prawdy: zielony kolor „zawdzięcza” rzeka zalewowi, kwitnącym sinicom. Dziurawe szamba, przeżyźnione pola, zaśmiecone lasy – to wszystko składa się na zanieczyszczenie Zalewu Sulejowskiego. Piękna rzeka, piękny zalew. Można t y l k o wspominać czysty nurt Pilicy.

Oswajanie rzeczywistości

Około dziesiątej dzwoni Sylwia, pyta, jakie mam na dziś plany, co gotuję na obiad, czy przymierzam się do pisania, jaka pogoda.

-Pierogi ruskie z zamrażarki, botwinka – już kończę gotować. Pogoda – niestety – piękna. Zabieram się do pisania, a po południu wybiorę się na Źródła – odpowiadam zbiorczo. - Może teraz idź na spacer, po południu chyba będzie padać. Zapowiadano deszcz, jak nie dziś, to jutro.

Niebo jasne, bez jednej chmurki, jednak przyznaję jej rację: wszystko inne mogę zrobić później. W drodze do rezerwatu mijam starszego pana, który sylwetką przypomina tego z mojego okna. Ma na sobie dżinsy i bordową kurtkę, podpira się kulą, ale chód ten sam. Ubiór mógł zmienić, jest przecież gorąco, z daleka kulę można pomylić z laską, więc – żyje!

Nieliczne osoby, które mijam, wyprzedzam, już nie budzą we mnie takiego lęku, jak na początku. W pierwszych dniach bałam się każdego człowieka, który zanedo się zbliżył. Teraz też pilnuję odpowiedniej odległości, ale nie popadam w panikę. Tuż przed mostem kłania mi się zamaskowana kobieta. Widzi, że nie poznaję, więc upewnia się, czy to ja i mówi coś o sobie, ale warkot samochodów i maska zagłuszają jej słowa. Powtarza kilkakrotnie, wreszcie, zrezygnowana, macha ręką i rusza w swoją stronę. Spotykam jeszcze jedną znajomą i wdajemy się w krótką rozmowę, zachowując odpowiedni dystans. Ona codziennie przemierza kilometry leśnych i wiejskich dróg, ja, głównie jesienią, połacie lasu. Nasze drogi często się zbiegają, mamy też wspólne zainteresowanie: literaturę. Pani Zofia pożycza moje książki od znajomych, teraz informuje, że jest właśnie po lekturze „Źródła”. Kiedyś w markecie wyrecytowała wiersz „Letni deszcz”. Jest lepsza ode mnie, ja, w razie potrzeby, czytam.

Jak zwykle, w drodze na źródła zatrzymuję się na moście nad Pilicą. Nieustający bieg rzeki skłania do refleksji nad życiem, nad przemijaniem. Minęło chyba kilkanaście lat od chwili, gdy z tego mostu skoczyła młoda kobieta. Byłam na emeryturze, ale dobrze pamiętałam ją z pracy w szkole. Miła, pogodna nauczycielka. Osierociła dzieci. Co ją skłoniło do targnięcia się na życie? Wtedy nikt ze znajomych nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, dzisiaj czas przysłonił tragedię zapomnieniem. Dlaczego ludzie odbierają sobie życie, największy dar, jaki dała nam natura? Dramaty rozgrywają się wśród nas - nieświadomych? obojętnych?

Kieruję się w stronę rezerwatu. Zaraz po zejściu ze ścieżki rowerowej dostrzegam małżeństwo z dwójką dzieci. Rzucają kawałki chleba do wody, pełno okruchów leży na dróźce. Mam ochotę coś powiedzieć, ale zdaję sobie sprawę, że wiedzą, co robią, znają treść tablic, informujących o zakazie karmienia ptactwa. Kaczki rzucają się na żer, odganiają parę, która przypląnęła, zwabiona darmowym posiłkiem. W dalszej części rozlewiska też toczy się walka, chociaż niczym się tu nie częstuje. Dla każdego wystarczy miejsca, a jednak rozgrywają się bitwy w obronie wyimaginowanej własności – obrony terytorium. Ciśnie się na myśl powiedzenie, dotyczące świata ludzi: To nie ważne, co je czyje, ważne to je, co je moje.

Po wodzie pływają kaczory, wyjątkiem są dwie pary (może bezdzietne?), samotna kaczka - dziwaczka i matka sześciorga kaczątek, czuwająca nad ich bezpieczeństwem. W drodze do bijących z ziemi źródeł, obserwuję samotnego łabędzia. Jego odbicie na powierzchni wody kojarzy mi się z niedawno oglądanym filmikiem: Salsa. Tancerz za partnera ma swoje odbicie w lustrze. W jego wykonaniu taniec jest perfekcyjny, zgranie ruchów – idealne. Pomysł, jak wiele innych naszego czasu, zrodził się z konieczności, ale dał efekt, zapierający dech w piersiach. A łabędź? Może w swoim lustrzanym odbiciu sercem widzi tę, którą utracił?

Na obrzeżach rezerwatu zbieram młode pokrzywy, dodam je do sałatki, jajecznicy, a wywar posłuży do płukania włosów. Natura obdarza nas skarbami, z których, w życiu pełnym

pośpiechu, rezygnujemy na rzecz tabletek i ekstraktów. Całe szczęście, że nie wynaleziono jeszcze miłości w pigułce.

Po południu kilka telefonów: Zosia walczy z chwastami i zawartością zamrażarki – skutecznie, choć z wysiłkiem. Maria z mężem korzysta z dobrej pogody: ona wysiewa nasiona ogórków, pikuje sałatę, Janka słyhać w tle, ale on, zajęty pracą, nie słyszy nawet pozdrowień. Mam także oczekiwany telefon od Stasi: - Jestem po rezonansie. Jutro będzie opis i konsultacja. Ale po co w ogóle te badania? Będzie, co ma być – mówi ściszym głosem, bo Jan łapie drzemkę po pracy na działce. – I to mówi pani doktor, która w swej praktyce zawodowej wielokrotnie zlecała badania? Nie widzę, tylko „słyszę”, że przyjaciółka uśmiecha się. W naszej sytuacji są to trudne, ale potrzebne rozmowy. Nie mogę używać utartych zwrotów w stylu: „nie przejmuj się”, „będzie dobrze”. Staszka jest lekarką, nie żyje złudzeniami, potrafi odczytać sygnały, płynące z organizmu i nie najlepszych wyników badań. Chorobę znosi jako coś, z czym trzeba się pogodzić. W końcu grudnia zrezygnowała z praktyki lekarskiej, jej pacjenci wciąż dzwonią. – Cóż im mogę pomóc, najwyżej służyć radą – mówi lekarka, którą często porównywałam do Judyma.

Ula jest po zabiegu laparoskopii piersi. Zadzwońię do niej jutro. Dziś nie mam chęci na żarty, którymi staram się poprawić jej nastrój.

W oczekiwaniu na deszcz

Wczoraj wydawało się, że już, już spadnie deszcz, i znów wychodziło słońce. Może dzisiaj. Od rana cieszę się pochmurnym niebem. Czekam. Wieczorem rozmawiałam ze swoimi uczennicami – Tonia i Kasią. Tonia, czyli Antonina, jest katechetką, matką trzech dorosłych córek. W czasie pandemii nie ma czasu na nudę – prowadzi zdalną naukę, dom, opiekuje się teściami. Do tego dochodzi praca w gospodarstwie. Mąż więcej czasu spędza w sadzie, ona o tej porze roku zajmuje się ogrodem, psami, kurami, a do sadu zagląda, gdy potrzebna jest jej pomoc. – Emilko! (Jesteśmy od dawna na ty). W sadzie jest sucho. Przy domu podlewamy trawę i kwiaty wodą ze studni. Sieję i sadzę w ogrodzie, ale jeśli nie spadnie deszcz, wszystko pójdzie na marne. W sadzie chcemy wybudować studnię, nawet już były próby wiercenia. Ekipa doszła do skały i dalej nie dało rady. U sąsiada, tuż za ogrodzeniem, jest studnia, u niego przewiercili się przez skałę. My też chyba weźmiemy inną ekipę, z lepszym sprzętem.

- Wyobrażam sobie wasz sad, cały w bieli. Dużo kwiatów przemarzło?

-Czereśni będzie mało, bo kwitły akurat w czasie, kiedy były przymrozki. Zresztą, zobaczymy, jak opadną kwiaty. Za to wiśnie kwitną pięknie. Wyślę ci zdjęcie.

-Na czereśnie się nie załapię, ale mam nadzieję, że wiśnie będą już zrywała prosto z drzewa...

Kasia jest emerytką, babcią, ale jak te współczesne dziewczyny – wcale na to nie wygląda. Nieraz, patrząc na kobietę z małym dzieckiem, nie wiem, kogo widzę: mamę czy babcię. Po wielu latach od ukończenia szkoły, Katarzyna nie potrafi inaczej do mnie powiedzieć jak „pani profesor”. Podobnie zwraca się zaprzyjaźniony z nią Stanisław. Protestowałam – nadaremno.

Ostatni raz widzieliśmy się na działce, w pamiętnym dniu grilla i szukania pierwszych oznak życia. W tym roku Kasia nie złożyła mi życzeń świątecznych, ale to były takie dziwne święta...Dzwonię do niej, żeby dowiedzieć się, jak żyje.

- Pani Profesor! Przepraszam. Pani wie, że codziennie jestem na cmentarzu, na grobie syna, Kiedyś idę, a tu łańcuch, kłódka, żadnej informacji, żadnej kartki. W następnym dniu już była kartka. Nie mogłam wejść na cmentarz, pani wie, jak się czułam? Jeszcze we wtorek udało nam się ze Staszkiem wejść, podlać kwiaty, a już w środę stała policja i pilnowała bramy.

Udało mi się znaleźć panią, która ma możliwość poruszania się po terenie cmentarza, przekazałam jej kwiaty i znicze, dałam parę złotych. Trochę mi ulżyło, ale nie umiałam się pogodzić, że to nie ja jestem przy grobie. A potem, w telewizji zdjęcia z placu Piłsudskiego i jak oni chodzą po Powązkach. Myślałam, że szlag mnie trafi: im wolno, a ja nie mogę stanąć przy grobie mojego syna? Płakałam, a w święta – wyłam, wyłam z bólu, z rozpacz. Szesnastego kwietnia minęło sześć lat od śmierci syna. Może ktoś uważa, że to długo. Nie dla mnie. Jarek miał tylko 26 lat! Nigdy w życiu nie chciałabym już takich świąt. Nie dzwoniłam do nikogo, nikomu nie składałam życzeń. Chciałam być sama. Pani to rozumie?

W dalszej rozmowie schodzimy na lżejsze tematy. Kasia zaprasza na działkę, oczywiście, obie zgadzamy się, że trzeba będzie zachować wszystkie zasady bezpieczeństwa. Skorzystam, jeszcze nie teraz. Na pewno ma dużo pracy. Kiedy już posieje, posadzi i będzie miała czas na odpoczynek, wtedy usiądziemy po dwóch stronach długiego stołu i pogwarzyśmy o wszystkim, co cieszy, co boli. Tymczasem zamawiam do domu rozsadę sałaty. W ubiegłym roku dostałam od niej cały pojemnik, przeflancowałam do doniczek na balkonie i w ten sposób miałam własną zieleninę do kanapek.

- A może pani profesor coś potrzeba, może coś kupić? Jutro przywiozę pani sałatę, więc przy okazji mogę zrobić zakupy. – Trafiłaś Kasiu – jestem wyraźnie ucieszona propozycją - chciałabym mieć na balkonie pelargonie. W kwaciarni są jakieś marne, może kupisz mi u ogrodnika cztery doniczki, według własnego wyboru? – Ziemi pani nie potrzebuje? Może od razu kupię ziemię? – dopytuje troskliwie. Tak, ziemia się też przyda. Umawiamy się na sposób przekazania zakupów –późnym popołudniem, przed blokiem, na ławeczce.

Przed południem telefon: Kasia. Jest ze Staszkiem na parkingu, zaraz wszystko wniosą na górę. Są pelargonie, lubczyk, mięta, trzykilogramowa paczka ziemi. Nie udaje mi się zwrócić kosztów zakupu: - To prezent imieninowy! – wołają na przemian. – Ale przecież ja mam imieniny dopiero 22 maja! – To nic! To na zapas! – znów mówi jedno przez drugie, zbiegając ze schodów.

Chwila. Jakże miła. Tak rzadko teraz zamieniam kilka słów z drugim człowiekiem, „na żywo”. W południe spadł deszcz, a raczej przelotny deszczyk – przeleciał tak szybko przez mój blok, że nawet jedna kropla wody nie spadła na balkon.

Po południu kilka wiadomości: Iza pierwszy raz wyszła z domu. Pojechały z córką na cmentarz, później załatwiły kilka spraw. – Wiesz, Emilko, nawet poczułam się lepiej, i całkiem nieźle mi się szło – w głosie mojej rozmówczyni pobrzmiewa radość. Nic dziwnego: od pierwszej dekady marca nie wychodziła za próg domu.

Ula mnie zaskakuje – myślałam, jak ją wesprzeć w cierpieniu, a usłyszałam rekonwalescentkę całą w skowronkach. Może obecność córki tak na nią wpływa? Agnieszka obetnie i ufarbuje jej włosy, które dotąd były zmartwieniem „Rudej”. – Wiesz, Aga zrobiła mi zdjęcie, takie fikuśne, z kokardą na czubku głowy. Rzeczywiście, wyglądam jak czubek, prześlę ci to zdjęcie, tylko się nie przestrasz!

Za tydzień Agnieszka wyjedzie, wróci do pracy. Teraz opiekuje się matką, zmienia opatrunki, konsultuje z lekarzem, robi zakupy, wykonuje niezbędne czynności domowe. Ula przesłała mi zdjęcie – poradziłam jej, żeby je powiększyła i powiesiła w przedpokoju jako pamiątkę po zabiegu i dowód na koronawirusowe szaleństwo. Mam nadzieję, że jej to zostanie, także na czas po epidemii.

Rozmowa z komputerem

W nocy spadł deszcz. Jego ślady zobaczyłam z samego rana: na żyłce, przeciągniętej między metalowymi ramami, czyli na popularnej suszarce właścicieli blokowych „jaskółek”, drżały krople wody. Wspomnienie deszczu było też na jezdni, chodnikach, nawet trawa zdała się bardziej zielona. I ja przespałam takie wydarzenie! Niebo było zachmurzone, więc czekałam - może jeszcze? Nie, nic się nie wydarzyło, prócz tego, że dzień się rozpromienił i znów stała się jasność. A w głowie wciąż dźwięczą słowa piosenki Sosnowskiego: „wywołaj deszcz! wywołaj deszcz!”. Odnajduję piosenkę w komputerze – prawdziwy sens jest inny: deszcz ma ugasić pożar serca, woda – ożywić pustynię myśli, zapomnienie, żar uczuć. Jest w niej wołanie: „gdy zapomnę, oczy zapłoną jak pochodnie, gdy zostaniemy sami - napój mnie/ wywołaj deszcz”. Ja słyszę tylko „wywołaj deszcz” i po swojemu interpretuję słowa. Wolno mi, jak każdemu czytelnikowi wiersza, odbiorcy sztuki.

Nie słyszałam w nocy deszczu, bo spałam. Zazwyczaj budzę się, zanim spadną pierwsze krople. Śniły mi się wielkie, czarne, skłębione chmury. Może sen zrodził się z piosenki Bartosza Sosnowskiego, która nie opuszcza mnie od wielu dni? Są sny, które się powtarzają. Od lat mam jeden sen w wielu wersjach; gubię się w jakimś wielkim mieście, nie przypominającym żadnego ze znanych mi miast. Za każdym razem jest inna architektura, jedyne, co je łączy, to pustka na ulicach i w zaułkach. Ostatnio do snów wkradł się element nowoczesności – chcę zadzwonić do rodziny, lecz nie mam numerów, ani we własnej pamięci, ani w karcie sim. Bardzo przyjemny sen przytrafił mi się przedostatniej nocy: miałam mnóstwo, mnóstwo, przepięknych róż, o długich łodygach, różnokolorowych kwiatach. Sen minął, a we mnie została radość, z jaką rozdawałam te róże ludziom. Opowiadałam sny jak moja mama. Opowiadała ze szczegółami, jak film lub coś, co się zdarzyło naprawdę. Teraz ja opowiadałam sny komputerowi. Co to znaczy nowoczesność!

Po południu byłam na źródłach. Zielono, tak zielono, że dzwoniąc do rodziny z Końskich, zamiast pozdrowień z Niebieskich Źródeł, przesłałam im pozdrowienia z zielonych źródeł. Mam swoją ulubioną ławeczkę – przysiadam, patrzę, rozmawiam przez telefon, dzięki czemu nie jestem sama. Dzisiaj kilkakrotnie podchodziła do mnie para kaczek, niestety, nie miałam ich czym poczęstować. Muszę zapytać znajomej, Ali – ona hoduje kaczki, będzie wiedziała, czym je można karmić. Zosia była ciekawa, jak jest teraz na źródłach. Kiedy jej powiedziałam, że na wyspie kwitnie wielka czeremcha, zdziwiła się. - Jak to, już, tak wcześniej? – Ma pod dostatkiem wody i słońca, więc zakwitła. Inne mają dopiero pąki. Staram się, aby moi rozmówcy widzieli to, co ja widzę, skoro, z różnych względów, nie mogą być fizycznie obok mnie.

Pod wieczór dzwoni Jadwiga. Za każdym razem umawiamy się na przyszłe spotkanie z koniaczkiem i pigwówką, teraz dochodzi do tego chęć zaprezentowania i poznania „Różyczki”. – Ona jest taka piękna, inna, tak lubi się przytulać. – W głosie mojej rozmówczyni jest czułość i ...duma. - Weszła Jurkowi pod marynarkę, wtuliła się, chyba chciała się ogrzać.

Jutro spotkam się ze Staszka. Mam zamówienie na dwie dedykacje dla osób, którym chce podziękować za troskę i pomoc w leczeniu. Sporo książek w ten sposób trafiło do czytelników. Może to są właśnie moje róże ze snu?

Święto Pracy

Święto Pracy czcimy wstrzymaniem się od pracy. To nie jedyny paradoks, który dziś nasuwa mi się na myśl. Na początku, kiedy jeszcze zagrożenie było minimalne, wprowadzono restrykcje, które wykraczały poza pojemność mojej wyobraźni: komu zagrażał spacer po lesie,

obecność przy grobie bliskiej osoby na cmentarzu? Czy ograniczenie liczby żałobników na pogrzebie do dziesięciu, a później pięciu osób, było sensowne? Przecież na cmentarzach jest dużo miejsca i można zachować konieczną odległość. Przepisy, dotyczące Covid-19, są odwrotnością idei Hitchcocka: u niego najpierw jest trzęsienie ziemi, później napięcie rośnie. W pandemii utrzymuje się wysoka „zachorowalność”, przy równoczesnej świadomości, że są osoby zakażone bezobjawowo, a coraz więcej nam wolno: będą otwarte boiska i stadiony, żłobki i przedszkola, na 10 maja planuje się wybory. Otwarto lasy w czasie przedłużającej się suszy, grożącej pożarami. Mam nadzieję, że instynkt samozachowawczy jest silniejszy niż przesłanie, płynące z przepisów.

Poranne komunikaty radiowe: Dzisiaj przypada szesnasta rocznica przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. Będzie się chmurzyć... Burze przejdą... Serce chciałoby słońca, ale rozum mówi: susza. Podtrzymująca na duchu piosenka „Jeszcze w zielone gramy” działa jak psychoterapia. Nie słucham spotów wyborczych – plewy. Gdzie jest ziarno?

O wpół do siódmej znów pojawił się w oknie starszy pan, spacerujący wokół bloków. Tym razem to na pewno on. Dzisiaj ma na sobie fioletową kurtkę i czarne spodnie. Przyjrzałam się uważnie: siwe włosy, nie laseczka a kula. Idzie z trudem, ale jest, żyje!

Do porannej kawy mam wczorajszą niespodziankę – pyszny sernik z Facebooka. Moja sąsiadka pochwaliła się na forum, że upiekła ciasto, dodała zdjęcie. W komentarzach żalowano, że robi apetyt, a ja wpisałam pytanie: - Pod którym numerem pani mieszka? Wieczorem nieoczekiwanie zadzwonił domofon: pani Mariola przyniosła mi sernik. Niech żyje Internet!

Przy kawie snuję rozważania na temat znaczenia słowa, rozmowy. Można być blisko i milczeć, mieć oczy zapatrzane w smartfon, komputer. Można rozmowę ograniczać do utartych zwrotów, w kontaktach z drugim człowiekiem ślizgać się po powierzchni słów, i można, z oddali, lepiej się rozumieć. Dzięki wsłuchaniu się w słowa. Nasze obecne współzycie opiera się na zaniedbanej, niedocenianej rozmowie. To dzięki niej lepiej znosimy odosobnienie, samotność, konieczność dostosowania się do wymogów stanu epidemii, lęk przed zakażeniem. Aż ciśnie się na usta stare powiedzenie: Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Dzwoni siostrzenica. Wczoraj pojechała rowerem do Młoszowa, ma zrobić zdjęcia działki, którą jej syn ma zamiar wystawić na sprzedaż. Ewę łączą z tą wsią dobre i złe wspomnienia, zostawiła w niej ważną część życia. Tu, na wykarczowanym kawałku pola, przylegającym do lasu, wybudowali dom, cieszyli się z wizyt dzieci i wnuków, znajomych, dalszej rodziny. Tu mieli spędzić stare lata. Tadeusz nie doczekał. Na początku choroby jeszcze chodził do ukochanego lasu, później wołał leżeć. Po jego powrocie ze szpitala już wszystko było wiadomo, tylko on miał jeszcze nikłą nadzieję. Sama, już bez męża, przemieszkała jakiś czas w Młoszowie, potem sprzedała dom i kupiła mieszkanie w tomaszowskim bloku, bliżej dzieci. Wczoraj spotkała się z dawnymi sąsiadami. Nie rozmawiałam z nią o domu. Mieszkają tam teraz obcy ludzie.

Ewa pyta, jakie mam plany na Święto Pracy. - Jak zwykle, wybiorę się po południu na źródła. – Wybierz się wcześniej, bo po południu ma padać - radzi siostrzenica, dobrze poinformowana w Internetowej prognozie pogody. W takim razie koniec pisania, zamykam laptop i ruszam w świat.

W połowie drogi spotykam się ze Staszka, z którą umówiłam się na przekazanie książek. Dobrą chwilę spacerujemy, rozmawiamy, wymieniamy się reklamówkami. – Wczoraj serniczek, dzisiaj pierniczek – mówi moja zamaskowana przyjaciółka. Do piernika dołączyła sałatę z działki. Gdybym była w jej domu, taki dar nazywałby się, zgodnie ze staropolską tradycją, gościńcem. Cóż, bywamy u siebie, każda w swoim domu.

Na źródłach sporo ludzi. Próbuje karmić kaczki – rozsypuję kaszę jęczmienną blisko ławki. Podchodzą, wciągają drobiny dziobem, niby odkurzaczem, ale na betonie idzie im niesporo, więc rezygnują i wracają na wodę. Może na drugi raz nagotuję im pęczaku?

W czaplej kolonii ruch, jedne czaple dokądś lecą, drugie wracają. Nie znam zwyczaju ptaków, ale ten, wracający do gniazda ze zdobyczą w dziobie, to chyba pan czapla. Jeszcze kilka dni temu było widać tylko wychylające się z gniazd głowy, osadzone na długich, wygiętych szyjach. Dzisiaj można podziwiać piękne, wielkie ptaki, w całej okazałości: stoją jak na warcie. Co się dzieje w gniazdach? Tajemnica. Większość spacerowiczów nie ma pojęcia, że korony drzew mają swoich mieszkańców. Ludzie patrzą na wodę, na kaczki, wpatrują się w przybrzeżną zieleń. Kilku rodzinom z dziećmi pokazałam ptasią wioskę w koronach olch - niektórzy pierwszy raz w życiu widzieli czaple. Z niedowierzaniem pytali, czy to na pewno nie bociany. W ruch poszły kamery i aparaty fotograficzne. Dzieci będą miały czym się pochwalić w szkole. Jak do niej wrócą. Niebo się zachmurzyło, źródła przybrały kolor szafiru i brązu. Czas do domu.

Zofia, poetka, jest na wsi. Sąsiad skosił trawę, jej pozostało na dziś przycięcie róż. Po niedzieli przyjedzie tu z nasionami, będzie siała, sadziła. Miłośniczka angielskiej literatury przeobrazi się w ogrodniczkę – po długim czasie miejskiego odosobnienia wróci do natury. Człowiek ma jedną twarz, lecz różne oblicza...

Kwitną już czeremchy, już zakwita bez...

To są dla mnie najpiękniejsze dni, lecz jeśli nie uda się pojechać do Spały, będzie mi smutno. Jeszcze tak nie było, żebym nie spacerowała w maju po spalskim lesie, nie wdychała zapachu konwalii, nie zachwycała się tym darem natury - perłami rozsypanymi na ziemi, wśród zielonych liści. Jeszcze dwa dni i stare krzewy przed blokiem znów zakwitną jak za czasów młodości. Kasztan też nie wie, że w tym roku matury są przełożone, za kilka dni biel kwiatów wybije ponad zieleń liści. Na źródłach mniszek jest w pełni urody, pod moim balkonem już tylko „dmuchawce, latawce”. Za to przed blokiem zakwitły niezapominajki - wspomnienie dzieciństwa, wypraw na nadpiliczne łąki.

Wracając z wodą z osiedlowej studni głębinowej, przysiadłam w swoim zacisznym kąciku, między blokami. Zielono, pięknie, ale... Wszędzie widać nowy rodzaj śmieci: jednorazowe rękawiczki, maseczki. Śmieci opowiadają historię. Po wojnie lasy były tak czyste, że szyszki zbierałam, jak się zbiera grzyby. Nie było gałęzi, w lasku nieopodal domu można było znaleźć zaledwie patyczki. Po gałęzie chodziliśmy z mamą daleko, kilka kilometrów w jedną stronę. Potem śmieci w lesie przybywało, aż do „pustych pól”, sprzedaży na kartki i talony. – Teraz – mówiła żona gajowego – w lesie można zobaczyć tylko skorupki od jajek i puszki po konserwach.

Poprawiło się nam, w lesie już można znaleźć wszystko: stare telewizory, przechodzone lodówki, opakowania po słodyczach, po piwie, a nawet...pampersy. Kiedy patrzę na różnorodność butelek po alkoholu, wspominam godzinę trzynastą i myślę, że w najśmielszych marzeniach nikomu nie śnił się taki wybór i dostatek. Gruz, będący odpadem przy remoncie domu, skoszona trawa, przycięte we własnym ogrodzie gałęzie, niezidentyfikowane worki śmieci – trudno wyliczyć, co można spotkać w lesie. Kiedyś zrobiłam zdjęcie pięknego, dorodnego, koźlarka, wspartego o plastikową butelkę po wodzie mineralnej. Ziemia obdarowuje nas pięknem i dobrem: grzybami, kwiatami, żywnością, my ją karmimy odpadami.

Może w Dniu Święta Flagi nie należałoby pisać o takich sprawach? Zamieściłam na Facebooku wiersz „Słowo Ojczyzna”. Ale przecież Ojczyzna to nie tylko flaga i hymn, to nasza ziemia i ludzie. Czym się objawia patriotyzm? Heroicznymi czynami? Nie każdy może być

bohaterem, chociaż w czasie pandemii każdy lekarz, pielęgniarka, salowa, laborant, zasługują na miano bohaterów. Tacy ludzie, jak ja, mogą tylko codziennym życiem, małymi uczynkami, zaświadczać swój patriotyzm. Bez wielkich słów.

Daleko i blisko, dawniej i dziś

Wczoraj nie pisałam. Pochmurne niebo nie skłaniało do spacerów ani wynurzeń. Za zimno, żeby pójść na źródła, więc robię tylko obchód wokół bloków. Ugotowałam ryż dla kaczek, czeka w lodówce na słoneczną pogodę. Leniwy dzień: radio, telewizor, Facebook. Wszędzie treści związane z dniem 3 Maja. Sięgam wspomnieniami do lat dzieciństwa.

1 Maja – obowiązkowo dobrowolny udział w pochodzie. Ojciec zasnął i w pośpiechu założył jeden but czarny, drugi brązowy, o skarpetkach zapomniał. Spisywali obecność, więc zaliczył tylko spóźnienie. Wrócił z poobcieranym piętami. W pierwszym dniu maja dzielnicowi pilnowali wywieszania flag, drugiego maja ich ściągania. Gdyby u kogoś trzeciego maja wisiała flaga, narażał się na represje. Mama nie mogła się z tym pogodzić: - Przed wojną 3 Maja był najważniejszym świętem państwowym! Jako dziecko nie rozumiałam zawilosci historii, ale dziwiło mnie, komu przeszkadza flaga? W dorosłym życiu brałam udział w pochodach pierwszomajowych i zawsze uważałam, że jest to bezsens; zamiast oczekiwania, czasem w przenikającym ciele zimnie, innym razem w porażającym upale, na włączenie się do marszu, lepiej byłoby organizować festyny – niech przyjdzie ten, kto chce i kiedy chce. Dziś tak jest. A 3 Maja powrócił. Jesteśmy dumni z mądrości i odwagi przodków, sami wykazujemy jej znacznie mniej. Już niecały tydzień do planowanych wyborów. Od sprzecznych informacji aż uszy bołą – i nadal nie wiadomo, co będzie w niedzielę, 10 maja. Zwaśnieni, podzieleni, nie umiemy szukać zgody, „choć różnimy się od siebie jak dwie krople czystej wody” – chciałoby się powtórzyć za Szymborską. A w głowie odzywiają się echem słowa pieśni, wykonanej przez 732 muzyków i solistów: „Co mi Panie dasz, w ten niepewny czas...”.

Sylwia z Markiem też byli tylko na małym spacerze. Telefon u dzieci nastawiony jest na głośnomówiący, więc opowiadam im, jak dobrze mi się dzieje: Po serniku z Facebooka dostałam piernik od Stasi, w sobotę od Ewy mięso, przyprawione do spaghetti, wczoraj w południe – dwa gołąbki od Ali z sąsiedniego bloku. Ewa proponowała „murzynka”, ale w lodówce jest jeszcze piernik. Zieloności na sałatki pochodzą z systematycznych dostaw od zaprzyjaźnionych Drozdów. Jajka zagrodowe, zniesione przez kury Ali, zjadłam ze szczypiorkiem od Stasi. Na balkonie kwitną pelargonie sprezentowane przez Kasię, termometr od Barbary informuje, jak mam się ubrać na spacer.

Pławię się w ludzkiej życzliwości.

Z rana zarejestrowałam obecność „mojego” staruszka. Już o szóstej robił obchód bloków. Dzisiaj ma na sobie czarne spodnie i czarną kurtkę – naliczyłam cztery: brązowa, czerwona, fioletowa i czarna. Chociaż zmienia ubranie, to łatwo go rozpoznać po pochylonej sylwetce, wspartej na kuli i powolnym, upartym chodzie.

Na Facebooku wpisałam wiersz „Kochać i być kochanym” z dedykacją dla dzisiejszej solenizantki, Moniki. Wczoraj przez telefon złożyłam życzenia Mariom, między innymi Toni, która podobnie jak ja „inaczej się woła, inaczej pisze”. Skoro już weszłam na forum, przejrzałam niektóre wiadomości, komentarze. Odzywa się sporo uczniów, jest okazja do wspomnień. Jedne komunikaty mnie bawią, inne wzruszają, jak te od Thanga z Wietnamu. Pewien uczeń chce się umówić na rozmowę przez telefon, a wcześniej pisze: „Witam Pani Profesor! Boże, ile to już lat minęło... A Pani wiecznie piękna”.

Prostuję, dziękuję. Uroda dawno przeminęła, ale uśmiecham się sama do siebie. Ludzie łatwo przyswajają pochlebstwa, a przecież ja również homo sum. Fakt – zdjęcie jest piękne, na tle półwyspu Świętego Wawrzyńca, można się poddać jego urokowi.

Kolejny wpis dostarczył mi nieklamanej satysfakcji: „Pani Emilio! Nauczyła mnie Pani poznawania świata przez pryzmat poezji... I bardzo za to dziękuję”. Z tym poznawaniem świata – nie jestem pewna, ale dostrzegania w nim wartości, które na ogół umykają ludzkiemu oku, wyobraźni i czuciu – chyba tak.

Wczorajszy dzień pięknie zakończyłam: ze Stanów były uczeń przysłał pozdrowienia i dołączył do nich dedykację: piosenkę „Tomaszów” w wykonaniu Ewy Demarczyk. Mogę jej słuchać każdego dnia, zawsze z jednakowym wzruszeniem, tym razem wzmocnionym o intencję nadawcy. Moi uczniowie poszli w świat, od dawna jestem emerytką i jak to miło, że nadal mogę smakować owoce swojej pracy, że nauczycielski trud nie poszedł na marne. Thang też jest moim uczniem – studentem, zwraca się do mnie w języku polskim, zgodnie z wietnamskim zwyczajem: „nauczycielko”. W jego kraju nauczyciel znajduje się na szczycie hierarchii prestiżowych zawodów. Thang zamierza tłumaczyć moje wiersze, niektóre już przetłumaczył i opublikował. Może będę miała egzotyczny tomik?

Zaniosłam kaczkom gotowany ryż, ale nie okazywały zainteresowania ani ludźmi, ani karmą. Obserwowałam zakochaną parkę: zaloty, zbliżenie, toaletę. Żadna piękniejsza nie poświęca tyle czasu na poprawienie urody, jak obserwowana przeze mnie kaczka i kaczor. Przeczesywanie piór, wygładzanie – dzioby, osadzone na giętkich szyjach, sięgały do każdego zakątka kaczego ciała i stroju. A mówią, że coś splywa jak po kaczce...

Idąc do czapli zobaczyłam na dróźce Ewę z rowerem. Przysiadłyśmy chwilę na ławce, w stosownej odległości. Dziwnie tak jakoś, przedtem spotykałyśmy się codziennie, na dłużej, teraz rozmawiamy przez telefon, a kontakty osobiste polegają na podaniu czegoś w reklamówce i...do widzenia.

Zostało niewiele czasu do autobusu, więc poszłam w kierunku czapli. W gniazdach ruch i odgłosy, jakich wcześniej nie było; nie umiałabym ich nazwać śpiewem, jest to raczej kłapanie dziobem. Niedługo zieleń drzew zasłoni gniazda i czaple życie będzie się toczyło bez wścibskich ludzkich spojrzeń.

Resztę ryżu chyba zjem sama, skoro kaczki nie mają na niego ochoty.

Wtorek 5 maja

Leniwy dzień. W nocy padał deszcz. Prawdziwy deszcz. Zimno, nie mam ochoty na spacer, na pisanie. Rano wychyliłam się po chleb i wodę do studni, potem wróciłam do swojej jaskini.

Kilka miłych wpisów na Facebooku. Telefon od Uli: zdemontowano jej „rury”, szwów nie trzeba było zdejmować, bo same się wchłaniają. Jutro jej córka wraca do Wrocławia. Lodówka obficie zaopatrzona. Zosia kupiła kwiaty do ogrodu, który, jej zdaniem, wreszcie zaczyna jakoś wyglądać. Mamy się spotkać w pierwszy ciepły dzień. Zdrowie jej nie dopisuje, wszystko ją boli, ale ręce wciąż ma zajęte – porządkuje dom, ogród, gotuje...Zrobiła sobie przerwę na rozmowę telefoniczną, między przygotowaniem farszu a robieniem pierogów. „Michałowa”, czyli Irena, która jest gospodynią na plebanii, bibliotekarką, katechetką, a po cichu – poetką, szkoli się na jakimś zdalnym kursie. Narzeka na nawał zajęć, ale wiadomo, że ze wszystkim sobie poradzi.

Wieczór słońcem pożegnał dzień.

W czasie deszczu...

Od kilku dni jest „brzydka pogoda”. Zimno, z przerwami pada deszcz. Nie przepadam za pochmurnym niebem, szarością dnia, ale cieszę się, że wreszcie pada. Przydałby się jakiś solidniejszy deszcz, ale dzięki i za to. Wolę przesiedzieć w moim eremie, jak przez wiele dni przymusowego „zostań w domu”, niż patrzeć na usychające drzewa, krzewy. Jeszcze nie wiadomo, co będzie latem. W czasie ubiegłorocznych upałów widziałam w lesie wiele drzew, które wiedły jak kwiaty w wazonie, gdy im zabraknie wody. Nie jestem dzieckiem, nudzić się nie umiem, więc – niech pada, niech spragniona ziemia, przez długi czas pozbawiona śniegu, deszczu, wreszcie się napije.

Mój staruszek chyba został w domu, za to dozorca, jak zwykle, krząta się od samego rana. Ręce ma zajęte, moknie w deszczu, ale dzielnie uprząta cały teren. Podziwiam go, i czasem jestem zła: w swej gorliwości przycina krzewy i drzewa tak, że nie sposób sięgnąć po gałązkę bzu. Poprzedni dozorca, który przeszedł na emeryturę, też był dobrym gospodarzem, na szczęście zostawiał roślinom trochę wolności.

Dzień jak co dzień – trochę radia, trochę telewizji, kilka rozmów telefonicznych, małe prasowanie, gotowanie. Jest środa, w niedzielę powinny być wybory, a nadal nic nie wiadomo. Wprawdzie czasy są wyjątkowe, ale przecież mandat zaufania, jaki otrzymali posłowie, senatorzy, obliguje ich do skutecznego działania, bez względu na okoliczności. Dla istot społecznych, jakimi w większości jesteśmy, stres związany z koronawirusem to przysłowiowy kielich goryczy. Nie powinno się go przelewać.

Po obiedzie spacer... w stolicy Madery, Funchal. Kawiarnia przed hotelem Ritza nadal nieczynna, zwinięte parasole czekają na ponowne otwarcie. Ale już naprzeciwno – zmiana: jak za normalnych czasów stoi rząd żółtych taksówek. Trzech kierowców rozmawia wżywieniu obok swoich pojazdów. Są bez masek. Za chwilę przesuwają samochody do przodu, widocznie pierwszemu trafił się klient. W parku na ławce siedzi jakiś starszy pan, na dróżce, prowadzącej do wejścia, pojawiają się dwie kobiety z dziećmi. Park im. św. Franciszka, widoczny przez fioletowe kwiaty na drzewach, przypomina człowieka, który przebudził się z długiego snu.

Na ulicach jest więcej niż ostatnio ludzi, samochodów, ale pod tym względem stolica Madery nie może konkurować z Tomaszowem – u nas jest ruch, jakby nic się nie stało.

Kiedy poprzednio okiem kamery patrzyłam na Funchal, nieliczni przechodnie szli do celu, teraz widać także spacerowiczów. Są to na ogół młodzi ludzie, jedni w maskach, inni bez, mają na sobie wiosenne ubrania. Nic dziwnego, na Maderze zawsze jest wiosna.

Wchodzę do „mojego” parku. Zazwyczaj przeważają w nim czerwone kwiaty, teraz żółty kolor góruje nad niebieskim, białym, czerwonym. Ogrodnicy w zielonych uniformach z wielką atencją dbają o szatę tego uroczego zakątka. Spowodowane przez zarazę zmiany, dotknęły także parku. Przez długi czas był wyludniony, ale nie opuszczony. Jak wszystko – powoli wraca do życia. Czy ja też naprawdę kiedyś do niego wrócę?

Na huśtawce

Czwartek był czarnym dniem. Od rana komunikaty, komentarze na temat wyborów, które mają być, ale ich nie będzie. Za Rejem chciałoby się powiedzieć: „Ksiądz wini pana, pan księdza, a nam biednym zewsząd nędzą”. Albo inaczej – dawno temu, we wczesnej młodości, oglądałam bajkę produkcji czechosłowackiej. Król w kulminacyjnym momencie filmu mówi: „Odwołuję to, co przywołałem, a przywołuję to, co odwołałem”. Obecna sytuacja w Polsce to czeski film, nie tylko dla takich ludzi jak ja. Nikt nic nie wie. Po wojnie była bieda, czasy

stalinowskie – lepiej nie wspominać, system kartkowego zaopatrzenia – poniżone społeczeństwo, stan wojenny – koszmar. W jesieni życia poczułam dostatek, nie brakuje mi pieniędzy na gazetę, w sklepie mogę, nawet zimą, kupować truskawki, po winogrona nie stoi się w kolejkach, nie muszę paczki kawy załatwiać przez znajomości w osadzie, odległej o szesnaście kilometrów. Mam przyjaciół z różnych opcji politycznych, cenię człowieka za jego wartości, bez względu na to, jaką partię popiera. Szanuję urząd, jeśli jest dobrze sprawowany. Tego, co serwują nam nasi przedstawiciele, nie trawię. Gdzie w tym wszystkim są moje prawa? Czy naród – ludzie, są pionkami na szachownicy politycznej gry?

To był dół huśtawki, a teraz góra: pogoda jest piękna, niegdysiejsze deszcze wsiąkają w ziemię. Ula czuje się lepiej, chociaż zaczyna się na zapas zamartwiać ewentualną operacją usuwania węzłów chłonnych. Jeszcze nie ma wyników, nic jeszcze nie jest przesądzone. Powinna dbać o swoje t e r a z. Planuje pierwszą wyprawę – do śmietnika.

W południe odwiedzam biuro podatkowe „Debet”. Przysługuje mi zwrot 67 złotych za leki. W pobliżu jest biuro turystyczne „Tatiana”. Jestem umówiona na prywatne spotkanie. Tatiana jest jeszcze w banku, trzeba chwilę poczekać. Na ławeczce w mini parku czeka też ksiądz Waław. Pierwszy odruch to chęć tradycyjnego przywitania, ale maski uświadamiają nam, że trzeba zachować dystans. Chwilę rozmowy, po długim niewidzeniu, przerywa przyjazd Tatiany i Pawła. Zapraszają do biura. Siadamy w pewnej odległości, co wydaje się śmieszne, dziwne i sztuczne. Tatiana rozluźnia atmosferę i mimo wczesnej, popołudniowej pory, trudno jej odmówić: pijemy toast oryginalnym Stockiem za moje pierwsze spotkanie z ludźmi.

Biuro działa symbolicznie: Paweł co chwilę odbiera telefony w sprawie odwołania wycieczek, negocjuje przełożenie terminu. Pytam Tatianę, jak wyglądają jej sprawy zawodowe. – Dzisiaj wiadomo, co jest: nic. Jutro – nie wiadomo, co będzie. Jak widzisz – żyję.

Trudno funkcjonować w rzeczywistości, w której nikt nic nie wie, ale w każdym z nas jest nadzieja na normalność. Silne drzewo potrafi przetrwać suszę. Człowiek jest jak drzewo: jeśli nie powali go burza – żyje.

Późne popołudnie spędziłam na źródłach. Przyroda darzy nas pięknem, które pozwala zapomnieć o ułomnościach systemów, w których dominuje człowiek – istota kierująca się rozumem.

Sobota

Pogoda piękna, gdyby nie kalendarz, można by było pomyśleć, że to lato. Mnóstwo samochodów, chyba ludzie wyrwają się za miasto. Mamy piękne okolice: Niebieskie Źródła, spalskie bory, Zalew Sulejowski, grotty, trochę dalej jest do Inowłódza, z zabytkowym kościołkiem św. Idziego i zrekonstruowanymi ruinami Kazimierzowskiego zamku, do Studziannej - Poświętnego, gdzie znajduje się sanktuarium Świętej Rodziny. Między Inowłodzem a Poświętnem, w lesie pod Anielinem, znajduje się szaniec Hubala, upamiętniający majora Henryka Dobrzańskiego.

Wielu tomaszowian ma działki, drugie domy, w Spale, Smardzewicach, Zakościelu, na Fryszerce za Inowłodzem... W czasie pandemii posiadanie jakiegokolwiek działki, ogrodu, jest wielkim szczęściem. Moje domy dzieciństwa, młodości, zawsze otoczone były ogrodami, tym bardziej teraz odczuwam ich brak. Namiastka, którą stworzyłam na balkonie, cieszy oczy, a zarazem wyzwała tęsknotę za czymś, co już nie powróci. W cudzych ogrodach jestem zawsze gościem.

W telewizji szum, chociaż teoretycznie powinna być cisza wyborcza. Politycy spotykają się, trwają rozmowy. Co z tego wyniknie dla nas? Napięcie jak u Szekspira, lub bliżej - Hitchcocka.

Jutro nie idę na wybory, więc wybiorę się na działki. Będę spacerować uliczkami, zaglądać za płotki, karmić oczy pięknem, stworzonym przez innych ludzi. Łapię się na tym, że wychwytyuję każdą zmianę w przybłokowych mini ogródkach, cieszę się każdym nowym kwiatkiem, krzewiną. Jak widać, ludzie mają różne potrzeby i upodobania: jednych cieszy otwarcie galerii handlowych, innych „uwolnienie” lasów, parków, cmentarzy komunalnych i ogrodów.

10 maja

Od rana temat wyborów, które miały być, ale ich nie ma. Spekulacje, kalkulacje. W 1988 roku byliśmy z córką w Grecji, u ciotki, która w czasie wojny wyszła za mąż za Greka. Fela i Aris mieli dwa domy: jeden w Pireusie, drugi na Salaminie. Gdziekolwiek szliśmy na spacer, ciotka przestrzegała: tylko nie mówcie, że jesteście Polkami. Tu nie lubią Polaków.

Różne były przyczyny antypatii, ale najświeższa pojawiła się tuż przed naszym przylotem: Polak zamordował właściciela sklepu, o czym donosiły pierwsze strony gazet. Nie słuchałyśmy „dobrych” rad – czy można wyprzeć się swojej narodowości? Jakoś nikt nam nie zrobił krzywdy, spotkałyśmy się nawet z bardzo sympatycznymi przejawami życzliwości. Jak będzie teraz? Jak nas, Polaków, będzie postrzegał świat? Czy możemy od innych oczekiwać szacunku, skoro sami karmimy się słowami pogardy, nienawiści? Wystarczy przejrzyć wpisy na Facebooku. Ktoś powie, że w każdym społeczeństwie są ludzie i ludziska – tak było zawsze. Ale kto by przewidział, że fala nazizmu zaleje całe Niemcy, ogarnie naród? My mamy dwie fale i głęboki rów – bez planu budowania mostów.

Nie rozmawiam z nikim na temat bieżących wiadomości, dajemy sobie tylko sygnały. Każdemu jest ciężko, bez względu na ocenę tego, co się dzieje. Polityczny pat. Niepewna przyszłość. Wypada tylko przywołać staropolskie „jakoś to będzie”. Są sytuacje, kiedy dom, zamiast być schronieniem, staje się miejscem zagrożenia. Trzeba uciekać, uciekać jak najdalej, od telewizora, radia, zaangażowanych wpisów na Facebooku.

Pogoda piękna, więc idę na działki. Nie jestem z nikim umówiona, jeśli uda się wejść, pospaceruję wśród ogrodów. Pierwsza brama otwarta, wystarczy nacisnąć klamkę. Inny świat! Pierwszy raz w tym roku widzę tyle kwiatów, kolorów. Śmieję się sama do siebie, bo oczy zachowują się jak odkurzacz: wciągają kolory, kształty, różnorodność. Oddzielnie, poszczególne rośliny: bzy, tulipany, konwalie, i obrazy całości, z rozsianymi na zielonym dywanie trawy stokrotkami. Chłonę widoki na dalsze „zostań w domu”. Dwie działki należą do moich byłych uczennic: Kasi i Danusi. Proszę sąsiadkę, aby je przy okazji pozdrowiła. Dróżka kończy się ogrodzeniem, tędy nie przejdę na dalsze działki, więc wracam i okazuje się, że pozdrowienia były zbędne. Kasia ze Staszkiem wysiadają z samochodu, idą w moim kierunku. Wracamy na ukwieconą działkę. Drugie spotkanie z ludźmi. Kasia proponuje, że dorobi mi klucz, żebym mogła przychodzić do ogrodu, kiedy chcę.

Jak w słowach piosenki, rozmawiamy o tym, co serdecznie boli. Także o tym, co się pojawiło, z czym chyba przyjdzie nam żyć. Umiejętność przystosowania. Możliwe, że kiedyś zesłaliśmy z drzewa, i proszę, jak się pięknie przystosowaliśmy. Należałoby powiedzieć, że czeka nas twarde stąpanie po ziemi, ale jestem marzycielką, wierzę, że „jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie”.

Zapowiadają burze

Piękna, słoneczna pogoda, ale można spodziewać się burzy. Punktualnie o szóstej pojawił się w oknie „mój” dziadek. Wyniosłam pościel na balkon, mam nadzieję, że nie złapie jej deszcz. Spoglądam na swój ogród – nie jest tak piękny, jak przydomowe czy działkowe ogrody, ale niesie mi przesłanie Horacego: *carpe diem!* Chwytaj dzień, chwytaj chwilę, ciesz się życiem, bo sam fakt, że żyjesz, jest szczęściem. Z kuchennego okna mam widok na jedenaście krzewów bzu, a za parkingiem, po drugiej stronie ulicy, jest dom Jarka, otoczony ogrodem. Ściana bzu, a wyżej kompozycja: dwa wielkie, kwitnące kasztanowce, między nimi, sięgająca do nieba, topola. Na pierwszym planie nieco niższa lipa. Wygląda, jakby przykucnęła, niczym ludzie, pozujący w grupie do zdjęć. Chciałoby się za Faustem powtórzyć: *Chwilo trwaj!* Jesteś piękna.

Wczesnym popołudniem telefon od Staszki i Jana – zapraszają na działkę. Spotykamy się na stacji benzynowej. Pierwszy raz tak blisko, od czasów pandemii, w jednym samochodzie. Siedzimy w maskach, które ściągamy dopiero na działce. Przeminał jej wczesnowiosenny urok, który pamiętam z poprzednich lat. Jeszcze kwitną dwa tulipany, niezapominajki i konwalie, rozsiane wzdłuż stylowego ogrodzenia. Altankę otaczają nienazwane kwiaty, podarowane przez zaprzyjaźnioną osobę. Kilka pełników nie poddaje się przemijaniu. Ten skromny, a jakże piękny kwiat, utrwalił mi się w pamięci od czasów młodości: zdobył tytułową stronę albumu sławnego fotografa.

Gospodarze zabierają się do pracy, ja zwiedzam teren działek. Na jednych pobudowano domy mieszkalne, inne chlubią się altankami. Różne są upodobania właścicieli: jedni sieją trawę, sadzą krzewy, inni stosują system mieszany – trochę kwiatów, trochę krzewów, parę grządek warzyw.

Przechodzę obok działek, z którymi łączą mnie wspomnienia. Ten zakątek ogrodów otrzymali w przydziale pracownicy służby zdrowia i ich rodziny. Patrzę na trzy dorodne świerki, posadzone ręką malarza Stanisława Pawłowskiego. Jak on się nimi cieszył, chlubił. Kilka następnych działek jako pierwszych właścicieli też miało tych, którzy dawno odeszli - pielęgniarka, matka mojego ucznia, mój brat, pracownica administracji szpitala, lekarz. Zaglądam na działkę brata: nadal stoi altana, będąca pierwotnie kioskiem „Ruchu”, szklarnia, którą brat montował ze starych okien. Jabłonie się postarzały, tuja i jałowiec prezentują pełnię urody, choć zbliżają się do pięćdziesiątki.

Wiele działek zmieniło swoich właścicieli, Staszka i Jan należą do tych pierwszych. Ich ażurowa altana zdążyła obrosnąć grubymi, zdrewniałymi pędami winorośli. Zbliżają się „ogrodnicy”, więc gospodarze okrywają otuliną grządki, aby uchronić rośliny przed nadchodzącym zimmem. W ogrodzie, przy moim domu na przedmieściu, robiliśmy pomidorom czapki „napoleonki” ze starych gazet. Wciąż wracam wspomnieniami do przeszłości, ale każda okazja jest dobra, aby „rozszerzyć” czas.

Staszka z upodobaniem hoduje zioła, zostaje nimi hojnie obdarowana, a ponadto do reklamówki trafia szczypiorek, pietruszka, koper. Na stoliku w altanie stoi bukiet konwalii, też dla mnie. To było moje trzecie spotkanie z ludźmi.

Pod wieczór odzywa się dzwonek domofonu. Jarek. Od kilku lat robi mi niespodziankę: otwieram drzwi, a za nimi stoi Jarek z przepysznym bukietem białego i fioletowego bzu. Przyznaję, że w cichości serca czekam na ten dzień. Kwiaty ledwie się zmieściły w wielkim wazonie. Cieszą widokiem, zapachem i świadomością, że mam przyjaciół.

Ogrodnicy

Tradycyjne trzy dni ochłodzenia, zakończone „zimną Zośką”. Bonifacy, Pankracy, Serwacy - chyba nikt dziś nie nadaje takich imion? Bonifacy pojawia się jeszcze w bajce, Pankracy podobno jest patronem, czuwającym nad naszym zdrowiem. Na noc okryłam moje balkonowe rośliny kocami, żeby nie zmarzły, jeśli sprawdzą się prognozowane temperatury. Na szczęście nie było przymrozków.

Zimno nie skłania do dalszych spacerów, na czym korzysta nieco dom: drobne porządki, prozaiczne czynności, które odrywają myśl od wielkich problemów tego świata. Dzień ukoronowałam chwalebny czynem – ulepieniem kilkudziesięciu ruskich pierogów.

W drugim dniu powędrowałam do punktu usługowego, otwartego w ramach łagodzenia zakazów. Jeszcze zimą zamówiłam wymianę okien i parapetów, po koronawirusowej przerwie zbliża się czas realizacji prac. Wybrałam solidne, kamienne parapety – mam nadzieję, że zaakceptują je ci, którzy przyjdą po mnie.

Wiadomości telefoniczne mogę określić jako stan zawieszenia. Ula dowie się jutro, jakie są wyniki badań węzłów chłonnych, czy nie trzeba ich usuwać. Każda czynność sprawia jej wiele kłopotu, ale trzyma się zasad i sama stara się ze wszystkim poradzić. Mycie włosów, założenie bluzki, prasowanie, niby proste do wykonania - nie dla niej. Staszka była wczoraj z wizytą lekarską u profesora. W poniedziałek ma się stawić w szpitalu, będzie operowana na oddziale chirurgicznym.

Jutro powinnam pójść na pogrzeb krewnej „dziadka”. Nadal obowiązuje ograniczenie liczby żałobników, tylko już nikt tego nie sprawdza. Zobaczę. Odchodzą bliżsi, dalsi, i chociaż wiosna, chwilami mam jesienne nastroje. Dobrze, że widok i zapach bzu przypominają: carpe diem!

Ostatnio wielu ludziom „siada” psychika, wydawałoby się bez przyczyny. Z zasłyszanych opowieści, przytoczę jedną: Rzec się działa w Kanadzie. Znany i szanowany dentysta, któremu, mówiąc naszym językiem – ptasiego mleka brakowało, przemalował samochód na policyjne kolory, założył policyjny mundur, jeździł po mieście i okolicach, strzelał do przypadkowych ludzi. Zabił ponad dwadzieścia osób. Został zabity w trakcie pościgu. Słyszę też o mniej dramatycznych historiach, frustracjach. Instrukcje bezpiecznego zachowania dotyczą naszego zdrowia fizycznego, za mało uwagi przywiązuje się do psychiki. Trzeba ją chronić bardziej niż nos i usta przed koronawirusem., tak jak się chroni rośliny przed mrozem.

Pewien samotny mężczyzna, mieszkający z dala od ludzi, zwykł sam sobie opowiadać dowcipy...i sam się z nich śmiał. Potrafił też śmiać się z siebie: - Wesoły ze mnie chłopak - mówił – gdzie pójdę, tam się ze mnie śmieją.

Oglądałam na Facebooku cudownie wykonaną salsę – do lustra. Ja też zacznę się uśmiechać do lustra, w ramach autopsychoterapii. Nie będę sobie opowiadać dowcipów, bo nie lubię tych „z brodą”.

Zimna Zośka

Przed południem złożyłam życzenia Zofii – poetce, po południu odwiedziłam Zosię - ogrodniczkę. Zawsze miałam i mam koleżanki o tym imieniu. Imieniny Zofii kojarzą mi się z kwitnieniem bzów, konwalii i kasztanów. Wystarczy uchylić okno, wyjść z domu, aby usłyszeć radosny śpiew ptaków. Przydomek „zimna” jest niezbyt przyjemny i nie zawsze prawdziwy: dziś, po kilku naprawdę zimnych, pochmurnych dniach, wyszło słońce, uśmiecha

się do ludzi w maskach. Słońce, jeśli nie pali, jak pisze w jednej z pieśni Jan Kochanowski, daje nadzieję – stąd chyba określenia „pogodny nastrój”, „pogoda ducha”. Dla wielu spośród nas rzeczywiście świta nadzieja: fryzjerzy wracają do zakładów, znikną niedbale fryzury, u kosmetyczek panie będą mogły korygować urodę, zakochani spotkają się w kawiarni lub restauracji. W turystyce nadal przestój, chociaż już działają hotele. Kto musi, ten skorzysta z pokoju hotelowego i posiłku, przyniesionego w ramach cateringu.

Właściciele linii lotniczych zmniejszają stan posiadania, redukują liczbę samolotów i pracowników. Przełom wieków nie objawił się spodziewanym przez katastrofistów kataklizmem. Kryzys, przełom w dziejach nam współczesnych, wywołał mały złośliwiec, który bawi się z ludzkością w chowanego.

Jaki będzie nasz świat w nowej rzeczywistości? Na to pytanie nikt dzisiaj nie potrafi dać sensownej odpowiedzi. Na razie powoli wracamy do „normalności” – mecze piłki nożnej będą się odbywać z wirtualną publicznością, koncerty organizuje się on lin, porady lekarskiej można zasięgnąć przez telefon... Ciekawa jestem, jak będą nagrywane filmy, szczególnie te z wielotysięcznym tłumem statystów. Syn znajomej przełożył ślub i wesele na następny rok, wierzy, że będzie mógł wtedy zorganizować prawdziwe wesele.

Przepisy pozwalają na większą ilość pasażerów w autobusie, konstruktorzy samolotów pracują nad modernizacją ustawienia foteli, aby zapobiec potencjalnemu zakażeniu, restauratorzy mają za zadanie limitować ilość gości. Nie wiadomo, jak nowa rzeczywistość będzie wyglądała w szkole. Bezowocną dotąd walkę nauczycieli o zmniejszenie liczebności klas, oddziałów przedszkolnych, wygrał koronawirus. Nie do pomyślenia, aby w jednej sali lekcyjnej, ramię przy ramieniu, przebywało kilkudziesięciu uczniów. Ciekawe, czy Ministerstwo Oświaty zdaje sobie sprawę, że w przyszłości zabraknie nauczycieli? A co ze szkołami – będzie potrzeba więcej pomieszczeń, więcej szkół...

Jakiegokolwiek dziedziny życia się nie dotknie, w każdej musi nastąpić zmiana. Specjaliści są od tego, żeby planować, pisarze, poeci, mogą tylko opisywać rzeczywistość, sięgać wyobraźnią w przyszłość. Jakże bliski jest mi teraz Adam Mickiewicz, który w „Panu Tadeuszu” utrwalił świat, odchodzący w przeszłość. Słowo „ostatni”, powtarzane wielokrotnie w poemacie, jest przepełnione nostalgią i sentymentem. Co ja – my, możemy opisać z minionych doświadczeń, dorobku ludzkości, jako ostatnie, minione? Czy jeszcze kiedyś będzie tak, jak było? Po stracie uświadomimy sobie, że my, Europejczycy, żyliśmy w dobrobycie. Oczywiście – nie wszyscy. Ale: po co komu wojny? Podejrzewam, że wielcy tego świata nie zrezygnują ze zbrojeń. Nawet pandemia, ogarniająca glob, nie jest w stanie wyeliminować z ludzkiej natury instynktu myśliwego i żądzy władzy.

To lubię

W chłodne dni spaceruję wokół bloków, wzorem staruszka z okna. Użyłam niemodnego określenia: „staruszek” – dzisiaj już takich nie ma. Są ludzie starsi, starzy, w jesieni życia. Staruszki, staruszkowie, przeszli do językowego lamusa, obecni są tylko na kartach książek. Cóż, ja też poczułabym się urażona, gdyby ktoś tak o mnie powiedział. Unikając niektórych słów, popadamy jednak czasem w krańcowość: śmiesz i dziwi informacja medialna o siedemdziesięciolatku, osiemdziesięciolatku. –latek zarezerwowany jest dla nastolatków i kojarzy się z cechami charakterystycznymi dla tego wieku: energią, fantazją, buntem, często działaniem wbrew rozsądkowi. Stare porzekadło sankcjonuje ten stan słowami: „młodość musi się wyszumieć”. Trudno „szumieć”, gdy się przekroczyło siedemdziesiątkę, ale to się zdarza, przynajmniej w moim przypadku. Wyznaję zasadę; życie na serio jest śmiertelną nudą.

Idąc na swój mini spacer, czytam wywieszony na punkcie z usługami internetowymi napis: BĘDZIE DOBRZE / UŚMIECHNIJ SIĘ i symbol emocji – buźka. To lubię, to mi się podoba. Uśmiecham się, myślę o wielu wspaniałych ludziach, którzy w trudnych czasach pokazali, że nie są obojętni. Młoda osoba, Karolina, rzuciła hasło „Tomaszowianie pomagają” i „zaraziła” entuzjazmem zarówno młodych, jak starszych mieszkańców naszego miasta. Szycie maseczek i ich rozdawanie, pomoc tym, którzy tego potrzebują, wspieranie służby zdrowia. Restauratorzy, właściciele barów, dostarczają posiłki do szpitala, cukiernik regularnie częstuje pracowników i pacjentów, wypieczonymi przez siebie słodkościami. Szlachetną akcję wsparła lokalna gazeta – Tomaszowski Informator Tygodniowy. Gdzie nie ma instytucji, tam są oni: aktywni, życzliwi, solidarni. To lubię, to mi się podoba. Już nie raz na rok jesteśmy wspólnotą, dzięki wspaniałej Orkiestrze Jurka Owsiaaka, ale każdego dnia. I to są wartości, których brakowało w naszym społecznym życiu. Chwała koronawirusowi, że wyzwolił dobro, które jest w nas. To lubię!

Się dzieje!

Trzaskowski zastąpił Kidawę-Błońską. Dobrze, że zrezygnowano z poprzedniej wersji wyborów. Za dużo znaków zapytania, za dużo wątpliwości. Mówią, że w czasie wyścigów nie zmienia się konia. Komentatorzy zapominają o wyścigach bolidów, w których cały zespół serwisantów czuwa nad sprawnością pojazdu, a jeszcze większy dba o dyspozycję kierowcy. Wybory prezydenckie 2020 przypominają zawody F1, z drobną korektą – nastąpiła wymiana kierowców. Oni się ścigają, my czekamy, kto wygra. Co zadecyduje: lepsze paliwo, czy sprawniejszy wóz? Zdolność kierowania czy aplauz kibiców?

Niedzielny poranek zaczął się od sensacji: Marek Niedźwiedzki, wraz z kilkoma innymi dziennikarzami, odchodzi z „Trójki”. No nie! Kilkadziesiąt lat wierności jednej stacji, tysiące potraw, przygotowanych z towarzyszeniem audycji i muzyki płynącej z radia. Od dłuższego czasu to już nie jest ta „Trójka”, ale kiedy zabrakło Mana, miałam jeszcze Niedźwiedzkiego, Kydryńskiego... Jestem po ich stronie, Kazik wyśpiewał ból Kasi, która nie mogła stanąć przy grobie syna. Łańcuchy na cmentarnej bramie to symbol głupoty i znieczulicy. „Co wolno wojewodzie...” można z drwiną i goryczą skomentować obecność polityków na Powązkach. Tak, i jeszcze ostrzej, wypowiadali się ludzie, którzy w Wielkanoc nie mogli pójść na cmentarz. Wielkie wydarzenia, szczególnie te nieprzewidziane, jak np. pandemia, wymagają mądrych decyzji i umiejętności przewidywania ich skutków.

Pan dyrektor „Trójki” nie przewidział – co do tego zgodni są aktorzy różnych stron sceny politycznej. Piosenka Kazika zyskała popularność, jakiej nigdy by nie osiągnęła, gdyby nie zdjęcie z programu „Listy przebojów”. Czas wyborów to stąpanie po kruchym lodzie lub, jeśli ktoś woli – gra w szachy. Każdy ruch ma znaczenie dla partii. Z całą pewnością przybędzie głosów młodemu buntownikom.

Medialna burza wokół radia ma też pewne uboczne, pozytywne aspekty: w wielu wypowiedziach pojawiło się słowo „kultura”. Nie działa się najlepiej, przyszłość też nie rysuje się różowo. Sztuka rzadko ma rodziców, najczęściej ojczymów i macochy, ją w pierwszym rzędzie dotyczą konieczne oszczędności w „domu”. Kto pamięta, kto docenia, że naród polski przetrwał czas zaborów dzięki kulturze?

Jest niedziela. Wstałam o piątej rano, bo nie mogłam dospać – Staszka jedzie dziś do rodziny w Łodzi, tam spędzi noc, a rano ma się zgłosić w szpitalu. Rozmawiałyśmy w czwartek. Chciała koniecznie zobaczyć się ze mną przed operacją, złożyć życzenia imieninowe. Nie dzwoniła, a kiedy ja zadzwoniłam, Jan nie poprosił jej do telefonu. Nikt nie musiał mi mówić, że moja przyjaciółka czuje się bardzo źle. Myślę o tym, co powiedziała, że będzie w szpitalu sama...

Po obiedzie uciekłam z domu. Nie słuchać, nie myśleć – patrzeć. Na Niebieskich Źródłach pięknie i tłoczno. Wśród spacerowiczów dostrzegam liczną rodzinę: on i ona mogą mieć niewiele ponad trzydzieści lat, towarzyszy im piątka ruchliwych dzieciaków. Kiedy się mijamy, słyszę język ukraiński. Obecność Ukraińców w Polsce to już normalność, nawet informacje w autobusie są dwujęzyczne: po polsku i ukraińsku zabraniają, w związku z pandemią, zajmowania niektórych miejsc.

Obok mnie na ławce przysiada młody mężczyzna bez maski. Unikam bliskiej obecności ludzi, więc wstaję i opuszczam teren źródeł. Po drugiej stronie jezdni jest skansen, obecnie nieczynny, duży parking, z przylegającym mini parkiem. Siadam na ławeczce, obserwuję ludzi, samochody i motocykle. Pasażerowie samochodów przyjechali na źródła, motocykliści są w „przelocie”, spacer po rezerwacie traktują jako przerywnik w wiosennym rajdzie. Na sąsiedniej ławce siedzi rodzina z małym, pociesznym psem. Kiedy przechodzę obok nich, pies się do mnie łąsi, chce za mną biec. – To jeszcze szczeniak – mówi matka dwóch dziewczynek. Maja, bo tak się wabi pocieszna suczka, wyczuła, że lubię psy, szczególnie te małe i średnie. Miło jest odbierać dowody sympatii i miło nią obdarzać, zarówno ludzi jak zwierzęta.

Po powrocie obejrzałam trzy filmy, w tym dwa po raz kolejny. Nie mam nastroju do jakiegokolwiek czynnego działania. Na szczęście nie muszę przygotowywać się do lekcji, sprawdzać zeszytów i klasówek, prac maturalnych...

Wieczorem dzwonek domofonu. Nikogo się nie spodziewam. Przyszedł Jarek z olbrzymim bukietem bzu, bukiecikiem konwalii. Towarzyszy mu Bari, pies, przygarnięty ze schroniska. Dawno nie był w moim domu, widać, że się cieszy. Obiega całe mieszkanie, łąsi się, wtula pyszczek pod moje ramię. Stęskniliśmy się za sobą – z wzajemnością.

Wielki Jubileusz i mała rzeczywistość

Dzisiaj przypada setna rocznica urodzin Jana Pawła II. Miała być wielka pielgrzymka do Rzymu. U nas, w Polsce, byłoby zapewne świętecznie, tłumnie, radośnie. Jest jak jest. Zamieściłam na Facebooku niepublikowany wiersz, który napisałam w dniu ogłoszenia wyboru Karola Wojtyły na papieża. Tekst słodko-gorzki, z podtekstem o naszej, Polaków, nie najlepszej kondycji w świecie.

W radiu i telewizji przeplatają się krańcowe tematy: jubileuszu urodzin papieża i filmu braci Sekielskich „Zabawa w chowanego” – kontynuacji „Tylko nie mów nikomu”, o pedofilii w kościele. Jak refren wraca problem „Trójki”. Artyści rezygnują z obecności na tej antenie, dziennikarze protestują, kilku znamienitych, min. Marek Niedźwiecki, definitywnie zrezygnowało z pracy. Poranne wywiady z cyklu „Salon Polityczny Trójki” przeprowadzono z domowego telefonu. Co chwilę słychać było głos dziecka, a dziennikarz dyżurny wyjaśnił okoliczności: „Czasami studio odmawia posłuszeństwa”.

W porze zarezerwowanej dla starszego pokolenia wybrałam się do sklepu. Przy kasie dałam pani kartkę z tekstem, który w sobotę zamieściłam na forum:

Niech żyją bohaterki/ w plastikowej przyłbicy/ odważne, sympatyczne/ kasjerki.

Mężczyźni też pracują przy kasie, ale dla nich nie znalazłam rymu. Jarkowi jakoś to wynagrodzę. Moja pani kasjerka bardzo się ucieszyła i obiecała pokazać kartkę innym paniom. Po powrocie do domu przypomniałam sobie, że miałam obejrzeć doniczki balkonowe, zamiast tego kupiłam cukier i banana. To się zdarza, podobno nie tylko mnie.

Co robić w chwilach, gdy ma się niskie poczucie wartości, świadomość, że nie podejmuje się żadnych ważnych działań? Pisanie to moje hobby, z którego niewielki pożytek. Nigdy nie ma

pewności, czy ktoś to przeczyta, zaakceptuje. Wymyśliłam mycie okna. Czynność, dająca natychmiastowy efekt: świat przez czyste szyby jest dużo ładniejszy. Z okna zesłam na podłogę, bo listwy nieco zmieniły barwę. W euforii, towarzyszącej nieplanowanej czynności, odsunęłam pufę, ta potrafiła wielki wazon z bzem od Jarka. Ze zgrozą stwierdziłam, że mam lokalny potop. Dobrze nawilżone panele, po osuszeniu, nieco zmieniły kolor, ale są ok. Czas na telefony.

Ula przygotowuje się do smarowania zasinień jakąś śmierdzącą maścią, z którą ma siedzieć dwie godziny. Jutro skontaktuje się z lekarzem, aby ustalić termin radioterapii.

Dzwonię do Stasi: – Nie mogę cię odwiedzić, więc składam wizytę przez telefon. Staszka zdaje mi relację; zanim została przyjęta na oddział, zrobiono jej test na koronawirusa. Trzy godziny czekała w niepewności, na szczęście wynik był ujemny. Leży w szpitalu im. Barlickiego, w dwuosobowej sali. Jutro przed południem operacja. Pyta, czy piszę. – Tak, piszę, tylko kto to przeczyta? – wyrażam nieudawaną wątpliwość. – Przeczyta, przeczyta. Ja pierwsza przeczytam, jeśli przeżyje operację. – Przeżyjesz. I trzymam cię za słowo – masz czytać krytycznie. Razem odchudzimy opasłą treść. Wystarczy, że ja przytyłam.

Jutro będzie miała wyłączony telefon. Mam czekać na wiadomości od niej lub od Jana. Przed nami trudne dni. I nadzieja.

Dzień pełen niespodzianek

W środę miałyśmy się z Kasią wybrać do lasu na zbieranie czubków sosnowych. Dzwonię, żeby się upewnić, czy będzie to możliwe. Jeśli nie, pojedę dzisiaj sama do Spały na konwaliowy spacer. – Właśnie my ze Staszkiem za jakieś półtorej godziny pojedziemy do Spały. Zbliży się druga rocznica śmierci Marysi, jego żony, więc wybieramy się na cmentarz. Możemy panią zostawić w Spale, w powrotnej drodze wpadniemy do Staszka. Teraz jedziemy na rynek. Może pani coś kupić?

Zamawiam pęczek rzodkiewki, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy. Kiedy samemu idzie się do sklepu czy na targowisko, wtedy „kupują” oczy – psychologiczne uzasadnienie przyciągających wzrok opakowań, sposobu ekspozycji towaru.

Pierwszy raz od dawna jadę samochodem osobowym, oczywiście, w maseczce. Droga do Spały wiedzie wśród tunelu soczystej zieleni drzew. Ile to minęło dni, tygodni, miesięcy, bez spaceru po spalskim lesie? Czuję się jak przybysz w naszym, swojskim krajobrazie. Wsiadam przed Spalą, inaczej niż zawsze: bussem jadę do Centralnego Ośrodka Sportu, idę w kierunku Inowłódza, a później wracam na przystanek w Spale.

Witam dawno nie widziane miejsca. W łąkach zielonych liści niewiele kwiatów – od lat na rynku w Tomaszowie, przed sklepami, stoją wiadra, miski, przepełnione wytrzebionymi w Spale konwaliami. Ścieżką rowerową docieram do granic miejscowości, której status trudno określić: nie jest to miasto, nie jest to wieś. Miejscowość wczasowa, zaznaczona pobytem cara i jego rodziny, wizytami prezydentów okresu międzywojennego, dożynkami o bogatych tradycjach, treningami sportowców kadry narodowej. Spiżowy żubr stoi w parku, chociaż były próby przeniesienia go na drugi koniec Polski. Niemcy odrąbali mu głowę – nie wiadomo po co i dlaczego. Symbol Spały już na zawsze będzie nosił bliznę po ranie. Naturalny teren parku ktoś postanowił „ucywilizować”: wyznaczono nowe ścieżki, pokryto je betonem, urządzono rabaty z kwiatami. Ot, taki sobie przeciętny park. Szkoda.

Główna ulica, zawsze dotąd przemierzana przez spacerowiczów, ziele pustką, tylko ilość samochodów się nie zmieniła. Przydałaby się obwodnica, pozostająca dotąd w sferze marzeń. Niekiedy, czekając na autobus, próbuję nawiązać z kimś rozmowę telefoniczną. Efekt

podobny jak przed laty, gdy się chciało słuchać radia „Wolna Europa”. Z tego miejsca nawet wezwanie pogotowia ratunkowego byłoby problemem. Piękny widok spalskiej puszczy zakłóca sznur samochodów wszelkiej maści, warkot silników i duszący zapach spalin.

Ostatnio miewam niespodziewane spotkania z siostrzenicą, tym razem zobaczyłam ją na przystanku autobusowym. Na moją prośbę sprawdzała połączenia do Tomaszowa. - Chciałam zrobić zdjęcie rozkładu, ale teraz już nie muszę – powiedziała na mój widok. Za kilka dni mam imieniny, więc rzuciłam propozycję : - A może w piątek, u mnie, na partyjce kości? Odpowiedziała uśmiechem, bo nadal nie wiadomo, czy można już bezpiecznie siadać przy jednym stole.

Kasia i Staszek skończyli porządkowanie grobu, podjeżdżają na przystanek i dochodzi do małego spotkania towarzyskiego, charakterystycznego dla naszych czasów: wymiana kilku zdań. Ważne, że jest kontakt z innymi ludźmi.

Jedziemy do Staszka. Przyjaciół Kasi jest emerytowanym wojskowym, mieszka w domu, w którym się urodził. Glinnik to osada, w której większość mieszkańców pracowała, lub nadal pracuje, na lotnisku. Uliczka jest jednostronnie zabudowana, okna wyglądają na las. Staszek zajmuje parter, na pierwszym piętrze mieszka jego syn z żoną i niespełna roczną wnuczką Basią-Marysią, po babci. Dom, jak wszystkie przyległe domostwa, otacza starannie pielęgnowany ogród. Cisza, zieleń i śpiew ptaków. Jak mówi Staszek, słysząc je już o świcie. - Czy mógłbym się stąd gdziekolwiek wyprowadzić? – komentuje moje pytanie o przyszłość jego i Kasi.

Młodzi przygotowują obiad, chcę mieć mały chociaż udział, więc obieram i kroję ogórki do sałatki. Po raz pierwszy w tym roku jem młode kartofle z koperkiem, zerwanym przed chwilą w ogrodzie. Po obiedzie idziemy do pobliskiego lasu na zbieranie sosnowych czubków.

Pobyt u Staszka sprzyja wspomnieniom. Jako dziecko chodziłam z mamą do znajomych „na Glinę”, jak się wówczas mówiło o wsi, przylegającej do lotniska. Słyszmy na skróty, przez teren, ogrodzony drutami, z lękiem, czy nas ktoś nie przyłapie, czy nie wybuchnie jakaś mina. Lotnisko było nieczynne, porośnięte wysoką trawą. Ale przecież tak niedawno odgrywało ważną rolę w toczącej się wojnie. Dziś słynie z kawalerii powietrznej i helikopterów, które krążąc po niebie niejednemu raz przyczyniły się do ratowania lasu przed pożarem.

Wracam do domu z czubkami, obdarowana zieleniną z działki Kasi i ogrodu Staszka. Piękny dzień, wśród dobrych ludzi. I mój pierwszy w tym roku spacer po spalskim lesie!

Oczekiwanie

Rano, jak zwykle, słucham radia. Nie mogę się uwolnić od „Trójki”. Odchodzą kolejni dziennikarze, ale mówią, że „Trójka?” musi być. Zostaje, na razie. Przez kilkadziesiąt lat można się do kogoś – czegoś przywiązać, nie tylko przyzwyczaić. Wczoraj z Kasią i Staszkiem rozmawialiśmy o piosence Kazika. Nie słyszeli jej, ale wiedzą, że w związku z „listą” coś się dzieje w „Trójce”. Przekazałam główną myśl tekstu. Kasia wróciła do tamtych dni: - To było straszne. Żeby pani widziała ludzi, stojących za murem cmentarnym. Stali i patrzyli, jakby mogli zobaczyć to, co jest za murem. Nie można było wejść na teren cmentarza, a z boku stała policja, żeby pilnować. Przecież przez ten mur nikt by nie przeskoczył! Po co oni tam stali? Co oni czuli, patrząc na nas? Czy ci ludzie są bez serca? –Kasi, choć minęło już sporo czasu, nie opuszczają emocje. – Policjanci są takimi ludźmi jak my- staję w ich obronie. –Z pewnością było im przykro. Wykonują rozkazy, nie zawsze zgodne z osobistym przekonaniem, sumieniem...

Drugi dzień słucham „Trójki” – pełna wątpliwości, negacji i nadziei. Chwilami wybieram inne stacje i...wracam. Może coś się odkręci, zmieni, może nastąpi przełom i moi ulubieni dziennikarze powrócą na antenę? Kiedy tzw. decyzyjni ludzie zrozumieją, że popełnili błąd?

Czekam na telefon od Jana. Rozumiem, że Stasia nie może dzwonić, choć jak powiedziała, ma zapisane numery telefonów zaprzyjaźnionych osób. Następny etap dnia – wpisywanie wiersza z komentarzem na Facebooku. Przechodzę do pokoju, niestety – awaria: nie mam ani Internetu, ani telewizji. Dzwoni dawno niewidziana koleżanka: - Emilko! Przeczytałam twój „Wietnamski sen”. Jacy to cudowni ludzie, ci Wietnamczycy! Byłam z tobą wszędzie. To, co piszesz o perypetiach na lotnisku, sama przeżyłam. W obecnej sytuacji, i przy moim stanie zdrowia, chyba już nigdy nie polecę samolotem... Ostatnio czuję się trochę lepiej, mniej mi dokucza wysokie ciśnienie, często mam za niskie, wtedy nie nadaję się do niczego. Bardzo cię proszę, jeśli masz jeszcze egzemplarze tej książki, poproszę o dwa, dla moich bliźniaczek i „Źródło” dla starszej córki. Zbliżają się imieniny, urodziny, więc będę miała dla nich prezenty.

Cieszę się, że moja książka pomogła komuś w trudnych dniach, na dodatek chorej osobie, po udarze. Z radością ją odwiedzę, w maseczce, przy okazji podrzucę „Źródło” naszej Michałowej. Umawiam się z nią na spotkanie. Rozmawiamy o Stasce. Do Jana dzwonił ksiądz Wacław, ona i wspólna znajoma, Tatiana. Nie odbiera. Każda operacja łączy się z niepewnością, lękiem pacjenta i jego bliskich. Trzeba uzbroić się w cierpliwość, przeczekać.

Wczoraj Kasia powiedziała, że druga z moich uczennic, Danuta, proponuje w piątek grilla na działce. Zadzwoiłam do Kasi i podziękowałam im obu. Może kiedyś. Później.

Taki sobie dzień

Rano odwiedzam Irenkę-Michałową. Wpisuję dedykacje do kilku książek, które zamierza wysłać do Lublina. Irenka jest uczestniczką zdalnego kursu, pragnie uhonorować wykładowcę, któremu spodobał się wiersz „Dąb”, przedstawiony w ramach prezentacji. Dawno się nie widziałyśmy, więc mamy o czym rozmawiać. Leży nam na sercu choroba Stasi. Irena i ksiądz Wacław, który na chwilę się do nas przyłączył, mają najświeższe informacje. Dodzwonili się wczoraj do Jana, Irenka rozmawiała nawet ze Stasią. Jest słaba, jak to po operacji, ale już wcześniej choroba odcisnęła na niej swoje piętno: schudła do granic możliwości. Trzeba czekać na wyniki badań. Wczoraj ich syn, Andrzej, wydzwaniał do szpitala, ale nie uzyskał żadnej informacji, dopiero na miejscu, po burzliwych rozmowach, czegoś się dowiedział. Koronawirus komplikuje nam codzienne życie, a co dopiero w przypadku choroby, wymagającej hospitalizacji, zabiegu...

Jadwiga mieszka niedaleko, więc prosto od Ireny idę ją odwiedzić, wpisać dedykacje do książek. Powoli się rozkręcam, chociaż nadal ograniczam kontakty, szczególnie z większą ilością osób. Wspominamy jej zmarłego męża, a mojego kolegę z pracy, wspólne „studniówki”, działalność w Związku Nauczycielstwa Polskiego. Mieszkanie Jadwigi, i ona sama, świadczy o zmyśle estetycznym, zdolnościach plastycznych gospodyni. Okazuje się, że moja znajoma jesienią będzie obchodziła jubileusz osiemdziesięciopięciolecia, na który już teraz mnie zaprasza. Nie wygląda na swoje lata, może dlatego, że jest życzliwą, pogodną osobą? Pogawędkę przerywa nam dzwonek domofonu: w drzwiach staje Marta, jedna z bliźniaczek, druga jest w Anglii. Wraz z mężem przyszli odwiedzić matkę, więc po chwili rozmowy żegnam się i spacerem wracam do domu.

Po drodze mijam mały, śródblokowy rynek warzywny. Życie wraca do normy, chociaż ilość zakażonych nie maleje, a nawet wzrasta. A może z wirusem jest jak z przestępstwami - lepsze metody wykrywania dają pozorny przyrost przypadków?

Dzisiejszy wpis na Facebooku zadedykowałam tym, których dopada depresja. Niepewność przyszłości, przedłużające się ograniczenia, choć częściowo zniesione, powodują obniżenie nastroju. Ludzie tracą pracę, jest wielu takich, którzy ponieśli duże straty finansowe w związku z zamknięciem działalności. Są choroby, samotność, alkoholizm, przemoc... Chyba nie ma w Polsce domu, w którym pandemia obywa się bez kłopotów. Odgradzeni od siebie, pozostajemy na ogół sami ze swoimi troskami. Na szczęście czasem można pomóc drugiemu człowiekowi, na miarę własnych możliwości.

Imieninowy weekend

Pochmurne dni, rozjaśnione życzeniami. Odwołałam zapowiedziane wizyty – nie jestem w nastroju. Od Jana i Staszki nie ma żadnych wiadomości. Sytuacja jest poważna, to nie poród, kiedy rodzina i znajomi oczekują na szczęśliwe rozwiązanie. Nie ma odwiedzin w szpitalach, nie można wziąć chorego za rękę, posiedzieć przy jego łóżku, zwilżyć wargi. Czuwam w domu, jestem sercem i myślą przy niej, skoro nie mogę inaczej.

W piątek od rana do wieczora telefony od rodziny, przyjaciół, znajomych. Życzenia niebanalne, w których pojawia się wszystko, co lubię i cenię: zdrowie, miłość, przyjaźń, życzliwość, poezja, bez, konwalie, las, grzyby. Niektórzy życzą mi także doczekania lepszych czasów. Kto by tego nie pragnął?

Jedyny wyjątek w spotkaniach zrobiłam dla siostrzenicy. Przychodzi z bukietem fioletowego bzu i upominkami. Miło, gdy obdarowujący słowem czy prezentem wnika w nasze pragnienia, upodobania. Nie lubię uniwersalnych życzeń, a szczególnie kartek z gotowymi tekstami, na których ktoś składa jedynie podpis. Najbardziej osobistym spoiwem, oddalonych od siebie ludzi, był w przeszłości list. Dzięki wynalazkowi komórek, smartfonów, pisane słowo zastąpiły telefony, które umożliwiają bliski kontakt z najdalszymi zakątkami świata. Uzupełniają je smsy i emaille. Rozmawiam przez telefon z moimi wietnamskimi studentami i, choć dzielą nas tysiące kilometrów, słyszę ich lepiej niż z peerelowskiego „tulipana” moją siostrę, mieszkającą po drugiej stronie ulicy. Radość z postępu technicznego zakłóca jednak myśl: Co po nas zostanie? Nie do przecenienia są listy wielkich ludzi, nie do zapomnienia fakty i myśli, zawarte w pożółkłych kartach listów, adresowanych do mnie, do mojej Matki...Nadawców dawno nie ma wśród żywych, a wystarczy sięgnąć do szkatułki i opowiadają o swoich radościach, troskach, jakby to było dziś.

Z Ewą rozegrałyśmy dwie partie pokera w kości. Co jakiś czas odbierałam telefony z życzeniami. W tym dniu zabrakło mi jednego: od Stasi albo Jana. Pamiętała o moich imieninach...

Odezwali się dawno nie widziani ludzie, min. uczeń, a później kolega z pracy. Mieszka na terenie, który kiedyś był wsią, dziś jest peryferyjną dzielnicą miasta. W głośnomówiącym telefonie usłyszałam „sto lat” w wykonaniu Kazika i jego żony. Anna jest po czwartej operacji kolana, chodzi z trudem, ale do lasu, jak już będą grzyby, na pewno się wybierze. Zapraszają mnie do swojej posiadłości wkrótce, jak tylko się poprawi pogoda.

W sobotę rozpoczynam dzień widokiem starego człowieka o kuli, czapli przelatującej w kierunku źródeł. Od dziewiątej zaczynają się telefony uzależnionych od kalendarza. Przyjaciółka z dzieciństwa, Blanka, pyta dlaczego obchodzę imieniny 22 maja, a nie 23. Twórcy kalendarzy stworzyli chaos informacyjny: od kiedy pamiętam, 22 maja był dniem imienin Julii, Heleny, Wiesławy, Emilii. Teraz 22 maja zarezerwowany jest dla Emila, a jego odpowiedniczka świętuje w następnym dniu. 30 maja też będę odbierała życzenia – na Lucyny, Emilii, tylko w św. Mikołaja nikt nie pamięta, że to także święto mojej patronki. Urodziny obchodzę dwa razy – świadomie i z radością: metrykalne i prawdziwe. Jestem dzieckiem wojny, z wszelkimi tego konsekwencjami.

Miedzy jedną rozmową telefoniczną a drugą przesadam kwiaty z prowizorek do doniczek, zakupionych w markecie. Gdzie te czasy, gdy siałam, sadziłam, plewiłam w ogrodzie przy domu, którego już nie ma? Do dziś zachował mi się pod powiekami widok dorodnych pomidorów, ich zapach i smak, sałata, którą obdarowani brali za kapustę, świeże rzodkiewki, jeszcze pachnące ziemią...

Przy okazji życzeń dowiaduję się, co słychać u moich znajomych. Barbara, księgowa w szkole budowlanej, podobnie jak ja na emeryturze, opiekuje się chorym mężem. Od Wielkanocy z tego powodu nie wychodziła z domu.

Ula czeka na konsultację lekarską, bo oprócz kłopotów z piersią, ma problemy z nerkami. Jest słaba, nie ma siły pielęgnować „swojego” ogródka, ale musiała pozbierać liście i gałęzie, które zostały po obcinaniu żywopłotu. Żali się na dozorcę – wyciął do korzeni posadzony przez nią bez. Mój kolon też zniknął. Wyhodowałam go z ziarenka, myślałam: mnie nie będzie, będzie klon. Okazuje się, że ktoś go złamał, więc dozorca, niczym dentysta, usunął korzeń. On wie, jak kocham drzewa, więc w ramach rekompensaty posadził pod moim oknem młody pęd klonu. Skąd go wziął? Nie wiem, ale doceniam serdeczny gest.

Z Blanką rozmawiam o stanie zdrowia naszej przyjaciółki, Staszki. Blanka jest lekarką, lecz i ona nie wie, jakie są rokowania. Czekamy na wiadomości, obie pełne obaw i nadziei.

Janina ma wymienione zastawki serca. Wizyty u kardiologa, kupowanie leków, są dla niej nie lada problemem. Dojść – za daleko, autobusy kursują co kilka godzin. Koronawirus spowodował zmianę rozkładów jazdy, utrudnił możliwość przemieszczania się, nawet w obrębie miasta.

Alicja pomagała dziś siostrze na działce, w porządkowaniu po rozbiórce starej altany. Cały dzień spędziła na powietrzu. Jest szczęśliwa, że wyszła z domu i wykonała pożyteczną pracę. Nie może się doczekać wspólnego wyjazdu do Twardej, gdzie mieszkają dwaj jej synowie, a mąż buduje dom dla trzeciego. Wspólnie marzymy o spacerze po lesie, Alicja dorzuca jeszcze zapach grilla i smak domowej nalewki. Wyobraźnia pracuje!

Zosia kończy upiększanie ogrodu, który na mnie czeka. Jej syn kupił całą zgrzewkę piwa, z myślą o naszych spotkaniach.

Jeden z telefonów szczególnie mnie usatysfakcjonował: usłyszałam chóralne „sto lat” w wykonaniu uczennic i ich mężów. Spotkali się na działce Danuty. W pierwszej chwili nie poznałam mojego „Robaczka”, Barbary, która niedawno przeszła poważną operację, ale już czuje się dobrze. Umawiamy się na spotkanie, gdy nieco poprawi się pogoda.

- Jakie to jest wspaniałe, to, co nas łączy – mówi Danusia. Moje uczennice są już emerytkami, babciami. Łączą nas nici sympatii, wspólna młodość i wspomnienia. Otrzymuję ze strony byłych uczniów wiele dowodów życzliwości, które składają się na dobro, które czerpię z życia.

Niedziela rano. Telefon od Jadwigi, prezeski TPD, z którą miałam się spotkać w piątek. Zawsze jest o czym rozmawiać, nic dziwnego, że następna rozmówczyni nie mogła się dodzwonić. Renata wykazuje cierpliwość, więc nie odkładając telefonu, słucham następnych życzeń, a raczej „podpisu” pod złożonymi wcześniej. Rozmawiamy o stopniowym rozluźnianiu rygorów stanu epidemii. Moja znajoma była w tych dniach na pogrzebie koleżanki z pracy. W pożegnaniu uczestniczyło ponad 50 osób, a jeszcze tak niedawno mogło być tylko pięć - z asystą policji. Zbliży się Pierwsza Komunia – Agatce, jej wnuczce, będą towarzyszyć rodzice, chrzestni i dziadkowie. Gdzie te uroczystości z wypełnionym po brzegi kościołem, błyskami fleszy, biegającymi kamerzystami? Daleka jest droga do normalności, każdy do niej wzdycha, ale czy, lub - kiedy do niej dojdziemy?

Brak poczucia stabilności odczuwa się w wielu dziedzinach: Co będzie ze szkołami? Jak przebiegnie zbiór truskawek, czereśni i wiśni? Jak wznowiona będzie działalność przedsiębiorstw, turystyki, teatrów, sportu? Kiedy i jakie będą wybory? Decyzje wiszą w powietrzu – czeski film: nikt nic nie wie.

W „Trójce” przeważa muzyka, odeszło tak wielu dziennikarzy, że nie wiadomo, czy doczekamy się jakiejś zmiany na lepsze. W czasie, gdy grałam z Ewą w kości, Kuba Strzyczkowski prowadził audycję, odbierał telefony od słuchaczy. Pierwszy raz słyszałam na antenie tylu ludzi, którzy mówili i płakali. Wcale im się nie dziwię, mnie też nieraz chciało się płakać. Na marginesie: zobaczyłam wreszcie w telewizji, w czasie obrad senackiej komisji, swojego ulubionego dziennikarza, Michała Nogasia. Wysłałam niegdyś do radia, na jego nazwisko, kilka książek. Bez echa. – To nie wiesz – usłyszałam, nie pamiętam od kogo – że on już nie pracuje w „Trójce”?

Kilka razy w życiu zablądziłam w lesie. Takie uczucie niepewności, zagubienia, towarzyszy mi od kilku miesięcy.

Niespodzianka

W poniedziałek dzwonię do „Michałowej”, może ona coś wie o stanie zdrowia Stasi. Trafiłam – rozmawiała z nią w niedzielę. Nasza przyjaciółka jest słaba, ale już pozwoliła sobie na mały spacer. Około południa w telefonie pełen werwy głos Jana: - Chcą ją w środę wypisać ze szpitala. Masz ochotę na brydża? Dziewczyny proponują spotkanie. – Nie za wcześnie z tym wypisem? – Cieszę się, a zarazem jestem pełna obaw: – Czy nie powinna jeszcze trochę pozostać pod opieką lekarzy? – My z Andrzejem też tak uważamy – zgadza się mój rozmówca. - Jutro Andrzej skontaktuje się z profesorem. Zobaczymy, co on zadecyduje.

Przyjmuję zaproszenie. Umawiamy się na spotkanie w pobliżu przystanku. Pojedziemy samochodem Jana, bo pogoda jest niepewna, autobusy rzadko kursują, a pieszo trochę za daleko na moje obolałe stopy. Dawno nie grałam, rzadko spotykam ludzi, więc ogarnia mnie radosne podniecenie, na zmianę z wątpliwościami: wprawdzie stopniowo są znoszone ograniczenia, ale czy to już jest dobry czas na brydża? W trakcie przygotowań do odświeżonej, mimo powszedniego dnia, wizyty, odbieram telefon od córki. Kiedy dowiaduje się, że wkrótce wychodzę na spotkanie, kończy rozmowę słowami: - To się szykuj! Nie będę ci przeszkadzać. Dziesięć minut później dzwonek domofonu. – Słucham? – Cisza. Otwieram, ale nie wiem komu, więc postanawiam sprawdzić. Za drzwiami, na schodach, stoi córka, zięć i wnuk. Niespodzianka. Szok! – Całe szczęście, że zadzwoniłam – mówi Sylwia – zastalibyśmy zamknięte drzwi...

Chcę odwołać spotkanie, ale dzieci protestują; - Będziemy mieli jeszcze dużo wspólnego czasu, wyjeżdżamy dopiero w środę. Marek pójdzie do fryzjera, pojedziemy na cmentarz, zrobimy zakupy na targowisku. Zobaczymy się jutro, na śniadaniu.

Wynajęli lokum, bo moje mieszkanie jest już za małe na nocleg dla całej rodziny. Lecą lata i mały Igorek, który biegał przed blokiem, jest dorosłym mężczyzną, o ponadprzeciętnym wzroście. Do mojego wyjścia zostało niecałe pół godziny. Ostatnio widzieliśmy się w Boże Narodzenie. Córka i zięć wypakowują prezenty imieninowo-matczyne, oglądają, po długim niewidzeniu, dom, podziwiają „ogród” na balkonie. Oni byli przygotowani na tę niespodziankę, ja nie.

A brydż? Krystyna, wita nas w maseczce, jaką mają tancerki hinduskie – bordowa materia w kształcie trójkąta, obszyta metalowymi cekinami. Iza i Jan są w maseczkach, ja w „przyłbicy”. Przy stoliku rezygnujemy z osłon, bo wyglądamy śmiesznie i dziwnie, zresztą Iza nie może długo być w masce. Dawno nie graliśmy, więc zdarzają się błędy, które w tej sytuacji łatwo

sobie wybaczymy. Zazwyczaj skupieni na grze, tym razem co jakiś czas wracamy rozmową do stanu zdrowia Stasi. W trakcie wieczoru następna niespodzianka: Jan odbiera telefon, po chwili daje mi aparat: Staszka!

Dzień pełen wrażeń. Adrenalina nie spada, wieczorem długo nie mogę zasnąć. Nie zdawałam sobie sprawy, że pozytywne przeżycia mogą tak silnie wpływać na organizm, chociaż... Oglądałam kiedyś piękny film o dziewczynie, której serce pękło z wielkiej miłości. Na szczęście moje wytrzymało niespodziewany przyjazd dzieci i dobre wiadomości od przyjaciółki.

Razem

Wspólnie przygotowujemy śniadanie. Zwykła rzecz, a jakże ważna, po długim niewidzeniu, izolacji. Napisałam kiedyś, że domofon obrósł pajęczyną. Niby żart, a przecież dzwonek domofonu stał się czymś niezwykłym, coś dopiero fakt, że nie jestem sama, że są ze mną moje dzieci. Od Sylwii dostaję bukiet konwalii. Ona wie: kocham konwalie. Dzień Matki. Moją odwiedzam na cmentarzu – taka kolej rzeczy. Ważne, by zostawić dobrą pamięć. Dwa razy podjeżdżaliśmy pod cmentarną bramę, za pierwszym razem nie było gdzie zaparkować. Odwiedzam groby bliskich, mijam mogiły dawno zmarłych, których znałam jako dziecko i tych, którzy jeszcze niedawno byli obecni w moim życiu. Spotykam znajomych i nieznajomych, każdy z kwiatami dla Mamy.

W Tomaszowie mamy wspaniałe targowisko, z cmentarza jedziemy więc na „rynek”. Dzieci zawsze, kiedy mnie odwiedzają, robią zakupy do domu, wczoraj zaopatrzyli się już w rzodkiewki, pomidory, ogórki, ziemniaki, cebulę i zapewne wiele innych warzyw, których nie zdążyli wymienić w rozmowie. Na targowisku jest taka obfitość i różnorodność świeżych owoców, warzyw, że trudno im się oprzeć. Dziś robimy zakupy do mojego mieszkania - donice ceramiczne, plastikowe, podłużne doniczki na wiszące kwiaty, oprawki na doniczki. Kiedy dzieci wyjadą, zajmę się przesadzaniem kwiatów, dokupię nowych. Nie ma plenerów literackich, nie wiadomo, kiedy znów zobaczę najbliższych, będę więc pielęgnować kwiaty i cieszyć się ich urodą.

Przy obiedzie wszyscy się krzątamy, choć w kuchni mieszczą się tylko trzy osoby: Igor smaży rybę, Sylwia doprawia sałatę, ja obieram ziemniaki, siekam koperek z balkonowego ogrodu, Marek nakrywa stół. W trakcie obiadu łamie mi się ząb. – Dobrze, że teraz – komentuje Sylwia – a nie wtedy, kiedy jeszcze były zamknięte gabinety. Wyobrażam sobie kolejkę do stomatologa, na szczęście mogę poczekać, bo nic mnie nie boli.

Po obiedzie jedziemy na Niebieskie Źródła. Samochód zostaje na parkingu, przy nieczynnym jeszcze skansenie. Idziemy groblą do serca źródeł – modrych, pulsujących oczek, potem kierujemy się na dziką ścieżkę, biegnącą po drugiej stronie rozlewiska. Dawno tędy nie szłam, samej trochę strach. Właściwie prawdziwy urok źródeł czuje się dopiero po tej stronie. Grobla jest uporządkowana, zagospodarowana: ławeczki, latarnie, tablice informacyjne, balustrada, obejmująca centralny punkt rezerwatu – bijące z ziemi źródła. Drugi brzeg rozlewiska jest niedotknięty ludzką ręką, tu natura jest żywiołem, w którym człowiek czuje się jak gość, dopuszczony do wielkiej tajemnicy. Częściej w tym miejscu bywają bobry niż ludzie. Coś jak z Mickiewicza...

Telefon od Jana: - Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Są wyniki badania – nie znaleziono złośliwych komórek.- Po takim wstępie - ulga. Uff! Teraz trzeba tylko czekać na powrót do sił, Staszka była bardzo osłabiona przed pójściem do szpitala, do tego przeszła poważną operację. Czuję się jak ziemia, z której schodzi skorupa lodu.

Powrót do normalności

Pytanie, co to jest normalność? Po śniadaniu dzieci idą na kawę, ja przesadzam cytrynę. Sylwia wraca z workiem ziemi do kwiatów, Marek pojechał po Igora. W południe żegnamy się – bezdotykowo. Całe nasze rodzinne spotkanie odbywało się pod znakiem koronawirusa, bez uścisków, objęć, pocałunków. Brakuje mi tego: dotknięcia drugiego człowieka, bliskiej osoby. Nie witamy się podaniem ręki, nie całujemy. Nasze spotkania brydżowe zawsze zaczynały się od przytuleń i pocałunków, dopiero przy grze stawaliśmy się przeciwnikami i partnerami, ale sprawiedliwie, po kolei, wszyscy ze wszystkimi. Premier zapowiada zwolnienie od noszenia masek na ulicy, wesela na 150 osób, nieograniczoną ilość wiernych w kościele. Kiedy będziemy mogli się całować?

Czymś trzeba się zająć, aby odreagować pożegnanie. Zrobię niespodziankę księdzu Wacławowi i Irenie, ugotuję kapustę z grochem. Uzupełniam potrzebne do tego artykuły: dokupuję grochu i kiszanej kapusty, przyda się też olej. W lodówce mam dwa słoiki własnej kapusty, ukiszonej jesienią. Jeden słoik zostanie na surówkę. Lubię gotować, nie myślę wtedy o niczym innym, jakby powiedział Jan Kochanowski -nie psuję sobie głowy zbytnim myśleniem. Dzwonię do Ireny-Michałowej, umawiam się na poranne spotkanie. Jeszcze nie wie, że jutro będzie miała mniej pracy przy obiedzie.

O osiemnastej dzieci meldują swój przyjazd do domu. Adrenalina powoli opada.

Ogniska

Po dziewiątej dobijam się do „Michałowej”, wielokrotnie naciskam na domofonie napis „kuchnia”. Okazuje się, że moja znajoma rozmawia przez telefon. Na szczęście nie jest gadułą. Kapusta z grochem dla wszystkich domowników, dla Ireny oddzielna porcja. Przyniosłam także upominek dla księdza Wacława, który w poniedziałek obchodził jubileusz czterdziestolecia posługi kapłańskiej. Za kawę, herbatę, ciasto, dziękuję – kawę piłam, ciasto jem bardzo rzadko. Irena dzwoni do księdza z informacją, że ma gościa. Witamy się z radością –w oddaleniu. Ksiądz Marek na Facebooku umieścił film z Niebieskich Źródeł z księdzem Wacławem w roli głównej. Okazuje się, że ksiądz Wacław, mówiąc o źródłach, wspomniął też twórców, którzy ukazują ich piękno: malarstwo i poezję – moją. Szkoda – widziałam obraz, ale dźwięk był tak słaby, że nie słyszałam słownego komentarza. Mam w księdzu Wacławie wiernego, wnikliwego czytelnika, takiego, dla jakich warto pisać. Okazało się, że ksiądz już wie o wizycie moich dzieci. W Tomaszowie szybko rozchodzą się wieści. Wyszłam z domu parafialnego, obdarowana przez Irenę prezentem imieninowym. Muszą wznowić plenery, bo mam szalową koszulę nocną i peniuar. W prezentowej torbie były jeszcze inne rzeczy - rozpusta! Czeką nas zubożenia. Obawiam się tylko podwyżek cen żywności, bo kawy, słodczy, kosmetyków, chemii gospodarczej, mam pod dostatkiem – dzięki rodzinie, przyjaciółom i znajomym.

Stasia w szpitalu nie odbiera telefonu, może czuje się gorzej, może ma jakiś zabieg. Zostaje na dłużej, na szczęście, bo u nas znów koronawirus. Zaczęło się od kogoś, kto wrócił z Holandii, od pielęgniarki z Nowego Miasta, pracującej w kilku szpitalach. Zaraza dotknęła Śląsk, Wielkopolskę, u nas nikt nie chorował, nikt nie umarł. Teraz się zbliża –fala zakażeń wróciła na Mazowsze. W Tomaszowie stwierdzono 19 przypadków koronawirusa, przy czym nie „wyłapano” wszystkich z kontaktu. Oddział wewnętrzny jest znów zamknięty. Ktoś powie: Co to jest 19 wobec kilkuset górników, pracowników zakładów w Poznańskim? Współczuję każdemu, kogo dopadł wirus, ale przysłowie o koszuli bliskiej ciała ma swój uniwersalny sens. Pracownicy szpitala, lekarze, pielęgniarki, zostaną wyłączeni z pomocy chorym, sami będą potrzebowali pomocy. To dla miasta średniej wielkości, jakim jest Tomaszów, stanowi żywotny problem.

Rozumiem – z koronawirusem musimy nauczyć się żyć, jak z grypą. Ale czy nie za szybko otwarto przedszkola? Wkrótce będą czynne teatry, kina, siłownie. Wyobraźmy sobie wesela na 150 osób. Kto się uchyli od pocałunków? Jeszcze jeden, i jeszcze raz! A kto nie wypije... Żono moja, szczęście moje! Gorzko, gorzko! Będzie – później. Po ulicach chodzą już całe grupy młodzieży, bez masek. Spotykają się, imprezują. Przecież coraz więcej nam wolno...

W Szwecji wszystko jest dozwolone. Nawet śmierć.

Piękne słowo: ognisko. Ognisko domowe, harcerskie, jak miło siedzieć przy ognisku, patrzeć w ognisko. Co innego: ognisko choroby. Mam kilometr do ogniska – do szpitala, nie wiem, jaka odległość dzieli mnie od bezobjawowych. Obym się nie sparzyła!

Odmrażanie

Takiego określenia używa się ostatnio na stopniowe odchodzenie od obostrzeń, związanych ze stanem pandemii. Na szczęście odmrożono gabinety stomatologiczne. Jak się spodziewałam, wszystkie terminy są zajęte, ale lekarz robi dla mnie wyjątek, przyjdzie wcześniej do pracy. Mam się zgłosić w poniedziałek, a więc tuż po weekendzie. Otrzymałam informację o obowiązującej procedurze: trzeba nacisnąć specjalny dzwonek (pacjenci wpuszczani są pojedynczo), wychodzi asystentka, następuje mierzenie temperatury, dezynfekcja rąk, wypełnienie ankiety.

Od jutra można na ulicy chodzić bez maski. Jedno z niewielu odstępstw, które uważam za słuszne. Zaobserwowałam w Wietnamie szczególnie w metropoliach, powszechność użycia maseczek. Zjawisko absolutnie uzasadnione intensywnym ruchem ulicznym: powietrze staje się gęste od spalin, wydzielanych przez rękę motocykli i samochodów. Jeśli dodamy do tego tropikalny upał, można sobie wyobrazić trud oddychania. Ja się duszę w maseczce przy naszych, przyjaznych temperaturach.

Od dziś, po 82 dniach, wraca ekstraklasa piłki nożnej i ekstraklasa żużlowa. Od 19 czerwca stadiony otwarte będą dla kibiców. Publiczność stadionowa może stanowić 25 procent w stosunku do maksymalnej ilości miejsc. Rusza też pierwsza i druga liga piłki nożnej, w najbliższych dniach otwarte będą baseny, siłownie i kluby fitness. Niedawno wznowiono działalność zakładów fryzjerskich, gabinetów kosmetycznych. Dziś wiadomość z Wielunia: okazało się, że zakażona fryzjerka zdążyła przyjąć około 60 klientów. Polak wciąż nie jest mądry, nawet po szkodzie. Gdzie prewencja –obowiązkowe badania dla służby zdrowia, nauczycieli i innych osób, wykonujących zawód, w którym przewidziany jest bliski kontakt z innymi ludźmi?

Po południu dodzwoniłam się do Stasi. Jest słaba, co słysząc w jej głosie. Bardzo się ucieszyła, tyle chciała mi powiedzieć i szkoda, że nie wszystko zrozumiałam. Obiecałyśmy sobie długą rozmowę po jej powrocie do domu. Wczoraj nie odebrała telefonu, bo cały dzień, i w nocy, źle się czuła. W tym, co mówi, nadzieja i wiara w poprawę zdrowia miesza się z przyjęciem także innej perspektywy. Niby żartem rzuca pytanie: - Ile człowiek lat może żyć? Na szczęście przeważa optymizm.

Moja przyjaciółka jest zadowolona, że poddała się operacji i, jak zawsze, chciałaby obdarować wszystkich. To „wszystkich” powtarza, widać, że otoczono ją dobrą, troskliwą, opieką. Dzięki Stasi-lekarce mam, i będę miała, największą liczbę czytelników wśród służby zdrowia, i nie tylko. Dotarły do niej wieści o koronawirusie w tomaszowskim szpitalu. Zgadza się co do tego, że szczęśliwym trafem przedłużono jej pobyt w Łodzi. W Internecie wyczytałam informację z czwartkowego popołudnia: w naszym powiecie są 54 osoby zakażone covid19.

Dziwna jest mentalność ludzka: rozluźnienie rygorów dla wielu oznacza zmniejszenie niebezpieczeństwa. Nic bardziej mylnego. Bardziej bezpieczni byliśmy, gdy przypadki zakażeń w Polsce nie przekraczały stu, a obostrzenia (na wyrost), dotyczyły lasów i cmentarzy, niż teraz, z możliwością oglądania meczu na stadionie, czy wysłania dziecka do przedszkola. Nikt już nie może powiedzieć sobie: mnie to nie dotyczy, bo wirus atakuje ludzi starych. Chorują młodzi i starzy, u dzieci stwierdzono groźne powikłania. Wszyscy musimy uczyć się, jak żyć inaczej niż dotąd.

Mieszkam sama, więc jestem bezpieczna w swoim domu. Czerpię radość z różnych drobnych czynności, z widoku rozkwitających na balkonie kwiatów, rozmów z rodziną i znajomymi. Dziś zlałam pierwszy wyciąg z czubków sosnowych, jest siedem słoiczków syropu na zimę. Czubki ponownie zasypałam cukrem. Wystarczy dla mnie, rodziny i przyjaciół. Na zdrowie.

Zadzwoiłam do Uli, aby zdała mi sprawę z wczorajszej wizyty u lekarza. Jest obolała po badaniach i mimo tego cała w skowronkach – wszystkie węzły chłonne są wolne od nowotworu. Czekają ją radioterapia, a kiedy ją przeskoczy („To trwa bardzo krótko, chyba nawet nie trzeba zdejmować ubrania!”), wybierze się do córki. W domu pod Wrocławiem czeka na nią własny pokój, taras, ogród.

I rodzina, do której tęskni.

Dostałam zaproszenie na wycieczkę autokarową do Poświętnego, na szaniec Hubala. Bogaty, urozmaicony program, łącznie z czytaniem Mickiewicza. Na zakończenie wycieczki przewidziano pieczenie kiełbasek. Podziękowałam, nie pojadę. Nie dam się zwieść taryfie ulgowej, „odmrożeniu”. Chcę jeszcze trochę pożyć.

Zdejmujemy maski

Mój wychowawca w szkole średniej w Kamiennej Górze mówił, że maska może przyrosnąć na stałe do twarzy. Oczywiście, miał na myśli udawanie kogoś, kim się nie jest. Wtedy maska kojarzyła się z przysposobieniem obronnym, pracą chirurga, teatrem starożytnym. Obecnie maseczka jest nieodłącznym rekwizytem naszego życia. Od dziś możemy na ulicy pokazać się bez masek, ale gdzieś trzeba ją schować. Do kieszeni? Chyba to niezbyt higieniczna skrytka. Projektanci mody zyskali nową przestrzeń do działania – maseczki są coraz ładniejsze, ozdobne, teraz czas na pojemniki, torebki, na ich przechowywanie.

Na Facebooku kilka dni temu zamieściłam fraszkę:

Kiedy zdejniemy maski,
ukazą się prawdziwe twarze,
lecz skoro panuje wyborczy klincz,
pogrążymy się w Kargulowym swarze.

Od długiego już czasu trwają spory wokół wyborów. Mało mamy problemów z pandemią, z podporządkowaniem swojego życia obowiązującym normom i koniecznościom. Do wyborczych tematów włączono maski: jedni je szyli w ramach społecznej pomocy, rozdawali, przekazywali, inni na nich zarabiali. Niesmak budzi sfalszowanie atestów - w dostawach państwowych, dla Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, sprowadzanych z zagranicy przez panią Kulczyk. Pamiętam sensacyjne lądowanie 14 kwietnia największego na świecie samolotu, z transportem sprzętu medycznego, min. respiratorów i maseczek. Antonov 22-5 ma około 100 metrów długości, rozpiętość skrzydeł wynosi 85 metrów, a wysokość samolotu

można przeliczyć na sześć piętér. Przesyłkę z Chin honorowo witali przedstawiciele rządu, na czele z premierem. Wydawało się, że oto spełnia się nadzieja na zaspokojenie niezbędnych potrzeb, w pierwszym rzędzie – służby zdrowia.

Mit prysnął. Ilu lekarzy, pacjentów, uległo zakażeniu z powodu nieodpowiadających normom fartuchów, masek? Jaki jest prawdziwy koszt oszustwa?

Dziś przekazano wiadomość, że firma odpowiedzialna za sprzedaż masek dla WOŚP zwróci pieniądze. Z innymi kontrahentami jeszcze nie wiadomo, chyba trwają negocjacje. Pośrednik dostaw dla Ministerstwa Zdrowia, instruktor narciarski, ma zarzuty prokuratorskie. Minister Zdrowia jest pod stałym ostrzałem opozycji.

Pandemia stworzyła okazję do zarabiania milionów na sprzęcie medycznym. Jednemu płacz, drugiemu śmiech. Nikt nie ma pretensji do lekarzy, że ich byt uzależniony jest od naszych dolegliwości, chorób... Właściciele i pracownicy firm pogrzebowych utrzymują się ze śmierci. Można zarabiać na chorobie, zarazie, śmierci – byle uczciwie.

Na ulicach widać ludzi w maskach i z odkrytymi twarzami. W telewizji podobnie. Hołownia zaczął spotkanie wyborcze w masce, potem ją zdjął. Wybory też są zamaskowane, bo będą, tylko nie wiadomo jakie i kiedy. Kampania wyborcza zamaskowana jest pod pozorem oglądania pola, spotkania z mieszkańcami, wypowiedzi na temat koronawirusa. My zdejmujemy maski, politykom przyrosły one do twarzy.

Sen

Stasia nie ma radia ani telewizora. Pyta, co słyhać, co z wyborami. Relacjonuję jej wystąpienia Kosiniaka-Kamysza, Hołowni, podaję w przybliżeniu notowania. Nawiązując do treści, prezentowanych przez Szymona Hołownię, dzielimy się uwagami na temat tolerancji religijnej, utrwalonej w historii Polski. Informuję ją o śmierci Jerzego Pilcha. – Mam w domu kilka jego książek – mówi zaskoczona. – Część księgozbioru przekazałam do biblioteki, ale Pilcha chyba zostawiłam. Powinnam mieć nawet zbiór jego felietonów. Wzięłam do szpitala książkę o zamachu na Ojca Świętego, trochę poczytałam, w paczce dostałam jakąś rozrywkową książkę, ale nie mogę wiele czytać, szybko się męczę.

Zrozumiałe. Ludzie zdrowi nie kwapią się do czytania, a Stasia tłumaczy się, że mało czyta... Przechodzimy na inne tematy. Przyjaciółka cieszy się, że zadzwoniłam w dobrej porze, kiedy nic jej nie przeszkadza. Mimo poważnej choroby, Staszki nie opuszcza lekki, żartobliwy ton, jaki ma w odniesieniu do słabości swego organizmu.

- Miałaś jakieś ciekawe sny po operacji, jak wrócisz, to mi opowiesz?

- Już nie pamiętam, to było chyba po morfinie. Ale opowiem ci sen, jaki miałam dzisiejszej nocy: Śniło mi się, że przyjechała liczna rodzina z Lublina. Janek kandydował na prezydenta. Tłum ludzi, chyba więc wyborczy, a tu ktoś przekazał wiadomość, że blisko czai się zamachowiec. Jedno z dzieci, tych z Lublina, rzuciło kamieniem w okno. Wychylił się człowiek w hełmie – Maliniak, ten niższy z „Czterdziestolatka”, i to on był zamachowcem...

Uśmiełyśmy się obie tak serdecznie, że już nawet nie wiem, czy Maliniak – zamachowiec został unieszkodliwiony. Rzeczywistość odbita w śnie: książka o zamachu na Jana Pawła II, przeciągająca się zabawa w ciuciubabkę przy wyborach – coś zawsze zostaje w podświadomości. Mąż jako kandydat na prezydenta: to jest to! Nawet we śnie, nawet w szpitalu, mąż jest dla Staszki najważniejszą osobą. Szkoda, że jej nie zapytałam, czy przygotowuje się do roli Pierwszej Damy.

Wszystko się dziwnie plecie na tym tu Bożym świecie – chciałoby się powtórzyć za Kochanowskim. Troska, cierpienie, radość i śmiech. Takie jest życie. Niech trwa!

Na ziemi i w Kosmosie

Zimno. Nie chce się iść na spacer. Podobno tegoroczny maj jest najzimniejszy od trzydziestu lat, ale nie ma tego złego... Chwytam łapczywie każdy dzień wiosny. Najbardziej mi żal, kiedy robi się tak gorąco, że wszystko kwitnie naraz, wiosna błyskawicznie przechodzi w lato, choć do tego kalendarzowego jeszcze daleko. W tym roku nastąpiło globalne spowolnienie, do którego dostosowała się nawet przyroda. Nic nie dzieje się nagle, można spokojnie obserwować świat wokół nas. Jedne bzy przekwitają, inne są jeszcze w pełni urody, pąki jaśminu szykują się do prezentacji białych kwiatów. Truskawki na balkonie pęcznią, szczypiorek pnie się w górę, a sałata wkrótce dojrzeje na ozdobę stołu. Mam klucz do działki Kasi i czekam na jakiś cieplejszy dzień, żeby zobaczyć, co się zmieniło od ostatniego razu.

Zofia – poetka była wczoraj na wsi. Dosadziła bakłazany i paprykę w miejsce tych, które zmarzły. U niej jeszcze kwitnie kasztan i bzy, na krzaku, obsypanym pąkami, zakwitła pierwsza, żółta róża.

Wyszłam na mały spacer wokół bloków. Jest zimno, więc spotykam tylko dwie kobiety z dziecięcymi wózkami, inni przechodnie, w ciepłych ubraniach, idą z lub do. Plac zabaw dla dzieci zamknięty jest z obu stron na łańcuchy i kłódki. Może nie został odkażony, a może pozostanie jeszcze nieczynny z powodu rosnącej liczby zachorowań w naszym powiecie.

W czasie takiej pogody pozostaje siedzenie w mieszkaniu, przy otwartym balkonie. Dziennikarze telewizyjni cieszą się, że ludzie znów polecili w kosmos. Żyję w świecie pełnym kontrastów - na jednym biegunie kosztowne loty kosmiczne, na przeciwnym bieda: dzieci, umierające z głodu lub braku podstawowych leków, bezdomność, niedostateczna opieka nad osobami starszymi, samotnymi. Pandemia obnażyła słabość systemu „domów pogodnej starości”. Cieszę się z osiągnięć człowieka, z zapartym tchem oglądałam przed laty transmisję lotu na Księżyc, ale myślę że ziemia, i mieszkający na niej ludzie, wymagają większej, niż dotąd, troski.

W Ameryce radość, w Ameryce niepokój. Śmierć Georga Floyda spowodowała zamieszki w wielu miastach Stanów Zjednoczonych. Powtarza się historia sprzed lat: śmierć Afroamerykanina z winy policji, protesty, podpalanie aut, grabienie sklepów. Pożar się rozszerza. Nasza sprawa, ze Stachowiakiem, przycichła po dosyć łagodnym wyroku dla policjantów.

W telewizji można oglądać na żywo obrazy walk ulicznych, pożarów, grabieży sklepów, a tuż po nich przekaz z cumowania kapsuły do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Dziennikarz, komentujący transmisję, już wybiega w przyszłość – do lotów na Księżyc, na Marsa.

Ambicje Ameryki najlepiej charakteryzują słowa Donalda Trumpa: „Kto chce być pierwszy w świecie, nie może być drugi w Kosmosie”.

1 czerwca

Kumulacja: Dzień Dziecka, pierwszy dzień astronomicznego lata, dzień urodzin Tadeusza, męża siostrzenicy, który zmarł w dniu... jej urodzin.

Obudziłam się jeszcze wcześniej niż zwykle, bo kto może spać spokojnie przed wizytą u stomatologa? O szóstej pojawił się w moim oknie Miecio z psem.

Miecio – tak mówią o nim ludzie, bo nikt nie wie, jak się nazywa. Mężczyzna znany jest na osiedlu, z wielkim zaangażowaniem pomaga to w jednym, to w drugim sklepie. Widać „sklep” był jego marzeniem od dzieciństwa, ale kto zatrudni niepełnosprawnego psychicznie? Może nawet nie próbował? Właściciele sklepów, a nawet pracownicy marketu, chętnie korzystają z jego pomocy, coś mu dają jako rekompensatę, i obie strony są zadowolone.

W moim dzieciństwie zapisał się Maryś, mężczyzna o znacznym stopniu upośledzenia. Sąsiedzi nazywali go „Głupi Maryś”, ale nigdy nie słyszałam takiego określenia z ust rodziców. Mieszkał w murowanym, dostatnim domu, jakich w biednej, przyfabrycznej dzielnicy było niewiele. Wtedy nie znano słowa „autyzm”. Maryś był jak dziecko i lubił się z nami bawić, na co niechętnie patrzyli jego rodzice. Drugą jego pasją było majsterkowanie – sam poskładał z jakichś części radio, wyposażone w słuchawki. Ojciec Marysia potrafił całymi godzinami siedzieć przy tym radiu. Kiedy ktoś wchodził do mieszkania, stary Wojciechowski krył słuchawki pod stołem, a radio nakrywał serwetą. Bał się, że ktoś go przeskarży, ale jakoś nikt nie doniósł na niego do UB. Dzięki szeptanym przekazom moi rodzice, i niektórzy sąsiedzi, znali zakazane wiadomości z wielkiego świata, z Zachodu. Dla młodych ludzi to bajka z zamierzchłych czasów, nawet komputer nie zna groźnego niegdyś słowa „przeskarżyć”.

Ja nie tylko słucham, ale na bieżąco widzę, co się dzieje na Zachodzie. Poranne informacje w radiu i Internecie zdominowane są przez zamieszki w Waszyngtonie i innych miastach USA. Obraz ludzi, rabujących magazyn z markowym obuwiem, jest przerażający. Kradną telewizory, materace, co się da. Gdyby to był chleb, kasza lub mąka, może bym zrozumiała. Zwyczajni ludzie, wielu z nich mogłoby być moimi sąsiadami. Nie wyglądają na przestępców, a przecież...kradną i mają tego świadomość. Mówi się: okazja czyni złodzieja. Myślę, że jest odwrotnie – to złodziej, czyhający w człowieku, korzysta z okazji. Połączenie kapsuły ze stacją kosmiczną, perfekcja myśli technicznej, zrealizowanej z równą perfekcją, genialne dzieło - pozostaje w cieniu płonących samochodów, grabieży sklepów, dewastacji, w tym pomnika Tadeusza Kościuszki, bohatera obojga narodów.

Słuszny protest przeciw przekraczaniu prawa przekształcił się w bezprawie. W kilkudziesięciu miastach wprowadzono godzinę policyjną. Biały Dom otacza kordon ochronny, złożony z security i gwardii. Prezydent USA czuje się zagrożony, na krótko, ale jednak, schodzi do schronu.

Brat zabitego apeluje o pokojowy protest. Supermocarstwo, chlubiące się demokracją, ma wciąż problemy na tle rasowym i nigdy nie wiadomo, kiedy z iskry wybuchnie płomień.

Urozmaicony jest ten pierwszy czerwca, Międzynarodowy Dzień Dziecka. Pierwszy dzień astronomicznego lata, na dowód czego ukazało się słońce. Złożyłam życzenia moim dzieciom, bo uznaję, że chociaż oboje są dorośli, póki ja żyję, Dzień Dziecka jest ich świętem. Dla wnuka też mam życzenia, co zapewne przyjmie z uśmiechem i dystansem jako młody, dojrzały mężczyzna.

Czy piękno może się opatrzyć?

Słońce wyciągnęło mnie po południu z domu. Ucichł wiatr, przechodnie na ulicach prezentują wiosenne stroje. Przez tydzień nie byłam na Niebieskich Źródłach, trzeba zobaczyć, jak się mają czaple. W autobusie kilku młodych ludzi i rodzice z trójką nastolatków – bez masek. Niektórym się wydaje, że już wszystko wolno. Ciekawe, jakie będą tego konsekwencje. W tomaszowskim szpitalu wciąż przybywa zakażonych covid19.

Źródła witają przepyszną zielenią. Dzisiaj woda ma zielone, złote i srebrne odcienie, w zależności od tego, jak padają promienie słoneczne. Patrząc na wysepki, wsparte na korzeniach drzew – wyglądają jak z bajki, są jednak dowodem na to, że w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat poziom wody znacznie się obniżył. Kaczki wyprowadziły pisklęta - maluchy przez tydzień sporo urosły. Idę groblą w kierunku czaplich gniazd. Po rozlewisku pływają całe kaczce rodziny, para łabędzi, i ten jeden – samotny. Wypatruję wśród koron drzew znaków życia. Trzeba dobrze wyteńczyć wzrok, żeby zobaczyć gniazda, przesłonięte gęstwiną liści. Czaple też się maskują, chronią swoje dzieci przed drapieżnymi ptakami. Za czapłą wyspą przeblyskuje druga odnoga rozlewiska, ta bardziej dzika, rzadziej odwiedzana przez ludzi.

Czy piękno może się znudzić, spowszednieć? Podziwiam Niebieskie Źródła o każdej porze roku, zawsze, kiedy je oglądam. Teraz ich urok powoduje, że wstrzymuję oddech, jakby to co widzę, za chwilę miało zniknąć, ulecieć. Chcę się napatrzeć, zatrzymać pod powieką – na gorszy czas. Wdzięczna Naturze próbuję, na swój sposób, zapisać zauroczenie pięknem, którym nas obdarzyła:

Impresja

Pośród krzewów, czarnych olch zieleni
pulsują Źródła – serce Mojej Ziemi
ptactwo, co rojnie obsiada drzewa
pochwale życia radośnie śpiewa

Niebieskie niebo zagląda w wodę
Niebieskie Źródła pyta o urodę
na lustro wody i olcha spogląda
jakby pytała – Ładnie wyglądam?

Grzech Stwórcy

Na Niebieskich Źródłach cisza
słońce skryło się pod korzenie drzew
między niebem a niebem
dostojnie płyną kaczki
znacząc smugami lustro wody
na wyspie w cichej zadumie
przysiadły łabędzie
Bóg stworzył piękno
którego lęka się pędzel malarza
z obawy przed grzesznym słowem – kicz

„Pośród rzeczy wielu” wyd. Miejska Biblioteka Publiczna
Tomaszów Mazowiecki 2008 r.

Pocztówka z Niebieskich Źródeł

Szarość przedwiośnia, rozjaśniona słońcem
odslania perspektywę miejsc
niedostępnych dla ludzkiego oka
w innych porach roku
Ustronie znane tylko gospodarzom
wszechobecnym skrzydlatym mieszkańcom rezerwatu
przywodzi na myśl sławetny litewski matecznik
pomarszczona przez wiatr tafla rozlewiska
niczym krzywe zwierciadło
odbija zniekształcony obraz nagle postarzałych olch
zawieszoną w powietrzu ciszę
przerywa łopot skrzydeł kaczek
sunących lotem odrzutowca na żer
Zielone oczy źródeł, niezmiennie w zmienności świata
dają nadzieję trwania

„Jaskółka” wyd. Agencja Wydawnicza PAJ-Press

Tomaszów Mazowiecki 2019 r.

Ogrody

Rano samo szczęście. Wizyta u dentysty, z zachowaniem procedury, obowiązującej w związku z pandemią, nastraja mnie radośnie na cały dzień. Bezboleśnie, bez straty, z odzyskaniem, czyli „odbudowaniem” zęba. Stomatolog zawsze jest zabezpieczony, ale tym razem i jego asystentka wygląda jak kosmitka, nie tracąc przy tym kobiecego uroku. Czuję się jak na planie „Seksmisji”. Wracając z gabinetu do domu znalazłam na trawniku pieczarkę. Zaczynają się grzyby. Dobrze, że w odpowiednim czasie zniesiono zakaz wchodzenia do lasu.

Pogoda jest typowo wiosenna, więc postanawiam skorzystać z klucza. Kasia jest w pracy w tym tygodniu, nie będzie mogła wybrać się na działkę, ale zachęca mnie do wizyty w ogrodzie. Klucz pasuje do bramy, aby wejść na działkę, wystarczy przesunąć skobel.

Jest pięknie. Mnóstwo kwiatów, trawa usiana stokrotkami. Jak to się udało Kasi i Staszku – skosić trawę i nie naruszyć stokrotek? Robię inspekcję warzyw: buraczki nadają się już na botwinę, sałata stłoczona, prosi się o przesadzanie. Cebulka ładnie się prezentuje, jest w średnim okresie swego życia. Z domku na sąsiedniej działce wychodzi Danuta, podobnie jak Kasia - moja była uczennica, i jej mąż, Grzegorz. Danusia ma sprawę do załatwienia, zaprasza na swoją działkę, jak tylko wróci.

Z mężem Danusi rozmawiamy „przez płot”. Tak w moim dzieciństwie, na peryferiach miasta, potrafiły plotkować lub klócić się sąsiadki. Nie było telewizji, pośpiechu, czasem tylko obiad się przypalił. Grzegorz ma przygotowany pojemnik z płynem do opryskiwania roślin. W krzewie bukszpanu pojawiła się złośliwa, azjatycka gąsienica. Ptaki jej nie zlikwidują, bo nie dostaną się w gąszcz liści. – Teraz bez oprysku nic nie urośnie. Zmieniam ziemię,

przywożę nawóz ze wsi, podlewam, nieustannie walczę z mszycą. Włazi wszędzie, szczególnie na kalinę, koper. Żaden owoc nie nadaje się do jedzenia, jeśli wcześniej nie zrobi się oprysków. – W naszym ogrodzie też się stosowało obornik, ale nikt nie opryskiwał roślin środkami chemicznymi. Ojciec tylko wiosną malował wapnem pnie owocowych drzew. Zbiory zawsze były dorodne, a pomidory dochodziły do wagi 80 dkg.

Wraca Danusia, zaprasza na swoją działkę. Przy herbacie ze świeżych liści mięty i róży wspomnienia przeplatają się z wymianą informacji o zdrowiu bliskich nam osób, uwagami na temat pandemii. Grażyna, także moja uczennica, przechodziła ostatnio kolejną radioterapię. Mimo choroby, przebytej operacji, jest pogodna jak za dawnych, młodzińskich lat. Danusia pyta o stan zdrowia dr Stanisławy Drozd, której wiele zawdzięcza. Żałuje, że nie może być nadal jej pacjentką, ponieważ moja przyjaciółka zrezygnowała z praktyki lekarskiej.

Wychodzę z działki obdarowana sałatą, koprem, miętą, rzeżuchą, bukietem spóźnionych konwalii, niezapominajek i pachnących goździków.

Wieczorem rozmawiam z Kasią. – Zapomniałam powiedzieć, żeby pani sobie narwała sałaty, rzodkiewki i tego, na co tylko ma pani ochotę. Ja do końca tygodnia nie będę mogła być na działce. Proszę chodzić i rwać!

Korzystam z zaproszenia i następnego dnia też idę na działki. Wcześniej umówiłam się z Danutą, bo sama w cudzym ogrodzie czuję się nieswojo. Na początku jesteśmy tylko we dwie, zbieramy do reklamówek „plony”, później przyjeżdża jej mąż i córka z małym Aleksandrem. Czytam chłopcu kilka wierszy z podarowanych mu tomików dla dzieci. Z początku nieśmiały, stopniowo staje się odważny i rozmowny, chwali się, że w tym roku pójdzie do szkoły. Gratuluję mu, a równocześnie w głębi duszy stawiam pytanie: Jaka będzie ta twoja szkoła? Ile radości, dostępnej wcześniej dzieciom, zostanie ci zabranych?

Aluś pochwali się w szkole dedykacjami i wierszami. Tylnymi drzwiami wejdę z ogrodu do szkoły.

Zalew Sulejowski

Autobusy częściej kursują, więc wybieram się nad zalew. Za Niebieskimi Źródłami wjeżdżamy na teren budowy nowej ścieżki rowerowej. Pas od Ludwikowa do Szymanówka jest gotowy i bardzo efektownie się prezentuje. Jeśli punktem docelowym jest Zalew Sulejowski, chyba kupię sobie rower. Po prawej stronie szosy nowość: ogrodzono kawał lasu, przylegającego do kopalni piasku.

W Smardzewicach wciąż coś się buduje – do niedawno otwartego marketu przychodzą i przyjeżdżają klienci, niedawni bywalcy mojego „zaprzyjaźnionego” sklepu. W miejscu, gdzie jeszcze zimą było pole, stoi magazyn materiałów budowlanych. Szpaler dębów – moje ulubione prawdziwkowe miejsce, kończy się niespodziewanie i odsłania wytrzebioną z drzew polanę. Z głębokiego wykopu rosną mury nowej willi. W lasu dębowym, przylegającym do zalewu, powbijano kołeczki, pomalowane na pomarańczowo. Następnym etapem będzie chyba wycinka drzew, zabudowa.

Gdziekolwiek się spojrzy, tam widać pospieszne zmiany. Jedne domy są jeszcze w budowie, przy innych już założono ogród, „ucywilizowano” las lub pole. W miejscu dwóch wyciętych lasków śródpolnych leżą stosy suchych gałęzi. „Lex Szyszko” działa jako element smutnej pamięci po człowieku, którego nie ma już wśród nas. Dwie nowe drogi, jeszcze w stanie surowym, oznaczają, że przylegający do nich las zostanie wycięty, a drogi zamienią się w ulice. Ludzie uznali, że najlepszą lokatą dla oszczędności są mieszkania i domy. Szkoda, że kosztem

drzew, lasów, w których była obfitość prawdziwków i maślaków. Kosztem urozmaiconego, urokliwego krajobrazu.

Zalew jest jeszcze pusty, pływają po nim tylko dwa łabędzie i jedna motorówka. Pogoda się poprawia, wkrótce wakacje – zapełni się plaża, ożyją miejsca, gdzie można zjeść lody lub wypić piwo. Zalew cierpliwie czeka na miłośników sportów wodnych, na ludzi, spragnionych kontaktu z przyrodą.

Obeszłam wszystkie swoje miejsca, zebrałam bukiet rumianków i chabrow, zostało mi jeszcze sporo czasu do autobusu. Odwiedzam znajomy sklepik, kupuję gazetę i wodę mineralną. Bożenka, jak zwykle, proponuje kawę. Korzystam z gościnności i przy małej czarnej spędzam resztę czasu. W gazecie najnowsze wiadomości na temat koronawirusa w powiecie. Ilość zakażeń rośnie. Na jednej całej kolumnie reklamują się zakłady pogrzebowe. Czas prosperity. Kasa samorządowa pusta. Jak w większości samorządów. Zbliżają się matury – tym razem egzamin dla uczniów i nauczycieli. Takiej matury jeszcze nie było. Czy zapisze się w historii?

Z czym przyjdzie się nam borykać po całkowitym „powrocie do normalności”?

Spała

W małym busie jest czternaścioro pasażerów, i tylko ja w masce. Siedzimy blisko, jak na weselu, które od dzisiaj może się odbywać z udziałem nawet 150 gości. Wsiadam przy Centralnym Ośrodku Sportu, do którego, po przerwie, wróciła kadra narodowa siatkarzy.

Las wita mnie drugim rzutem konwalii. Odkryłam, że jest ich kilka rodzajów – najbardziej popularne, kwitnące na jedną stronę, i późne, otaczające krzewiasto łądzkę. Takie, które mocno pachną, i takie, które wydzielają ledwo wyczuwalny zapach. Szukam prawdziwków, ale ziemia jeszcze nie napiła się dostatecznie wody, trzeba poczekać. Za cały zbiór mam jedną pieczarkę, tym samym rozpoczęłam sezon grzybowy.

W centrum Spały, która ma status wsi (śmiechu warte), kolejka rodziców z dziećmi po lody. Poza tym prawie pusto. Pojedynczy spacerowicze, rowerzyści. Na razie spacerom po Spale nie sprzyja pogoda i pandemia. Za to ilość samochodów, przejeżdżających przez tę wczasową, leśną miejscowość, budzi zdziwienie i irytację. W czasach Mościckiego, Wojciechowskiego, było tu pięknie i zacisznie. Na początku dwudziestego wieku urok Spały, jej klimat, przyciągnął rodzinę carską z chorym synem, w nadziei na jego uzdrowienie.

Czas Peerelu oddał tę miejscowość we władanie Funduszowi Wczasów Pracowniczych. Oprócz domów wczasowych zbudowano, a raczej sklecono, w lesie „domki” dla zakładów pracy, związków zawodowych. Na szczęście, dziś już po nich nie ma nawet śladu.

Ciekawe, jaka będzie przyszłość Spały. Odbywają się tu dożynki prezydenckie, słynne już jarmarki, doroczne święto myśliwych – wielki Hubertus.

Wycięto pas drzew przy linii kolejowej Tomaszów Mazowiecki – Spała, co oznacza sezonowe ożywienie tej trasy. Czy pandemia spowoduje jakieś istotne zmiany? Mam nadzieję, że nie. Mieszkańcy Łodzi, a także Tomaszowa, traktują Spalę, Zalew Sulejowski, jako miejsca relaksu, wyciszenia, kontaktu z przyrodą. Mogą tu wypocząć, pod warunkiem, że oddalą się wystarczająco daleko od szosy, jezdnii, by nie słyszeć szumu, warkotu aut. A może im to nie przeszkadza, przecież większość bywalców przyjeżdża do Spały własnym samochodem...

Niedziela 7 czerwca

Przed południem otrzymałam ostrzeżenie przed gwałtownymi burzami, więc wybrałam się tylko do centrum miasta, aby w razie czego szybko wrócić do domu. Na placu Kościuszki dużo betonu, ale na szczęście też sporo ozdobnych drzew i kwiatów. Fontanny sprawdzają się w czasie upałów. Spadły pierwsze, wielkie krople deszczu. Postraszyło. Wielokrotnie otrzymywałam ostrzeżenia, a później padał deszcz, o którym się mówi, że pokropił jak ksiądz kropidłem. Podjechał mój autobus, więc wsiadłam. Na szczęście. Na drugi musiałabym długo czekać...

Pierwsze krople były wielkie, rzadkie, „przetykane” kulkami gradu. Stałam w drzwiach balkonu i podziwiałam, ciekawie wyglądał biały grad na zielonej trawie. Nawet przez myśl mi nie przyszło, żeby zabezpieczyć moje pelargonie, goździki, sałatę, szczypiorek. Nagle z nieba runęło gęstwą lodu. Grad wielkości wiśni, porzeczek, wpadał przez otwarte drzwi, tłukł w okna, bałam się, że potłucze szyby. Biedne pelargonie! Doniczki szybko zapełniały się przezroczystymi kuleczkami. W Lubawce, w czasie, gdy chodziłam do liceum, spadł grad wielkości dużych jaj. Ojciec wracał z pracy i dostał takim jajem w czoło. Dobrze, że skończyło się na guzie. Dzisiaj byłam świadkiem drugiego niezwyklego zjawiska. Inaczej go nie umiem nazwać, jak wściekłym atakiem gradu. Pomyślałam, że działki Jana, Kasi, Danusi, są spustoszone. A pola? Czeresnie, wiśnie?

Zadzwoniła Stasia. Jan był na działce, wszystko w porządku, gradowa burza przeszła bokiem. Ona sama jest bardzo słaba, ale jak zwykle, stara się, aby w domu życie szło według zwykłego rytmu. Dzisiaj odwiedził ich wnuk Michał ze swoją dziewczyną. Stasia mówi o sałatce z zieloności działkowych, która jest bardzo pracochłonna. To jej specjalność, ale i ja ostatnio robię taka sałatkę, dzięki moim uczennicom. Skoro sałatka, to na pewno obiad, o co nie pytam. Na przyjęcie gości Stasia odświeżnie się wystroiła i nawet założyła korale. Czego się nie robi dla bliskich, aby ich uhonorować, ale zarazem chyba ukryć słabość...

Z ulicy co chwilę słyszeć syreny straży pożarnej, karetok pogotowia. Wszystkie jadą w kierunku Ludwikowa, Smardzewic. Burza musiała tam wyrządzić wielkie szkody. Karetki nie wracają na sygnale, więc może nie jest aż tak źle?

W telewizji nagranie ze Śląska, z miejscowości Kaniów. Trąba powietrzna zerwała 21 dachów. W tle krzyk dzieci i pełne trwogi wołanie dorosłych: - Na dół dzieci, na dół! Boże, idzie na nas!

Za oknem deszcz. Już tylko deszcz. Potrzebny. Nasze piaski spragnione są wody.

Wpadłam na pomysł: zadzwoniłam do znajomej, szefowej sklepu w Smardzewicach. Ona na pewno wie, co się dzieje. Nie pomyliłam się – przy ulicy, na której mieszka, w czasie burzy gradowej zostało zerwanych, uszkodzonych, kilka dachów domów i budynków gospodarczych. Straż pożarna przykrywa folią dachy, ale o karetkach Janina nic nie słyszała. Nie wygląda na to, żeby ktoś ucierpiał. Widocznie karetki jechały do innych zdarzeń, do innych miejscowości.

Natura wciąż nam pokazuje swoją siłę, niezależność. Uczy pokory. Odrabiamy lekcje, a potem...zapominamy.

9 czerwca

Wczoraj, dzisiaj, usuwałam błoto, porządkowałam balkon – mój ogród, po gradowej burzy. Poniedziałek upływał pod jej znakiem w rozmowach telefonicznych, na Facebooku i w telewizji. Wyobrażam sobie te dni w rodzinach, które nie mają dachu nad głową. Niektórzy w ciągu kilku minut stracili dorobek całego życia.

Wczoraj maturzyści zdawali egzamin z języka polskiego, dziś z matematyki. Maseczki, dezynfekcja rąk, rezygnacja z egzaminów ustnych. Młodzi dojrzewają w niezwykłych okolicznościach, do trudnej, nowej rzeczywistości.

W USA ostatni dzień ceremonii pogrzebowej, zabitego przez policjantów Afroamerykanina - Georga Floyd. Sytuacja powoli się stabilizuje, chociaż Biały Dom nadal asekuracyjnie chroni się za ogrodzeniem. Protesty przeniosły się min. do Europy, do Anglii, Francji. Rasizm, podział na lepszych i gorszych, wciąż jest problemem ludzkości, która pragnie „ucywilizować” Kosmos.

W Polsce prokuratura poznańska wydała dzisiaj oświadczenie, że policjanci, oskarżeni o nieumyślne spowodowanie śmierci Igora Stachowiaka, zostali uwolnieni od tego zarzutu. Sprawa ciągnie się od 2016 roku. Nagranie nie pozostawia wątpliwości, jaką rolę w zdarzeniu odegrali „stróże prawa”. Ojciec samotnie walczy z tymi, którzy nadużyli siły, poniżyli syna (kazali mu sięgnąć spodnie), doprowadzili do jego śmierci. Narkoman też jest człowiekiem. Nie mogę zrozumieć postanowienia prokuratury i dziwię się, dlaczego sprawa Stachowiaka nie zyskuje większego odzewu. Może mamy w Polsce zbyt wiele problemów i los jednostki ginie w gąszczu sporów politycznych, pandemii, reformy sądownictwa, wyborów?

Proza życia

W markecie kupiłam trzy duże świńskie nogi. Nie przepadam za podobnym zapachem różnych wędlin, więc sama klecę potrawy, pracochłonne, za to mające swojski smak. Zajmuje mi to, z przerwami, prawie cały dzień. Wolny czas poświęcam na Facebook i czytanie książki, którą pożyczyła mi Danuta. – Czyta się jak pani „Wietnamski sen”. Przeczytałam ją jednym tchem. I znów byłam, jak przy pani książce, w Wietnamie – powiedziała wręczając mi egzemplarz „Ósmego cudu świata” Magdaleny Witkiewicz. Czyta się rzeczywiście dobrze. Romans, po długim okresie wręcz obsesyjnych myśli na temat upragnionego dziecka - z kimkolwiek. Film na kanwie tej powieści mógłby być ciekawy, pod warunkiem dodania obrazów Wietnamu, których autorka nieco skąpi.

Na Facebook wrzucam garść aforyzmów. Dziwne, nie starzeją się, nawet te o polityce. Zmieniają się systemy, natura ludzka pozostaje niezmienna. Z miejscowych wiadomości jedna – dziwna: osiemnastoletnia dziewczyna zaatakowała w sklepie nożem przypadkową kobietę. Co się dzieje z ludźmi? Nie wytrzymuje psychika, czy jest to działanie jakichś środków dopingujących? Wybrała się z nożem do sklepu, więc z określonym zamiarem? Pozostałe informacje też nie napawają optymizmem: ilość zakażeń w mieście i powiecie wciąż rośnie. Na ulicy, w sklepie, w autobusie, wcale się tego nie odczuwa – pełny luz.

Bez przekwitł, brązowe kiście nasuwają refleksje o cyklu życia, o przemijaniu. Przenoszę wzrok na jaśmin: teraz jego pora. Na balkonie dojrzały truskawki, miały cieszyć oczy, ale w czasie burzy złamały się gałązki, więc każdego dnia zjadam jeden owoc z własnego ogrodu. Smakuje jak żaden inny! Na ogrodzeniu Jarka biała ściana jaśminu. Skoro jest zapracowany, sama zerwę bukiet, niech pachnie w domu wiosną. Wybieram najpiękniejsze, młode pędy i słyszę po drugiej stronie piskliwy głos Barięgo. Wszedł między krzewy, przedziera się przez gąszcz, byle być bliżej. Stęsknił się, bo pandemia i praca Jarka ograniczyła nasze kontakty. Furtka jest otwarta, więc wchodzę na teren ogrodu. Bari jest szczęśliwy, kręci się, skacze, wskakuje na betonowy murek i próbuje mnie lizać po twarzy. Obdarzam go pieszczotami i obiecuję, że przyjdę jutro. Będę miała dla niego smakołyki. Chyba zrozumiał?

Dzień pełen wrażeń

Boże Ciało. Inne niż zawsze. W jednych kościołach zrezygnowano z procesji, w innych odbywają się tylko wokół kościoła, są i takie, na których pandemia nie odcisnęła swojego śladu. Z kościoła św. Jakuba w Podegrodziu telewizja transmituje całą uroczystość. Słucham, patrzę i wspominam dziecięce lata. Wierni śpiewają: „Ojczyznę wolną pobłogosław Panie!”. Wtedy, przed laty, śpiewali: „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie!”. Śpiewali z lękiem, którego nie rozumiałam. Podobno były jakieś aresztowania za tę pieśń. W tamtych czasach działo się wiele dziwnych rzeczy, także aresztowania za opowiadanie dowcipów. Wujek coś powiedział o Stalinie – zniknął na rok, ojciec zażartował z planu sześcioletniego – został aresztowany, na szczęście zwolniono go po dwóch dniach. Ale nie mógł sobie darować, że młody porucznik, smarkacz, jak go ojciec określił, uderzył go w twarz.

Na ostatnim ołtarzu uroczystości Bożego Ciała czytam napis, który kończy się wyrazem „dedykuje”. Nie „przeznacza”, „poświęca”, lecz „dedykuje”. Do języka wkradają się wciąż jakieś modne określenia- kalki językowe, jak „dokładnie tak”, niepotrzebne zapożyczenia, a nawet sięganie do staropolszczyzny: np. „aczkolwiek”. Nie ma pomysłów, są tylko projekty, szpitale są dedykowane zakażonym Covid19. W telewizji i radiu wciąż przepraszają za kolokwializmy, jakby wstydziło się, że znają potoczny język, przysłowia i powiedzenia. Większość polityków nie mówi, ale przemawia. Szczudła lub jak ktoś woli – maski. W trakcie wyborczej kampanii słucham nadętych wystąpień, pełnych emocji, jakże dalekich od poprawności językowej i logiki. Cóż, do jednych wyborców dociera temperatura agitacji, do innych treść, ale nie tylko do polonistów – styl.

Z rozmyślań na temat współczesnej polszczyzny wrywa mnie telefon Stasi z zaproszeniem na działkę. Spotykamy się po długim niewidzeniu. Przed operacją była szczupła, teraz jest chuda, i nawet żartuje na ten temat. Mam nadzieję, że powoli dojdzie do siebie. Jan zajmuje się działką, my siedzimy w altanie, oplecionej pędami winorośli. Ogród jest zadbane, nie ucierpiał z powodu braku kobiecej ręki. – Przy pracy nie myśli się o niczym – komentuje Jan moje pochwały pod jego adresem.

Wreszcie rozmawiam ze Stasią twarzą w twarz, choć z zachowaniem koniecznego dystansu. Przyjaciółka z podziwem mówi o zaangażowaniu lekarzy i pielęgniarek, ale przytacza też historię pewnej pacjentki, z bardzo wysokim poziomem cukru. Szpital nie miał dla niej właściwego leku, a kiedy chora zdobyła go prywatnie, nie było odpowiednich strzykawek, by go zaaplikować. Z zewnątrz nie widać, z jakimi problemami boryka się służba zdrowia.

W tym tygodniu Staszka i Jan spodziewali się odwiedzin wnuka. Nie przyjedzie, bo ktoś, mający kontakt z osobą zakażoną, przyszedł do pracy i wszyscy, którzy z nim się stykali, muszą zachować ostrożność.

Stasia bardzo przeżywała, że nie mogła mi złożyć życzeń imieninowych przed pójściem do szpitala. Otrzymuję prezent i kwiaty z rąk Jana. Jak zwykle, zostaję też obdarowana „czym działka bogata”. Gospodarze proponują wspólny powrót samochodem. Dziękuję, nie chcę narażać rekonwalescentki na bliski kontakt, przejdę się spacerem, a po drodze odwiedzę jeszcze działkę Kasi. Ona jest na imieninach, ale zaproponowała, żebym sobie narwała, na co mam ochotę. Sałata i botwinka zapełniają reklamówkę. Wracam przez pola, jeszcze nieujarzmione, przylegające do nowo wybudowanego bloku, częściowo już zasiedlonego. Dzika róża, czarny bez, zapewne niedługo znikną, ale teraz ich kwiaty urzekają zapachem i cieszą oczy.

W domu sortuję, myję warzywa, botwinę daję do zamrażarki. Dzwonię do Jarka, bo na Bariego czekają obiecane gości. – Kochana - słyszę w telefonie pełen energii, młodzieńczy głos - przychodź! Robimy w ogrodzie grilla. Andrzej mówi, że dawno cię nie widział.

Rodzina Jarka ma miłą tradycję spotkań w ogrodzie, przy zastawionym stole, pod namiotem. Andrzej, szwagier Jarka, z urzędu dyżuruje przy grillu, piękna i smaczna sałatka na półmisku jest dziełem Ani, siostry Jarka. Zajmuję miejsce obok cioci Lucyny – Danuty, która mimo swych dziewięćdziesięciu czterech lat bywa na moich wieczorach autorskich, a przy stole pilnuje, aby mi niczego nie brakowało. Jest Jadwiga, mama Jarka, Kalina i Laurka – jego siostrzenice. W trakcie spotkania dołącza zaprzyjaźniony sąsiad, którego żona kilka dni temu wróciła do pracy w Niemczech. Bari co chwilę podchodzi do każdego z nas, widać, że jest na swój, psi sposób, szczęśliwy. Zadbany, kochany, czego nie można powiedzieć o jego współbraciach ze schroniska. Ja też w tym gronie czuję się jak w rodzinie. Wracam do domu późnym wieczorem, z nowym bukietem jaśminu, który Jarek zerwał dla mnie na polecenie cioci Danuty.

Dom i ogród Jarka to oaza, odgradzona ścianą zieleni od ulicznego ruchu, widoku blokowiska. Smak normalnego życia w zmienionej rzeczywistości.

Koniec oszczędności

Z wiadomych przyczyn dawno nie byłam u kosmetyczki i fryzjera. W kieszeni, a raczej w portmonetce, zostało trochę więcej pieniędzy, ale licząc koszty zysków i strat cieszę się, że mogę już nie oszczędzać na wyglądzie. Wybieram się do tej samej fryzjerki, która za krótko obciąła mi włosy, przecież zawdzięczam jej przetrwanie najtrudniejszych miesięcy pandemii. Wizyta u kosmetyczki musi być odłożona w czasie: komunie, wesela, mają pierwszeństwo.

Przed południem dzwoni Natasza, żona bratanka, proponuje niedzielny brydża w ogrodzie. Trochę się waham, bo w poniedziałek przyjdą fachowcy do wymiany okien, trzeba przygotować mieszkanie. Proponuję sobotę, ale Paweł w tym dniu pracuje. Cóż, dawno nie graliśmy, nie spotykaliśmy się w rodzinnym gronie, na dodatek siostrzenica w przyszłym tygodniu wyjeżdża do swojej „posiadłości” nad morze. Trzeba będzie rozplanować czynności, czyli zastosować, jak dzisiaj mówią, logistykę.

Do zakładu fryzjerskiego wchodzę w maseczce, fryzjerka też ma nałożoną na twarz maseczkę. Przepisy przepisami, ale jak ona ma mnie ostrzyć, jak ominąć gumki owinięte wokół uszu? Chowam maseczkę pod pelerynę i proszę tylko, by nie za mocno skracala włosy. Oczywiście, rozmawiamy o pandemii. Pytam, co było dla niej najtrudniejsze w ostatnich miesiącach. - Pytanie, za co żyć, jak żyć – odpowiada bez namysłu. – Nam nikt nie gwarantuje zarobków. Jeśli nie mamy klientów, nie mamy z czego się utrzymywać. Wie pani, zastanawiałam się: nam nie wolno było pracować, ale politycy, osoby w telewizji, miały zawsze staranne fryzury. Minister Szumowski mówił, że sam obcinał sobie włosy, ale to nie wyglądało na amatorską robotę. Do mnie dzwoniły różne panie, jedna pracuje w banku, inna jest pielęgniarką i też chce porządnie wyglądać w kontakcie z pacjentami, lekarzami. Co mogłam zrobić? – Po powrocie do zakładu chyba miała pani dużo stęsknionych klientek? – Pełne ręce roboty, od rana do wieczora. Powinna obowiązywać zasada: jak nikomu nie wolno z czegoś korzystać, to nie ma wyjątku.

Wracamy w rozmowie do bzdurnego zakazu wstępu do lasu, na cmentarz, do nierówności, która boli. Można mnożyć bezsensy. Poprzedniego dnia pytałam Jarka, czy już biega. Odpowiedział twierdząco, z wieloznacznym uśmiechem. Jeszcze niedawno na biegających, rowerzystów, wędkarzy, nakładano kary administracyjne. Zasiadaliśmy się w domach, obrośliśmy tłuszczem i lenistwem. Pandemia pandemią, a niektóre zakazy, zamiast służyć zdrowiu, pogarszały jego stan, zarówno fizyczny jak psychiczny.

Po południu robię drugi wyciąg z czubków sosnowych, eksperymentuję, łącząc syrop sosnowy i z kwiatów czarnego bzu. Upał daje się we znaki. To tak zimno, że 26 maja grzeją kaloryfery,

to znów za gorąco, duszno, aż trudno oddychać. W takich chwilach ratuję się myślą o Wietnamie, o rozpalonym powietrzu Hanoi. Tam przeżyłam, to i tu dam radę.

Późnym wieczorem z nadmorskiej miejscowości dzwoni Jola. Miejscowe biuro turystyczne rozpoczęło działalność, na razie na niewielką skalę. Właścicielka, Tatiana, która zawsze była w drodze, w podróży, nie tylko zadawała sobie pytanie, jak żyć, ale nie umiała pogodzić się z innym trybem życia, zasiedzeniem. Uczestnicy wycieczki świętują inaugurację wypraw w szeroki świat. Ten „świat” jawi się tymczasem w innym mieście, w wyjeździe nad jeziora, w góry, nad morze. Długi weekend pokazał, jak bardzo jesteśmy spragnieni przestrzeni, wolności. Po otwarciu granic, uruchomieniu lotów międzynarodowych, pojedziemy, polecimy dalej. Może na Maderę?

Chleba naszego powszedniego

Kto by pomyślał, jeszcze tak niedawno, choćby na początku roku, że będziemy tęsknić do zwyczajności? Już nie wygrana w totolotka, ale zdrowie, praca, jest dla wielu ludzi symbolem szczęścia. Zwyczajne życie, zwyczajny dzień, którego symbolem jest chleb. Od dawna nurtuje mnie pytanie, jak się modlą katolicy w Azji, my bez chleba, oni bez ryżu nie wyobrażają sobie życia. Niestety, Wietnamczycy, których poznałam, albo są buddystami, albo uważają się za ateistów. Co nie przeszkadza, że w każdym domu jest ołtarz, z wizerunkami Buddy, Konfucjusza i zmarłych członków rodziny.

Rano w „Trójce”, do której wróciłam po krótkiej przerwie (efekt uzależnienia?), Anna Popek odczytała felieton na temat chleba. Podobno rozdzwoniły się telefony, każdy ma jakieś wspomnienia, skojarzenia. Józef Panfil maluje chleb tak, że patrząc na obraz czuje się zapach i smak chrupiącego bochna. Dziennikarka jako historię potraktowała pewne zwyczaje, które są częścią mojego życia. Cieszyłam się, kiedy matka wysyłała mnie po chleb. Zapach pieczywa unosił się wokół piekarni, kusił i obiecywał. Nigdy nie doniosłam całego bochenka do domu, gryzłam łapczywie, odrywałam kawały skórki z mięszem i przynosiłam chleb bez „piętki”. Matka się tylko śmiała, bo w nieobeschłej pamięci wciąż miała obraz wojny, spory między moimi siostrami o to, że jedna z nich ukroiła kromkę chleba i postawiła swój krzyżyk. Po wojnie matka już nie stawiała krzyżyków, ale zawsze, przed rozkrojeniem, znaczyła bochen krzyżem świętym. W moim domu całowano kromkę chleba, która upadła na ziemię, zgodnie z polskim zwyczajem, znanym także z wiersza Norwida. Matka mówiła: Chleb to dar Boży, trzeba go szanować. Co by powiedziała teraz, gdy chleb, i bułki, wynoszone są do śmietnika?

Zwyczajny – niezwykły dzień. Dzisiaj otwarto granice Schoengen.

Kalejdoskop

Kilka dni wyłączonych z pisania. Sobota i niedzielne przedpołudnie – przygotowania do wymiany okien. W takich momentach wcale nie jestem zadowolona z dobrobytu i cywilizacji. Mieszkańcy jaskiń mieli niewiele sprzętów, poza tym – nie mieli okien. Ile przedmiotów trzeba schować, przestawić, okryć, ten tylko się dowie, kto zamierza modernizować swoje gniazdo. Warto jeszcze zapamiętać, co gdzie się ukryło.

Po południu w niedzielę spotkanie brydżowe z dawno niewidzianą rodziną. Dla wspólnego bezpieczeństwa (i przyjemności) wybieramy zadaszoną altanę w ogrodzie. Miejsca jest dużo, ponadto kanapy, fotele, ława z krzesłami, zapewniają pełny komfort. Przy brydżu rozmawiamy o rodzinnych sprawach, nie stronimy także od aktualności politycznych, epidemii, jak chyba w każdej polskiej rodzinie. Paweł niepokoi się o swoje zdrowie. Za kilka dni ma wizytę u lekarza. Nie dziwię mu się, chociaż lepiej nie dręczyć się przed badaniami. Za

Kochanowskim należałoby powtórzyć: „Szlachetne zdrowie/ nikt się nie dowie/ jako smakujesz/ aż się zepsujesz (...).

Wspólna kolacja na świeżym powietrzu ma swój urok. Kielbaski i kurczaki z elektrycznego grilla, sałatka, przyrządzona przez Nataszę, jak zwykle – świetna, i toast: Za lepsze czasy!

Wracamy z Ewą samochodem. W domu pozostała ostatnia czynność – zdjęcie zasłon. Ciemność ochroni mnie przed oczyma sąsiadów z bloku naprzeciwko.

Poniedziałek od rana do wieczora upływa przy dźwiękach stukania, kruszenia, wiercenia. Co chwilę biorę do ręki zmiotkę i szufelkę, ale to Syzyfowa praca. Fachowcy zostawiają po sobie względny porządek, który wielokrotnie koryguję, także następnego dnia. Potem pranie wszystkiego, co było na wierzchu. Kiedy w oknach zawisły firanki i zasłony, odetchnęłam z ulgą i wybrałam się do Spały, aby odreagować własną pracowitość. Oczywiście, bez przesady, bo sumienna gospodyni w pierwszym rzędzie wymyślałaby nowe okna, ja dałam im odpocząć po trudzie relokacji. Mieszkam w tak ruchliwym miejscu, że za kilka dni i tak pokryją się kurzem.

W Spale oddycham głęboko, pochłaniam widok dorodnych dębów, wszechobecnej zieleni. Przy okazji zastanawiam się, dlaczego zielony kolor tak kojąco działa na psychikę? Zdjęcia w Internecie przedstawiają obfite zbiory grzybów, tutaj znajduję jedną pieczarkę, dwa gołąbki, kilka robaczywych prawdziwków i jedną kurkę. Na zalewajkę dla singielki wystarczy.

Po południu niespodziewana wizyta siostrzenicy. Jutro wyjeżdża nad morze, chce zobaczyć nowe okna. Korzystając z jej obecności, dopełniam prace domowe, sama nie dałabym rady z ciężką ławą i dywanem. Na pożegnanie rozgrywamy dwie partyjki kości. Gdyby nie rosnąca liczba zakażeń w naszym mieście, powiecie, mogłabym pomyśleć, że wróciły zwyczajne dni.

W środę postanowiłam dłużej pospać. Przecież nikt mnie nie odwiedza. Mylne pojęcie, nigdy nie wiadomo, co będzie za chwilę. O ósmej zadzwoniła Kasia z zapowiedzią wizyty, ma wolny dzień, co się jej rzadko przytrafia. Zawsze się cieszę na spotkanie z moją byłą uczennicą, z jej przyjacielem Staszkiem. Kasia przywiozła mi klucz do altany i zaprasza na działkę, na grilla. Umawiamy się na popołudnie, bo mam do załatwienia jeszcze kilka spraw.

Jestem już blisko działki, kiedy zatrzymuje się przy mnie samochód. Danuta z wnuczką Aleksandrem. Wsiadam, relacjonuję jej wrażenia z lektury „Ósmego cudu świata”. Na miejscu wędruję z jednej działki na drugą, bo Danusia chce mnie obdarować przed wyjazdem na wypoczynek. Sama zrywam pietruszkę, a z jej rąk dostaję bukiet piwonii i pięknych, pachnących róż. – Niech cieszą pani oczy, kiedy mnie nie będzie – mówi, wręczając mi kwiaty.

Z Kasią i Staszkiem siedzimy pod zadaszonym namiotem, pijemy kawę. Kasia co chwilę wygląda poza namiot, z lękiem patrzy na nadciągającą czarną chmurę. Grzmoty słychać coraz bliżej. – Boję się burzy – tłumaczy swoje zachowanie – kiedy byłam dzieckiem, mama budziła nas w nocy, kazała się ubierać. Siedzieliśmy w ubraniach i czekaliśmy, aż przejdzie burza. - Przypomniłaś mi, że moja mama też tak robiła. I paliła rozchodnik ze świętojańskiego wianka. Chowała nożyczki, noże, bo ponoć przyciągają pioruny. Z opowieści wiem, że kiedyś, w czasie burzy, z paleniska kuchni, które nie było dokładnie przykryte fajerkami, wyskoczyła ognista kula. Przeleciała dokładnie przez całe pomieszczenie, zostawiając na ścianach czarną, poziomą krechę i wpadła z powrotem do kuchni.

W czasie naszych wspomnień rozpadał się deszcz, potem przyszła ulewa, a z nią grzmoty - tym razem nie na żarty. Schroniliśmy się w altance, niepewni o jej, i nasz, los, ale było już za późno, by wracać do domu. Burza poszła tak jak przyszła, obyło się bez strat, więc Staszek uruchomił grilla, Kasia pokroiła pomidory, ozdabiając je świeżo zerwanym szczypiorkiem. Obok grzybków marynowanych, z polskiego lasu, stanęły oliwki, które odczytuję jako jeden

z wielu rekwizytów przemian, jakie zaszły w moim życiu. Lata szybko lecą, często wydaje się, że to było niedawno, „wczoraj”, ale kiedy spojrzysz się wstecz, na wydarzenia, rodzi się myśl: „To już historia”.

I znów wróciłam z działki obdarowana sałatą, botwinką, szczypiorkiem, kwiatami. Zbieram plony swojej pracy?

Prognozy

Była burza i wciąż zapowiadają nowe, więc nie oddalam się zanedo od domu. Na przemian słońce i zachmurzone niebo, nie wiadomo, czego i kiedy się spodziewać. Na wszelki wypadek osłaniam mój balkonowy ogród.

Spółdzielnia mieszkaniowa gwarantuje częściowy zwrot kosztów za wymianę okien i parapetów, więc idę z dokumentami do biura. Tym razem nie wchodzi się do pomieszczenia administracji, w drzwiach postawiono stolik i krzesło, jest także osłona z pleksy. Interesanta, mimo takich zabezpieczeń, obowiązuje масeczka. Trzeba wypełnić kilka wniosków, przy czym pomaga mi Marzena, była uczennica. Zawsze jestem życzliwie przyjmowana, bo pracuje tu kilkoro absolwentów „budowlanki”. Zresztą, gdzie ich nie ma? Są nawet w służbie zdrowia. Jedna z moich uczennic ukończyła kulturoznawstwo. Mogłam wybrać inny zawód, ale po żadnym chyba nie miałabym tak długo odczuwanej satysfakcji.

Dzisiaj odwiedza nasze miasto Prezydent Duda. Odbędzie się zamknięte spotkanie w hali lodowej, a później spotkanie ze społeczeństwem na placu Kościuszki. Nie wybieram się na plac, bo prognozy są niepewne. W telewizji pokazują wypadek na trasie przejazdu kolumny, więc Prezydent przyjedzie spóźniony.

Dobrze, że nie ma mnie tam. Obserwuję na Facebooku mieszkańców miasta i powiatu, zgromadzonych na głównym placu miasta. Chaos, przepychanki między zwolennikami i przeciwnikami Prezydenta. Wulgarne przycinki, wrogie słowa. Obecność policji nie pozwala na coś więcej, ale wystarczy to, by mieć świadomość, jak bardzo jesteśmy podzieleni. My - zwyczajni ludzie.

Nie każdy jednak żyje wyborami. Paweł, nie bez powodu, lęka się o swoje zdrowie. Staszka, mimo złego samopoczucia, myśli o podziękowaniu dla pielęgniarek i lekarzy tomaszowskiego szpitala, którzy w jakiś sposób są pomocni w jej chorobie. Jak zawsze, mam mieć w tym swój udział. – Ale to jeszcze nie teraz...

W rozmowie z Moniką dowiaduję się, że jej ciocia Ula dobrze znosi radioterapię. Przynajmniej jedna dobra prognoza na najbliższą przyszłość.

Leniwy dzień kończę pracować: zostało trochę kapusty kiszonej z własnych zapasów, w słoikach pyszną się suszone grzyby, warto zrobić ostatnie w tym sezonie pierogi. Z pierogiem w jednej ręce, odbieram telefon od Marii. Poszukuje dobrego elektryka, a ja mam „w zasobie”... uczynnego, sympatycznego, byłego ucznia. Zaprasza do ogrodu i dzieli się troską: Janek, jej mąż, czuje się źle. Jest bezradna, bo on nie życzy sobie kontaktu z lekarzem. Umawiamy się na spotkanie. Janek zawsze ożywia się w trakcie rozmowy, obecność innych ludzi dobrze na niego działa. Może izolacja, związana z pandemią, przyczyniła się do pogłębienia choroby?

Zostało trochę ciasta, więc lepiej jeszcze kilkanaście pierogów. Tak oto proza życia przeplata się z czymś dramatycznym, może także radością, o której nie wiem. Horacy wypowiedział ważką myśl: carpe diem!

Burze, ulewy...

Było za sucho, teraz leje, podtapia. Burze przechodzą przez cały kraj. Niebo straciło równowagę, jakby popadło w dwubiegunową chorobę. Alert ostrzega przed burzami, wichurami. Lepiej nie wychodzić z domu. Jak nie wirus, to lokaut z powodu pogody. Na przemian: duchota taka, że trudno oddychać i ulewy, w czasie których parasolka staje się igraszką wiatru i wody. Z całej Polski napływają dramatyczne wieści: zerwane dachy, zalane oddziały szpitalne, min. oddział intensywnej terapii, wyrwy w jezdniach, połamane drzewa, zniszczone mosty...

Mój blok z trzech stron otaczają ulice. Karetki pogotowia jeżdżą najczęściej do szpitala na Niskiej. Powinnam się przyzwyczać, ale czy może spowszednieć wołanie o pomoc? W ostatnich tygodniach, a szczególnie dniach, zwykły szum samochodów przyjmuję jako coś niezwykłego – częste przejazdy na sygnale straży pożarnej, policji, karetek pogotowia, co chwilę budzą myśl, że ktoś lub coś jest w niebezpieczeństwie. Jedynym wyjątkiem była wizyta Prezydenta. Ze spokojem mogłam popatrzeć na kolumnę policyjnych furgonetek a później na prezydenckie limuzyny, w liczbie mnogiej, bo nie wiadomo, w której jedzie głowa państwa.

Jak długo można siedzieć w domu? W sobotę przed południem oddałam ławę i etażerkę do renowacji. Staszek przyjechał ze znajomym, zaopatrzył mnie w zastępczą ławę, abym mogła kontynuować pracę przy komputerze. Czarne meble, w warsztacie należącym do siostry Kasi, mają zmienić kolor na brązowy. Odbędzie się coś w rodzaju adopcji: zabytkowy kredens zyska młodszych członków rodziny. Dla uprawdopodobnienia tego zabiegu zabrałam staruszkowi na jakiś czas szufladę. Staszkowa ława jest bardzo ładna, podobnie jak moja – drewniana, z ozdobami, i także wymaga renowacji.

Piękna pogoda, ale zapowiadają burze. Zastanawiam się, co zrobić z resztą dobrze rozpoczętego dnia. Sąsiadka z góry, stojąc na balkonie, dopytuje, czy byłam na grzybach. Zachęta. Tydzień nie było mnie w Spale. Zaopatruję się w kurtkę przeciwdeszczową, parasolkę, biorę także nożyk – może się przyda. Wysiadam w centrum Spały, żeby w razie nagłej zmiany pogody móc się gdzieś schronić.

Grzyby były i są. Znajduję sporo śladów po dużych prawdziwkach. Rozrzucone po leśnym podszyciu mówią, że trzeba raczej pomyśleć o spacerze a nie grzybobraniu. Można łączyć jedno i drugie. Małe, ledwo odrosłe od ziemi prawdziwki, niestety – robaczywe. Zbaczam na dróżkę w kierunku polany, pozostałości po domkach campingowych. Widzę go już z odległości kilku metrów. Piękny, dorodny. Robię zdjęcie, na wszelki wypadek, bo może tylko ono mi zostanie. O dziwo, wielki grzyb da się podnieść, więc później sprawdzę, czy nie trapi go choroba. Znajduję jeszcze kilka małych prawdziwków i jednego dużego, do pary.

Niebo się zachmurzyło, powietrze, jak w takich chwilach, wydaje się zielone. Będzie lało. Na szczęście jeździ autobus, o którym mało kto wie. Absolutnie nieopłacalna linia, ale pasuje mi, gdy choć na godzinę chcę się wyrwać do Spały. Jestem jedyną pasażerką w wielkim samochodzie. Luksus.

Nie musiałam się spieszyć, burza z deszczem i błyskawicami przyszła dopiero późnym popołudniem, ale niebo długo straszyło chmurami, zanim przeszło do ataku. Bałam się wyjść z domu, na szczęście w piątek zrobiłam niezbędne zakupy.

Zbiór okazał się bardzo owocny, część borowików umieściłam w lodówce, część w zamrażarce. Moja specjalność: mięso duszone z cebulą i grzybami. Pycha!

Spotkania

W niedzielę miałam się spotkać ze Stasią na działce. Niestety, ona nie czuje się dobrze, jest też lęk przed zapowiadaną burzą. Natasza dzwoni z zaproszeniem na imieniny Pawła. Odzywa się Ewa z nad morza. Pogodę mają raczej nieciekawą. Imieniny Alicji, wśród innych solenizantek jest matka zięcia. Dzwonię pięć razy, do skutku. Okazuje się, że była z wizytą u siostry, osoby chorej, od dłuższego czasu niesamodzielnej. Jest jeszcze Alicja w Słupsku, córka mojego kuzyna, Ala sąsiadka, która każdą wolną chwilę spędza na czytaniu książek. Trudno nie pamiętać o takich imieninach, skoro kojarzą się z Alicją w krainie czarów.

Po południu burza, w nocy – ulewa. W poniedziałek od rana rześisty deszcz. Wstałam o szóstej, będę dłużej żyła, i zaczęłam dzień od wsłuchiwania się w śpiew ptaków i głos deszczu, najpiękniejszą muzykę, jaką obdarza nas natura. To nie koniec darów, bo przed południem spodziewana dostawa jajek i ziemniaków oraz kobiątka truskawek z ogrodu Tońki – byłej uczennicy. Jej mąż przynosi to wszystko do mojego mieszkania, szczelnie zakryty maską. Ma jakąś funkcję w miejscowym szpitalu, a tam szerzy się wirus, więc lepiej nie kusić złego.

Dzwoni Stasia, prosi o książki, Jan dostarczy ściągę do dedykacji. Mam dla niego dwa krokiety z kapustą i grzybami. Niestety – tylko dla niego. Mamy się spotkać w środę, u „Droździków”, wszak to imieniny Jana, następnego dnia Stasia znów pojedzie do szpitala.

Książki dla następnych lekarzy, pielęgniarek, pacjentek z tej samej sali szpitalnej, są już przygotowane, opisane, a ponieważ jedna z nich jest już na jutro, zawiadamiam o możliwości odbioru. Jadą na działkę, więc wstąpią. Dzwonek domofonu. Spodziewam się Jana, ale na ławeczce siedzi Stasia. Wychudzona, osłabiona, blada. Źle wygląda i źle się czuje, nawet jej uśmiech jest blady. Ponawia zaproszenie na „Jana”. – Kapusta już się gotuje. – mówi idąc w stronę samochodu – W czwartek pójść do szpitala, chyba na tydzień.

Będą jej znów robili jakieś badania, zabiegi. Jak ona to zniesie?

Mam trochę czasu, więc przygotowuję truskawki do przesmażania. O siedemnastej jest spotkanie zarządu Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, pierwsze po przerwie, spowodowanej pandemią. W drodze do TPD uzupełniam zapasy cukru. Spotykamy się w dużej sali, gdzie można zachować odstępy. Będzie nowa księgowa, poprzednia korzysta z emerytury. Ze względu na stan zdrowia rezygnuje też z pracy kierowniczka świetlicy. Słuchamy sprawozdań, bo mimo pandemii TPD aktywnie działało, min. w najtrudniejszym czasie lokautu dzieci dostały paczki żywnościowe, wartości ok. 100 złotych, uczniowie młodszych klas, zgodnie z zaleceniem, korzystają ze świetlicy, obiadów i dodatkowych posiłków. Nie będzie kolonii, ale będą zajęcia podobne do półkolonii. Co dalej? Zobaczymy, co będzie można, na co będzie nas stać. Jedno jest pewne: nastąpi dalsze zubożenie ubogich, w rodzinach patologicznych pogłębi się stan dysfunkcji i nasze stowarzyszenie będzie miało bardziej odpowiedzialne zadania niż przed pandemią. Jesteśmy gotowi, ponieważ nie tylko z nazwy jesteśmy przyjaciółmi dzieci.

Pracujemy ze sobą wiele lat, od czasu do czasu przybywa ktoś nowy. Zawiązały się nici koleżeństwa, przyjaźni, nic więc dziwnego, że rozmawiając o działalności naszego oddziału, świętujemy przy okazji imieniny Elżbiety, Jolanty i Emilii. Świętujemy także powrót do społecznego działania. Siłaczki i jeden Siłacz. Dobrze nam ze sobą, bo człowiek, jeśli może pomóc innym, czuje się lepszy. Potrzebny.

Najpiękniejsze są polskie kwiaty...

We wtorek jadę sprawdzić, czy nad zalewem pojawiły się prawdziwki. Odwiedzam wszystkie ocalałe miejsca prawdziwkowe – nawet nie pachnie grzybami. Tyle wody połało się z nieba,

a przysłowie o deszczu i grzybach wcale się nie sprawdza. Nawet „psich” nie ma, jedyną zdobyczą pozostaje gołąbek, w naszych stronach znany jako „siwka”. W szpalerze dębów też nic nie znajduję, za to mury willi znacznie podrosły. Wracam na drogę i już wiem, że dzisiaj trzeba się zadowolić widokami pól, łąnów żyta, rzepaku, cieniem drzew, których jeszcze nie tknęła piła. W zasięgu wzroku pojawia się znajomy, miejscowy grzybiarz. On ma jeszcze nadzieję, bo idzie tam, gdzie ja już byłam. Ja mam siwkę, on podgrzybka, czyli 1:1.

Jest jeszcze sporo czasu do autobusu, więc wstępuję do znajomych na zwyczajową kawę. Stoję już na schodkach, gdy z domu wychodzi Jola. – Nie byłam wczoraj na zebraniu TPD, bo w domu jest półpasiec. Mama leży, w tej chwili śpi. Przepraszam, może innym razem wypijemy kawę. Mam zdalne nauczanie – pokazuje na telefon, trzymany w ręce. Cóż, lubię spotkania z mamą Joli, pogaduszki przy kawie na werandzie, ale między nami jest choroba zakaźna, którą znam aż za dobrze. Jak nie koronawirus to półpasiec! Wypiję kawę pod sklepem.

Bożenka i Ania, jak zawsze, witają mnie życzliwie. Siedzę w cieniu, popijając wyśmienitą kawę. Do sklepiu co chwilę ktoś przychodzi, chociaż naprzeciwko wybudowano Dino. Ja też lubię te małe sklepiki, w których ekspedientki znają każdego klienta. Bożenka zatroszczyła się o moje kwiaty. Mają już swoje przeznaczenie – na jutro.

Dla Jana tulipany i koniak, dla Stasi polne kwiaty i poezje księdza Malickiego. Jeśli w szpitalu będzie mogła cokolwiek czytać.

W środę od rana składam życzenia Janeczkom, Janom, Danutom. Do przyjaciół idę na imieninowy obiad. Jest nas tylko czworo: gospodarze i „swatowa” jak mówią w górach, czyli teściowa syna. Anna jest w czerni, niedawno zmarł jej mąż. Staszka wstawia tulipany do wazonu, a potem, z bukietem chabrow, maków, przetykanych kwiatami rzepaku, śpiewa fragment piosenki: „Bo najpiękniejsze są polskie kwiaty, stokrotki, fiołki, kaczeńce i róże...”. I jeszcze raz, tylko zamiast stokrotek w piosence pojawiają się chabry.

Krucha, wychudzona, robi wszystko, by było normalnie, jak zwykle. Zarzuciła szyfonowy szal, by ukryć bardziej niż szczupłe ramiona. Czerwony barszczyk, krokiety, pierogi z kapustą, mięsem i grzybami, na deser tiramisu. Staszka bardzo dobrze gotuje, więc wszystko jest przepyszne, ale jak ona sobie poradziła? Jedni narzekają na przysłowiowy paluszek, a ona stara się odsunąć w cień poważną chorobę, aby jak najmniej odczuły to bliskie osoby.

W trakcie spotkania dzwoni ich syn i synowa z Kanady. Pozdrawiam Ulę i Jurka, wychodzę na balkon, aby nie być intruzem w tej, nie tylko imieninowej, rozmowie. Jutro Stasia jedzie do szpitala, nie będzie miała kontaktu z bliskimi. Po południu odwiedzi ich także drugi syn, Andrzej.

Przy deserze komentujemy połączenie wideo. Kto by kiedyś o czymś takim pomyślał na serio? Owszem, coś nam się marzyło, bez nadziei na realizację. A teraz jest, przydatne rozłączonym rodzinom, niezbędne społeczeństwu w czasie pandemii. Ile zmian zaszło w naszym życiu? Wspominamy młócenie cepami i kierat, balię, pocziwą „Franię”. Tyle przemian, wydarzeń, a najbliższe – w niedzielę: wybory prezydenckie. Nawet Stasi, mimo choroby, nie są obojętne.

„Zwyczajność” pryska przy pożegnaniu. Trudno uciec od trosk...

Smak wolności

Jeszcze nie wszystko wróciło do normy, ale ja staram się przede wszystkim zapomnieć o lokaucie. W czwartek wyjazd do Spały. Na koncie jeden prawdziwek. Godzina spaceru, dwie godziny na powrót do domu. Oczekiwanie na przystanku autobusowym, w duchocie i słońcu,

przy oznakach zbliżającej się burzy, zabiera przyjemność, budzi lęk. Parę lat temu, na przystanku w Spale, piorun zabił małżeństwo. Może trzymali się za ręce, może jedno wspierało się na drugim...

Co się dzieje z autobusem? Dawniej pamiętałam wszystkie, potrzebne mi numery telefonów. Teraz jest Basia, Kasia, stomatolog, hydraulik itp. Jaki jest numer do PKS? Usłużna pamięć wygrzebuje z archiwum kilka cyfr i słyszę głos dyspozytora, zagłuszany przez ryk samochodów: autobus z powodu awarii utknął w Inowłodzu. Wysłali podmianę, ale to potrwa. Trzeba czekać. Zdążyłam przed ulewą, przed burzą.

W piątek jadę busem do Smardzewic, nad zalew. Oprócz mnie i kierowcy jest tylko jedna pasażerka. – Luksusowy przejazd – pomyślałam. Nic bardziej mylnego. Okazało się, że na chwilę tylko przerwałam im dialog, a raczej przekrzykiwanie się w inwektywach pod adresem opozycji. Zbliżają się wybory, temperatura rośnie. Na korzyść rządzących zaliczają wszystkie „plusy”, opozycja to Bruksela, Berlin, „wykształcone” i chamy. W obydwu głosach jest taka doza nienawiści, że protestuję. Nie znoszę krzyku, nienawiści i pogardy, z jakiegokolwiek strony. Argumentuję, że przecież jesteśmy Polakami, jak mamy budować wspólnotę ponad podziałami? Mam przyjaciół, wyznających różne wartości, prezentujących różne poglądy polityczne. Po prostu nie rozmawiamy o polityce. Właśnie o to proszę i jeszcze – żebym mogła w spokoju dojechać do celu. Mam dosyć emocji, nieparlamentarnych zwrotów, w telewizji i na Facebooku. Nienawidzę nienawiści.

Nic nie pomogło: kobieta krzyczała, bo ma głuchą matkę i jest przyzwyczajona do krzyku, obydwójce w zapalczywości nie porzucili tematu i stylu wyrażania politycznych uczuć. Pasażerka wysiadła na przystanku w środku wsi ze słowami: - Będę się modliła za Prezydenta Dudę. Żeby wygrał!

Przyszły mi na myśl słowa biskupa Krasickiego; „Uchowaj Panie takiej pobożności!”. Jedni proszą o tego, drudzy o innego kandydata, jedni modlą się o deszcz, drudzy o słońce. Jak to wszystko pogodzić? Pewne jest, że wielu ludziom wiara nie przeszkadza w czuciu i sianiu nienawiści do drugiego człowieka. W jednym sercu, jednej głowie, miłość i wrogość żyją w zgodzie.

Ostatni odcinek drogi przejechaliśmy w złowieszczej ciszy. Jako jedyna pasażerka nie fatygowałam kierowcy – właściciela busa, do jazdy na końcowy przystanek. I tak dobrze, że powstrzymałam się od wysiadania na trasie. Absolutnie osłabiona, wręcz chora, poszłam odwiedzić swoje laski, bez nadziei, że cokolwiek znajdę. Było mi to całkiem obojętne. Kurki i prawdziwki chyba wyczuły stan psychicznego zawieszenia i postanowiły poczekać na lepszy dzień, lepszy nastrój poszukiwaczki leśnych skarbów.

Przed powrotem do domu kawa przy sklepiu. Z nowym bukietem polnych kwiatów, już wyciszona, idę na przystanek „emzetki”. Jakie to szczęście, że nie muszę wracać busem! Wnętrze autobusu wypełnione do granic limitu. Na trasie wsiada jeszcze wielu pasażerów, robi się ciasno i w łeb biorą wszystkie zalecenia o odstępach i bezpieczeństwie. Mam nadzieję, że stojąca obok młoda osoba bez maski nie jest jakąś bezobjawową. Kobieta, siedząca tuż przy wejściu, z plamami bielactwa na rękach, wraca z jagód. Dziś uzbierała trzy litry, sprzeda po dwadzieścia złotych. Zawsze to jakiś zastrzyk do domowego budżetu. W dzieciństwie i młodości zbierałam całe wiadra jagód, teraz pół litra, litr. Kręgosłup protestuje, a na deser wystarczy.

Znów zdążyłam przed ulewą.

Wyjazd do Ujazdu

Wczoraj wieczorem zadzwoniła Kasia, potwierdzając zaproszenie do siostry i szwagra. - Zobacz pani ławę. Ciekawe, czy będzie się podobała. Niełatwo było dodać odcień bejcy, pasującej do kredensu – dodała, usprawiedliwiając wątpliwości. – Będzie zalewajka i grill, trochę pochodzimy po lesie, bo Marysia jest taką grzybiarą jak pani.

Przed południem jedziemy do Ujazdu. Stara miejscowość, utrwalona na kartach historii, szczególnie 1410 rok. Piękne uliczki, piękne domostwa, urokliwe ogrody. Willa Marysi i Włodzimierza też jest otoczona ogrodem, a w nim pyszną się niezwyklej urody maki, róże, kwiaty, których nie umiem nazwać. Kasia potrafi nazwać każdą roślinę: kwiatek, drzewo, krzew. Z czułością mówi o morwie, bo przypomina jej dom rodzinny w Miliczu, fioletowe i białe owoce, smakołyk pięciu dziewcząt. Kasia ma cztery siostry, mama nadal mieszka w Miliczu, mimo swoich 82 lat, jest bardzo aktywna, udziela się społecznie. Marysia przywędrowała w te strony za Kasią – poznała Włodka, przyszłego męża, na weselu siostry.

Szwagier Kasi jutro obchodzi urodziny, jak zwykle – osiemnaste, co uwzględniłam w dedykacji książki i formie zwrotu na „ty”. Marysia też życzy sobie mówienia po imieniu. Jest upał, duchota, ale pod zadaszeniem, w cieniu drzew, trochę mniej doskwiera. Kawa, wyśmienita szarlotka - dzieło gospodyni, toast za jubilatą. Czuję się jak w rodzinie i tak jestem traktowana, chociaż Kasia i Stanisław nie potrafią się uwolnić od tytułowania mnie „panią profesor”.

Idziemy zobaczyć ławę. Niespodzianka! Myślałam, że meble są w trakcie obróbki, a tu stoi piękna brązowa ława, jak nowa. Etażerka też dzieło sztuki. Włodek ma coś do załatwienia w Tomaszowie, więc dają klucze Staszce, zawiozą meble do mojego mieszkania i wstawią ławę, której jeden człowiek by nie poradził. Najtrudniejsza dla mnie chwila: gospodarze nie chcą absolutnie należności za renowację. Zrobili wyjątek, bo nie zajmują się takimi pracami, artystycznie odnowili mocno podniszczone sprzęty. Jestem pozytywnie bezradna.

Po powrocie Staszka jedziemy samochodem Marysi do lasu. Jest piękny, pachnie świeżą wilgocią. Wczoraj była ulewa, cały ogród był w wodzie, podtopiło niektóre pomieszczenia willi.

Staram się dotrzymać kroku mojej gospodyni, Staszek i Kasia zostają w tyle, bo jej dokucza noga. Zbieramy kurki, od czasu do czasu trafia się cała kolonia. Wyglądają ponętnie wśród trawy i mchu, rosną głównie na brzegu lasu. Ciszę przerywa dźwięk telefonu: Michałowa, ma smutny głos. Zmarł młody człowiek, wykładowca, któremu wysłała moje książki, bo w zdalnym nauczaniu poznał i polubił wiersz „Dąb”. Chwała telefonom komórkowym, pomagają w wielu sytuacjach, ale też niosą czasem smutne wieści. Z lasu jedziemy na łąkę, zbieramy kwiaty dziurawca, z którego Kasia robi leczniczy olej. Ja przy okazji zrywam polne dzwoneczki i kwiaty rumianku, będą mi przypominały chwile spędzone w gronie ciepłych, życzliwych ludzi.

W „domu” czeka obiad. Marysia przynosi wielki garnek barszczu na białej kielbasie i peconkach, Włodek dyżuruje przy grillu. Niech żałują ci, którzy nie zbierają gąsek, szczególnie szarych, lub dają pierwszeństwo „zielonkom”. Pycha! Na „drugie” karczek, kaszanka, kielbasa z grilla, do wyboru.

Czas wracać do domu, bo Kasia ze Staszkiem wybierają się jutro nad morze. Mimo protestu, stają się posiadaczką całego zbioru kurek. Niezręczna dla mnie sytuacja z ławą, kurkami, zostaje skwitowana przez Kasię: -Przecież pani należy do rodziny!

Wyborcza niedziela

Od rana słońce, zapowiada się upalny dzień. O dziewiątej rano idę na wybory. Pamiętałam o dowodzie osobistym, maseczce i długopisie. Droga do kręgielni dłuży mi się, bo słońce doskwiera. Kolejka jest niedługa, wszystko sprawnie przebiega. Przy wejściu stoi mężczyzna, skrapiający płynem dezynfekującym ręce wyborców i kieruje ich do odpowiedniego stolika. W telewizji pojawiają się relacje z różnych miejsc w Polsce, niektórzy wyborcy czekają nawet godzinę lub więcej, na oddanie głosu. Wielka mobilizacja społeczeństwa i wysoka frekwencja, mimo pandemii.

Obowiązek spełniony, umawiam się więc z Ewą na spotkanie w terenie – na działce Kasi. Siadamy przy stole, pod ocienionym przez drzewa i krzewy namiotem. Gramy w kości, ale mamy widok na przepiękne krzewy róż, drzewa wiśni z dojrzewającymi owocami, porzeczek, całą obfitość i różnorodność roślin, wypielegnowanych przez Kasię. Mimo osłony, każdej z nas dokucza upał, więc co chwilę sięgamy po wodę mineralną.

Ta część ogrodów składa się tylko z kilku działek. Raz po raz słychać „dzień dobry”, niektóre skierowane do nas. Jest Danuta z mężem, wczoraj wrócili z nad morza. Chce poznać ostatnie wiadomości, gospodarskim okiem rzuca na działkę. Nie trzeba jej podlewać, bo ziemia jeszcze nie wyschła po ulewnych deszczach, należy pomóc roślinom pod folią i w doniczkach. Mimo niedzieli Danusia zabiera się za prace w swoim ogrodzie. Każdy tu patrzy na drugiego i nie pozwala, by trawa za duża urosła i nie daj Boże rozplecił się jakiś chwast. Dla mieszkańców bloku działki zawsze były azylem, w czasie pandemii – bezcennym.

Na ścieżce pojawia się Michałowa w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, chyba zięcia. - Musimy się spotkać kiedyś na działce, córka zaprasza – wykrzykuje zza ogrodzenia. - I może wreszcie odwiedzisz nas, na Niskiej? Może ze Stasią, jak się będzie czuła lepiej? Byli dzisiaj rano z Jankiem na mszy. Myślałam, że wstąpią na plebanie, bo czasem tak robią, ale pojechali do domu. A Stasia taka szczupłutka, biała... Obiecuję, że wpadnę, nie wiadomo jeszcze kiedy.

Salata przerasta, Kasia martwi się, że zagłusza astry. Wyrwam wielką porcję dla siebie i dla Ewy. Salata jest tak delikatna, że łamie się, kruszy w dłoniach. Nie zawiązuje się w główki, ale jest wyśmienita, nawet ta przerośnięta. Danuta przynosi ze swojej działki garść pachnącej mięty. Będzie wspaniała herbata, akurat na upał. Pamiętam, gdy wiele lat temu robiłam reportaż z fabryki włókienniczej, robotnicy w czasie upałów mieli dostęp do kraników z wodą i napojem z mięty. Wtedy jeszcze nie było plastikowych butelek z wodą mineralną, którą na ogół piło się tylko w restauracji i kawiarni.

W domu odbieram kilka telefonów i dzwonię do kilku osób. Zofia- poetka będzie miała jutro wymianę okien. Zosia ogrodniczka z trudem wytrzymuje upał, wszystko ją boli. Stasia z Jankiem byli w Łodzi u dzieci na imieninowym obiedzie. Stasia czuje się bardzo słaba, leży. Chora, słaba, jednak wciąż uznaje, że obowiązek to rzecz święta: rano była na mszy, później na wyborach i z wizytą u rodziny. W domu, w rodzinie, w pracy, w przyjaźni – niezawodna. Cieszę się, że mogę się nazwać jej przyjaciółką.

W telewizji przeważają tematy wyborcze. Normalne. Długo oczekiwany dzień, niezwykle emocje. Jeszcze się nie skończyły: czekają nas dwa tygodnie walki między dwoma kandydatami – Dudą i Trzaskowskim. A my, wyborcy, jak palce między drzwiami lub osiołek, któremu w żłobie dano.

Najczęściej pada zwrot: święto demokracji. Prawda, szkoda tylko, że budzi tyle złych uczuć, że bardziej dzieli niż łączy. Smoleńska mgła wciąż roztacza się nad Polską...

Imieniny, poprawiny

Dziś popularne święto Piotra i Pawła. Po południu spotykamy się u bratanka, w drewnianym domku z ogrodem. Siostrzenica miała jechać rowerem, ale rozpętała się taka ulewa, że postanawiamy skorzystać z emzetki. Na przystanek dochodzę mokra, mimo chroniącej mnie kurtki przeciwdeszczowej i parasolki. Na Sosnowej wita nas Łatek. On najpiękniej wyraża radość z przybycia gości. Oprócz Pawła, Nataszy i bratowej są już przy stole zaprzyjaźnieni sąsiedzi – Grażyna, która często pomaga Nataszy w opiece nad teściową i jej przyjaciel Marek. Nieco później dołącza koleżanka gospodarzy, Agnieszka, z mężem, współpracownikiem Pawła. Łatek wita wszystkich, stara się o uwagę każdego, jakby sądził, że to są jego goście.

Stół ugina się od potraw. Zawsze mówię Nataszy, że człowiek ma tylko jeden żołądek, ale ona, zwyczajem ukraińskim, dba o pełną zastawę, rozmaitość, na dodatek od niepamiętnych czasów serwuje danie – niespodziankę. W żadnej restauracji nie znaleźlibyśmy takiego tortu z wątróbki, jaki robi Natasza: jest wyśmienity i nie wyobrażamy sobie, aby go zabrakło w menu.

Wychodzę wcześniej, na ostatni autobus. Ewa przejdzie się „na nogach”, jak powtarza za mężem góralem, którego od sześciu lat nie ma już wśród nas. Jutro zagramy w brydża, zrobimy sobie poprawiny. Zapowiadają pogodę bez deszczu, więc będzie uczta na świeżym powietrzu.

W trakcie spotkania zadzwoniłam do Uli. Ciężko znosi radioterapię. Ma brązową pierś. Żartuję: - To teraz twoja pierś będzie pasowała do moich odnowionych mebli. Były czarne, teraz są brązowe, piękne, prawie jak nowe. I dodaję anegdotę, najprawdziwszą, ale nie do powtórzenia. Śmieje się serdecznie. Mały zastrzyk optymizmu w chorobie, w której uśmiech i nadzieja jest także lekiem.

Wszystko się dziwnie plecie...

W poniedziałek rano dzwonię do Jana. Nie chcę natrętnie wypytywać o zdrowie Staszki, więc chwytam się pozorów. Tym razem informuję, że nie przywiozą dziś obiecanych ziemniaków z Bobrowca. Staszka wie, że tak naprawdę chodzi o nią. Przejmuje aparat od Jana i mówi z trudem kilka zdań. Raz jest lepiej, raz gorzej, obie jednak zgodnie stwierdzamy, że najważniejsze jest to, że żyjemy.

30 czerwca, imieniny Emilii i Lucyny. Dzwonią ci, którzy nie wiedzą, że obchodzę w maju. Dobrych życzeń nigdy dosyć, wszystkie przyjmuję z radością. Ważne, że ktoś o mnie myśli, pamięta. Ja też pamiętam o cioci Jarka, Lucynie – niosę jej w upominku wiadereczko kurek. Będzie dodatek do świątecznych potraw.

Po południu spotykamy się ponownie na Sosnowej, tym razem w obszernej altanie, z pełnym wyposażeniem. Gramy w brydża: Natasza, Paweł, Ewa i ja. Bratowa siedzi obok i nie umie się pogodzić, że nie włączamy jej do gry. Pamięć jej nie dopisuje, jest pod stałą opieką bratanka i jego żony. Wiek robi swoje, nie wszyscy na starość mogą się pochwalić taką kondycją umysłową jak ciocia Jarka czy niegdyś moja mama.

Miło spędzamy czas w rodzinnym gronie, złaknieni bliskości po długim odizolowaniu. Prawie sielanka, prawie, bo sąsiad warczącą kosiarką przycina trawę. W bloku od rana słychać młoty pneumatyczne, kruszące stary murek przy suterynie, odbijanie płytek u któregoś sąsiada – na górze, czy obok. Uciekłam z jednego hałasu w drugi. Najważniejsze jednak, że jakoś się trzymamy, jeszcze gramy w brydża, jeszcze w zielone gramy...

We wtorek brak wiadomości od Staszki i Jana. Niepokoję się. W środę dzwoni Tońka, że jadą do Tomaszowa i mogą przywieźć ziemniaki. Telefon odbiera Jan, ma zatroskany głos. Umawiam się z nim przed drugą, pod blokiem. Przekażę mu ziemniaki i będziemy mogli porozmawiać o tym, co boli.

Przyjazd Tońki i Gienka zbiegł się z przyjazdem Jana, tak że nie musiałam wnosić ziemniaków na górę. Usiedliśmy na ławeczce. - Zapytaj Stasię, czy chciałaby, żebym ją odwiedziła – proszę Jana. - Nie da rady, wczoraj odwozłem ją do Łodzi, do szpitala. Konieczna jest ponowna operacja. Na pożegnanie daje mi sałatę z działki. Tylko tam może choć przez chwilę nie myśleć...

Po drugiej jadę emzetką do Zosi-ogrodniczki. Nie widziałyśmy się od czasu jej imienin. A w ogóle, teraz rzadko się spotykamy, bo pandemia, wizyty u lekarzy... Właśnie dla lekarza jest przeznaczony „Wietnamski sen”. Siedzimy przy okrągłym stoliku, przed domem. Ogród jest piękny, zadbane. Zosia wreszcie jest zadowolona, że może go pokazać w pełnej krasie. Pijemy piwo, w które zaopatrzył ją syn Leszek. - Ja w ogóle nic nie kupuję, dzieci zaopatrują mnie we wszystko – mówi tytułem komentarza. Rozmawiamy o wspólnych znajomych: Uli i Staszce, którą Zosia zna i szanuje jako lekarkę. Ula jest jej bliską znajomą, często z nią rozmawia przez telefon, ale dawno się nie widziały. Nam też zdrowie nie służy, już nie będziemy hasać po lesie za grzybami, co najwyżej – spacerować. Dobre i to.

Za kilka dni imieniny Sylwii. Nie pojadę do dzieci, bo zostały zawieszone niektóre dalekobieżne kursy autobusów. Pociągami, z przesiadkami – to nie dla mnie. Dobrze, że córka, zięć i wnuk zrobili mi niespodziankę na Dzień Matki. Złożę jej życzenia przez telefon. Cóż, chociaż tak możemy być sobie bliscy.

Dzisiaj rano wybrałam się do piekarni i po wodę do studni głębinowej. Ekspedientka w sklepie piekarniczym jest matką mojego ucznia, który przed laty zginął, przysypany ziemią w wykopie pod fundamenty. Ból przycichł, ale nie zniknął. - To już tak będzie, do końca życia – mówi i lekko się uśmiecha. - Wie pani, ja czuję, że on mi tam z góry pomaga. Drugi syn mieszka w Warszawie, ale to daleko. Kiedy jest mi źle, zawsze czuję obecność Pawła. Teraz były jego imieniny...

Mówią, że największe nieszczęście jest, gdy matka chowa dziecko. Pamiętam śmierć siostry i ból mojej matki, rozumiem dramat Kasi, która codziennie jest na grobie swojego syna, i Krystyny, matki mojego ucznia Pawła.

W zamyśleniu idę w stronę głębinowej studni. Mija mnie jakiś zamaskowany rowerzysta, słyszę „dzień dobry” i automatycznie odpowiadam, choć nie wiem komu. Nad studnią wybudowano zadaszenie – nowość. Będzie ochrona przed słońcem i deszczem.

Wracam alejką wśród trawników, krzewów i drzew. Trochę zazdroszczę mieszkańcom okolicznych bloków, ale przecież i dla mnie, w najgorszym czasie obostrzeń, wyprawa po wodę stanowiła odskocznik, a na terenie między blokami znajdowałam azyl.

W powietrzu unosi się zapach z dorodnych lip. Obsypane kwiatami przywodzą na myśl fraszkę Jana Kochanowskiego „Na lipę”, mądrość poety, wyznającego zasadę: *Nic, co ludzkie, nie jest mi obce*. Jego słowa, którymi można określić naszą współczesność:

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie;
A kto by chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Po roku

Kilka dni temu, czwartego marca, minął rok od pierwszego przypadku koronawirusa w Polsce. Swoją rozmowę z komputerem zakończyłam przed wakacjami 2020. Wypada zrobić remanent minionego czasu. Młode pokolenie nawet nie zna tego słowa, starsze ma w pamięci zamknięte pod koniec miesiąca sklepy i wywieszkę na drzwiach: REMANENT. W ramach tak pojętego bilansu należy odpowiedzieć na dwa podstawowe pytania – Dlaczego przestałam pisać? Co się w tym czasie zdarzyło?

Wakacje obdarzyły nas nadmiarem słońca, więc w upalne dni bliżej mi było do wanny, chłodnego prysznica, niż do komputera. Bardziej przyjazne temperatury pozwalały na spacer, wyprawy do miejsc najmniej skażonych cywilizacją. Komputer odpoczywał.

Pod koniec sierpnia, kiedy już opustoszały plaże, wybrałyśmy się z siostrzenicą do Darłowa i tam, w pobliżu wiatraków, snułam refleksje na temat Don Kichota, ludzkiego losu, który jest czasem jak pył dmuchawca na wietrze.

Jesień obrodziła grzybami. Nawet gdyby ich nie było – jesienią moje miejsce jest w lesie. Każdy, kto mnie zna, wie, że kocham las: to on daje mi siły, koi troski, cieszy oko i serce, budzi nadzieję w najbardziej trudnych chwilach. W czasie jednej ze wspólnych wypraw z Andrzejem i Moniką wróciłam do tematu felietonów, propozycji, która nie została podchwyczona przez poprzedniego redaktora naczelnego TIT-u, lokalnego tygodnika informacyjnego. Ustaliliśmy, że będę pisała, bez wzajemnych zobowiązań co do systematyczności pisania – publikacji. Od tej pory w każdym tygodniu mam coś do przekazania: nie tylko komputerowi, ale i czytelnikom. Myślę, że wyczerpująco odpowiedziałam na pierwsze pytanie, nieco trudniej będzie odpowiedzieć w skrócie na drugie.

Dawniej, kiedy pytano moją matkę, co słyhać, odpowiadała na ogół: „stare dzieje”, „nic nowego”. W moim życiu wciąż coś się zmienia, nawet w czasie lock down-u, a w bliższym i dalszym otoczeniu każdy dzień przynosi nowe wiadomości.

Święta Bożego Narodzenia udało się nam spędzić w rodzinnym gronie, ale już zbliżająca się Wielkanoc będzie znów daleka od tych sprzed pandemii. Wynaleziono upragnioną szczepionkę i teraz pozostaje tylko problem, kto kiedy zostanie zaszczepiony. Moje dzieci, z racji zawodu, mogą się czuć w miarę bezpieczne, ja czekam na niewiadomy termin, więc ustaliliśmy, żeby raczej nie ryzykować i spędzimy święta „zdalnie”.

Co jakiś czas dowiaduję się o znajomych, zarażonych covidem, o śmierci bliskich mi ludzi. Czekaliśmy na wynalezienie szczepionki, teraz będziemy czekać na wynalezienie leku. Na szczęście są i dobre wieści.

Staszka powoli dochodzi do siebie, choć nadal ma tak niewiele „kochanego ciała”. Trudno się dziwić – wielokrotne pobyty w szpitalu, kilka operacji, ścisła dieta. Udało się nam spotkać kilkakrotnie na brydżu, wybrać w jej i Jana towarzystwie do lasu.

Ula czuje się nie najlepiej, ale nie ma przerzutów, bierze leki (nieznośnie drogie), jest pod kontrolą lekarzy. Niezmiennie dba o długość i właściwy odcień rudych włosów. Wprawdzie z powodu maski nie maluje ust, ale oczy koniecznie musi mieć „zrobione”, nawet przed wyjściem do śmietnika.

Zosia-poetka nadal uczy się angielskiego i czeka na wiosnę, aby zamienić się w ogrodniczkę. Rozmawiamy o wszystkim, niekiedy bawimy się w telefoniczne warsztaty poetyckie. Ostatnio przesłała mi kilka kompletów swojej poezji, które trafiły do tomaszowskich miłośników wierszy o miłości.

Zosia-ogrodniczka jest rozpieszczana przez dzieci. Bardzo o nią dbają, ma wszystko, czego potrzebuje – prócz zdrowia. Cóż, młode drzewko pod wpływem wiatru się ugina, stare drzewo trzeszczy, ale się nie łamie.

U Ali cała rodzina przechorowała covid, matka, siostra i szwagier trafili do szpitala. Z trudem wracają do pocovidowej rzeczywistości, szczególnie opieka nad sędziwą matką jest niełatwym zadaniem. Najdzielniej trzyma się Miecio – wraz z synem kończy budować dom na wsi, w pobliżu lasu, przymierza się do mycia okien, bo Alicja miewa zawroty głowy.

Ksiądz Wacław przeszedł na emeryturę, ale nie przestaje być aktywny. Domyślam się, że brakuje mu dawnych spotkań, wycieczek do nieznanych miejsc, bliskich, serdecznych kontaktów z ludźmi.

Irenka – Michałowa już nie pracuje jako gospodyni. Ma problemy ze zdrowiem, więc zostawiła sobie bibliotekę i porady przedmażeńskie.

Kasia i Staszek żyją „zwykłym” rytmem, pracują.

Myślę, że kiedy już wszyscy się zaszczepimy i nastanie wiosna, spotkamy się na działkach: ksiądz Wacław, Irena, Staszka i Jan, Kasia i Staszek, Danusia i Grzegorz...

Z Zosią – ogrodniczką i Jarkiem spotkam się w ich ogródkach. Jarek się ostatnio nie pokazuje, jest zapracowany, ale z pewnością czeka, aż zakwitnie bez.

Ja też, chyba jak każdy, czekam na wiosnę. Przeżyłam nagły i niespodziewany, ale konieczny remont mieszkania, mam piękną łazienkę, kabinę zamiast wanny. Piszę felietony, czasem wiersze, pracuję z Piotrem nad wspólną płytą. Nie zawsze wiersz pasuje do melodii, czasem w pocie czoła trzeba szukać słowa, związku frazeologicznego, aby zachować sens i rytm. Wciąż się uczę. Ile mądrości jest w starym porzekadle, że człowiek całe życie się uczy i... głupi umiera. Uczę się obsługi komputera, dostosowania tekstu do wymogów melodii, uczę się żyć w warunkach pandemii. Wszyscy się tego uczymy.

Dziwne czasy: Człowiek dąży do podbicia Kosmosu, z Księżyca przenosi pragnienia na Marsa, a na Ziemi? Ziemię opanował złośliwy wirus. Czyżby to zemsta Kosmosu?

Wczoraj zadzwoniła Lidia – Czarna Mamba. Starostwo wyraziło zgodę na wdrożenie nowego programu, w ramach lokalnych działań.

- Oczywiście mam nadzieję, że pani się włączy i odbędziemy tradycyjne spotkanie?

- Jasne! Muszę się tylko zaszczepić...

Trzecia fala

Kwestia wiary?

Piszę felietony do tygodnika, nie jestem więc spragniona rozmów z komputerem, ale wszystko się zmienia i widać, że znów muszę się z nim zaprzyjaźnić. Kontakty telefoniczne są na ogół krótkie, najczęściej ograniczone codziennością: - Właśnie jestem przy kasie. - Jestem w poradni. - Jadę autobusem...

Dobrodziejstwo łączności komórkowej ma swoje plusy i minusy, nigdy nie wiemy, czy ktoś dzwoni na pogaduszki, czy z istotnie ważną sprawą, więc wybiegamy z toalety, sięgamy po aparat na środku przejścia dla pieszych. Plusów jest znacznie więcej niż minusów, pomijając udogodnienia w komunikacji – nikt nie zarejestrował, ile razy mały rekwizyt, mieszczący się w kieszeni, uratował komuś życie. W okresie pandemii trudno przecenić korzyści z innego niż osobisty kontakt z drugim człowiekiem. Ostatnio odbieram telefony od ludzi, z którymi całe lata nie rozmawiałam, niewiele mnie z nimi łączy, ot, wymiana numerów na wszelki wypadek. Myślę, że gdyby nie telewizja i telefony, wielu z nas wylądowałoby w wariatkowie albo po drugiej stronie cienia.

Po tej laudacji na cześć wynalazków, które zmieniły moje życie, warto przejść do meritum. Trzecia fala. Dzisiaj liczba zakażonych sięga 30 tysięcy, zmarło ponad 500 osób. Prawdopodobnie przeszedłem covid, bo mam dużą odporność. Nie powiem, że bezobjawowo, ale w moim wieku trudno postawić diagnozę: wszak mam już prawo do przeróżnych dolegliwości, niekoniecznie tych najmodniejszych, z najwyższej półki. Wracając z poradni, po odebraniu wyników badań, spotkałam starą kobietę, wspierającą się na kulach. Piszę „starą”, a w rozmowie okazało się, że jest moją rówieśniczką. Opuchnięte nogi, w cienkich pantofelkach, nieadekwatnych do pory roku i pogody, sylwetka świadcząca o potężnej nadwadze, twarz nieosłonięta масечką. Zatrzymała się, aby chwilę odpocząć. Nie mogłam przejść obojętnie obok cierpiącego człowieka, więc zagadałam na temat butów, zapytałam, czy nie jest jej zimno. Tego, co usłyszałam, nie potrafię zatrzymać tylko dla siebie:

- Wie pani, ja jestem osobą wierzącą, katoliczką, ale nie wierzę. Nie wierzę w te bajki, co oni mówią. Ludzie chorowali i będą chorować. Mam już tyle lat, co ma być, to będzie. Interesy na tym robią i po to straszą ludzi.

Pożegnałam, odeszłam w pośpiechu. Żyję w świecie pełnym kontrastów: Człowiek już był na Księżycu, teraz wysłał łazik na Marsa, zwycięża w Kosmosie, a na ziemi ulega złośliwemu wirusowi. Znamy płeć dziecka przed jego urodzeniem, ale nie potrafimy zapobiec nieuleczalnym chorobom. Wyrzucamy tony żywności w czasie, gdy w Afryce dzieci umierają z głodu. Medycyna alternatywna, wręcz znachorstwo, konkuruje skutecznie z wiedzą medyczną, popartą badaniami, o czym świadczy nie tylko popyt na „suplementy” diety, ale także obecność w życiu społecznym licznych „uzdrowiaczy”.

Właściwie – dlaczego dziwię się prostej kobiecie, która uważa, że pandemię wymyśliły koncerny farmaceutyczne? Pewien lekarz też publicznie kwestionuje istnienie koronawirusa...

Parapetowa

Czym jest remont mieszkania? Kataklizmem, z którym konkurować może tylko wpadnięcie w łapy covidu, chociaż – na zasadzie wyboru między dżumą a cholera, wybieram covid. Mam prawo tak twierdzić, bo przeszedłem badania i okazuje się, że wprowadzie po czasie, ale

postawiłam sobie słuszną diagnozę. Jestem odporna i, przy zachowaniu zasad bezpieczeństwa, doczekam do kwietniowego szczepienia. Dolegliwości, potraktowane przez lekarza oddzielnymi skierowaniami, badaniami, składały się na jedną całość – koronawirus. Co było, to było, przeszłam, żyję, mam nawet pewien komfort psychiczny w kontaktach z innymi osobami. Czuję się dobrze, jeśli pominąć komplikacje z oczami. Czas więc na „parapetówkę”, chociaż to i owo wymaga poprawienia, klamka przy dotknięciu iskrzy i nie jestem pewna instalacji elektrycznej.

Już same przygotowania do brydża w gronie znajomych odczułam jako namiastkę normalności. Dawno nie gościłam nikogo, jedynie Piotr – ozdrowieniec wpada niekiedy w związku ze wspólną płytą. Staszka z Janem i Blanka – przebadani, przetestowani, bezpieczni, ja świeżo ujemna, możemy się spotkać bez ryzyka.

Przygotowuję bufet, potrawy, przemeblowuję pokój, aby stworzyć warunki do gry. Pokój ma niecałe piętnaście metrów kwadratowych, więc trzeba dobrze pogłównkować, dodać do tego siły mięśni i kręgosłupa. Wszystko się udało, jedynie brakuje kwiatów – chciałam kupić, niestety, w sklepie były tylko nierozwinięte tulipany.

O umówionej godzinie zjawia się cała trójka: Staszka i Jan z różami i nalewką ziołową, Blanka z własnoręcznie upieczonymi rogalikami (pychota) i hiacyntem, który dopiero rozkwitnie. Prawdziwi przyjaciele potrafią odgadnąć, co lubi bliska im osoba, czego potrzebuje.

Blanka (lekarz neurolog) mówi do mnie „Lusia”, imieniem, którego mało już kto używa. Tak do mnie mówiono w dzieciństwie. Chodziłyśmy z Blanką do jednej szkoły i do „bieli”. W czasie uroczystych procesji sypałyśmy kwiaty przed księdzem, którego prowadzono pod baldachimem. Dygnięcie i płatki kwiatów na ziemię, dygnięcie i płatki kwiatów... Zbierałyśmy je na nadpilicznych łąkach, ukwieconych tak, że do dzisiaj widzę pod powiekami biel stokrotek, fiolet dzwonek, czerwień koniczyny, a nad nimi złoto delikatnych jaskrów.

Goście oglądają mieszkanie po remoncie, zresztą dawno u mnie nie byli i widzą, że wiele się zmieniło. Przybyło wiele wietnamskich rekwizytów - co jakiś czas moi wietnamscy studenci przywożą mi prezenty ze swojego kraju. Odnowiłam ławę i etażerkę, wyrzuciłam wersalkę, zamieniłam ją na kanapę narożną, tylko stary kredens wciąż jest ten sam, taki sam i cieszy oczy. Uważam, że stare meble mają duszę. Oczywiście te, wykonane pieczołowicie ręką człowieka. Dlatego w kuchni wciąż stoją drewniane krzesła z wyciętym w oparciu serduszkiem.

Po wymianie instalacji elektrycznej nie ma śladu, za to modernizacja łazienki zyskała całkowitą aprobatę. Jak „parapetówka”, to oblewanie, trzeba przyznać – skromne. Staszka nie może pić, Jan też ze względów zdrowotnych -nie bardzo, Blanka rygorystycznie obchodzi post... Łyknęliśmy symbolicznie odrobinę koniaku, aby tradycji stało się zadość. Pierogi z kapustą bardzo smakowały, kurczak duszony z prawdziwkami został przyjęty entuzjastycznie, chociaż nieco za długo trzymałam go na gazie. Staszka chwaliła zupę, którą specjalnie dla niej przygotowałam. Od czasu operacji, pobytu w szpitalach, moja przyjaciółka jest na ściślejszej diecie. Trochę niezręczna sytuacja, gdy my się „obżeramy”, a ona pości, trzeba się jednak z tym pogodzić.

Nie kupowałam ciasta, przyjaciół i znajomych częstuję na ogół racuszkami z jabłkiem, galaretką z owocami. Zwykła, domowa kuchnia, ale my, osoby w słusznym wieku, takie właśnie potrawy lubimy. Nie uciekamy od nowinek, jednak siła przyzwyczajenia, tradycji rodzinnych, utrwaliła się w wyborach i smakach. Babcie w naszych stronach najczęściej gotują zalewajkę, zarzucajkę, a mieszkaniak Poznania czy Kostrzyna pyta: - Co to jest?

Użyłam określenia „słuszny wiek”. Nikt dziś nie chce być staruszką, staruszką. Przy brydżu komentujemy wypadek naszego wspólnego znajomego i tytuł z gazety: „Staruszek potrącony na Głowackiego”. Nie czujemy się staruszkami, chociaż tak określaliśmy w młodości ludzi po

sześćdziesiątce, siedemdziesiątce. Staruszek jest nieporadny, niesamodzielny, pomarszczony, kojarzy się z ograniczeniami fizycznymi i psychicznymi. Nam się jeszcze wiele chce i wiele możemy. Człowiek starzeje się od wewnątrz, siwe włosy, zmarszczki, nie są dowodem starzenia. Jeszcze możemy parafrazować słowa Mickiewicza i wołać: - Starości! Ty nad poziomy wylatuj! Oczywiście, już chyba tylko myślą...

W podsumowaniu rozgrywki brydżowej okazało się, że zdobyłam pierwsze miejsce. Nie bardzo to przystoi gospodyni, ale Blanka stwierdziła: - Jej się to po prostu należało – za smaczne potrawy.

Wyłom w codzienności. Moje życie to siedzenie w domu, wyszukiwanie zajęć, rozmowy telefoniczne, robienie koniecznych zakupów, niekiedy wizyty u lekarzy i w laboratoriach. Całe szczęście, że Piotr zdecydował się na wydanie płyty!

Ścieżkami pamięci do bzu i kwiatów jabłoni

Dzień przed kolejnym lockdownem weszłam do Galerii „Tomaszów”. Dawno tu nie byłam, bo nie lubię tłumów. Spodziewałam się mniejszej ilości klientów, mimo tradycji, którą się określa mianem przedświątecznej gorączki, ale to, co zobaczyłam, to była upiorna współczesność: na wielkiej przestrzeni troje ludzi. Rozwidlające się ciągi handlowe przypominają ulice, szersze i dłuższe od mojej uliczki czasu dzieciństwa. Zamknięte, zamknięte, zamknięte...

Moja uliczka, jak sięgam pamięcią, z jednej strony wychodziła na las, z drugiej pięła się pod górkę, aby po skręcie lekko opaść w dół, ku innym ulicom, w kierunku fabryki sztucznego jedwabiu i... miasta. Latem biegano się boso i nieraz piasek parzył stopy. Kiedy postawiono słupy i przeciągnięto linię elektryczną, uliczka zyskała nowe oblicze. Zniknął piasek pod warstwą czarnego żużlu i trudno już było biegać bez butów. Nowoczesność zabrała nam, dzieciakom z przedmieścia, jedną z niewielu radości trudnych, powojennych lat. Na piasku można było grać w klasy, w klipę, a żużel? Jedyna z niego korzyść to trochę mniejszy kurz, gdy raz na jakiś czas przejeżdżał samochód.

Przed Wielką Sobotą podwórka domów i całą uliczkę posypywaliśmy białym piaskiem jako znak oczekiwania na księdza. Półmiski, koszyczki, talerze ze święceniem nosiło się do jednego z dwóch domów, przeważnie do bliższego sąsiada. Rodzice co chwilę kazali dzieciom wyglądać na ulicę, czy już jedzie ksiądz, a i bez ponaglenia co chwilę wychylały się małe głowy z furtek, jako że była to niezwykła wizyta i wiązała się z zagadką: czyje jajko ksiądz wybierze?

Kiedy na górze pojawiała się czarna dorożka, wiadomo było, że zaczynają się najważniejsze chwile Świąt. Po okresie postu, smutnych pieśni, będzie radość, dostatek jedzenia, i to jeszcze jakiego! Szyunki, balerony, kielbasa, wędzone w przydomowej wędzarni, ciasto drożdżowe, pieczone na tę okazję specjalnie u piekarza, stół nakryty od śniadania do kolacji. Pamiętam, że z soboty na niedzielę nie mogłam spać, bo nęcił mnie zapach ciasta, którego wcześniej nie można było nawet skubnąć, dopiero po świątecznym śniadaniu. Zdarzały się lepsze lata i wtedy w cieście były rodzyнки, symbol luksusu. Jak wtedy niewiele wystarczało do szczęścia...

Żyję w innym świecie – dostatku i postępu technicznego, w tamtych latach nie do wyobrażenia. Świecie, w którym słowo „szczęście” prawie nie istnieje, jeśli się pominie stereotypowe: zdrowia, szczęścia, pomyślności. Przestaliśmy się cieszyć z małych rzeczy, tym dotkliwiej odczuwamy zdarzenia minionego roku. Ludziom mojego pokolenia jest łatwiej: przeszliśmy w życiu niejedno, jesteśmy zahartowani, gorzej znoszą to młodzi. To tak jak z roślinami – zawsze bardziej odporne są te, które w polu wyrosły niż otoczone opieką, cieplarniane plony.

Kiedy w dzieciństwie mówiłam „chleba naszego powszedniego daj nam Panie”, miałam naprawdę na myśli chleb. Nie mogła się zmarnować nawet jedna kromka, a kiedy upadła na ziemię, należało ją podnieść i uczcić (przeprosić) przez pocałowanie. Gdyby wtedy ktoś mi powiedział, że ludzie będą wyrzucać chleb do śmieci, kompostowników, nie uwierzyłabym. Myślę, że byliśmy biedni, cały naród był biedny, poobijany po wojnie, ale nikt z nas nie czuł się biedny. Byli biedniejsi - żebracy krążący po domach, klęczący pod kościołem. Dostawali kilka groszy, kawał chleba. Nie wchodzili do domów, stali pokornie przed progiem, wdzięczni, że nie poszczuto ich psami i jeszcze mogli coś wrzucić do żebraczej torby.

Wspominam czas przeszły. Myślę, że kiedyś w przyszłości dorośli ludzie będą wspominać swoje covidowe dzieciństwo. Co czeka najmłodszych, jaka będzie ich młodość, dorosłość? Jacy będziemy, gdy minie to, co najgorsze? Nie można porównywać pandemii i II Wojny Światowej, ale w nas, wojennym pokoleniu, było wiele nadziei, teraz nad nadzieją góruje lęk.

Nadzieja nie jest matką głupich, ona pozwala przetrwać najtrudniejsze chwile. I to jest zadanie dla starszego pokolenia – wspierać młodych w myśleniu o przyszłości, by mieli siłę przezwyciężyć lęk, nie tracili nadziei i nie rezygnowali z marzeń.

Nadzieja jest potrzebna jak chleb i trzeba się nią dzielić jak chlebem.

Wcześniej czekaliśmy na szczepionkę – już jest, nawet w kilku odmianach. Teraz czekamy na lek, na skuteczną broń w walce z pandemią.

Nocą, z soboty na niedzielę, przesuwamy zegary na letni czas. W ogródkach kwitną krokusy, wkrótce rozkwieć się śliwy, grusze i jabłonie, rozmaite bez. Przyroda uczy, że dopóki człowiek żyje, żyje także nadzieja.

Emilia Tesz

Anna Maria Wrzesińska

Życ i działać mimo pandemii i ograniczeń zeń wynikających...

Składając sobie życzenia na corocznej Wigilii Towarzystwa Miłośników Historii Żychlina patrzyliśmy z optymizmem w przyszłość. Mieliśmy wielkie plany na rok 2020.

Rok poprzedni, 2019, zakończyliśmy dużymi osiągnięciami. Zrealizowaliśmy roczny grant otrzymany z Urzędu Gminy w Żychlinie na projekt „Historia Wojenna”, w ramach którego była min. Wspaniała wycieczka do Twierdzy Modlin, Gra miejska, dwa Apele Pamięci, wydanie książki.

Otrzymaliśmy grant specjalny na zrealizowanie dużej plenerowej inscenizacji dla mieszkańców Gminy Żychlin i licznych gości, bo takich już mamy regularnie. Zorganizowaliśmy II Piknik Patriotyczny, w ramach którego po Apelu Pamięci w parku dworskim została zaprezentowana historyczna inscenizacja „Szpital polowy w Dobrzelinie”. Inscenizacja ukazywała działalność szpitala polowego w Dobrzelinie, jednego z wielu na naszych terenach, przyjmującego rannych żołnierzy Wojska Polskiego we wrześniu 1939 roku i gehennę ludności cywilnej, w tym dzieci. Wydarzeniami towarzyszącymi była wystawa starych pojazdów, ścianka wspinaczkowa OSP, foto-sesja oraz grochówka.

Zrealizowaliśmy projekt Powiatu Kutnowskiego: cykl spotkań pt. „Wpływ wypraw rowerowych i czytania książek na kształtowanie postaw patriotycznych i obywatelskich – cykl spotkań z podróżnikiem cyklistą”. Odbędzie się 12 spotkań, w których udział wzięło około 950 osób: dzieci i młodzieży, seniorów z UTW oraz parafian z Krośniewic.

Po raz trzeci (na sześć edycji) wygraliśmy konkurs z programu Fundacji Tesco Polska „Decydujesz, pomagamy”, na projekt pt: „Fotograf Żychlina – zawodowiec czy pasjonat?” Z dotacji zakupiliśmy sprzęt, uczestniczyliśmy w warsztatach fotograficznych dla seniorów, w efekcie których powstała wystawa fotograficzna pt. „Żychlin – ulice i place”. Wystawa cieszyła się tak dużym uznaniem, że potem miała drugie życie: była przekazywana do kolejnych szkół Gminy Żychlin.

W sumie nasze malutkie stowarzyszenie liczące 20 członków zrealizowało cztery duże projekty na łączną sumę dotacji 23 tys. zł., dodając do tego jeszcze nasze własne działania statutowe. Otrzymaliśmy za działalność w 2019 roku statuetkę SUPER HIT za rok 2019, przyznawaną przez dwutygodnik „Powiatowe Życie Kutna”, a kol. Ryszard za szeroką działalność społeczną, w tym za wydanie książki pt. „Żychlin a i wojna światowa” otrzymał zaszczytny medal „Zasłużony dla Powiatu Kutnowskiego”.

Po tak udanym roku mieliśmy zatem wielkie plany na rok następny. Zaplanowaliśmy zatem w styczniu działania na rok 2020. Grant z Urzędu Gminy obejmował upamiętnienie świąt narodowych i okolicznościowych, czyli przeprowadzenie dwóch Apeli Pamięci: w 100. rocznicę Bitwy Warszawskiej i 17 września – agresji sowieckiej na Polskę oraz udział w innych uroczystościach gminnych i powiatowych. Podczas obchodów Święta Konstytucji 3 Maja planowaliśmy zorganizować Grę miejską, która bardzo lubią dzieci i młodzież. Planowaliśmy zorganizowanie kolejnej wycieczki badawczej, tym razem do Płocka, miasta aktywnie uczestniczącego w wojnie polsko-bolszewickiej, o czym mało kto wie, a co chcieliśmy rozpropagować. Co roku w czerwcu organizujemy „Wianki Dworskie”, w tym roku chcieliśmy je rozszerzyć jako „Jarmark średniowieczny”. Promujemy nasze miasto, więc w planach znalazła się też publikacja kolejnej książki oraz kilku artykułów.

Mieliśmy też obiecaną środki na kolejną plenerową inscenizację historyczną, o które mieliśmy wystąpić w lipcu 2020. Mieliśmy też nadzieje – i konkretną propozycję na aplikację do kolejnego konkursu Tesco z programu „Decydujesz, pomagamy”. Planowaliśmy też złożyć aplikację o grant do Starostwa Powiatowego w Kutnie, jak w zeszłym roku. Do tego dochodziły też nasze własne działania statutowe, realizowane poza grantami.

Ale okoliczności w tym roku okazały się niesprzyjające naszym planom. W chińskim mieście Wuhan rozpoczęła się epidemia koronawirusa covid-19, która bardzo szybko przekształciła się w ogólnoswiatową pandemię.

Początkowo w moim otoczeniu nikt nie chciał wierzyć w realność choroby. To daleko, w Chinach... Ale wirus zbliżał się do Europy szybko. Zaatakował Włochy i kraje basenu Morza Śródziemnego. Już pod koniec stycznia pojedyncze osoby z zakażeniem zostały zdiagnozowane w Polsce. Potem był w mediach komunikat z 28 lutego 2020 roku: „Jak przed chwilą podał Express Ilustrowany, w Łodzi potwierdzono pierwszy przypadek koronawirusa w Polsce. Potwierdził to test wykonany na kobiecie, która wróciła z Tajlandii”.

W środę 29 stycznia około południa do szpitala im. Biegańskiego trafił drugi pacjent z objawami koronawirusa. To łódzianin, który niedawno był w Wuhanie... Mężczyzna ma objawy grypowe – gorączkę i kaszel. Łódzianin, a my przecież jesteśmy też z woj. łódzkiego... Kolejne doniesienia o postępie choroby są coraz bardziej przynębiające, gdyż są ofiary śmiertelne.

My, zwykli ludzie, bombardowani jesteśmy doniesieniami w mediach: „Koronawirus SARS-CoV-2 z chińskiego Wuhanu, który wywołuje chorobę COVID-19, pojawił się już w ponad 50 krajach. Potwierdzono ponad 85 tysięcy przypadków zakażenia. Od początku epidemii zmarło ponad 2900 osób. Amerykańscy naukowcy na bieżąco aktualizują mapę, która pokazuje, gdzie dotarł koronawirus. Według danych z 29 lutego „na całym świecie zanotowano ponad 85 tysięcy zakażeń oraz 2924 przypadki śmiertelne”. „Koronawirus sieje postrach już niemal na całym świecie. Najgorsza sytuacja w Europie jest we Włoszech. Zmarło kolejne 8 osób i tym samym liczba ofiar śmiertelnych wzrosła już do 29”.

A 1 marca potwierdzenie o ogólnoswiatowej pandemii – „Koronawirus dotarł do 61 krajów na całym świecie, na wszystkie kontynenty”. „Choroba zakaźna COVID-19, wywołana przez SARS-CoV-2 została wykryta także w USA. Liczba Amerykanów, u których zdiagnozowano wirusa, wzrosła do 70. W USA poinformowano o pierwszej ofierze śmiertelnej”.

Ameryka, podobnie jak Chiny, jest daleko od Polski. Ale w naszej Europie wirus też się panoszy i zaczyna zbierać śmiertelne żniwo. 2 marca media poinformowały, że liczba ofiar śmiertelnych koronawirusa we Włoszech wzrosła do 52. W ciągu zaledwie 24 godzin zmarło 18 osób. Ogólna liczba zakażonych przekroczyła już 2 tysiące osób. W szpitalach zaczyna brakować miejsca dla kolejnych chorych. Rośnie liczba ofiar we Włoszech, coraz więcej zakażonych we Francji i Niemczech. Pod koniec lutego we Włoszech zamknięto szkoły i inne placówki publiczne. Mimo tego rośnie liczba zakażonych...

To na świecie. A u nas? 8 marca w Polsce zostały zanotowane trzy nowe przypadki. Jeden z pacjentów jest w stanie ciężkim. Z powodu koronawirusa LOT zawiesił wszystkie rejsy do Włoch do 12 marca. Środki podejmowane są po tym, jak we Włoszech ogłoszono gwałtowny wzrost zachorowań. Loty z Warszawy, Gdańska i Katowic do Bergamo w północnych Włoszech zawiesił także Wizzair.

Ludzie pilnie śledzą komunikaty z Włoch. A doniesienia z Włoch w sprawie koronawirusa są coraz bardziej niepokojące. Tylko w ciągu ostatniej doby liczba ofiar wzrosła tam ze 197 do

233 zmarłych. W sumie chorych jest ponad 5 tysięcy osób. Oznacza to, że pod względem liczby zgonów gorsza sytuacja panuje tylko w Chinach.

A co u nas? W mediach są komunikaty o kolejnych zakażonych w Polsce. To ludzie przyjeżdżający lub powracający do kraju. Kiedy wirus dotrze do naszego miasteczka? A dotrze, to jest nieuniknione, nie wiadomo jeszcze tylko – kiedy? Czy już zaczynamy obserwować sąsiadów? W małym miasteczku jest to możliwe, wszyscy się znają. Ale w dużym? Co przeważa: stoicyzm czy panika?

Typowe objawy zakażenia to wysoka gorączka i kaszel. Czy zaczynamy obserwować siebie pod tym kątem, swoich bliskich czy to tylko przewrażliwienie?

Tak, ale... Szkoły odwołują wyjazdy czy wyjścia na wycieczki i myją klamki, mieszkańcy kupują maseczki i rękawiczki, a także papier toaletowy. Zaczyna się panika... W aptekach od wielu dni brakuje maseczek ochronnych, pacjenci wykupują też płyny dezynfekcyjne. Pandemia to główny temat rozmów: „Udało nam się kupić ostatnią butelkę płynu dezynfekcyjnego”, „Ty wiesz, ile wołają za jedną maseczkę?”

Jednocześnie służby sanitarne apelują, by nie panikować.

9 marca w Polsce według najnowszych statystyk zanotowano 16 przypadków koronawirusa. Minister zdrowia podkreślił, że trzeba przygotować się na szybki wzrost zachorowań. 10 marca w Polsce już 22 osoby zakażone. Rośnie realnie niebezpieczeństwo kolejnych zakażeń...

W Polsce mamy już 25 zdiagnozowanych przypadków. Szef rządu przekazał na konferencji, że władze „chcą spowolnić maksymalnie możliwość rozprzestrzeniania się koronawirusa”. „Powinniśmy się wystrzegać dużych skupisk ludzkich. Podjęliśmy decyzję o zamknięciu wszystkich placówek oświatowych”. Minister edukacji narodowej ogłosił, że od czwartku 12 marca zawieszone zostają zajęcia dydaktyczno-wychowawcze. Koronawirus w Polsce doprowadził do odwołania imprez publicznych, zamknięcia placówek sportu i kultury. Wszystko po to, by zapobiec dantejskim scenom, które rozgrywają się we Włoszech.

Efekt tych zarządzeń to szturm Polaków na sklepy po decyzji o zamknięciu szkół. Pełne parkingi, długie kolejki do kas, półki świecące pustkami – tak wyglądała sklepowa rzeczywistość po ogłoszeniu decyzji o zamknięciu szkół. Na nic apele rządu, by nie panikować. Epidemia koronawirusa sprawiła, że Polacy wykupywali na pniu wszystkie artykuły żywnościowe i sanitarne.

Jak się to przenosiło na nasze życie codzienne? W małym miasteczku panika nie była tak odczuwalna, jak w dużych skupiskach. Jednakże podstawowe zapasy robili chyba wszyscy, nawet jeśli się do tego nie przyznawali. A nawet jeśli już tego nie robili sami, to odbierali zapasy od zaniepokojonych dzieci. Wszak efekty koronawirusa najwięcej obserwuje się w starszym pokoleniu. Moje córki, nie umawiając się wzajemnie, zaopatrzyły mi na długi czas lodówkę i łazienkę, zrobiły też zapasy karmy dla zwierząt domowych, gdyż mam dwa psy i dwa koty oraz królika.

Został ogłoszony zakaz publicznych spotkań. Od czwartku 12 marca rodzice mogli już nie posyłać dzieci do szkół, zakaz dla wszystkich wchodził w poniedziałek 16 marca. Zatem, pamiętając, że znaczna większość naszych członków jest emerytami i z powodu wieku znajduje się w pierwszej grupie ryzyka, jako prezes Towarzystwa Miłośników Historii Żychlina 11 marca odwołałam spotkania członków naszego TMHŻ w lokalu przy ul. Barlickiego 4 z powodu epidemii koronawirusa na czas nieokreślony.

Musieliśmy zatem zrezygnować z regularnych spotkań. Do tej pory spotykaliśmy się w naszym lokalu, który otrzymaliśmy (dzierżawa) w 2017 roku od Burmistrza Urzędu Gminy w Żychlinie jako podziękowanie za naszą dotychczasową pracę. Zyskiwaliśmy biuro na

spotkania i jednocześnie miejsce na archiwum. Urządziliśmy lokal pieczołowicie, każdy coś przyniósł, dołożył się do wyposażenia i dekoracji. Teraz musieliśmy go zamknąć i zaniechać spotkań. Szkoda, gdyż nasze grono jest bardzo żyte ze sobą i spotkania sprawiają nam dużą przyjemność.

Pierwszym materialnym skutkiem ograniczeń z powodu pandemii, który dotknął nasze stowarzyszenie, była niemożliwość wydania albumu z naszej pierwszej historycznej inscenizacji plenerowej pt. „Szpital polowy w Dobrzelinie” z 2015 roku, poszerzonego i wzbogaconego o zdjęcia z inscenizacji w 2019 roku. W jego wydaniu miała nam pomóc pani dyrektor Narodowego Instytutu Samorządu Terytorialnego w Łodzi. Niestety, teraz wszędzie zapowiadały się inne, znacznie ważniejsze wydatki, związane z pandemią. A szkoda... Może w przyszłości...

Tymczasem zdecydowaliśmy, że będziemy pracować bardziej indywidualnie niż zespołowo. Zatem...

Marysia kończyła pracę nad swoją pierwszą książką dotyczącą wysiedleń ludności polskiej z Żychlina. Uwzględniła też w niej dzieje swego ojca Mariana Nowickiego, dowódcy ruchu oporu z terenu Żychlina, później działającego z Łowicza, aresztowanego w styczniu i zakatowanego przez Niemców w dn. 6 lutego 1942 roku.

Ryszard kontynuował pracę nad drugą książką – monografią szkoły podstawowej w Grabowie gmina Żychlin, której przed pięćdziesięciu laty był uczniem.

Podobnie czynił Leszek, pracując nad drugą książką dotyczącą przebiegu i refleksji z wypraw rowerowych, podjętych dla uczczenia setnej rocznicy odzyskania niepodległości przez państwo polskie. Zorganizował trzy wyjazdy: w maju do Wilna, w sierpniu do Częstochowy i we wrześniu do Wiednia.

Andrzej przymierzał się do napisania trzeciej książki, gromadził i selekcionował pod tym kątem swoje zbiory.

Ludwik kończył spisywać historie swoich ucieczek, gdyż był czterokrotnie wywożony na roboty do Niemiec, od czego zyskał wówczas pseudonim „Mały uciekinier”.

Jurek opowiadał kolejne „kawałki” swego bogatego życiorysu: przymusowego młodzieżowego pracownika fabryki AFA w Poznaniu, więźnia Radogoszcza, później obozu pracy na Sikawie i na koniec wojny przymusowego robotnika na niemieckich okopach.

Jacek służył pomocą jako kierowca. Przekopywał też jak zawsze zasoby Internetu, poszukując ciekawych dla nas dokumentów i zdjęć. Artur czynił to samo, przeszukując warszawskie antykwariaty i targi staroci.

Mirek, nasz „etatowy” odtwórca postaci Marszałka Józefa Piłsudskiego, bojąc, że nie wystąpi w tej roli podczas Święta Niepodległości, przygotowywał wystawę zdjęć ze swojej miejscowości – Woli Popowej, w sołectwie pod Żychlinem.

Marylka – nasz najmłodszy stażem członek – pracowała nad życiorysem i historią swojej mamy, wywiezionej na roboty w głąb Niemiec. Sama Marylka urodziła się w Niemczech w 1943 roku.

Krzysztof zajął się spisywaniem historii swojej patriotycznej lwowskiej rodziny, przede wszystkim dziejów ojca, absolwenta Politechniki Lwowskiej, 27 lat związanego z Żychlinem, znakomitego inżyniera i racjonalizatora w dziedzinie maszyn elektrycznych i transformatorów, członka ruchu oporu podczas wojny.

Zbyszek – rolnik – skupił się na pracy w swoim gospodarstwie. Niestety, nie udało mu się powtórzyć sukcesu z zeszłego roku. Zbyszek bowiem podczas prac w gospodarstwie odkrył grobowiec sprzed naszej ery i to prawie że na swoim podwórku. Archeologowie z Uniwersytetu Łódzkiego określili jego wiek na 400 lat pne. Planowaliśmy w 2020 roku ten grobowiec zrekonstruować w parku w centrum Żychlina, pod nadzorem Zbyszka i Jacka, ale niestety, z powodu pandemii nie udało się.

Krzysia, odpowiedzialna za prezentację naszej działalności na Facebooku, wprowadzała kolejne teksty na stronę TMHŻ. Ewa – skarbnik – czuwała nad finansami.

Ja, jako prezes, przede wszystkim aktywizowałam, szykując jednocześnie kolejne prace do druku. W naszym towarzystwie jako jedyny polonista i historyk z wykształcenia nadzoruję teksty wysyłane do druku, zarówno książki, jak i artykuły. Pisałam również własne teksty: artykuły do publikacji i szczegółowe opisy naszej działalności w zakresie kolejnych działań. Pilnowałam też regularnych wpisów do kalendarium TMHŻ.

Wszyscy jak zawsze szukali świadków historii, by zapisać lub nagrać, w zależności od życzenia rozmówcy, spotkanie z nim i wspomnienia.

Każdy więc zajął się swoją pracą, swoim małym kawałkiem dozwolonej ograniczeniami działalności. Ale nadal bardzo brakowało nam wspólnych spotkań, dyskusji, ożywczości spojrzenia na tematy.

Tak pracując czekaliśmy niecierpliwie na złagodzenie restrykcji. Ale koronawirus nie odpuszczał...

Kolejne informacje przytłaczały swoją wymową: 623 nowe przypadki koronawirusa w Hiszpanii, 575 we Francji, 281 w Niemczech i aż 977 we Włoszech. To bilans 24 godzin z 13 marca w Europie. Po pierwszych, optymistycznych danych z kilku krajów, przyszedł kolejny wzrost liczby zachorowań.

W Polsce są już ofiary śmiertelne – 57-latka z Poznania i 71-latek z Wrocławia, 68 chorych w szpitalach. Dzień później – kolejna ofiara i kolejni zakażeni, 11 nowych przypadków. W sumie liczba osób zakażonych koronawirusem w Polsce wynosi 104.

Tymczasem zaostżenia wzrastają. Premier Mateusz Morawiecki zakomunikował na konferencji obok ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego oraz szefa MSWiA Mariusza Kamińskiego, że działające od niedzieli 15 marca zamknięcie granic, ograniczenie transportu międzynarodowego oraz aktywności społecznej, jest po prostu niezbędne. Według nich „To nie jest przesada, panika, efekciarstwo” – zaostżenie stanowi punkt zwrotny w myśleniu o walce z koronawirusem w naszym kraju. „Kończy się czas bagatelizowania zagrożenia, funkcjonowania w zawieszeniu pomiędzy paniką a bezmyślnością – przychodzi okres zdyscyplinowania się całego społeczeństwa oraz rozsądnego zastosowania do zaleceń służb epidemiologicznych”.

Pracujemy zatem dalej indywidualnie. Tymczasem pod koniec kwietnia wyłonił się kolejny problem – co z walnym zebraniem? W naszym Towarzystwie jego termin przypada na koniec kwietnia. A teraz mamy zakaz zgromadzeń. Natomiast walne zebranie, zatwierdzające odpowiednie dokumenty rocznej pracy, jest podstawą do rozliczeń stowarzyszenia z Urzędem Skarbowym.

Po dłuższych konsultacjach z Zarządem TMHŻ doszliśmy do wniosku, że zrobimy zebranie – zdalne. Szkoły pracują zdalnie, wyższe uczelnie też, część instytucji, służba zdrowia – niestety – też, więc zdalne zebranie takiego małego towarzyszenia jak nasze nie wyjdzie poza konieczność. Ale jak przeprowadzić zebranie zdalnie? Większość naszych członków jest w podeszłym wieku i nie pracuje z komputerem... Zatem trzeba zrobić metodą papierową.

Zostały zatem przygotowane niezbędne dokumenty: „Sprawozdanie merytoryczne za okres 24.04.2019 r. – 30.04.2020r” i „Kalendarium wydarzeń” za ten okres, „Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej za okres pracy 24.04.2019 r. – 30.04.2020 r.”, „Sprawozdanie finansowe za rok 2019”. Napisałam protokół z informacją wyjaśniającą przyczyny decyzji oraz „Uchwały i wnioski ze zdalnego walnego zebrania członków Towarzystwa Miłośników Historii Żychlina z dn. 30 kwietnia 2020 r.” Tak przygotowane dokumenty zostały przedstawione członkom TMHŻ (większości, nie wszyscy byli uchwytni, kilku członków mieszka poza Żychlinem), a oni potwierdzali podpisem zapoznanie się z nimi. Nikt nie wniósł zastrzeżeń.

Zauważyłam, że zdjęłam na stałe zegarek z ręki. Czas zaczął jakby wolniej płynąć. Nie spieszyłam się tak jak poprzednio na spotkania w Urzędzie Gminy, miałam tam znacznie mniej spraw do załatwiania, podobnie było z Żychlińskim Domem Kultury. Mniej było telefonów, mniej korespondencji... Dobrze, że ja raczej nie potrafię się nudzić. Zawsze sobie potrafię znaleźć jakieś zajęcie. Ale nie wszyscy tak potrafią... Coraz więcej słyszy się o łamaniu zakazów, rosnącej depresji czy agresji, o wyżywaniu się na dzieciach...

Kolejne odgórne ograniczenia paraliżują naszą pracę w TMHŻ. Z bólem serca patrzyliśmy, jak odpadają kolejne planowane imprezy.

Mieliśmy wziąć udział w obchodach Święta Konstytucji 3 Maja: w mszy św. za Ojczyznę, a później w pikniku w parku miejskim. Do nas należało zaprezentowanie efektów pracy TMHŻ w postaci wystawy i zorganizowanie Gry miejskiej. Ale w tym roku nie było Gry miejskiej, którą od kilku lat przygotowywaliśmy na początku maja, z okazji Święta Flagi, święta Konstytucji 3 Maja, dodając do niej zadania wynikające z aktualnej rocznicy. W tym roku miało to być stulecie Bitwy Warszawskiej. Dzieci były bardzo rozczarowane, my zresztą też. Niestety, zakaz zgromadzeń...

Nie byliśmy w Krośniewicach w pięćdziesiątą rocznicę śmierci gen. Władysława Andersa, choć nad tym boleliśmy i dalej bolejemy. Tam w dn. 12 maja pod pomnikiem gen. Władysława Andersa w Błoniu – Krośniewicach, miejscu urodzenia Generała, zostały złożone kwiaty dla uczczenia Jego pamięci. Uroczystość przygotował Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi.

Postać generała Władysława Andersa jest nam bliska, to bohater z naszego terenu. W zeszłym roku, 3 kwietnia dwaj członkowie TMHŻ: Leszek i Zbyszek dla uczczenia 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej i 75. rocznicy walk pod Monte Cassino pojechali na wspólnie przygotowany rajd rowerowy po Włoszech „Szlakiem 2 Korpusu Polskiego Armii Polskiej na Zachodzie: Monte Cassino – Bolonia”, dowodzonego przez gen. Władysława Andersa. Odwiedzili m.in. trzy z czterech cmentarzy 2 Korpusu Polskiego: na Monte Cassino, w Loreto i w Bolonii.

Kolegów cyklistów w tym roku bardzo uderzył fakt, że nie mogli pojechać do Holandii i przemierzyć szlak 1 Dywizji Pancерnej gen. Maczka. Ten rajd przygotowywaliśmy od roku, pomysł padł na następnym zebraniu, po którym koledzy przedstawili wrażenia z rajdu po Włoszech. Padło wtedy pytanie: Dokąd jedziemy teraz? ... i zaraz była odpowiedź: szlakiem gen. Maczka. Wybór nie był taki przypadkowy: Jan Jedwabny, jeden z honorowych obywateli Gminy Żychlin, jest jednocześnie honorowym obywatelem miasta Bredy w Holandii. Walczył w obronie Polski, został wzięty do niewoli przez Rosjan, potem po wymianie jeńców był w niemieckim Stalagu XII A, a gdy alianci lądowali w Normandii – uciekł z niego i wstąpił do pułku zmotoryzowanego, który w tym czasie walczył w Holandii w składzie 1 Dywizji Pancерnej, notabene swojej jednostki z września 1939 roku. Tak więc koledzy cykliści nie pojechali do Holandii, mimo wcześniej zaplanowanej trasy i zamówionych noclegów.

Leszek nie wytrzymał, wyrwał się rowerem na wypad po Polsce. W dniach 9-12 maja zorganizował rajd rowerowy po Polsce, zadedykowany wielkiemu patriocie, żołnierzowi

i męczennikowi Witoldowi Pileckiemu w 72 rocznicę śmierci i pojechał na niego z kolegą Kubą z Kutna. Teraz trasa, także ze względu na obostrzenia w poruszaniu się, była znacznie krótsza: Żychlin – Warszawa – Puszcza Kampinoska – Modlin – Puszcza Bolimowska – Żychlin, razem 407 km w cztery dni.

Musieliśmy też zrezygnować z kolejnej stałej imprezy – festynu z okazji nocy świętojańskiej zwanej „Wiankami Dworskimi”, gdyż robiliśmy ją w parku dworskim w Dobrzelinie. W tym roku planowaliśmy ją rozszerzyć jako „Jarmark średniowieczny”: zrobić festyn i rzucanie wianków oraz gry i zabawy w konwencji średniowiecza. A strojów mamy dużo, gdyż kilka lat temu, konkretnie w 2017 roku zorganizowaliśmy plenerową inscenizację historyczną pt. „Krzyżacy w Żychlinie”, nawiązującą do słynnej rajzy z 1331 roku.

Wycieczkę badawczą do Płocka szlakiem wydarzeń 1920 roku przekładaliśmy dwa razy, by w efekcie końcowym z bólem serca z niej zrezygnować. Już pierwsza decyzja – pojadą tylko dorośli – spowodowała duży żal. Wycieczki badawcze robiliśmy do tej pory w taki sposób, że zamawialiśmy bus na 20 osób, jechali wszyscy członkowie TMHŻ, którzy aktualnie mogli. Na wolne miejsca (około 8) zapraszaliśmy najbardziej naszych aktywnych młodzieżowych sympatyków, biorących udział w naszych imprezach z danego roku.

Najpierw zrezygnowaliśmy z udziału dzieci. Ostatecznie, ku naszemu niezadowoleniu, nie pojechalibyśmy wcale. Zbyt duże ryzyko... Udało się (aneksem) przesunąć część środków z niezrealizowanej wycieczki. Za te środki wznowiliśmy wyczerpaną pozycję książkową z 2015 roku pt. „Przygody rycerza Chwała” (wydanie pokonkursowe).

Ze względu na pandemię w Polsce władze i eksperci zalecają, aby zostać w domu. To zmniejsza m.in. nasilenie kontaktów z osobami z zewnątrz, a co za tym idzie potencjalną możliwość zakażenia. Ministerstwo przypomina, że przerwa w szkole czy na uczelni to nie ferie. Apeluje m.in., aby ograniczyć spotkania ze znajomymi czy korzystanie do minimum z komunikacji miejskiej. W Internecie popularność bije akcja zachęcająca do pozostania w mieszkaniu, w którą włączyło się wielu polityków, sportowców i celebrytów.

Włączyliśmy się i my. Zachęcaliśmy zatem w mediach: artykuł w „Powiatowym Życiu Kutna” Nr 9 z dnia 5.05.2020: pt. „Sposób na nudę – artykuł z koronawirusem w tle”, wywiad do „Nowego Łowiczanina”, zachęty na naszej stronie Facebooka, do wykorzystania zamknięcia w domu do wycieczek w przeszłość: przeszukiwań w domowych archiwach fotografii, opisywania ich, spisywania wspomnień itp. „Zatem zwracamy się do Państwa z propozycją: wróćcie pamięcią do opowieści rodzinnych dziadków i pradiadków, zbierzcie je, by nie zaginęły. Zainteresowanych prosimy o kontakt z Towarzystwem Miłośników Historii Żychlina. Nasz adres: ...” Zgłosiło się kilka osób, głównie za pośrednictwem Internetu.

Ale siedzimy dalej w domu.

Szczęśliwi ci, którzy mieszkają w domkach jednorodzinnych. Możemy wyjść na podwórko czy na patio, popracować w ogródku, pobawić się z psami...

Przechlapane mają mieszkańcy bloków. W upalne dni mieszkania tam były dusznymi więzieniami, przede wszystkim dla emerytów, o których troskliwie miały dbać rodziny. Jeżeli je mieli... Wielu żychlińskich seniorów mieszka samotnie. Przed kilku laty znaczna ilość młodych mieszkańców Żychlina wyemigrowała zarobkowo do Anglii i Walii, trochę do Irlandii. Starsi: rodzice, dziadkowie pozostali.

Siedzimy więc nadal w domu. Ale czymś trzeba się zająć! Nie można bez końca czytać tych samych książek – bo biblioteki zamknięte, oglądać telewizję, w której wiadomości są coraz bardziej przygnębiające. Wiadomości z kwietnia z Polski utrzymują się na poziomie około

200-300 zarażonych dziennie, około 30 zmarłych. Do 24 kwietnia w Polsce odnotowano 10892 zakażenia koronawirusem i 494 zgony.

Koronawirus na świecie bardzo rozprzestrzenił się. W USA w stanie Nowy Jork w ciągu doby zmarło aż 731 osób. Koronawirus w Wielkiej Brytanii pozbawił życia już 6.159 osób. Z powodu zakażenia zmarło we Włoszech 17.699 osób. Tylko w ciągu jednej doby zmarło tam 552 pacjentów. W ciągu następnej doby zanotowano 786 zgonów – to najgorszy bilans od początku epidemii. Duży przyrost liczby zachorowań i zgonów zanotowano też we Francji, a nawet w Szwecji.

Wiadomości z maja podają coraz bardziej rosnące liczby zakażonych, rośnie dzienna śmiertelność chorych. Nas, seniorów dalej niepokoi informacja o połączeniach: covid i choroby współistniejące. Kto w wieku senioralnym nie ma jakiegś choroby, najczęściej zaleczonej.

Epidemia do naszego miasteczka jeszcze nie doszła, chodzą słuchy o czterech osobach zakażonych czy podejrzanych, ale nie znam konkretnych nazwisk. Żaden z moich znajomych nie był chory ani podejrzany o chorobę. To też taki urok małego miasta: wszyscy się znają, poruszają w określonym kręgu i wiedzą kto kim jest i co robi. To stwarza jakieś poczucie bezpieczeństwa: gdzieś jest, ale nie u nas. Preferowane są miejsca odkryte. Można wyjść na targ, ostatecznie do sklepu, spacerkiem na cmentarz....

Brakuje nam bardzo swojego towarzystwa, dyskusji, informacji o nowościach, odkryciach, poznaniu nowej osoby czy znalezieniu ciekawego dokumentu. Brakuje nam swojej obecności, gdyż mieliśmy w TMHŻ przyjaciół... Telefoniczny kontakt nie wystarczał...

Ale pracujemy nadal, bardziej indywidualnie niż zespołowo.

Leszek podczas wyprawy ku czci rotmistrza Pileckiego dowiedział się, że w Jaktorowie koło Żyrardowa mieszka była mieszkanka Gminy Żychlin – pani Henryka licząca 102 lata. W dniu 25 maja, dzień przed Świętem Matki, Leszek, Mirek i ja wybraliśmy się odwiedzić panią Henrykę, mieszkającą wraz z synem ks. Włodzimierzem. Zachowując wszelkie zasady bezpieczeństwa pojechaliśmy do Jaktorowa na wywiad i wróciliśmy szczęśliwi. Nareszcie coś się dzieje!

Z zachowaniem jak największych rygorów bezpieczeństwa w dniu 8 czerwca do Kutna udała się niewielka trzyosobowa delegacja, by odebrać nagrodę – SUPER HIT za działalność w 2019 roku, przyznawaną przez dwutygodnik „Powiatowe Życie Kutna”. W planach miała być to bardzo duża uroczystość, począwszy od uroczystego wręczenia dyplomu i statuetki na sesji Rady Miejskiej w Żychlinie i późniejszym spotkaniu z dyskusją. Tymczasem było tylko symboliczne wręczenie nagrody, pamiątkowa fotografia i mała kawa.

Na początku czerwca wypłynęła sprawa matur, przeniesionych na czerwiec – co mnie nie dotyczy i ich sprawdzania – co mnie dotyczy. Jestem bowiem egzaminatorem Okręgowej Komisji Egzaminacyjnej w Łodzi, pracuję w niej od samego początku i dotąd nie opuściłam żadnej sesji. Swoją tegoroczną akces do OKE w Łodzi zgłosiłam jeszcze w lutym, kiedy jeszcze o takim rozmiarze pandemii jak w czerwcu nikt nie myślał. Przeszłam też odpowiednie szkolenie odświeżające, oczywiście za pomocą Internetu.

Teraz stanęłam przed dylematem: pojechać do Łodzi czy nie pojechać. Wziąć udział w pracach czy nie? OKE z kolei przysłało informację, że ze względu na pandemię udział, mimo wcześniejszej deklaracji, nie jest obowiązkowy. Co zatem zrobić? Pojechać czy nie pojechać?

Zapytałam córki o radę, choć wiadomo, że ostatecznie decyzję podejmę sama. Obie przedstawiły mi niebezpieczeństwa – teraz to dzieci mnie pouczają, okropność! – i prosiły o rozagę. Zastanawiałam się kilka dni. O zabezpieczenia w Łodzi raczej się nie martwiłam.

Znam od lat to środowisko i przypuszczałam, że będą odpowiednie warunki. Gorzej było z dojazdem do Łodzi i później docelowym do miejsca pracy. Nie jestem kierowcą, nie mam samochodu do dyspozycji, więc zdana jestem na transport publiczny. Do Łodzi od Żychlina jest 65 km, jesteśmy na peryferiach woj. łódzkiego, dojazd busem bezpośrednio lub z przesiadką w Kutnie, PKP beznadziejny. Zadzwoiłam do koleżanek. Z naszego Żychlina w OKE zwykle pracują cztery polonistki. Jedna zrezygnowała, dwie potwierdziły wyjazd. Beata i Jola obiecały też, że nie tylko będą mnie zabierać do Łodzi, ale też i podwozić pod *moją* szkołę. Do tej pory pracowaliśmy w jednym zespole budynków na ul. Czajkowskiego, głównie w XXXII LO. Teraz nasz, duży przecież zespół, został rozbity i kolejne grupy miały pracować w różnych miejscach Łodzi.

Tak więc ostatecznie pojechałam do Łodzi. Z mojej grupy nr 17, bo jesteśmy podzieleni na zespoły, nie zgłosiło się kilka osób. Z tego co się zorientowałam, były to osoby mieszkające ze starszymi rodzicami. Wcale się nie dziwię, pewnie ja też zrobiłabym tak samo. Ale po śmierci męża mieszkam sama, bo córki powychodziły za mąż i się usamodzielniały, nikogo bezpośrednio nie skrzywdzę.

Ale mieliśmy więcej zajęcia niż zwykle, gdyż trzeba było sprawdzić wszystkie prace. Patrząc na tegoroczną sesję OKE podziwiałam jej organizację. Przed wyjazdem zaopatrzyłam się w zapas maserek, gumowych rękawiczek i środków dezynfekcyjnych, ale na miejscu było wszystko, co potrzebne i to pod dostatkiem. W XXIII LO na ul. Piłsudskiego dostaliśmy do dyspozycji wiele sal, przypadało 4-5 osób na jedną klasę, a odstęp pomiędzy egzaminatorami był o 5-6 krzeseł, pełna sterylizacja na korytarzach i w łazienkach. Był dostęp do gorącej wody, ale posiłki musieliśmy przewieźć ze sobą, a do tej pory można było wykupić na miejscu obiady. Niestety, poziom był znacznie niższy niż zwykle. Wyraźnie widać było, że prace nie były wyćwiczone.

Czas tymczasem płynął i nic nie wskazywało, by pandemia miała się szybko skończyć, jak optymistycznie zakładaliśmy w marcu, ograniczając działalność. Ja jako prezes przygotowałam aneks do umowy z UG. Staralam się dostosować plany do możliwości. Z części imprez, zwłaszcza ze względu na wiek naszych uczestników – jak ostrzegał Sanepid – a znaczna część naszych członków znajduje się z pierwszej grupy ryzyka, musieliśmy zrezygnować. A więc musimy robić imprezy w ograniczonym składzie, za to nagrywane i fotografowane, upubliczniane przez media. Imprezy powinny być głównie na powietrzu, przy dużym rozstępie osób, bez podawania ręki, co nie wszyscy dotychczas przestrzegali. Noszenie maseczki nie było jeszcze obowiązkowe...

Później, gdy trochę ochłonęliśmy, mimo ograniczeń braliśmy też udział w działaniach przygotowywanych przez nasze pokrewne stowarzyszenia

W dniu 18 lipca w Zespole Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Mieczysławowie została odsłonięta tablica pamiątkowa ku czci „Mieczysławowiaków”, biorących udział w wojnie polsko-bolszewickiej, przygotowana przez dyrekcję szkoły i łódzki oddział IPN. W uroczystości wzięła udział dwuosobowa delegacja Towarzystwa Miłośników Historii Żychlina, ja i Andrzej.

1 sierpnia Ewa, Ryszard i ja oznaczyliśmy biało-czerwoną szarfą grób spoczywającego na cmentarzu parafialnym uczestnika powstania warszawskiego Romana Fryze ps. „Norton” i zapaliliśmy znicz. Projekt ten realizujemy przy współpracy z Towarzystwem Przyjaciół Ziemi Kutnowskiej.

Tegoroczne lato obfitowało w deszcze, czego efektem był wzmożony porost roślinności, w tym chwastów. Trawa i inne porosty zaatakowały także mogiły żołnierskie na cmentarzu parafialnym. Na wniosek Mirka członkowie Towarzystwa Miłośników Historii Żychlina podjęli zobowiązanie, że uporządkują kwatery żołnierskie własnym wysiłkiem. Pierwsza część

pracy została wykonana w sobotę 1 sierpnia, druga 4 sierpnia. Zostały też posadzone kwiaty. Dostaliśmy oficjalne podziękowanie od pana Burmistrza.

Zbliżał się dzień 15 sierpnia. To bardzo ważna data w polskim kalendarzu rocznic historycznych. Uspokoiło się trochę, stwierdziliśmy zatem, że zaczniemy realizować planowane imprezy.

Z okazji Bitwy Warszawskiej, a także święta Wojska Polskiego organizujemy Apel Pamięci na cmentarzu parafialnym w części kwater wojennych. To jedno z dwu wydarzeń patriotycznych, które nasze TMHŻ wprowadziło do kalendarza imprez patriotycznych Gminy Żychlin. Teraz też postanowiliśmy go przeprowadzić, jak zawsze w przeddzień, gdyż 15 sierpnia w pobliskim Suserzu jest odpust, na który od ponad półtora wieku zdąża piesza pielgrzymka z Żychlina, do Matki Boskiej Suserskiej w podziękowaniu za ocalenia naszego miasta od zarazy w 1852 roku.

Apelem Pamięci w dniu 14 sierpnia uczciliśmy obrońców Ojczyzny, którzy 100 lat temu, podczas wojny polsko-bolszewickiej stanęli do walki i przelali krew w obronie Ojczyzny, broniąc jej niepodległości. Uczciliśmy też przypadające w tym dniu święto Wojska Polskiego. Po sformułowaniu kolumny przy bramie cmentarza, prowadzonej przez strzelca Rafała, na czele której szły poczty sztandarowe: Urzędu Gminy, OSP z Żychlina i OSP z Dobrzelina oraz Zespołu Szkół nr 1 w Żychlinie, zebrani przemaszzerowali do kwater poległych żołnierzy. Apel prowadziłam ja jako prezes TMHŻ. Po odśpiewaniu hymnu narodowego i powitaniu zebranych wystąpił pan burmistrz. Przypomniawszy okoliczności Bitwy Warszawskiej i podkreślił patriotyzm obrońców Ojczyzny. Następnie głos zabrał Honorowy Obywatel Miasta Żychlina pan Ludwik, który opowiedział o znanych mu osobiście uczestnikach wojny polsko-bolszewickiej. Ja przypomniawszy karty historii 1920 roku i okoliczności, dzięki którym bitwa ta dostała miano „cudu nad Wisłą”. Jako Józef Piłsudski wystąpił rekonstruktor Mirek z TMHŻ.

Apel Poległych poprowadził sekcyjny strzelców Rafał, któremu towarzyszył na werblu Witek z Żychlińskiego Domu Kultury. Po apelu nastąpiło złożenie kwiatów i zapalenie zniczy przez delegacje Urzędu Miasta, szkół, strażaków i stowarzyszeń. Na zakończenie zebrani wysłuchali pieśni pt. „Najwyższe odznaczenie”, zaśpiewanej przez członka TMHŻ Leszka. Było pięknie.

Ale nie doszedł do skutku, niestety, planowany rajd rowerowo-samochodowy również z okazji 100. rocznicy Bitwy Warszawskiej.

Następnego dnia 15 sierpnia w południe na cmentarzu parafialnym w Żychlinie odbyło się poświęcenie i odsłonięcie tablicy pamiątkowej, dedykowanej kapralowi Stefanowi Zarzyckiemu z 52 Pułku Strzelców Kresowych, 3 Dywizji Strzelców Karpackich 2 Korpusu Polskiego we Włoszech, który zginął 29 stycznia 1944 roku. Inicjatorem uroczystości był bratanek Lechosław. Na uroczystość przybyła rodzina i delegacje: 12 Dywizji Zmechanizowanej ze Szczecina, Muzeum Powiatowego w Kutnie i oczywiście naszego Towarzystwa Miłośników Historii Żychlina.

W tym samym dniu Jacek z rodziną wziął udział w zlocie stowarzyszenia „Retro-Łowiczanaka” w Bąkowie. Wcześniej w dn. 4 czerwca Jacek wypożyczył bezterminowo temu stowarzyszeniu, którego też jest członkiem, eksponaty na wystawę terenową: stare narzędzia i maszyny rolnicze oraz przyczepkę strażacką. Najcenniejszym okazem od niego był konny pług obrotowy „ventzki” wyprodukowany około 1890 roku przez zakłady Augusta Ventzkiego w Grudziądzu. Teraz Jacek wziął udział w zlocie miłośników starych maszyn rolniczych i samochodów.

1 września dzieci poszły do szkół. Ale czy na długo? Niebezpieczeństwo koronawirusa nie minęło, choć podczas wakacji jakbyśmy trochę o nim zapomnieli. Uroczystości z okazji 81 rocznicy wybuchu II wojny światowej były skromne, symboliczne. W godzinach

przedpołudniowych zostały złożone kwiaty i zapalono znicze na grobach poległych żołnierzy na cmentarzu w Śleszynie i Dobrzelinie. Po wieczornej mszy św. z powodu złej pogody nie odbył się przemarsz na cmentarz, a tylko delegacje złożyły kwiaty i zapaliły znicze. Wiązankę TMHŻ złożyli Jacek i Zbyszek, w uroczystości uczestniczyli też Mirek, Ryszard i ja.

Kiedy otworzymy lokal? Kiedy znów się spotkamy na „swoich śmieciach”? Tym pytaniem wręcz zadreżali mnie nasi członkowie od dłuższego czasu. Liczyliśmy, posiłkując się zdaniem Ministerstwa Zdrowia i Sanepidu, że na jesieni zmniejszy się stan zachorowań i będziemy mogli się spotykać. Pod koniec sierpnia długo zastanawialiśmy się, czy otworzyć lokal. Posiłkowałam się rozmową z sekretarzem gminy, odradzał i ta konsultacja przeważała. Niestety, jeszcze nie teraz. Niestety...

6 września – kolejna przykrość dla wszystkich. Nie mogliśmy wspólnie uczcić 94 urodzin naszego najstarszego członka, pana Ludwika. W imieniu naszego TMHŻ posłam do jego domu z życzeniami i prezentami.

Zbliżał się dzień 17 września. W tym dniu od początku naszej działalności na cmentarzu parafialnym organizowaliśmy Apel Pamięci. To drugie z dwu wydarzeń patriotycznych, które nasze TMHŻ wprowadziło na stałe do kalendarza imprez patriotycznych Gminy Żychlin. Jakże go nie zrealizować? W kwietniu minęła 80 rocznica zbrodni katyńskiej, nie mogliśmy jej uczcić... Ale możemy zrobić to teraz! Po naradzie podjęliśmy decyzję: robimy dwie imprezy: apel i wystawę katyńską. Ograniczymy skład uczestników, natomiast całość będzie nagrywana, zrobimy też więcej zdjęć niż zwykle.

Przygotowaliśmy: Leszek, Ryszard i Jacek według mojego projektu wystawę pt. „Katyńscy Gminy Żychlin”. Otwarcie jej odbyło się 16 września w sali konferencyjnej, ale z ograniczoną publicznością. W praktyce byli tylko członkowie naszego stowarzyszenia i delegacja z Urzędu Gminy. Z władz miasta była obecna Przewodnicząca Rady Miejskiej i Edyta, radna Powiatu Kutnowskiego, zarazem honorowy członek naszego TMHŻ. Spotkanie rozpoczął Leszek, który zaśpiewał pieśń „Ojczyzna”. Ja przedstawiłam prezentację multimedialną pt. „Katyńscy Gminy Żychlin”, a część oficjalną zakończył Leszek pieśnią „Najwyższe odznaczenie”. Pan Józef, honorowy członek Zarządu TMHŻ podzielił się z zebranymi wspomnieniami dotyczącymi jego rodziny, w której nie zabrakło wojskowych, łącznie z jego ojcem służącym w Wojsku Polskim w okresie II RP. Pan Józef jako prezes Stowarzyszenia Dzieci Wojny Oddział w Żychlinie odznaczył *krzyżem rubinowym Dzieci Wojny za zasługi dla stowarzyszenia* trzech członków naszego TMHŻ: Marię, Mirosława i mnie. Następnie zgromadzeni obejrzeli przygotowaną wystawę, którą komentował Ryszard. Od strony technicznej przy stworzeniu wystawy pomagał Jacek. Całość imprezy była nagrywana. Wystawę można było oglądać w Urzędzie Gminy do 18 września, następnie została przekazana do szkół Gminy Żychlin i Żychlińskiego Domu Kultury

Następnego dnia po otwarciu wystawy na cmentarzu parafialnym w części kwater żołnierskich został zorganizowany przez Towarzystwo Miłośników Historii Żychlina, przy wsparciu Urzędu Gminy w Żychlinie Apel Pamięci w 81 rocznicę agresji sowieckiej na Polskę. Odbył się w dniu pamiętnej napaści, tj. 17 września o godz. 17.00. Apel prowadziła prezes TMHŻ. Ze względu na pandemię miał wymiar symboliczny. Po krótkiej części oficjalnej zostały złożone kwiaty i zapalone znicze. Spotykając się na cmentarzu parafialnym w Żychlinie, przy kwaterach wojskowych, w 81 rocznicę agresji Związku Radzieckiego na Polskę, uczciliśmy pamięć tych wszystkich Polaków, którzy cierpieli i ginęli w wyniku tego zdradzieckiego ataku na Rzeczypospolitą Polską i jego konsekwencji.

Wrzesień był zawsze dla członków naszego TMHŻ najbardziej intensywnym miesiącem pracy. Jak zawsze był bogaty w wydarzenia.

Ale nie zrealizowaliśmy we wrześniu planowanej plenerowej inscenizacji historycznej, inspirowanej fragmentami historii naszego miasta i aktualną rocznicą historyczną. Szkoda, bo nasze inscenizacje plenerowe cieszyły się dużym uznaniem. Były fotografowane, nagrywane. Brało w nich udział wiele dzieci, chwalonych później w szkołach. Szkoły bowiem otrzymywały od nas list pochwalny.

Nagle niespodzianka! Towarzystwo Miłośników Historii Żychlina otrzymało niecodzienny prezent – paczkę z licznymi tomikami wierszy – razem 12 tytułów. Ostatni tomik pt „Złamana symetria” zawierał też osobistą dedykację dla TMHŻ. Autorką ich, a zarazem nadawcą paczki – niespodzianki była pani Janina.

Pani Janina urodziła się w Żychlinie, co zawsze podkreśla, natomiast od wielu lat mieszka w Dąbrowie Górniczej. Jest uznaną poetką, wydała ponad 40 tomików wierszy. Cieszymy się bardzo, że pani Janina słyszała o naszym Towarzystwie i zna naszą działalność, że przysłała nam te książki w dowód uznania dla naszej pracy. Dziękujemy bardzo i zapraszamy do nas!

Kolejna niespodzianka! Zaprzyjaźnione Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Gostynińskiej zaprosiło nas na promocję książki pt. „Ulice Gostynina z historią w tle”, wydanej przez Gostynińskie Towarzystwo Kulturalno-Naukowe. Impreza odbyła się w sali zamkowej w Gostyninie, uczestniczyli w niej ja jako prezes TMHŻ i Andrzej, z zachowaniem wymogów bezpieczeństwa.

Zbieramy też efekty pracy publikacji indywidualnych.

W sierpniu oddałam do drukarni zbiór wierszy „Bogu i ludziom” pana Wiesława, 82-letniego mieszkańca naszego miasta. Podjęłam się opracowania tego zbioru wierszy i wydania go pod naszym patronatem, choć pan Wiesław nie jest członkiem naszego stowarzyszenia, gdyż znaczna ich większość dotyczy miasta, gminy i parafii Żychlin.

We wrześniu do drukarni poszła druga książka Leszka pt. „Rowerem w setną rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę. Wilno – Częstochowa – Wiedeń”, którą pisał od półtora roku, a którą od pół roku wspólnie opracowywaliśmy.

Ale oczekiwanie na gotowe książki, zarówno jedną jak i drugą, mimo że drukują je dwie różne drukarnie, nadal się przeciąga. Gdy monituję – odpowiedź jest jedna: nie ma pracowników, chorzy albo na kwarantannie. A my czekamy i czekamy, coraz bardziej niecierpliwie!

Dalej współpracujemy z Powiatowym Życiem Kutna, co dwa tygodnie drukowany jest w nim artykuł na temat naszej działalności. Wbrew pozorom to duże obciążenie, zwłaszcza, że w bieżącym roku znacznie ograniczyliśmy naszą społeczną działalność. Tu zanotowałam niby mały, a jednakże duży sukces – w pisaniu artykułów do tego czasopisma zaczął mnie częściowo wyręczać Leszek. Dzięki Ci, Panie Boże! Leszek też zobowiązał się, że będzie odbierał dla nas co dwa tygodnie „przydział” gazet. Dostajemy 20 egzemplarzy, dla każdego członka. Leszek jeździ po nie, oczywiście, rowerem.

Myśleliśmy, podobnie jak większość osób, że na jesieni pandemia się uspokoi, zmniejszy zagrożenie zachorowaniem. Ale bardzo szybko przyszło zwiększone zagrożenie: choruje coraz więcej osób w naszym otoczeniu.

Potem grom uderzył blisko i mocno! Ogromnym ciosem dla nas była informacja o chorobie naszego członka – Andrzeja. Zachorowała też jego żona. „Ciężki covid” – wychrypiał, gdy do niego zadzwoniłam, zresztą w zupełnie innej sprawie, gdyż chciałam uściślić akurat informację dotyczącą jego ojca, niewolnika Trzeciej Rzeszy pracującego prawie całą wojnę u niemieckiego bauera. Andrzej został przyjęty 23 października do szpitala MSWiA na Wołoską w Warszawie po dwóch dniach krążenia od szpitala do szpitala

i poszukiwaniu miejsca dla niego. Bogu dzięki, że trafił na dobrze przygotowany oddział, z całodobowym nadzorem pacjenta, inaczej chyba by nie przeżył. Dołączyliśmy się do akcji zapoczątkowanej przez rodzinę Andrzeja, dotyczącej poszukiwania osocza. Udało się znaleźć! Historia Andrzeja skończyła się dobrze, wyzdrowiał, opuścił szpital w grudniu, po prawie siedmiu tygodniach leczenia.

Zbliżało się Święto Zmarłych. Moja córka Basia znalazła na cmentarzu dwa wyrzucone pieski, gdy we wtorek przed świętem porządkowała groby. Zabrała je ze sobą „na tymczasem”, zgłosiła do żychlińskiego stowarzyszenia „Cztery Łapy”, ale ostatecznie zostawiła je u siebie. W piątek przyjechała moja druga córka, by odwiedzić grób ojca. W sobotę wybierali się na groby z rodziny teściów. Stawiając kwiaty i znicze na uporządkowanych wcześniej mogiłach, usłyszeliśmy informację, że premier Morawiecki zamyka cmentarze na trzy dni, od soboty 30 października do poniedziałku 2 listopada.

Co za nieprzemyślana decyzja! Przecież w tym roku Święto Zmarłych przypadło na niedzielę, przed nią następowała wolna sobota, a odwiedziny na cmentarzach można było zacząć już od popołudniowego piątki. To dawało przecież dwa i pół dnia czasu na spokojne i bezpieczne, powtarzam, bezpieczne odwiedzenie bliskich zmarłych. Tymczasem w piątkowe popołudnie, dla większości Polaków około godziny szesnastej, gdy wiadomość rozpropagowały media, rozpoczął się koszmar drogowy. Tymczasem po tak ze wszech miar złej decyzji, ogłoszonej w dodatku w ostatniej chwili, rozpoczął się cyrk! Na drogach i przed cmentarzami był samochodowy koszmar!

Dzięki Bogu, że umówiłam się wcześniej z drugą z córek, że wraz z mężem przyjadą w piątek po pracy zapalić światła na grobie ojca, a mojego męża w Żychlinie (zmarł trzy lata temu), o potem pojedziemy do pobliskiego Gębina, na grób dziadków (babcia Henia a moja mama, zmarła dwa lata temu) i tak też zrobiliśmy. Inaczej kursowalibyśmy do północy, co zrobiło bardzo wiele osób. Ruch pod cmentarzami był nieprzerwany. W mediach słyszemy informacje o kolejnych wypadkach drogowych.

Niestety, zapalenie zniczy w imieniu TMHŻ musiało poczekać do wtorku 3 listopada. Co roku w imieniu naszego TMHŻ stawiamy znicze z naklejką – logo TMHŻ na mogiłach naszych członków, którzy od nas odeszli na wieczną wartę: Tolka (2017), Jurka (2018) i Grzegorza (2018). Zapalamy też znicze na grobach osób zasłużonych dla Żychlina, a lista ta co roku się wydłuża. Obejmuje żołnierzy Września 1939 roku, stawiamy je na symbolicznych mogiłach ofiar Katynia, na grobie powstańca z powstania warszawskiego, na grobach powstańców styczniowych oraz innych: lekarzy, działaczy społecznych...

Teraz słyszemy o niesprzedanych chryzantemach i zniczach. Zaapelowaliśmy na naszej stronie Facebooka o kupowanie kwiatów i zniczy, a następnie stawianie ich w naszych ogródkach czy balkonach. Wzięliśmy udział w tej akcji. Kupiłam dwie chryzantemy na targu we czwartek, postawiłam w ogródku, zapaliłam koło nich znicze. W ten sposób uczciłam tych moich bliskich zmarłych, którym nie mogłam zapalić tego znicza osobiście na ich mogiłach. Widziałam też, że podobnie zrobili sąsiedzi: Jacek i Alicja. Właściciele sklepu na mojej ulicy również wystawili kilka chryzantem przed nim.

Po mieście rozeszła się wiadomość, że Urząd Gminy w Żychlinie wykupił od producentów niesprzedane wcześniej chryzantemy. Zostały nimi ozdobione pomniki w mieście. Została też podana wiadomość, że mieszkańcy mogą pobrać je bezpłatnie ze stoiska przy cmentarzu. Poszłam tam też 10 listopada. Groby mojej rodziny zostały należycie udekorowane przed Świętem Zmarłych, udało nam się. Ale teraz wzięłam kilka doniczek i spacerując po cmentarzu stawiałam je na tych mogiłach, głównie starych, na których nie było żadnych kwiatów.

Czekamy teraz na książki Leszka i pana Wiesia. Obie zostały już sprawdzone i zatwierdzone do druku. Niestety, obie drukarnie przepraszają, że produkcja się przedłuża,

gdyż covid szaleje... Brak pracowników: część choruje, wielu na kwarantannie. No cóż, musimy czekać. A tak chcieliśmy mieć te książki pod choinkę! Jednocześnie trwa intensywna praca nad skończeniem książki o przymusowych pracach mieszkańców Żychlina dla Niemców podczas II wojny światowej.

Przekładana z powodu pandemii wystawa fotograficzna, będąca pokłosiem współpracy Towarzystwa Miłośników Historii Żychlina i Spółki TESCO Polska, z programu „Decydujesz, pomagamy” wreszcie ujrzała światło dzienne. Wystawę tę przeciągaliśmy od września prawie że w nieskończoność, do granic wyznaczonych terminów. Nasz czas kończył się 15 grudnia, dlatego od 1 grudnia, mimo coraz to tragiczniejszych ogólnopolskich danych o tysiącach zarażonych i setkach zmarłych, zaczęła się intensywna praca nad przygotowaniem wystawy. Pracowaliśmy w piątkę: ja, Alicja, Halina i Mirek z Woli Popowej i Jacek, który wziął na siebie transport. W dniu 4 grudnia członkowie TMHŻ: prezes Anna, Mirek i Jacek otworzyliśmy wystawę pt. „Wola Popowa jesienią” w Woli Popowej w posesji naszego kolegi. Autorami zdjęć jest on i jego córka Alicja. Początkowo wystawę można było oglądać w ogrodzie, gdzie jeszcze kwitły róże (!), jednakże z powodu silnego wiatru została przeniesiona pod wiatę. Wystawa w Woli Popowej spędziła trzy dni, obejrzel ją mieszkańcy wsi, oczywiście w maseczkach, wśród nich pani sołtys Maria. Oglądający szukali swoich domów i gospodarstw, cieszyli się ich widokiem i komentowali zdjęcia. Przyjemnie było widzieć zainteresowanie nawet wśród najmłodszych widzów: jeden z chłopców oglądał z zainteresowaniem zdjęcia, a potem ciągnął dziadka, z którym przyszedł, by ten mu pokazał, gdzie jest to miejsce z fotografii. Zabawnie było też usłyszeć uwagi typu: „Ale moja lucerna ładnie wyszła na tym zdjęciu” czy „To też moje gospodarstwo, ale od drugiej strony”. Ogólnie wystawa bardzo się podobała. Padła propozycja, by ją powtórzyć, gdy będzie cieplej, np. w maju.

Wystawa pt. „Wola Popowa jesienią” następnie została przewieziona do sali konferencyjnej Urzędu Gminy, gdzie można ją było oglądać do końca roku, min. 18 grudnia obejrzel ją radni podczas sesji. Planujemy, że po nowym roku zostanie zaprezentowana w Żychlińskim Domu Kultury.

Kolejna niespodzianka! Towarzystwo Miłośników Historii Żychlina otrzymało od dr Ewy z Łęcznej, historyka, muzealnika, regionalisty, prezes Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łęczyńskiej jej najnowszą pozycję książkową pt. „Jan Gotlib Bloch (1836-1902) i dzieje rodu”, o znakomitym przedsiębiorcy i filantropie, który działał także na naszym terenie. Jest nam bardzo miło, przyjaciele o nas nie zapominają. A nasza biblioteka ciągle ulega wzbogaceniu...

Artur z kolei przekazał do jej zbiorów znaleziony gdzieś w Warszawie wspaniały album pt. „Legiony. Film”, zawierający zdjęcia Jacka Piotrowskiego z tego filmu. Fotosy te będą wspaniałą pomocą w kompletowaniu strojów do kolejnych inscenizacji historycznych. Jak będziemy mogli je zrobić!

A jak wyglądało moje „prywatne” spotkanie z koronawirusem? 19 listopada, w czwartek zadzwoniła moja młodsza córka Basia, mieszkająca w sąsiednim miasteczku, z informacją, że od rana wraz z synem „czują się jakoś nie tak” i zgłosiła się z Jurkiem do lekarza internisty, dostała skierowanie na testy. Upредиła też, że na pytanie z kim się ostatnio stykali, podała mnie, więc i ja muszę zrobić test. Muszę, to muszę. Uzgodniłyśmy, że przyjedzie po mnie – nie dysponuję samochodem – i zabierze mnie na test. Dowiedziała się też, że testy w naszym rejonie możemy wykonać w Kutnie, Gostyninie lub w Płocku. Wybrała Gostynin, gdyż podobnie tam są najkrótsze kolejki.

Pojechaliśmy do Gostynina rankiem następnego dnia. Rzeczywiście, nie było żadnej kolejki, za to warunki spartańskie – mały biały namiotik rozstawiony na parking przy gostynińskim stadionie, w środku dwa stoliki turystyczne: jeden z komputerem, drugi ze sprzętem medycznym, dmuchawa, kilkanaście kartonów z boku i dwie panie, które pobierały wymazy. Zostaliśmy zarejestrowani i do dzieła!

Byłam bardzo dumna z mojego ośmioletniego wnuka. Gdy jechaliśmy do Gostynina, kulił się na swoim foteliku. Było wyraźnie widać, że się bał, mimo że został przygotowany do badania przez swoją mamę: nie będzie zastrzyków, nie będzie pobierania krwi, będzie tylko.... Najpierw został pobrany wymaz ode mnie, potem od córki. Gdy przyszła kolej na Jurka, ten stanął na baczność niczym mały żołnierz, otworzył szeroko usta i nawet nie pisnął. Tak bardzo byliśmy dumne z niego!

Ponieważ zostaliśmy zarejestrowani, panie poinformowały nas, że od tej pory jesteśmy na kwarantannie domowej i mamy unikać kontaktów, co jest oczywiste. Poinformowały też, że wyniki testu dostaniemy prawdopodobnie już jutro.

Rzeczywiście, nazajutrz, w sobotę 21 listopada o godz. 19:01 dostałam wiadomość: „e-zdrowie. Wynik testu na obecność koronawirusa już czeka na ciebie na Internetowym Koncie Pacjenta. Wejdź na pacjent.gov.pl i zaloguj się na swoje IKP”. Zaraz też zadzwoniła moja córka, która już sprawdziła wyniki. Są negatywne! Wszystkie! Ucieszyłam się bardzo, bo i dzieciaki, i ja jesteśmy zdrowi.

No dobrze, ale 13 minut później dostałam e-mailem wiadomość: „Jesteś na kwarantannie. Masz ustawowy obowiązek używania aplikacji Kwarantanna domowa. Jest dostępna w AppStore i Google Play.” Dostałam polecenie, by zarejestrować się na stronie kwarantanny.

Ale po co? Nic nie rozumiem! Przecież przed chwilą dostałam wynik: jestem zdrowa i osoby, z którymi się kontaktowałam, też są zdrowe. Nie rozumiem, dlaczego ta kwarantanna! Zadzwoniłam do córki: ona też nie rozumie. Zaczęłyśmy dzwonić do sanepidu i innych miejsc, ale wszędzie odpowiadały automaty lub nie było połączeń. No dobrze, jest sobota. Siedzę w domu. Dobrze, że na wszelki wypadek w czwartek zrobiłam większe zakupy.

Ale w poniedziałek jest to samo! Nigdzie nie mogę się dodzwonić i znikąd informacji telefonicznej. Pozostaje komputer... Ale ja jestem osobą starszej generacji. Posługuję się co prawda swobodnie komputerem, ale głównie jako maszyną do pisania i komponowania tekstów oraz korzystam z poczty internetowej. Komputer zresztą też mam dość archaiczny, ale na moje potrzeby wystarcza. I teraz tworzy się błędne koło. Nie umiem sama zainstalować podanej aplikacji. Zwykle w razie potrzeby takie rzeczy robią mi dzieci. Ale jestem na kwarantannie, zresztą nie wiadomo jak długo. Ani córki, ani zięciowie nie przyjadą do mnie (legalnie), by mi w tym pomóc. A sama nie potrafię! Jak tu się zarejestrować? Ile czasu ma trwać ta kwarantanna? Które informacje z mediów są wiarygodne: siedem dni czy dziesięć?

W przypływie rozpaczy zadzwoniłam do sąsiada policjanta, by się dowiedzieć, czy jestem na liście do sprawdzania pobytu na kwarantannie domowej przez policję i jeśli tak, to na jak długo. To zawsze jakaś konkretna informacja... Sąsiad powiadomił mnie, że też jest na kwarantannie, ale z wynikiem pozytywnym. Na moją prośbę zadzwonił na posterunek. Usłyszał tam, że to są informacje miękkie, jest RODO, nie mogą podać przez telefon, a jeśli ta pani chce wiedzieć, to musi przyjść osobiście... Na kwarantannie?!!

Wreszcie zrezygnowałam z doszukiwania się jakiejś wiarygodnej informacji. Odsiedzę te dziesięć dni w domu, nic mi się nie stanie. Dobrze, że jestem emerytką. Nie mam pojęcia, na jakiej podstawie zawiadomiłabym miejsce pracy, że jestem uziemiona w domu i nie przyjdę. A sąsiadów mam dobrych! Córka jest przecież też unieruchomiona w domu podobnie jak ja, a druga mieszka daleko.

I tak było. Sąsiad Jacek robił mi zakupy na targu: warzywa i karmę dla psów i kotów, sąsiadka Iwona z ulicy, która prowadzi sklep spożywczy, przysyłała mi swoje dzieci z zamówionymi telefonicznie produktami. Odbierałam je przez okno, dobrze, że mieszkam na parterze. Pani Iwona opłaciła też na poczcie moje rachunki, akurat dotarły pocztą. Kuzynka Ania wysłała męża z transportem leków i witamin, tak na wszelki wypadek. Kilka innych osób pytało, czy mi nic nie potrzeba...

Miałam wszystko, co mi było potrzebne. Ale to unieruchomienie w domu było takie denerwujące, w dodatku za nic, tylko za zgłoszenie się na testy. Taki drobiazg: wyjść trzy domy dalej do sklepu spożywczego czy dwie ulice, by pójść na pocztę, a nie mogę! Mieszkam sama, jestem osobą niezależną i samowystarczalną, a tu taka blokada! Zaczęłam rozumieć inne osoby w takiej sytuacji... Także te, która nie zgłaszają się na testy, a pracują zawodowo.... Nie pochwalam, ale zaczęłam rozumieć... Wtedy też zaczęłam pisać niniejszą pracę na konkurs!

Przez cały czas nikt się mną oficjalnie nie zainteresował, nie było żadnej kontroli ani telefonicznej, ani osobistej.

W mediach zapowiadany był masowy lock down. A tu nagle zasadniczy spadek, zarówno zachorowań, jak i śmiertelności... Nagła zmiana, poprawa czy manipulowanie cyframi? Zmniejszenie ilości robionych testów czy rzeczywista poprawa? Ludzie coraz bardziej wątpią w podawane im informacje... Niepewność nie wpływa dobrze na psychikę. Trzeba zatem bardziej zająć się pracą...

Tymczasem śmierć podchodzi coraz bliżej do nas... Zmarli nie są już tylko cyfrą anonimowych ofiar koronawirusa, podawanych codziennie w mediach do wiadomości publicznej. Nasz Żychlin ma aktualnie najwięcej zachorowań w powiecie kutnowskim. Zmarł Leszek 71 lat, kiedyś z nami współpracujący. Śmierć jest coraz bliżej nas, osób starszych. W grudniu zmarła Grażynka, koleżanka ze Związku Emerytów, żona Romana, prowadzącego kapele żychlińską, pani Teresa z zespołu „Śleszynianki”, pan Stanisław, były wieloletni prezes OSP, teraz wieloletni kolega z pracy nauczyciel Andrzej.

Z drugiej strony radość wielka – wyzdrowiał nasz Andrzej, który w szpitalu spędził ponad sześć tygodni. Został wypisany do domu, także jego żona, rehabilitację spędzą mieszkając u syna w Warszawie, potem pojadą do sanatorium.

Często przeglądam informacje w Internecie. Zaszokował mnie jeden z komunikatów. W ubiegłym miesiącu, czyli w listopadzie w Polsce zmarło ponad 60 tys. osób, w tym tylko 12 tys., z powodu epidemii. Jest to niemal dwa razy więcej niż rok wcześniej i zapewne najwięcej od zakończenia II wojny światowej. To tak, jakby w jednym miesiącu wymarło sześć takich miasteczek jak nasz Żychlin czy półtora powiatowego Kutna! Pamiętajmy też, że to nie są śmierci tylko z powodu covid-19, a także przez choroby współistniejące oraz procedury! Tak wychodzą zaniedbania zdrowia, większość z powodu strachu lub ogromnych trudności w dostępie do lekarzy. Nie wystarczy powtarzanie recept... a gdzie tu iść na badania? Większość szpitali zamieniono na jednorodne... Mnie wypadły dwie plomby, przeciągałam wizytę u dentysty. Powinnam iść też na badanie kontrolne, ale... Teleporada? Może nie teraz?

Co zatem robić dalej...?

A dalej... w dniu 16 grudnia członkowie Towarzystwa Miłośników Historii Żychlina: Leszek, Mirek i ja odwiedzili Gminny Ośrodek Kultury i Sportu w Krzyżanowie. Tam na prośbę pana dyrektora GOKiS nagraliśmy dwa filmiki ukazujące podróż Leszka po Polsce i Europie, podczas których promował patriotyzm i kulturę jazdy rowerem. Filmiki te zostaną pokazane dzieciom i młodzieży szkolnej podczas ferii, niestety w dużej mierze wirtualnych, posłużą również do promowania patriotyzmu, postaw obywatelskich, czytelnictwa i zdrowego trybu życia.

Nie damy się zamknąć w klatce strachu. Co to za życie?

Niespodzianka, jakże miła! Drukarnia w Gostyninie zawiadomiła, że jednak będzie książka na święta! Można już odebrać wydrukowany zbiór wierszy pana Wiesława pt. „Bogu i ludziom”, książki wydanej pod patronatem naszego TMHŻ. Odebraliśmy ją w poniedziałek 21 grudnia. Pan Wiesław jest przeszczęśliwy! Nie dość, że w wieku 82 lat wziął do ręki zbiór swoich

wierszy, rozproszonych dotychczas w maszynopisach, to jeszcze na święta przyleciały z USA obie jego wnuczki: Ola i Justyna z rodzinami. Wracając zabiorą ze sobą dzieło dziadka! W dodatku jest to pierwszy zbiór wierszy wydanych w Żychlinie i o Żychlinie!

Na książkę Leszka, niestety, musimy poczekać do 8 stycznia. Taką dostaliśmy ostatnio wiadomość z drukarni.

Sumując rok 2020...

Jak można podsumować ten rok, rok 2020, rok pandemii, która tak bardzo wpłynęła na nasze dotychczasowe życia, w wielu wypadkach zmieniała je, ograniczyła? Jak ocenić styl i sposób naszego życia podczas pandemii? Życia naznaczonego koniecznością społecznej izolacji?

Dla pokolenia „milenialsów” jest to pierwszy duży kryzys społeczny. A dla nas...? W naszym towarzystwie jest sześć osób, które pamiętają II wojnę światową, a pokolenia powojenne pamiętają kryzysy lat '56, '68, '70, '80, które odbiły się na całym społeczeństwie. Jedenaście osób spośród nas pamięta stan wojenny i ówczesne obostrzenia. Jesteśmy spod znaku: przeżyliśmy potop szwedzki, przeżyjemy i radziecki. Być może stąd wynika nasza optymistyczna postawa... Jesteśmy zahartowani przez życie.

Zmarnowaliśmy ten rok czy nie? Na pewno mogliśmy dać z siebie więcej... Tyle imprez nie zrealizowaliśmy... Ale i tak zrobiliśmy dużo. Na pewno nie siedzieliśmy w miejscu i nie użalaliśmy się nad sobą i swoim życiem w warunkach pandemii i wynikających zeń ograniczeń.

Anna Wrzesińska

Prezes Towarzystwa Miłośników Historii Żychlina

Ze względu na RODO podane są tylko imiona członków TMHŻ.

Informacje, dane liczbowe i cytaty zostały zaczerpnięte z portalu Wirtualna Polska.



W dn. 8 czerwca 2020 r. delegacja Towarzystwa Miłośników Historii Żychlina: prezes Anna Wrzesińska, cyklista-podróznik Leszek Łopata i Mirosław Zomerfeld kowal i rekonstruktor postaci Józefa Piłsudskiego została zaproszona do redakcji Powiatowego Życia Kutna. Tam członkowie Kapituły Nagrody „Kutnowski Hit 2019 roku” – Andrzej Stelmaszewski, Krzysztof Wacław Dębski i Jerzy Michał Papiewski wręczyli im przyznane dla TMHŻ wyróżnienie specjalnie.



Uczciliśmy pamięć obrońców Ojczyzny, którzy 100 lat temu, podczas wojny polsko-bolszewickiej stanęli do walki i przelali krew w obronie Ojczyzny, broniąc jej niepodległości. Uczciliśmy też przypadające w tym dniu święto Wojska Polskiego.



Grób sprzed naszej ery czy tylko przypadkowy układ głazów polodowcowych?

Do prezes Towarzystwa Miłośników Historii Żychlina Anny Wrzesińskiej zgłosił się telefonicznie mieszkaniec powiatu kutnowskiego, który podczas jesiennej orki zahaczył pługiem o duży kamień. Ponieważ słyszał o naszym szesnastym odkryciu grobu skrzynkowego kultury pomorskiej, wstępnie określonego na 400 lat p.n.e i widział jego zdjęcia, wstrzymał prace polowe i poprosił o konsultację.

My z kolei, po dokonaniu wizji lokalnej i sfotografowaniu znaleziska zawiadomiliśmy współpracującego z naszym TMHŻ dr hab. Z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Łódzkiego. Już następnego dnia dwójka naukowców z UŁ dokonała wizji lokalnej.

I tu zaczyna się zagadka: oglądane z wierzchu znalezisko (nie można kopać bez zezwolenia Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków!) układem i materiałem przypomina grób sprzed naszej ery, ale brak w tym miejscu typowych okruchów ceramiki. Zatem czy to grób sprzed naszej ery czy tylko przypadkowy układ głazów polodowcowych?

Odpowiedź powinny przynieść kolejne badania, które archeologowie z Łodzi zapowiadają niebawem.



W trakcie wystawy pt. „Katyńczycy Gminy Żychlin” pan Józef Staszewski jako prezes Stowarzyszenia Dzieci Wojny Oddział w Żychlinie odznaczył krzyżem rubinowym Dzieci Wojny za zasługi dla stowarzyszenia troje członków naszego TMHŻ: Marię Misztal, Mirosława Zomerfelda i Annę Wrzesińską. Bardzo dziękujemy za wyróżnienie!

Janusz Ziarnik

Maseczka

Zadzwonił do mnie Paweł. Przerażony rosnącą liczbą zakażeń wirusem, boi się wychodzić z domu. Ma po temu poważny powód, cierpi na obturację płuc. Usiłując go oderwać od rzeczywistości zaproponowałem zabawę literacką. Słowo, które mi poda, będzie tytułem i kanwą mojego opowiadania. Tak więc...

Niby się opierała, ale otworzyła. Nie chciała, a jakoś tak wyszło. Dziwne...

W policyjnym protokole zapisano, że noc była szczególna, gdyż księżyc świecił pełną tarczą. Zeznaje sąsiad:

- Spać nie mogłem, księżyc świecił prosto w twarz. Na klatce schodowej cisza, nie słychać chrapania żony. Kiedy jakoś przysnąłem, rozległo się kilkakrotne kłapanie. Tak jakby ktoś energicznie naciskał klamkę. Po kolejnej serii kłapnięć, słyszę: - Puscaj.

- O co chodzi? Skąd dzieciak o tej porze na klatce? Gdzie on chce wejść?

Znowu to samo kłapanie i słyszę: - Nooo. Drzwi skrzypnęły... I tyle wiem, zaraz też zasnąłem.

Co działo się potem, ustaliła wizja lokalna. Podejrzanych było wielu, praktycznie mógł to zrobić każdy mieszkaniec bloku. Dopiero badania DNA śliny zostawionej na obiekcie kradzieży doprowadziły do sprawcy.

Ale wróćmy do wizji lokalnej. Drzwi nie bez udziału klamki, która udawała opór, wpuściły sprawcę. W ciemności korytarza usłyszeć było można plaśnięcia bosych stóp (tu nastąpiły pozorowane efekty słuchowe). Chwila ciszy. Kolejne drzwi zapiszczały. Ostrożne stąpanie (zapewne po dywanie) i powrotne kroki, tym razem ciężkie, z plaskaniem w korytarzu. Drzwi wejściowe się zamykają. Koniec wizji lokalnej.

Cóż się stało i gdzie?

Włamanie miało miejsce w bloku mieszkalnym na czwartym piętrze. Sprawcą był niejaki Jan K. o pseudonimie Maseczka. Ów osobnik, wielokroć karany, miał pewną słabość, była nią guma do żucia. Nosił maseczkę (stąd pseudonim), gdyż żucie w jego wykonaniu wyglądało nader obrzydliwie. Pozbawiony ostatnimi czasy dopływu gotówki, postanowił gumę do żucia wyprodukować sam. Ktoś mu podpowiedział, że robi się ją z soku drzewa kauczukowego. Tylko skąd w naszym klimacie wziąć takie drzewo? Po krótkim wywiadzie wśród sąsiadów już wiedział- drzewo rośnie w pokoju pewnego emerytowanego nauczyciela.

Istotną przeszkodę w dostaniu się do mieszkania nauczyciela stanowiły drzwi, w których zamek połączony był z klamką. Pokonanie ich w tradycyjny sposób wytrychem nie miało szans powodzenia, ponieważ drzwi zaopatrzone były w najnowszy model zamka firmy Gerda. Inteligencja modelu polegała na jego wrażliwości na głos. Użycie odpowiednich słów w odpowiedniej tonacji, otwierało zamek przy pomocy klamki.

W tę noc żadna z prób, jakie poczynił Jan K., nie powiodła się. Dopiero gdy pogłaskał klamkę i przemówił językiem swego syna- puscaj, zamek puścił.

Z przebiegu zdarzeń śledczy wysnuł wniosek o zaplanowaniu przestępstwa i współpracy klamki.

Finał sprawy jest taki. Kauczukowiec, na którym znaleziono ślinę z DNA sprawcy, wrócił na miejsce. Jan K. powędrował do aresztu, a elegancka klamka za zdradę właściciela została zamieniona na zwykłą klamkę z prostym zamkiem Yale.

Do Pawła zadzwoniłem następnego dnia i przeczytałem mu opowiadanie.

-Aleś to wymyślił! - skwitował i zamówił kolejny tekst.

Zegar

Zbłądziłeś mój zegarze
przynosząc gorzkie dni
zapewne już o tym wiesz
i trudno ci się wycofać
bo przecież tego nie potrafisz
ale gdybyś tak przeskoczył
cierniowy płot zdarzeń
może po tamtej stronie
jest słońce, które grzeje a nie pali
woda, która nie truje i czyste powietrze
może mieszkają tam ludzie serdeczni
i dopisuje im zdrowie
wtedy proszę zadzwoń do mnie kurantem
przyjadę, siądziemy razem
i tykać będziemy dobre godziny

Elżbieta Żłobińska

Ten dzień

Ten dzień, gdy wszystko zamilkło,
gdy cisza nastąpiła złowroga,
nie słyhać klaksonu auta,
nie skrzypi stara podłoga,
ludzie ze strachu ucichli,
lęk czał się w oczach każdego,
zniknęło podanie ręki, uśmiech,
spotkanie bliskiego,
człowiek co dotąd odwiedzał,
teraz miał zakazane.
To nowy świat jak prosto z filmu,
to wszystko na żywo nam dane.

Z dziwnym uczuciem wspominam ten jeden dzień, kiedy przemykając na krótki spacer z córką widziałam puste ulice Wieruszowa – to był szok, tu nigdy pusto nie jest. Później nagranie z drona, które obejrzałam na stronie lokalnej gazety z muzyką w tle – groza, tak można określić ten obraz, niecodzienny, nierealny, jakby fragment filmu. Z dnia na dzień świat zmienił oblicze, zapanował strach, bezsilność, obawa o to, co to za wirus, którego nie widać a jest, atakuje ludzi, zabiera im zdrowie i życie. Zamknięci w domach ludzie, udający się tylko do pracy, na zakupy raz na tydzień, piekący własny chleb czy bułki, robiący zapasy drożdży, papieru toaletowego czy makaronu i ryżu to była nowa rzeczywistość.

Praca w bibliotece, kontakt z czytelnikiem, zajęcia edukacyjne w szkołach i przedszkolach, to wszystko skończyło się dla mnie nagle, pojawiła się praca zdalna z domu, która jeszcze bardziej mój strach potęgowała. Dni pracy stacjonarnej były namiastką normalności, choć przy zamkniętych drzwiach. Potem troszkę lepiej, w bibliotece pojawiły się maseczki ochronne dla mieszkańców powiatu, które otrzymałyśmy od Marszałka Województwa Łódzkiego i wreszcie pojawili się ludzie, żywe twarze. Można było zamienić choć kilka słów, podzielić się swoją obawą, wysłuchać tak samo zadziwionych ludzi, próbujących zrozumieć co się dzieje.

Po powrocie do domu nauka zdalna, godziny wytężonej pracy, by dzieci jakoś dały radę, drukowanie materiałów, wysyłanie prac domowych, walka z łączem internetowym. Najważniejsze jednak uśmiechanie się i tłumaczenie dzieciom, że wszystko będzie dobrze, że to na krótko, że musimy siedzieć w domu, bo to dla naszego dobra. I ten wewnętrzny bunt, dlaczego, skąd brać siły, by wciąż się uśmiechać, z rodzicami kontakt tylko telefoniczny, święta bez ich odwiedzania. Nadzieja to było coś, co pozwalało czekać na wakacje, które miały być lepsze i były. Nadal w domu, z krótkim wyjazdem syna do wujka do Katowic (ja oczywiście pełna obaw, no bo w pociągu może się zarazić, potem spotkania z koleżankami, też nie wiadomo, czy są zdrowe) – uff udało się. Córka młodsza więc tylko do dziadków, zresztą ja też skorzystałam z kilku dni u rodziców.

Nadszedł wrzesień, który niósł ze sobą dwie przeciwne emocje – dzieci wracają do szkoły – jest lepiej, znów straszą rozkręceniem wirusa – to już gorzej. Każdy dzień w szkole był cenny, równie jak przygotowania: nowy plecak, buty do ćwiczeń, ołówki, długopisy, porządki na biurku – witaj szkoło! Niestety nie trwało to długo, powrót nauki zdalnej już lepiej przygotowanej, lekcje on-line, sprawdziany, odpytywanie, dla mnie zdecydowanie więcej wolnego czasu, dzieci dają radę.

A praca normalna, powrót do dzieci, miesiąc wytężonej organizacji zajęć edukacyjnych w ramach dwóch dużych projektów z Budżetu Obywatelskiego oraz Narodowego Programu Rozwoju Czytelnictwa. Bieganie (dosłownie, bo na nogach) po całym Wieruszowie, kilometry zrobione dla dzieci, by miały namiastkę normalności. Tematy zajęć realizowane na życzenie wychowawczyń, własne wierszyki na daną okoliczność, bajki terapeutyczne pisane szybko samodzielnie, zadania przygotowane tak, by trzymać dystans z dziećmi. Udało się, do tego jeszcze październikowy Ogólnopolski Tydzień Kariery i jeszcze spotkania z dziećmi i nagle trach... kolejne zamknięcie szkół, koniec spotkań na żywo. Został jeszcze listopad bardzo ważny dla mnie i dzieci, bo to czas, gdy po Wieruszowie i okolicznych miejscowościach krąży z misiem Zbysiem. Niestety pierwszy raz od 2012 roku stało się to niemożliwe. Szybka burza mózgów, jak obejść zakazy pandemii, jak misiu ma dzieci odwiedzić, by nie odwiedzić. Tu z pomocą przyszedł messenger, nagrałam opowieść o misiu i przesłałam z innymi materiałami do szkół i przedszkoli. Odzew był niesamowity, dzieci wykonały laurki dla misia, dostałam zdjęcia, nagrania wierszyków i piosenek, pozdrowienia.

Strach nadal jest, bardziej oswojony, osłuchany, wielu znanych mi ludzi chorowało, wielu już nie ma na tym świecie, idziemy dalej, bo święta zaraz i Nowy Rok niosący nadzieję. Święta piękne, rodzinne, odpoczynek po nich, Sylwester w małym gronie, Nowy Rok cichy, spokojny.

4 stycznia wielkie buuuum, informacja o likwidacji bibliotek pedagogicznych w województwie łódzkim, 18 placówek ma zniknąć. Połowa stycznia, walka o podpisy przeciw likwidacji, zamiast zajęć z dziećmi wysyłanie wiadomości wszędzie, by ratować nasze placówki. Do strachu o zdrowie dołączył kolejny – obawa o pracę. 15 lat z lokalną społecznością, zżycie się z ludźmi, doradzanie czytelnikom, wspieranie nauczycieli, niezliczone spotkania z dziećmi, to wszystko dla władz przestaje mieć znaczenie, bo oni nie znają „moich ludzi”, którzy dla mnie są cenni.

Jak żyć w dobie pandemii, gdy zamiast gwarancji pracy pojawia się jej utrata? Jak dalej uśmiechać się do dzieci i mówić wszystko będzie dobrze, to tylko chwilowe? To trwa już prawie rok, to już nie chwila, ale kawał naszego życia, było bardzo dobre – na szczęście, ale strach nie zniknął, doszedł nowy. Wniosek mam tylko jeden, damy radę z wszystkim byle tylko BYĆ ZDROWYM.

Elżbieta Żłobińska

Wieruszów